

Bullen Fiona

Zraniona duma

Prolog

Twoje zaręczyny są zerwane? Tak po prostu? Chyba zupełnie oszalałaś, Helen. Powiedz, proszę, że to nieprawda. — Pani Barrett, tęga i impulsywna, krążyła niecierpliwie po pokoju zaciskając nerwowo dłonie. Rumieniec wstydu pokrył twarz Helen. Jej siostra, Elizabeth, zagryzła mocno usta, szczerze jej współczując.

Doktor Barrett, opanowany i wymagający człowiek, który zupełnie nie zauważałby własnej rodziny, gdyby to było możliwe, rzucił swojej żonie pełne dezaprobaty spojrzenie znad gazety. Ciotka Sofia siedziała dotychczas wygodnie na parapecie okna, skąd obserwowała psy bawiące się na podwórzu, czuwając, żeby teriery Punch i Judy nie skrzywdziły jej małego kundla— Gertie. Teraz odwróciła się powoli, posłała zaniepokojone, pełne współczucia spojrzenie swojej siostrzenicy.

Zimne promienie jesiennego słońca wpadały przez drzwi francuskie. Matka Helen wciąż krążyła po pokoju.

— Margaret, usiądź, proszę, i nie przerywaj Helen — powiedział ostro doktor Barrett odkładając gazetę ruchem, który zdradzał wyraźne rozdrażnienie zachowaniem żony. Posłał wymuszony uśmiech w stronę starszej córki. — Helen, wyjaśnij nam wszystko, proszę — dodał.

Elizabeth zastanawiała się, co Helen mogłaby powiedzieć, aby oddało to w pełni nieszczęście, które ją dotknęło.

Hugo Montford był zako-

chany w Helen od czasów ich dzieciństwa i długich wakacji letnich spędzanych wspólnie w Hiszpanii. Letnie miesiące w Hiszpanii były pomysłem matki Mila — Celeste Rochford. Kiedy Barrettowie rozglądali się za możliwością spędzenia taniego urlopu w ciepłym klimacie, zaproponowała im starą willę na Majorce, której właścicielką była jej znajoma — Maria Luisa. Zapewniała ich, że willa stoi tuż nad brzegiem morza i zjeżdża tam na wakacje wiele innych dzieci. Sama też zabierała swoją rodzinę i dzieci Montfordów na Majorkę, aby spędzić trochę czasu z osiadłą tam na stałe siostrą — Piru. Mąż Piru był ciężko chory i prawie nie opuszczał posiadłości, pałacu Bendinat położonego w pobliżu willi. Było więc nieuniknione, że wszyscy się tam spotkają. Taką miał przynajmniej nadzieję doktor Barrett... — pomyślała Elizabeth i spojrzała na ojca podejrzliwie.

A więc dzieci z trzech rodzin — doktora ze starego probostwa, lorda z miejscowego dworu oraz młodzi Montfordowie — znały się od dawna, bawiły się i rosły razem, a w przypadku Helen i Hugo — zakochały się w sobie. Jak więc Helen uzasadni nieoczekiwane odejście Hugo? — zastanawiała się Elizabeth. Ona sama nie potrafiłaby tego zrobić.

Helen starała się dzielnie sprostać pytaniom rodziców, rzucając słowa „jesteśmy nieodpowiedni”, „niedopasowani”, podczas gdy usta jej matki otwierały się i zamykały ponownie, gdy padał na nią lodowaty wzrok męża. Czy Mil mógł mieć coś wspólnego z rozpadem tego związku? — rozważała Elizabeth wbijając wzrok w ziemię.

George Milton Louis Penrith, który po niedawnej śmierci ojca został jedenastym wicehrabią Rochford z Hardres — zwany przez przyjaciół Milem — stał się ostatnio aroganckim draniem. Elizabeth podejrzewała, że mógł mieć wpływ na decyzje Hugo. Oczywiście nie świadczyłoby to najlepiej o wybrańcu Helen, że tak łatwo dał się zawrócić z zranionej drogi, ale Mil był jego najlepszym przyjacielem. Rodzice Hugo nie żyli od wielu lat, Mil zatem stał się dla niego prawdziwym autorytetem. Hugo ufał mu całkowicie.

Od tych rozmyślań oderwał ją donośny głos matki. — Nie, Edwardzie, nie będę dłużej milczała, czy ci się to podoba czy nie. Helen jest moją córką i mam prawo pytać ją, o co zechcę. — Pani Barrett odwróciła się gwałtownie w stronę Helen, próbującej zachować resztki spokoju. — Powiedz mi tylko jedną rzecz, Helen. Tylko jedną. Czy to ty zerwałaś te zaręczyny czy Hugo? — To, jak wszy-

8

scy wiedzieli, stanowiło sedno całej sprawy. Helen spojrzała błagalnie na Elizabeth.

— Hugo... — szepnęła Helen, czując pełne współczucia westchnienie Sofii. Sofia, ich niezamężna ciotka, wciąż jeszcze pamiętała własne, nieszczęśliwie zerwane wiele lat temu, zaręczyny. Ponownie poczuła gorycz tamtego rozstania. Czy Helen miała podzielić jej los? Elizabeth widziała to pytanie w wypełnionych łzami oczach Sofii.

Elizabeth westchnęła ponownie.

— Czy nie sądzicie, że Helen już i tak przeszła zbyt wiele? Powiedziała przecież, że zaręczyny zostały zerwane przez... Hugo. Chyba nie ma nic więcej do dodania. — Elizabeth starała się, aby jej głos brzmiał pewnie, tak jak powinien brzmieć głos profesjonalnej dziennikarki, za którą wszyscy ją uważali. Niestety, zabrzmiał prawie płacząco. Tak właśnie działał na nią każdorazowy powrót do domu, w którym czuła się niepotrzebna i nie doceniana przez rodziców. Ale Helen błagała ją, żeby przyjechała, i teraz liczyła na jej wsparcie. — Nie ma w tym niczyjej winy, tak się po prostu złożyło — zakończyła Elizabeth niezbyt przekonująco. Helen posłała jej słaby, zbolący uśmiech.

— Niczyja wina! Tak się złożyło! — Głos matki osiągnął poziom pisku i Sofia, widząc wyraz twarzy Helen, próbowała uciszyć siostrę pełną dezaprobaty miną. Nic jednak nie było w stanie stłumić gniewu Margaret. — Być może nie było niczyjej winy, gdy ty zerwałaś z tym żonatym mężczyzną, Lizzie. Ale twój związek od samego początku był nieporozumieniem.

— Doskonale, mamó, wciągnij w to jeszcze Charliego, dlaczego nie? Może chciałabyś ponownie przedyskutować sprawę jego wieku? A może jego atak serca? Lub też fakt, że powrócił do swojej żony? — zapytała sarkastycznie Elizabeth.

— Nie chcę o tym rozmawiać. Cała ta sprawa jest po prostu niesmaczna. Na miły Bóg, przecież on ma już dobrze po czterdziestce. Nie powiesz mi chyba, że jego atak serca był nagrodą za to, że porzucił dla ciebie swoją żonę?

— To nie było tak, mamó — wtrąciła gwałtownie Helen, widząc nagłą błądź twarzą siostry. — Charlie Stein opuścił swoją żonę na długo przed tym, zanim Lizzie zaczęła się z nim spotykać.

— Powiedziałam ci już, że nie chcę dyskutować na ten temat — pani Barrett całkowicie zignorowała słowa Helen, tak jak zawsze ignorowała to, czego nie chciała słyszeć.

— Więc nie dyskutujmy o tym więcej! — warknęła Elizabeth. — Nie powiedziałaś o tym ani słowa, kiedy to się rzeczywiście wydarzyło, a teraz, miesiąc później, chcesz tę sprawę wywlekać ponownie. Mamo, ja mam dwadzieścia dziewięć lat! To moje życie i przeżyję je tak, jak uważam za słuszne. To samo dotyczy Helen.

— Wręcz przeciwnie. Już dawno zrezygnowałam z wywierania wpływu na twoje decyzje. Zawsze odrzucałaś każdą szansę, jaką dawało ci życie, i zawsze byłaś tak upartym dzieckiem, jak tylko ty potrafisz. Ale Helen? — Pani Barrett zwróciła się ku drugiej córce z oczami pełnymi łez. — Nie mogę uwierzyć, że pozwalasz na to, Helen. Dlaczego nie walczysz o niego? Hugo to wspaniały partner dla ciebie. — Helen odwróciła się do okna zaciskając kurczowo dłonie. — Przecież to bzdura, Margaret — Sofia patrzyła smutno na Helen. — To majątek Hugo sprawia, że uważasz go za wspaniałego kandydata dla Helen. Zawsze liczyły się dla ciebie jego pieniądze, a nie on sam. — Sofia odzyskała werwę, jak zawsze gdy rozpoczynała batalię ze swoją siostrą. Doktor Barrett jęknął.

— To nieprawda! — Margaret ruszyła po omacku w kierunku fotela, który stał w pobliżu wygaszonego kominka, i usiadła w nim ciężko. — George Rochford byłby jeszcze lepszą partią, gdyby tylko Helen zechciała go zachęcić... Ale nigdy jej do tego nie nakłaniałam. Pozwoliłam jej na samodzielny wybór i zgodziłam się na Hugo. — Margaret starała się przedstawić siebie w jak najlepszym świetle, przybierając pozę pokrzywdzonej przez los. Sofia roześmiała się.

— George albo jak nazywają go przyjaciele, Mil— rzuciła szelmowskie spojrzenie na siostrę — był jako młody człowiek wplątany w jakiś skandal, o ile sobie przypominam. W coś, co zarówno ty, jak i Edward ostro potępialiście. Pamiętam, że trzymaliście go z dala od dziewcząt. — Sofia, zadowolona z siebie, poprawiła długą spódnicę i obserwowała wysiłki siostry, która próbowała znaleźć właściwą odpowiedź. Doktor Barrett wstał z krzesła i uderzając niecierpliwie gazetą o nogę, spojrzał na nie z dezaprobatą.

— Nie znoszę, jak damy z towarzystwa zamieniają się w krzykliwe przekupki — powiedział. — To nie jest miłe. Sądzę jednak, że w tym przypadku Sofia ma rację. Mil Rochford nie był, moim zdaniem, właściwym partnerem dla Helen, czy też dla Lizzie, a co więcej, przez te wszystkie lata nie poprawił bynajmniej swojej reputacji. Byłoby bardzo głupio z twojej strony, gdybyś chciała widzieć go jako męża któregoś

4

z dziewcząt. Przez całe życie był bardzo rozrzutny i nawet teraz, gdy otrzymał spadek, nie sądzę, by majątek rodziny przetrwał dłużej niż on sam. Tak naprawdę, z tego, co wiem, ta rodzina już teraz ma kłopoty... — przerwał, odchrząknął, a później kontynuował takim samym, denerwującym otoczeniem, spokojnym głosem.

— Ale to nie ma nic do rzeczy. Biedna Celeste ma wystarczająco dużo na głowie i bez tego — dodał. No tak, nie powinniśmy zapominać o biednej Celeste — myślała Elizabeth obserwując ojca z chłodnym cynizmem. Może już teraz zamierzał pobiec i sprawdzić, jak się czuje jego ulubiona pacjentka, potrzymać ją za rękę dodając otuchy. Doktor Barrett odwrócił się i ruszył do drzwi, obserwując swoją starszą córkę. — Bardzo mi przykro, Helen — powiedział. — Wszyscy jesteśmy bardzo zmartwieni tym, co się stało. Ale jestem pewien, że dziewczyna tak piękna jak ty nie będzie długo samotna. — Wyszedł z pokoju pozostawiając wszystkich w ogromnym zdumieniu.

— Dobry Boże! — Elizabeth roześmiała się nagle, rozbawiona tą farsą. — „Doktor Głaz” zauważył, że ma piękną córkę. To zupełnie niepodobne do niego.

— Nie wyśmiewaj się z ojca, Lizzie. „Doktor Głaz”?! Skąd bierzesz takie określenia? — Ale Margaret wyczerpała już całą swoją złość i jej wysiłki zniszczenia radości młodszej córki nie odniosły żadnego skutku. Elizabeth mogła oczywiście wyjaśnić to matce. Mogła powiedzieć, że słyszała, jak mieszkańcy wioski plotkowali o doktorze, ale rozmyśliła się. Zamiast tego przyglądała się z uwagą Helen.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że nawet po przeżyciach, jakich doświadczyła, była wciąż najładniejszą istotą, jaką Elizabeth kiedykolwiek spotkała. Ciemne, lśniące, czarne włosy, gładka skóra w kolorze kości słoniowej, fiołkowe oczy, pełne wiśniowe usta — wszystko to składało się na wspaniały efekt. Jej sylwetka była smukła i pełna wdzięku. Sposób bycia — pełen radości i pogody. A jednak Elizabeth po raz pierwszy słyszała, jak ojciec pochwalił urodę swojej córki.

Czy powstrzymywał się od komplementów, gdyż uważał, że Helen może stać się zarozumiała? Czy też, tak naprawdę, nie zauważał swojej rodziny? Cały czas spędzał na pocieszaniu niedawno owdowiałej Celeste Rochford i na praktyce lekarskiej. Elizabeth uważała, że miał syndrom wszechmogącego Boga, co dosyć często zdarza się u lekarzy, ale w przypadku jej ojca uwydatniało się szczególnie mocno. Westchnęła i pozbywszy się myśli o nim, poświęciła się rozmyślaniom nad najbar

dziej interesującym fragmentem informacji, który przekazał ojciec. Czyżby Mil Rochford miał kłopoty finansowe? Czy też innego rodzaju problemy? Wszystko było możliwe.

Przez chwile pozwoliła swoim myślom odpłynąć, przypominając sobie dawne, niemal zapomniane czasy. To było około szesnastu lat temu, gdy była jeszcze dwunastoletnią dziewczynką.

Bendinat, Majorca Lato, 1974

Hugo uderzył mocno rakieta i piłeczka zawirowała, przelatując już z nieco mniejszym impetem przez siatkę. Jego siostra, Sassy, piszcząc rzuciła się do przodu, ale Mil nadbiegł z linii i szybkim ruchem odparował serw, podkreślając piłkę, która poszybowała po przekątnej boiska. Helen zablokowała uderzenie, bardziej z determinacją niż odwagą czy pokazem umiejętności, i piłka upadła pod stopy przeciwników, co przy-spożyło im kolejnego punktu.

— Trzydzieści — czterdzieści! — krzyknął Hugo patrząc z podziwem na Helen.

— Brawo, kochanie! — Sassy zareagowała na te słowa wymuszonym uśmiechem. A Mil roześmiał się poirytowany.

— Na miłość boską, Helen — wycodził ironicznie — jeżeli zamierzasz raz dla odmiany zagrać doskonale, przynajmniej uprzedź nas o tym.

— Właśnie to zrobiła, Mil. Czyżbyś nie zauważył? — odparował Hugo. Helen zarumieniła się z radości, a jej biała spódnica zatrzepotała poruszona wiatrem, jakby dziękując za pochwałę.

— To było zagranie godne mistrza — powiedział Mil. — Teraz wasz serw i lepiej by było, żebyście się pospieszyli. Od pięciu minut powinniśmy być na lunchu. Wiecie przecież, jaka jest Piru.

Hugo zareagował na te słowa nerwowością— dwukrotnie spudłował i teraz kłął własną nieudolność. Elizabeth zauważyła, że jego twarz z wysiłku pokryła się potem. Siedziała na trawie, ze skrzyżowanymi nogami, obserwując ich grę. Podejrzewała, że Mil doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jaki efekt wywrą jego słowa na przyjacielu. Ciotka Mila, znana w rodzinie jako Piru, prawdopodobnie nie byłaby zachwycona, gdyby spóźnienie jej młodych gości popsulo lunch. Mil lekceważył to, wiedząc,

12

że Piru go uwielbia. Zwykle powtarzała całej reszcie młodzieży swoim ostrym, zgryźliwym głosem, że będzie ich aprobowała dopiero wtedy, gdy dorosną i będą umieli prowadzić rozsądną konwersację.

Prawdziwe imię Piru brzmiało Marie-Dorothe. Markiza de Alvarez-Clar. Jej chory mąż był ostatnim z wielkiego rodu grandów, wywodzących się od admirała, który dowodził hiszpańską armadą przeciwko Anglikom w 1588 roku. Piru pochodziła ze szlacheckiego rodu monarchii austro-węgierskiej i była starszą siostrą matki Mila— Celeste. To

była bardzo dziwna rodzina, z różnymi europejskimi koneksjami, a w wyniku zawieranych związków małżeńskich powstał prawdziwy labirynt genealogiczny, trudny do zrozumienia dla osób z zewnątrz. Elizabeth słyszała wielokrotnie, jak jej rodzice rozmawiali o tym rodzie. Matka z zazdrością, a ojciec z zarozumiałstwem skrywanym pod obojętnością... ale tak naprawdę, to żadne z nich nie potrafiło się do końca w tym wszystkim rozeznąć. Mil, jego przyjaciel Hugo Montford oraz zawsze towarzysząca im Sassy przyjeżdżali każdego lata na miesiąc do Bendinat z matką Mila — Celeste. Zatrzymywali się w letnim pałacyku wuja, położonym na wzgórzach rozciągających się nad Bendinat. Ojciec Mila, wicehrabia Rochford, nigdy tu nie przyjeżdżał. Kiedy Elizabeth była jeszcze dzieckiem i zapytała kiedyś o to Mila, odpowiedział jej krótko, że jest zbyt zajęty. Zarządzał wówczas angielskim oddziałem firmy i nadzorował posiadłości ziemskie, ale próbował także swoich talentów w polityce. Mil stwierdził, że ojciec na pewno nie przyjedzie, ale jego oczy zdradzały, że chciałby się mylić. Odgłosy uderzeń piłki tenisowej powoli rozmywały się w świadomości Elizabeth, gdy tak siedziała oparta o szorstki pień drzewa, grzebiąc patykiem w piasku i obserwując Mila spod w półprzymkniętych powiek. W upale Mil zdawał się poruszać w zwolnionym tempie, jakby od niechcienia, a jednak zawsze zdążał na czas, by spokojnym, dostojnym ruchem rakiety posłać piłkę na stronę przeciwnika. Przy uderzeniu zwichrzona grzywka opadała mu na jedno oko, a on odrzucał ją do tyłu eleganckim ruchem głowy. Uśmiechnął się pełen zadowolenia, gdy udało mu się ponownie zmusić Hugo do biegu. Elizabeth czuła, że widok Mila wprawia jej serce w drżenie. Odłamując małe kawałeczki z gałązki, którą trzymała w dłoni, próbowała dowiedzieć się czegoś o jego uczuciach: — Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha... — Pograżyła się w smutku, gdy ostatni kawałek gałąz

ki nie dał się już przełamać. Odrzuciła go ze złością i podciągnęła kolana pod brodę, obejmując je rękami. Szorty zsunęły się odsłaniając jej uda. Bez entuzjazmu przyglądała się swoim opalonym na jasny brąz nogom, porównując je ze złotą opalenizną Helen, jej smukłą, gibką sylwetką, pięknym odcieniem włosów w ciasno splecionym warkoczu. Mając piętnaście lat, Helen była od niej ładniejsza, delikatniejsza i miała niewątpliwie większe powodzenie. Elizabeth była wówczas dwunastoletnią, niezbyt zgrabną i chudą dziewczynką; wkraczała dopiero w okres dorastania. Ale właśnie teraz, mocniej niż kiedykolwiek, Elizabeth czuła różnicę pomiędzy sobą i siostrą. Ostatnia piłka przeleciała nad siatką i wylądowała poza kortem. Sassy — śliczna, drobna blondynka, która miała piętnaście lat, podskoczyła z radości i w zalotny jak zwykle sposób — czego nienawidziła Elizabeth — zarzuciła ręce na szyję Mila i ucałowała go wylewnie. — Sassy wszystko robi wylewnie — prychnęła do siebie pogardliwie Elizabeth, która właśnie nauczyła się tego słowa i dodała go natychmiast do arsenału cichych epitetów na temat Sassy. Zauważyła jednak z pewnym niepokojem, że pocałunek sprawił Milowi również przyjemność. Rochford miał osiemnaście lat. Skończył właśnie szkołę i spotykał się z dorosłymi dziewczętami, mającymi po siedemnaście, osiemnaście lat, ale na wakacjach mógł się zniżyć nawet do tego, żeby adorować Sassy — pomyślała z żalem Elizabeth. Na nią nie zwracał uwagi, ponieważ nie była wystarczająco dorosła, wystarczająco ładna, wystarczająco kobieca. Ona była wciąż *la ninita*.

Mil obiecał jej, że zagrają razem, ale była już pora lunchu, a ona musiała pójść jeszcze po raketę. Po lunchu będzie już za późno na grę, zbyt gorąco. Lipcowe słońce osiągnie swój zenit i sprawi, że zblakną wszystkie kolory, nawet błękit morza. Elizabeth czuła zapach zgniecionej trawy, gdy wstała ze ściągniętą, smutną buzią. Słyszała, jak namawiali opierającą się Helen, aby poszła z nimi na lunch do pałacu. Jej niezbyt stanowczy sprzeciw został ostatecznie złamany przez Hugo i cała czwórka ruszyła wspólnie przed siebie ścieżką biegnącą na tyłach kortów. Wspaniale się bawili, śmiejąc się z opowiadanych dowcipów, ocierając się o siebie jakby przypadkowo. Elizabeth ogarnęła pełną smutku pewność, że zupełnie zapomnieli o jej istnieniu.

Najchętniej schowałyby się za drobnym krzakiem eukaliptusa, żeby mogli przejść obok niej, wcale jej nie zauważając. Z pewnością by ją jednak zobaczyli, a jeszcze gorsze byłoby, gdyby spostrzegli, że próbuje

14

się przed nimi ukryć. Wzięła więc swoją raketę i ruszyła za nimi, szybko ich wyprzedzając. Ktoś zawołał, żeby na nich zaczekała. Rzuciła im obojętne spojrzenie.

— Idę popływać, jest zbyt gorąco, by robić co innego — mruknęła odwróciwszy się do nich. Po chwili jednak znowu przyspieszyła kroku.

— Nie możesz iść sama, Lizzie! — zawołała Helen, ale Elizabeth udała, że jej nie słyszy. Po chwili rozległy się za jej plecami szybkie kroki. Mil chwycił ją w tali, przerzucił sobie ze śmiechem przez ramię i poniósł z powrotem, mimo że wrywała się i kopała. Jej twarz poczerwieniała ze złości.

— Jesteś starą złošnicą — powiedział Mil bez współczucia, stawiając ją na ziemi. — Gdzie, do diabła, chciałaś iść? Lunch jest gotowy.

— Nie chcę lunchu — wycodziła przez zaciśnięte zęby. Usłyszała, jak Sassy jęknęła:

— Helen, na miłość boską, czy nie mogłabyś czegoś zrobić ze swoją siostrą? Spóźnimy się przez nią jeszcze bardziej i Pini będzie wściekła. — Helen zarumieniła się ze wstydu i spojrzała niepewnie na Elizabeth, powstrzymując się przed wzruszeniem ramionami.

— Cóż, może pójdziemy z wami innym razem — powiedziała, ale Hugo przerwał jej zdecydowanie.

— Bzdura, jestem pewien, że Lizzie ma ochotę pójść na lunch do Piru. Będzie mnóstwo przysmaków, świeże brzoskwinie, a może nawet lody — uśmiechnął się zachęcająco do Elizabeth, jak gdyby była dzieckiem, które można przekupić łakociami. Elizabeth poczuła mocniejszy uścisk dłoni Mila na swoim ramieniu.

— Idźcie sami. Obiecałem Lizzie szybką rozgrywkę. Nie martwcie się, dogonimy was, zanim dotrzecie na miejsce. Jesteśmy dużo szybsi od nich, prawda, Lizzie? Cały czas będą się jeszcze wdrapywać na wzgórze, gdy ich dopadniemy. No, idźcie już! — nakazał stanowczo, patrząc surowo na Sassy, która otworzyła usta, by mu się sprzeciwić. Pod wpływem jego spojrzenia straciła całą odwagę i odwróciła się, popadając w ponury nastrój. Zachwycona Elizabeth rozważała pokazanie języka odchodzącej Sassy, ale zdecydowała, że tym razem zachowa się jak osoba dorosła.

To była wspaniała gra — myślała później Elizabeth, przytulona do pleców Mila, gdy jego motor wspinał się po ścieżce prowadzącej do pałacu, wzniesając tumany kurzu i zostawiając za sobą smugę spalin. Wiatr plątał i rozwiewał jej włosy. Grała równie dobrze, a może nawet

lepiej niż kiedykolwiek przedtem. W jakiś dziwny sposób udawało się jej odebrać każdą piłkę, którą posyłał jej Mil, podczas gdy on nieustannie przegrywał. Wspaniały, zachwycający, błogi dzień!

Teraz jechali razem z Milem na lunch do jego rodziny, do starego pałacu, gdzie złote zwieńczenia murów doskonale współgrały z ciemną elegancją topól. Pałac wznosił się ponad spokojnymi, sennymi willami, Ignącymi do skalnych ścian. Całość przypominała piękną ilustrację z książki. Ciemne wnętrza pałacu rozjaśniały obrazy Velazqueza i Goi. Elizabeth przypominała sobie, że kiedy widziała je ostatnio, będąc jeszcze małym dzieckiem, napełniały ją grozą. Właśnie to wszystko mogła wspominać podczas długich, ponurych nocy spędzanych w internacie szkoły St. Mary. To było coś, czym mogła się pocieszać w chwilach samotności.

Gdy wchodzili po szerokich kamiennych stopniach na werandę z widokiem na leżącą w dole zatokę, Mil ujął w swoją dłoń jej małą, zadziwiająco zimną rękę. Spojrzał na nią z góry z uśmiechem, domyślając się, że ciemnowłose dziecko obok niego rozmyśla o zgromadzonym towarzystwie. Zauważył, że jej dolna warga skrzywiła się lekko. Poczuł, jak ręka dziewczynki mocniej ściska jego dłoń. Wiele par oczu zwróciło się ku nim, a wszystkie rozmowy nagle ucichły.

Piru jak zwykle urządziła lunch z pełnym rozmachem. U niej nigdy nie można było liczyć na prosty poczęstunek, na który można by nałożyć szorty, podkoszulki i swobodnie spacerować w słońcu — pomyślał Mil. Zawsze wyglądało to tak, jakby ciotka czekała na członków rodziny królewskiej. Było komicznie sztywno, a nawet nienaturalnie ze względu na rozstawione wszędzie srebra i kryształy oraz dystyngowane stroje gości.

Elizabeth przerwała potok pytań i niefrasobliwy szczebiot, który tak bardzo rozbawiał go podczas wspólnej drogi na wzgórze. Mała Lizzie, uszczypliwa i przedwcześnie rozwinięta jak na swój wiek, pełna żartobliwych uwag i złośliwości, a jednocześnie ogromnie czarująca, kiedy zapominała się na chwilę, wybuchając głośnym śmiechem, nagle zamilkła i posmutniała. Teraz wyglądała zupełnie zwyczajnie.

Nie wiedział, dlaczego tak przejmował się Lizzie, podczas gdy pozostali byli nią wyraźnie znudzeni lub okazywali jej obojętność. Jedyne Hugo był dla niej bardzo miły, ale on był zawsze miły dla każdego. I oczywiście Helen kochała młodszą siostrę, pomimo że jej ciągła obecność była dla niej czasami bardzo męcząca. Wszyscy pozostali —

Sas

10

sy, kuzyni Mila— Tomeo, Jose-Marie, a także hiszpańscy przyjaciele — Guillermo, Marie-Elena oraz Nieves — uważali, że jest nieznośna, a jej mina osoby wszechwiedzącej działała na nich jak płachta na byka. Była zbyt duża i

mądra, żeby ją traktować jak dziecko, a jednocześnie zbyt mała, żeby tolerować wszystkie niuanse wieku dojrzewania. Uścisnęła znacząco jej rękę i mrugnęła porozumiewawczo.

Zauważył, że Sassy była na tyle nietaktowna, że przebrała się w letnią, zwiewną sukienkę, wiedząc, że Helen nie może tego zrobić. Siedziała teraz flirtując z niewinną miną z jego wujem i starszym kuzynem — Tomeem. Czuła się i zachowywała jak ii siebie w domu, mimo że Piru rzucała jej zirytowane spojrzenia. Zauważył też, że Helen odświeżyła twarz i uczesała włosy, a teraz odpoczywała w cieniu wielkiego parasola, sącząc lemoniadę i uśmiechając się uprzejmie do adorującego ją Hugo. Matka Mila, Celeste, siedziała z uśmiechem przyklepionym do ust, obok sztywnej postaci swojej siostry — Piru. Don Arturo, ich sąsiad, przekomarzał się ze swoimi córkami — Mercedes i Ines — ubranymi w nieskazitelne letnie sukienki, szczebioczącymi po hiszpańsku i chichoczącymi z jego dowcipów. Okazało się, że wszyscy ocenili krytycznie spóźnienie Mila i Lizzie, a każdy znalazł w ich sposobie przybycia coś niewłaściwego. Matki zauważyły potargane włosy, ojcowie niepunktualność, a młodzież uznała za niestosowne, że Mil trzymał dłoń Lizzie i uśmiechał się do niej.

— Jesteście nareszcie! — rozległy się pełne niezadowolenia i rozczarowania głosy. — Co robiliście tak długo?

Przyglądając się uważnie zgromadzonym, Elizabeth zdała sobie sprawę z tego, że każdy z nich zakładał, że Mil w jakiś sposób należy do niego. Podobnie sądziła ona. Jednak — ta myśl była niby bolesne odkrycie — on robił to, na co miał ochotę. Spojrzała na niego starając się uchwycić coś, co przed chwilą zdawało się ich łączyć, ale nie pozostał po tym najmniejszy ślad. Każdy z obecnych zarzucił już na niego swoją niewidoczną sieć, krępując i przyciągając do siebie. Ona sama była jedną z tych osób, które oczekiwały, że Mil będzie je bawił, ale on godził się na to tylko wtedy, gdy uznawał za stosowne. Był przyzwyczajony do bycia ich bohaterem, ale było mu to zarazem obojętne. Ich oczy spotkały się.

Lizzie stanowczym ruchem oswobodziła rękę z jego dłoni.

2 — Zraniona duma

17

Najgorsze miało nadejść jeszcze tego samego lata, długo po rozgrywkach tenisowych i krepującym lunchu w pałacu, którego końca Elizabeth nie mogła się doczekać. Zdarzyło się to kilka dni po jej trzynastych urodzinach, pod koniec lipca. Właśnie zaczęły się uroczystości letnie na placu Portals Nous, do których przygotowywali się nie tylko okoliczni mieszkańcy, ale także całe rzesze przyjezdnych, strojąc się i sposobiąc do uczt i tańców trwających przez całą noc.

Po uroczystościach wszyscy młodzi poszli popływać koło hotelu Ben-dinat na wyznaczonym tam kąpielisku, gdzie ciemna, głęboka woda odbijała refleksy gwiazd i światła padającego z odległego wybrzeża.

Pod koniec uroczystości Elizabeth gdzieś zniknęła. Jej rodzice uważali, że jest bezpieczna z Helen, a Helen sądziła, że została w domu z rodzicami. Elizabeth jednak skradała się za grupką młodzieży, obserwując, jak tworzą się pary i odjeżdżają na skuterach. Widziała, jak Mil flirtuje z Nieves, jak siadają blisko siebie na skuterze. Nieves objęła go mocno w tali i oparła podbródek na jego ramieniu. Nie uszedł jej uwagi pełen gniewu wzrok i wykrzywiona złością twarz Guillerma, który się im przyglądał.

Elizabeth ruszyła za nimi. Dogoniła ich, gdy dotarli do skalistego cypla i starych żelaznych stopni wiodących do morza. Przykucnęła za skałami słysząc ich śmiechy i szept, gdy zrzucali ubrania w ciężkim, 'sennym upale nocy. Obserwowała, jak dziewczęta pobiegły do morza w bawełnianej bieliźnie, zakłopotane, a jednocześnie rozradowane własną odwagą. Chłopcy spacerowali dumnie po brzegu w krótkich spodenkach, śmiejąc się, podskakując i popychając się wzajemnie do wody.

Co tak naprawdę działo się w wodzie, Elizabeth mogła tylko odgadywać ze stłumionych śmiechów, okrzyków przeplatanych piskiem i uderzeniami piłki plażowej o kamienną ścianę. Za skałą, gdzie siedziała, było ciemno i samotnie. Czowała zapach nagrzanego słońcem wodorostów, soli i wilgoci. Pomyślała, że nie zauważyliby nawet, gdyby również weszła do wody. Byli zbyt zajęci sobą. Powietrze było gorące i duszne, a morze zdawało się kusić swoim cudownym chłodem, uderzając falami o skałę pod jej stopami.

Zdjęła ubranie, wypełzła ze swojej kryjówki i dwoma susami osiągnęła krawędź skały, skąd skoczyła do wody. Nagle nie było już dźwięku, światła i innych odczuć oprócz ciemności i dzwoniącej ciszy. Będąc wciąż pod wodą, obróciła się kilkakrotnie, nagle tracąc orientację, gdzie jest powierzchnia. Popłynęła na

18

próbę przed siebie, ale nie mogła wypłynąć. Zaczęło jej brakować powietrza i odczuwała coraz bardziej szok spowodowany zimną wodą i strachem. Rzuciła się w przeciwnym kierunku, szamocąc się gwałtownie, ale tam również czekała na nią tylko ciemność. Krew pulsowała w uszach. Przerażona, usiłowała nabrać powietrza. Woda

napłynęła jej do ust. Zdawało jej się, że nie wytrzyma już nacisku na klatkę piersiową. Miała wrażenie, że jej głowa za chwilę eksploduje.

Kiedy poczuła, że oplatają się wokół niej czyjeś nogi, zaczęła je odpychać. Wyrywała się z rąk, które ją chwyciły. Dudnienie w uszach i woda wdzierająca się do ust odebrały jej resztki rozsądku. Drapała i kopła, lecz czyjeś dłonie wciąż ją mocno trzymały wciągając w głęboką, zimną otchłań.

Nagle wypłynęli oboje na powierzchnię, kaszłąc i krztusząc się. Czyjeś dłonie nadal trzymały ją mocno. Jak przez mgłę słyszała śmiech i okrzyki bawiącej się grupy młodzieży, jakby długie „godziny” strachu spędzone pod powierzchnią wody były tylko krótką chwilą, jak gdyby nikt tego nawet nie zauważył. Nadal próbowała uwolnić się z objęć, które ją kępowały, starając się wydostać na brzeg. Cały czas słyszała przeklinający ją głos, pełen złości i przerażenia, który sprawiał, że tym silniej chciała się od niego uwolnić.

Kiedy w końcu udało się im dopłynąć do żelaznej drabiny, Lizzie przyłgnęła do niej z całej siły. Ktoś przywarł do niej mocno i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to był Mil. Wciąż klął i ciężko dyszał. Był bardzo blady i cały dygotał. Przyciskał ją mocno do drabiny, był jednak zbyt zmęczony, by wydostać się na brzeg.

— Ty mała głupia smarkulo — warknął w końcu zamykając oczy i przyciskając swoją twarz do jej twarzy. — Nigdy nie próbuj... — przerwał, a jego głos odzyskał dawną siłę — tego więcej — dokończył. Wciąż przyciskał ją mocno swoim ciałem. Milczeli przez długą chwilę. Słyszała tylko dudnienie krwi w uszach i ciężki świszczący oddech na swoim policzku.

Powoli oderwała ręce od drabiny i zarzuciła je na szyję Mila przywierając do niego mocno całym ciałem. Jej kaszel ustał niemal zupełnie, ale czuła ostry ból w uszach, pulsowanie łuku brwiowego i ucisk w klatce piersiowej. Mil, wciąż trzymając się drabiny, pozwolił jej przytulić się do siebie. Jego głos był już pewny siebie. Zdawał sobie sprawę, że niewiele brakowało, a uderzyłby Elizabeth z całej siły za jej głupotę. Ta myśl zaszokowała go i pozwoliła odzyskać nad sobą kontrolę.

— Co ty sobie wyobrażasz, Lizzie, nie mogłem cię znaleźć pod wodą. Przerwał na chwilę, starając się ująć w słowa swoje przerażenie.

— Kiedy nie wypłynęłaś, zanurkowałem, ale nie mogłem cię znaleźć. Wypłynąłem ponownie, aby nabrać powietrza, a ciebie wciąż nie było na powierzchni. Byłem śmiertelnie przerażony. Boże, przecież niemal utonęłaś! Dlaczego, do diabła, walczyłaś ze mną jak szalona! Mój Boże!

Nie odpowiedziała, tylko wtuliła mocniej twarz w jego szyję. Oderwał jedną rękę od drabiny, aby przytulić ją do siebie. Czuł, jak jej piersi wznoszą się i opadają pobudzane szlochem. Zamknął mocno oczy próbując opanować przerażenie, bezsilność i... coś do głębi obezwładniającego, nie chciałby tego już nigdy więcej przeżyć. Nawet nie chciał tego ująć w słowa, lecz odrzucić od siebie na zawsze.

— Chodź, Lizzie, odwróć się i wejdź na drabinę. Nie bądź dzieckiem— głos Mila stał się nagle tak ostry, że odsunęła się zaskoczona. Rzęsy miała mokre i zlepione, a oczy świeciły jej w bladej twarzy jak ogromne, ciemne gwiazdy. Trwało chwilę, nim zapanowała nad drżącymi wargami. Zdał sobie sprawę, że to, co powiedział, było ostatnią próbą odzyskania kontroli nad sobą. Usiłował być dorosły, starał się nie być dzieckiem, a jedyne, co mógł zrobić, to nazwać dzieckiem ją samą.

Pomógł jej wejść na drabinę odpychając od siebie niemal gwałtownie, starając się nie widzieć zmian w jej sylwetce, których nie zauważył wcześniej — delikatnych, sterczących piersi, wąskiej talii. Wypominał sobie ostro, że ma dopiero trzynaście lat, a on znał ją właściwie całe życie. A jednak, jeżeli miał być wobec siebie szczery, to oddziaływała na niego jak dojrzała kobieta. Kipiąc złością, wszedł za nią na drabinę i pchnął ją w kierunku pozostawionych ubrań.

— Ubierz się. Zabiorę cię do domu — podszedł do swojego ubrania. Z trudem udało mu się włożyć dzinsy i koszulę, które lepiły się do mokrego ciała. Kiedy odwrócił się, aby spojrzeć na Elizabeth, zobaczył, że ubrała się już i zaczęła się wspinać na skały w kierunku drogi. Zawołał, żeby zaczekała, ale tylko przyspieszyła kroku, prawie biegnąc. Zawsze była bardzo zwinna we wspinaczce po skałach, a teraz miała jeszcze nad nim przewagę. Zaklął.

Była już prawie w połowie drogi do domu, gdy udało mu się uruchomić motor i dogonić ją. Biegła wzdłuż drogi sprężystym i równym krokiem. Zwolniła niechętnie, kiedy zaczął krążyć wokół niej. Nie chciała się jednak zatrzymać ani wsiąść na motor.

— Czy zamierzasz być taka przez cały okres dorastania? — zapytał

w końcu zirytowany. — Bo jeżeli zamierzasz, Lizzie, to chyba będę musiał zrezygnować z twego towarzystwa na siedem długich lat. Nie sądzę, abym mógł wytrzymać takie zachowanie.

— Nikt cię nie zatrzymuje — warknęła rozwścieczona.

— Co ja takiego złego zrobiłem? Jeszcze niedawno przytulałaś się do mnie po tym, jak uratowałem ci życie, a teraz zachowujesz się, jakbym to ja chciał cię utopić. O co ci chodzi, Lizzie?

— Przepraszam, że byłam dla ciebie ciężarem, i że byłeś skazany na moje towarzystwo. Dlaczego nie wrócisz do swojej drogiej Nieves? Obiecuję, że nie będę cię więcej niepokoić — popatrzyła na niego. Jej twarz była zmęczona i blada. Próbowwała zatuszować zmieszanie arogancją. — Odejdź, proszę, jestem już prawie w domu.

— Powiedziałem, że cię odprowadzę. Chciałbym mieć pewność, że tam rzeczywiście dotrzesz. Bynajmniej nie jesteś ciężarem ani nie jestem znudzony twoim towarzystwem. Przeraziłaś mnie okropnie i podejrzewam, że odegrałem się trochę na tobie. Jest mi przykro, ale czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bliska byłaś utonięcia? Gdybym nie rozejrzał się wokół w tym ułamku sekundy, kiedy skoczyłaś do wody — przerwał na chwilę, mając ponownie przed oczami jej delikatną postać szybującą do wody — byłabyś teraz martwa. Martwa — podkreślił raz jeszcze. — Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Zatrzymał motor i podszedł do niej. Dotknął jej ramienia. Stała i spuściła wzrok.

— Czy zdajesz sobie z tego sprawę? — powtórzył pytanie rozgniewany i zobaczył jej oczy pełne łez, błyszczące w świetle ulicznych lamp. — Och, Lizzie— westchnął i przytulił ją mocno do siebie, gładząc jej wilgotne włosy i ignorując cichy głos w jego głowie wołający na alarm. — Ależ kochanie, nie jestem znudzony twoim towarzystwem. Jesteś po prostu młodsza od nas. — Ucałował ją w policzek i kiedy odpowiedziała mu przytulając swój policzek do jego i obejmując go ramionami, było zupełnie naturalne, że zaczął całować jej usta, czując czysty, świeży, lekko słony posmak jej delikatnej, miękkiej skóry. Czuł rosnące podniecenie i własną bezsilność. Dziwne, ale wydawało mu się to zupełnie naturalne.

Dopiero kiedy próbował rozchylić jej wargi, a ona w swojej niewinności nie wiedziała, co zrobić, i cofnęła się zaskoczona—jej bursztynowe oczy wypełniły się zdumieniem — powrócił mu zdrowy rozsądek.

— Cholera! — przesunął ręką po swoich mokrych włosach i od

garnął je z twarzy. Spojrzał na nią przerażony. — Cholera! Co ja, do diabła, robie? — odsunął się od niej gwałtownie. — Idź do domu, Lizzie, i zostań tam! I nie próbuj nikomu pisać o tym ani słowa. Rozumiesz?! Boże, jaki cholerny ze mnie idiota. — Wsiadł na motor i zawrócił z piskiem opon. — Idź do domu! Szybko! — Odjechał z rykiem silnika.

Lizzie stała wciąż w miejscu, w aksamitnym cieple nocy. Zaskoczona, zakłopotana, a jednocześnie pijana radością. Następnego dnia zaczęły krążyć plotki o Milu. Wszyscy byli bardzo przejęci i początkowo Elizabeth przestraszyła się, że mogło to mieć z nią jakiś związek. Ale później okazało się, że sprawa dotyczyła kogoś innego. Chodziło o Nieves. Znaleziono ich leżących na plaży obok hotelu. Jej ubranie było niedbale porzucone obok. Plotka niosła, że Mil był pijany i ledwie trzymał się na nogach. Nikt nie miał wątpliwości co do zdarzeń na plaży, ale rodzice Nieves twierdzili, że jeżeli nawet do czegoś doszło, to na pewno nie za zgodą ich córki. Upił ją lub nafaszerował narkotykami. Domagano się surowego ukarania winowajcy.

Mil zaprzeczał wszystkiemu stanowczo, wszyscy jednak wiedzieli, że on i Guillermo pobili się strasznie ostatniego wieczoru. Nie było też tajemnicą, że Nieves nie odzywała się do Mila.

Elizabeth przypomniała sobie niechętnie, jak silny jej się wydał ostatniego wieczoru i jak bardzo był podniecony, gdy się rozstawali. Czyżby zaatakował Nieves? Czy rzeczywiście mógł zrobić coś takiego? Nie! To niemożliwe! Każdy, ale nie Mil. Ludzie jednak strzepili sobie języki, kręcili głowami i Mila odesłano w niełasce do domu.

Wszyscy twierdzili, że ukrecono łeb całej sprawie, ponieważ jego wuj miał w kieszeni don Artura— szefa lokalnej żandarmerii. Ale Mil musiał wyjechać. Od tej chwili nic już nie było tak jak dawniej. Rodzice Elizabeth trzymali obydwie dziewczęta z dala od Mila i Hugo, oni zaś rzucili się w wir zupełnie innego życia, pełnego rozpustnych zabaw, w którym nie było miejsca dla porządnych dziewcząt. Dopiero po jakimś czasie Hugo i Helen zaczęli ponownie się spotykać, a teraz z jakiegoś powodu ich związek został ponownie zerwany. Elizabeth westchnęła. — Lizzie? Lizzie! — ciotka próbowała od jakiegoś czasu wyrwać ją

16

z rozmyślań proponując filiżankę herbaty. Elizabeth zamrugła oczami i uśmiechnęła się kręcąc przecząco głową. — Nie, dziękuję. Myślę, że mam ochotę raczej na coś mocniejszego — wstała i naląła dwa kieliszki czerwonego wina z butelki stojącej na kredensie. Była to butelka, którą sama przywiozła z Londynu, wiedząc, że w domu nie będzie alkoholu, a Helen będzie potrzebowała czegoś mocniejszego, żeby przetrwać ciężkie chwile. Z lekkim uśmiechem podała kieliszek Helen.

— Za co wypijemy? — zapytała sucho Helen. — Za młodość i samotność?

— Dlaczego nie? Możemy z tego zrobić jak najlepszy użytek — Elizabeth uśmiechnęła się zagadkowo. — Później udamy się na łowy.

— Na kogo? — Helen popatrzyła na nią zdziwona.

— Oczywiście na tych, którzy na to zasługują. Obawiam się, że nie jestem najlepszą chrześcijanką. Gdy mnie uderzą w policzek, to nie nadstawiam drugiego.

— Masz na myśli Mila, prawda? Sądzisz, że mógł wpłynąć na decyzję Hugo... — szepnęła Helen odwracając spojrzenie.

— Dokładnie tak — zgodziła się Elizabeth. I dodała cicho do siebie: — Zemsta jest posiłkiem, który najlepiej smakuje na zimno. Czy jak to tam ludzie mówią. — Posłała ironiczny uśmiech swojej rodzinie sącząc powoli wino.

Rozdział pierwszy

Londyn

Czerwiec, 1992

Elizabeth zdawało się, że przez chwilę ciemność straciła swoją głębię. Zastony wisiały ciężko, powstrzymując podmuchy nocnego powietrza, które wpadało przez lekko uchylone okno. W pokoju było duszno i gorąco. Leżała zupełnie nieruchomo, z policzkiem przytulonym do poduszki. Coś obudziło ją nagle i teraz przerażona oddychała cicho, wsłuchując się w odgłosy nocy. Ulicą przejechał samochód, a snop jego świateł szybko prześlizgnął się po suficie. Pokój był pusty, tyle przynajmniej zdążyła zauważyć w tej krótkiej chwili. Zdawało jej się, że usłyszała jednak coś dziwnego.

Nasłuchiwała przez kilka minut, a kiedy żaden dźwięk nie wzbudził jej niepokoju, poczuła ponownie ogarniającą ją senność. Była bardzo zmęczona. Próbowwała przypomnieć sobie ten dźwięk. Zamknęła oczy delektując się miękkością poszewki, do której przytulała policzek, świeżo uprasowanej i spranej do grubości papieru. Miała przed sobą jeszcze wiele godzin snu, a obok niej nie było już Charliego, który zajmował więcej niż połowę łóżka, i jego głośnego chrapania. Czuła się cudownie. Być może będzie jej brakowało Charliego, jego ciętego humoru i błyskotliwego umysłu, ale na pewno nie będzie tęskniła za jego chrapaniem. Powoli zapadała w sen.

Nagle znowu to usłyszała. Na piętrze rozległ się odgłos tłuczonego szkła.

Elizabeth otworzyła szeroko oczy i usiadła na łóżku. Z góry dochodził odgłos kroków i kruszonego szkła, jakby ktoś po nim deptał. Coś działo się tuż nad jej głową. Ze strachu zamarło jej serce. Drzwi... drzwi do jej pokoju nie były zamknięte.

Wyslizgnęła się z łóżka i podbiegła na palcach w kierunku drzwi. Cicho i delikatnie zamknęła zasuwę. Zdała sobie jednak sprawę, że ta krucha rzecz nie zatrzymałaby nawet silniejszego dziecka.

Starając się oddychać cicho i walcząc z paraliżującym ją strachem, wróciła do łóżka, sięgnęła po telefon i wykręciła numer policji. Wciąż słyszała na piętrze kroki. Zdawało jej się, że ktoś krąży koło okna. Zastanawiała się, kto to mógł być i co tam robił. Może to był złodziej, który teraz nasłuchiwał, czy ktoś jest w domu?

Podnieconym szeptem podała policji swoje nazwisko i adres. Popatrzyła na siebie, zdając sobie sprawę, że jej ciało prześwituje przez delikatny materiał koszuli nocnej.

— Mój Boże, Charlie, dlaczego cię tu nie ma, kiedy cię naprawdę potrzebuję? — wypowiedziała to bezwiednie i natychmiast próbowała zapomnieć, zła na siebie, na niego i na cały ten bałagan, który panował w jej życiu.

Kroki słychać było teraz w pobliżu schodów, na tyłach domu. Odłożyła słuchawkę, sięgnęła po szlafrok i zawiązała go ciasno. Rozejrzała się wokół, szukając czegoś do obrony. Chwyciła za ciężki zegar kominkowy i podeszła do drzwi. Nagle zatrzymała się zdezorientowana. Kroki wyraźnie się wycofywały.

Ten ktoś skierował się znowu do okna, nie dbając już o to, czy ktoś go słyszy. Stąpając głośno po szkle wgramolił się niezgrabnie na parapet i skoczył ciężko na ścieżkę. Szybkim krokiem oddalił się od domu.

Elizabeth, kryjąc się za zasłonami, wyjrzała przez okno, ale na zewnątrz nie było już nikogo. Chodnik i ulica były spokojne i puste.

Kilka minut zabrało jej przekonanie siebie, że może otworzyć drzwi i wejść do pokoju na piętrze. Wiedziała, że już tam nikogo nie ma, że był tam tylko jeden człowiek, ale bardzo trudno jej było zapanować nad emocjami. W końcu znalazła się na górze, zapaliła światło i rozejrzała się wokół.

Nagle krzyknęła przerażona. To, co zobaczyła, napełniło ją obrzydzeniem. Z trudem powstrzymała się, żeby nie wymiotować.

Na stole, na wprost okna, leżał okrwawiony, poszarpany trup królika,

19

przybity do surowego, drewnianego krzyża. Do trupa przyczepiona była kartka papieru z koślawym napisem: „Wycofaj się”.

Na zewnątrz migające, niebieskie światło zatrzymało się na wprost rozbitego okna. Elizabeth wbita w róg pokoju wpatrywała się w to światło nasączające zasłony ponurą poświatą. Nawet nie drgnęła.

Hardres, Kent Czerwiec, 1992

Dwór stał z dala od drogi, niemal na szczycie niewielkiego wzniesienia. Był więc ukryty zarówno przed nieproszonymi gośćmi, jak i ciekawskimi, zagubiony między dużymi połaciami zielonych łąk, których kolor pisarze zwykli nazywać „szmaragdowym” — tak oto złośliwie rozmyślał o nim Russell. Jednolitość zieleni zakłócały „białe puszyste” owce i „ciemny strzyżony” żywopłot — ironizował dalej. Ten dom był frazesem sam w sobie. Zbyt doskonały, zbyt cholernie doskonały, żeby mógł być prawdziwy. Nawet jego nazwa — Compton Lacey — miała w sobie coś z drobnomieszczańskiego oderwania od tego świata.

Dom był stary, częściowo z czasów jakobińskich, częściowo tudor-skich, lecz obie jego części łączyły się harmonijnie. Wyblakłe różowe cegły były prawie niewidoczne spod obfitości brzoskwiniowych róż, które pokrywały ściany. Widok domu oświetlonego późnym popołudniowym słońcem, odbijającym się złotymi promieniami od okien oraz skrzących się fal ciemnej wody w fosie, gdzie pod łukami mostu kołysała się łódź wiosłowa, sprawiły, że Russell poczuł dziwny ból w sercu, tęsknotę tak silną, jakiej dotychczas nigdy nie zaznał. Miejsce to emanowało spokojem, który opowiada o wiekach kruszenia się kolejnych losów życiowych, o przemijaniu następujących po sobie upodobań domowników. Czuło się trwałość i siłę tego miejsca. Przeżyło w nim przecież wiele pokoleń ludzi szlachetnie urodzonych, uprzywilejowanych, pełnych wytwornych manier, nie stroniących czasem przed rozwiązłością i rozrzutnością. Russell pomyślał, że dokładnie żyło tu już jedenaście generacji, a być może nawet więcej.

Ściana zielonych koron buków rosnących za dworem, rozświetlona promieniami słońca tworzyła wspaniałe tło domu. Drzewa przykuwały

do siebie wzrok, ale potem oczy mimowolnie przesuwają się z nich na lekkie obniżenie terenu, na łąki i kępy drzew ukrywające niemal zupełnie połyskującą wodę. Łagodna złota cisza unosiła się wśród zieleni. Szum skrzydełek tnących powietrze wałek i ospałe brzęczenie pszczoł przeplatały się z kłótniami wróbli hałaśliwie walczących ze sobą na podjeździe. W powietrzu unosił się ciepły słodki zapach żyta i trawy, zmieszany z aromatem róż.

Trevor Russell poczuł, jak zazdrość napełnia mu usta. Czuł wręcz jej gorycz na końcu języka. Na jego wargach pojawił się pełen bólu uśmiech. To wszystko powinno być moje — pomyślał wzburzony. Tu mogłem się wychowywać, właśnie tu powinna była mieszkać moja matka. W tym domu, a nie w jakiejś norze w Manchester. Niech cię Bóg skarże, cholerny draniu, obyś szczeł w piekło — przypieczętował.

— Piękny, prawda? Jego widok zawsze podnosi mnie na duchu. To część naszego dziedzictwa — powiedział cicho doktor i Russell wyczuł w jego głosie coś, czego nie potrafił dokładnie nazwać. Czy to była duma właściciela, czy też pewnego rodzaju tęsknota?

— Idę o zakład, że utrzymanie go sporo kosztuje — powiedział Russell agresywnie, wzbudzając tym samym ciekawość w mężczyźnie siedzącym obok niego. — Podatki spadkowe i tak dalej.

— Rodzina Penrithów nie może się uskarżać na brak pieniędzy, mimo iż ostatnio zapłacili znaczną sumę podatku. Właściwie to nie jest duży dwór, a farma i pobliskie wsie przynoszą spore dochody. Majątek jest doskonale zarządzany. Penrithowie większość rzeczy robią doskonale — powiedział to z lekką ironią, ale bez widocznego zirytowania.

Trevor Russell oparł się na mającym już swoje lata skórzanym siedzeniu rovera należącego do doktora i zastanawiał się, co łączy tego mężczyznę z rodziną Penrithów. Czy był kimś w rodzaju domownika, który znał swoje miejsce i bez szemrania wypełniał obowiązki, które do niego należały? Czy też może był to jeden z tych, którzy chcieliby dorównać Penrithom i którego zapraszano na przyjęcia, kiedy nie można było znaleźć kogoś godniejszego. Z tych, którzy są do dyspozycji na każde skinienie. Russell nie mógł rozgryźć doktora.

Samochód zatrzymał się niedaleko od domu, tuż przed ścieżką wiodącą przez most do ciężkich, drewnianych drzwi. Łódź wiosłowa była przywiązana do żelaznego pierścienia pod mostem. Russell zauważył młodego mężczyznę o rumianej twarzy, który balansując ryzykownie na rusztowaniu, kładł zaprawę murarską na sklepienie mostu.

21

— Jeszcze jedno pęknięcie, Carl?! — zawołał doktor. Młody mężczyzna odkrzyknął mu:

— Tak, doktorze, ale z tym też sobie poradzę.

— Niech zgadnę — powiedział cicho Russell do doktora — rodzina Carla pracuje dla Penrithów od wielu pokoleń, mam rację? — jego głos był pełen szyderstwa.

— Cóż, właściwie od dwóch lat. Celeste wyciągnęła Carla z jakiegoś garażu, gdzie zupełnie nie pasował — zdawało się, że to rozbawiło zupełnie doktora, który uśmiechając się do siebie poprowadził Russella do bocznych drzwi, nacisnął dzwonek i bez wahania wszedł do środka.

W domu było zupełnie ciemno, ale doktor wyciągnął dłoń pewnie, jakby był u siebie, i zapalił światło. Mały korytarz w jednej chwili wypełnił się różnorodnością barw dzięki tryptykowi znajdującemu się na białej ścianie. Russel zauważył zdumiony, że nie był to tryptyk o tematyce religijnej, ale nowoczesne spojrzenie na trzy pory roku — wiosnę, lato i jesień. Przedstawiały one Compton Lacey z różnymi członkami rodziny zgromadzonymi przed domem. Nie było zimy. Russell zastanawiał się, czy miało to jakieś symboliczne znaczenie. Dwa kinkiety z żarówkami prapropinającymi świece umieszczone były po obu stronach malowidła.

— To dzieło Maxa Beckmanna z lat trzydziestych — powiedział doktor obserwując twarz Russella. Uśmiechnął się znowu. Jego niebieskie oczy musiały być niegdyś wyjątkowo żywe, teraz jednak wydawały się przyćmione, a pod nimi utworzyły się cienie. Wciąż jednak bystre, trzeźwe i obojętne, zdawały się przenikać Russella i odgadywać jego myśli, które starał się ukryć pod udawaną obojętnością. Uwagę doktora przyciągnął niesforny kosmyk włosów spadający na oko Russella, który ten próbował odrzucić ze zrytowaniem. — Nie przemawia to do pana?

— A powinno? — zapytał zimno Russell. Nie miał zamiaru przyznawać się, że nie ma pojęcia, kim był ten cholerny Beckmann, ani też nie chciał udawać, że tryptyk mu się podoba. Jak ktokolwiek mógł to rozumieć? Oni pewnie też tego nie rozumieli, tylko udawali i tyle. Jeszcze jeden wielki blef. Zupełnie jak nowe szaty cesarza. Znam doskonale ten typ ludzi — pomyślał z pogardą.

— Niekoniecznie. To dziesiąty wicehrabia Rochford zamówił ten tryptyk. Był przyjacielem Beckmanna. Celeste też za nim nie przepada. Jest dla niej zbyt... niepokojący, jak sądzę. Wydaje się kpić z niezmaco

nego spokoju tego miejsca. Czy zauważył pan, że w każdej porze roku jest coraz mniej młodych ludzi, a na ostatnim widnieją tylko kobiety i starsi? Celeste twierdzi, że artysta przeczuwał wojnę. To dziecko tutaj — wskazał na tryptyk — to James Penrith, dziesiąty wicehrabia, ojciec pana przyjaciela Mila, obecnego wicehrabiego. Zdaje się, że wspomniał pan, iż jest jego przyjacielem?

— Nie przyjacielem, ale kuzynem— poprawił go Russell. Doktor uśmiechnął się z niedowierzaniem, jakby podawał w wątpliwość jego słowa. Skierował się do następnych drzwi i zapukał.

Russell oczekiwał, że drzwi otworzy pokojówka lub jakiś nadęty lokaj, bardziej dystyngowany niż sami Penrithowie. Ale w drzwiach stała wysoka kobieta w średnim wieku, z włosami zaczesanymi do tyłu, odsłaniającymi delikatne kości policzkowe, z pytającym uśmiechem na ustach. Miała na sobie kremowe, lniane spodnie i jasnoróżową bluzkę. Widać, że jest bogata— pomyślał automatycznie Russell. Nie powiedziała ani słowa, ale Russell wiedział, że to była Celeste — kobieta, która zajęła miejsce jego matki. Gdy się do niej uśmiechnął, posłała mu zaskoczone spojrzenie.

Rozdział drugi

Westminster Lipiec, 1992

George Milton Louis Penrith, jedenasty lord Rochford z Hard-res, przewodniczący podkomisji do badania nadużyć w Izbie Lordów — czy też Mil, ale tylko dla przyjaciół, jak zauważyła trafnie Sofia— rozejrzał się po małej sali, gdzie niechętnie zwołał kolejną konferencję prasową. Spostrzegł, że zgromadzeni dziennikarze byli równie znudzeni jak on sam. Kręcili się na krzesłach, bawili ołówkami i dyktafonami. Współczuł im.

Nie było żadnych rewelacji do wyjawienia, nic pozytywnego do odnotowania, wszystko, co miał do powiedzenia, mogło się zamknąć w kilku liniach tekstu. Dziennikarze zastanawiali się, dlaczego, będąc przewodniczącym, w ogóle zjawił się na konferencji. On sam zastanawiał się, jak dał się wplątać w prace tej komisji, nie mówiąc już o zostaniu jej przewodniczącym. Byli przecież bardziej zaangażowani ludzie, którzy dużo lepiej nadawali się na to stanowisko, jak chociażby... lady Barwin, ale wybrano jego. Oczywiście ze względu na ojca. Wszyscy oczekiwali! że zajmie jego miejsce.

Ojciec umarł prawie rok temu, a matka wciąż za nim tęskniła, jakby nie było go dopiero od tygodnia. Stało się to na tyle dawno, że minęło już początkowe oszołomienie, a pozostała rozpacz po utracie osoby najbliższej. Nie tak dawno jednak, aby ze spokojem zaakceptować tę stratę. Nawet on nie potrafił się z tym pogodzić.

Lord Rochford spojrział na zegarek odkrywając z ulgą, że zostało tyl-

24

ko kilka minut tej farsy. Z niecierpliwością oczekiwał momentu powrotu do swego biura, gdzie był naprawdę potrzebny, jeżeli rzeczywiście miał zażegnać katastrofę, którą tak długo ignorował i ukrywał jego ojciec. Rozejrzał się wokół ponownie i skupił się tym razem na dziennikarce siedzącej na krześle w nonszalanckiej pozie i próbującej ukryć potężne ziewnięcie. Uśmiechnął się, a jego twarz nabrała uroku, którego nie można się było domyślać, patrząc na jego spokojną twarz. Rozpoznał w dziennikarce Elizabeth.

Nie widział jej już od jakiegoś czasu. Przez kilka ostatnich miesięcy nie była zbyt aktywna. Nie rozmawiał z nią tak naprawdę już od kilku lat, od czasu, kiedy była dzieckiem. Kiedy spotykali się przypadkowo, wymieniali tylko grzeczności i krótkie uwagi o polityce. Nagle wpadł na pomysł, że mogłaby ożywić to spotkanie, zakończyć je inteligentną, błyskotliwą uwagą. Mógłby wtedy szybciej i bardziej z twarzą wycofać się ze spotkania. Począł na chwilę milczenia.

— Panno Barrett! Czy nie przeszkadzamy pani w zaśnięciu? Czy też jest pani tylko wyjątkowo znudzona? — powiedział głośno. Rozległy się śmiechy, Elizabeth rozejrzała się dokoła, a jej usta zamknęły się z głośnym kłapięciem. Posłał jej lekko rozbawione spojrzenie i przekrzywił głowę w geście, który tak doskonale pamiętała. Starła się zapanować nad emocjami, zachowując ośpały, obojętny wygląd.

— Nie bardziej niż zwykle, lordzie Rochford — wycodziła i ułożyła usta do uśmiechu, co sprawiło, że pozostali roześmiali się i pokiwali głowami z aprobatą. Zdała sobie sprawę, że nawet jego spojrzenie było pełne uznania, a to z pewnością oznaczało kłopoty. Przymierzał się właśnie do zabawienia wszystkich jej kosztem. Skoro nie udało mu się zadowolić prasy rewelacjami, zamierzał ją rzucić im na pożarcie. Widziała to w jego oczach.

— Chciałbym najgoręcej przeprosić za nużący charakter posiedzenia tej komisji, panno Barrett. Następnym razem postaram się znaleźć jakiś bardziej intrygujący temat, żeby — jak to ująć — móc panią bardziej zainteresować. — Zdawała sobie sprawę, że wyśmiewał się z niej. Próbowwała oprzeć się jego urokowi i nie dać się wciągnąć w tę grę. Kiedyś potrafiła bawić się razem z nim, ale było to bardzo dawno temu. Nie byli już przyjaciółmi. Nie ufała mu. A na pewno nie od momentu, kiedy zaczęła interesować się jego ciemnymi sprawami i otrzymała pierwszy anonim z rewelacjami na temat interesów, które prowadził. Być może nie ufała mu już, także przed tym.

32

— Może znalazłby się jakiś środek na wszystko, zwłaszcza w pańskiej sytuacji, lordzie Rochford, lub przynajmniej jakieś sfalszowane liczby potwierdzające spadek liczby nadużyć. Jeszcze lepszy byłby nowy raport zaprzeczający jakimkolwiek związkowi pomiędzy nadużyciami a upadkiem miast. Jestem pewna, że wszyscy czegoś takiego oczekują — przerwała i przyglądała się jego twarzy. Widziała, że jest bardzo rozbawiony. Zirykowało ją, że tak łatwo

dała się wciągnąć w pułapkę. — A może chciałby pan przedyskutować sprawę legalizacji narkotyków? To ożywiłoby zgromadzenie.

Zauważył, że zachowywała się bardziej bezceremonialnie niż zwykle, i nagle stracił zainteresowanie tą zabawą. Zdał sobie sprawę z tego, że Elizabeth nie grała już zgodnie z obowiązującymi zasadami. Co się z nią działo? Wydawała się nerwowa i spięta, ilekroć się spotykali. Jak gdyby jego widok przyprawiał ją o dreszcze.

Zignorował nagły napływ pytań ze strony dziennikarzy i podniósł w górę ręce prosząc o ciszę. Przekrzykując dziennikarzy, powtarzał stanowczo:

— Dziękuję panom i... paniom, ale to, jak wszyscy wiecie, nie jest przedmiotem naszych obrad i nie podlega otwartej dyskusji, chociaż panna Barrett sądzi, że ożywiłoby to nasze nudne popołudnie. Jeżeli nie ma więcej poważnych pytań...

— Ja mam jeszcze jedno — warknęła Elizabeth, wstając i zastanawiając się, dlaczego to robi. Dlaczego rzuca ten argument tutaj, publicznie, gdzie nie ma nadziei na zwycięstwo? Ale coś w środku niej, wezbrana złość na niego, kazało jej brnąć dalej. Spojrzała mu prosto w oczy. — A mianowicie... dlaczego zdecydował się pan na opuszczenie w zeszłym roku rządu w momencie, kiedy obstawiano pana jako najmłodszego ministra, jaki kiedykolwiek pracował w gabinecie, i przeszedł pan do ospałych ław Izby Lordów, maczając palce w cały szereg spraw, w które nie jest pan zaangażowany i tak naprawdę nawet nie jest nimi zainteresowany?

Patrzyła na niego wyzywająco obserwując sposób, w jaki zszedł gwałtownie z podium i stał wyprostowany patrząc przed siebie. Mógł być pełnoprawnym ministrem mając tylko 35 lat — pomyślała. Naprawdę wiele mógł osiągnąć. Jaka szkoda. A może raczej powinna powiedzieć, że nie ma czego żałować, bo przecież to drań.

— Czy to ma coś wspólnego z pana osobistymi poglądami na temat przystąpienia Wielkiej Brytanii do ERM? Czy mógłby pan skomentować

3 — Zraniona duma

33

ostatnie spekulacje dotyczące rynku walut? Zdaje się, że nie ma pan specjalnego zaufania do funta?

W zapadłej ciszy wszyscy, którzy z szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w stronę Liz Barret, gdy rzucała mu w twarz pytania, odwrócili się w stronę mężczyzny, który stał przy podium. Zdziwiło ich, że wciąż się uśmiechał, chociaż był to smutny, pełen napięcia uśmiech.

— Cóż, oczywiście, panno Barrett, jeżeli sądzi pani, że jest to konieczne, odpowiem na to, mimo że moje życie prywatne, jak dotychczas nie ma nic wspólnego z nadużyciami. Chociaż, jak się nad tym dobrze zastanawiam, dochodzę do wniosku, że mogę zacząć sięgać po butelkę, jeżeli będę miał z panią zbyt często do czynienia. Ta uwaga była tak błyskotliwa, że zdołał pomniejszyć znaczenie jej oskarżeń samym tonem swojej wypowiedzi. Prasa znowu była pełna pobłażliwości, nie brała poważnie jego odpowiedzi, bawiąc się doskonale kosztem Elizabeth. Lizzie zacisnęła usta.

— Co do pani pytania, dlaczego opuściłem rząd, obawiam się, że odpowiedź na to jest bardzo prosta.

Odziedziczyłem tytuł i interesy. Nie zamierzam zrezygnować ani z jednego, ani z drugiego, co gdybym został w rządzie, spowodowałoby pewien konflikt. Jestem pewien, że pani od razu by to skrytykowała. Zdaje się, iż napisała pani na ten temat artykuł nie tak dawno temu. — Rozległy się prcycłumione śmiechy i Elizabeth zrozumiała, że o to mu właściwie chodziło. Otworzyła usta chcąc odeprzeć jego zarzuty, ale on mówił szybko dalej, nie pozwalając sobie przerwać. — I chociaż jestem zdecydowanie za integracją europejską, to jednak nie zgadzam się z poziomem wejściowym funta do ERM. Swój pogląd na tę sprawę wyjawilem publicznie. Tak naprawdę, to jestem przeciw całej koncepcji ERM. Jest to udokumentowane, jeżeli mi pani nie wierzy. — Uśmiechnął się do niej lekko. Widziała, jak przez chwilę ogarnęło go zakłopotanie, które natychmiast pokonał.

— Wszyscy doskonale wiemy, że jest pan monetarystą, lordzie Roch... —...jeżeli po oświadczeniu tego— znęcał się nad nią dalej, jakby

nie zauważając jej komentarza — zdecydowałem się na prowadzenie interesów z różnymi firmami za granicą i przeprowadzanie rozliczeń w ich własnej walucie, nie sądzę, żebyśmy mogli mówić o spekulacjach. Ja nazwałbym to pozwoleniem mechanizmom rynkowym na ustalenie właściwych relacji cen.

Walczył dalej, ignorując jej próby przerwania mu, i zdała sobie sprawę, że straciła swoją szansę.

34

— Co więcej, jestem teraz prywatnym biznesmenem, panno Barrett, i jeżeli zdecyduję się na poświęcenie mojego czasu na kierowanie komisjami, nie sądzę, żeby powinna była pani wnikać w motywacje, jakie mną kierują. — Powiedział to nieco bardziej ostrym tonem, jakby karmił niechętnie dziecko za jego nagłe zuchwalstwo, mimo że do

tej pory było jego ulubieńcem. – I na tym bym skończył, jeżeli nie mają państwo nic przeciwko temu. Do widzenia.

Elizabeth zastanawiała się, dlaczego dała się wciągnąć w tę grę. Wokół niej dziennikarze wstawali hałaśliwie z miejsc, śmiejąc się i dowcipkując. Spojrzała ponownie na podium, gdzie Mil pakował swoją teczkę i składał raporty. Zobaczyła, jak na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech, gdy wymieniał z kimś uwagi, zauważyła, jak odrzucił w tył włosy, i nagle przypomniała sobie, że zna doskonale ten gest z czasów, kiedy byli jeszcze młodzi, kiedy życie wydawało się o wiele prostsze. Potrząsnęła lekko głową, starając się odsunąć od siebie te sentymentalne myśli, i kiedy popatrzyła na podium raz jeszcze, nie było tam nikogo.

Zebrała swoje rzeczy i narzuciła żakiet przeklinając samą siebie za to, że zbyt wcześnie zadała te pytania.

Zmarnowała doskonały artykuł, ponieważ dała się wciągnąć w próbę zdemaskowania go zbyt szybko. Jego spekulacje walutowe bynajmniej nie były tym samym co przeprowadzanie operacji w różnych walutach.

Co prawda nie chciała go winić za próbę utrzymania wyższego poziomu funta. Jeżeli prawdą były plotki o tym, że jedna z jego firm inżynierskich miała kłopoty, potrzebował całej pomocy, jaką mógł zyskać. Ale co z tego? Czy rzeczywiście powinna była wierzyć anonimom, które napływały do niej, pełnym oskarżeń, ale pozbawionym przekonywających dowodów przestępstw popełnianych przez korporację Milla? Sprzedaż maszyn rolniczych do krajów objętych embargiem, które miały być wykorzystywane do innych celów, spekulacje z gruntami fałszujące ich linie graniczne, budowanie domów z wybrakowanych materiałów, rażące oszustwa w jego firmie inżynierskiej. Czy było w tym choć ziarno prawdy? ^v

Dotychczas nie była w stanie wyciągnąć wiele wniosków z tych anonimów. Pewne fakty były oczywiście prawdziwe, jak na przykład spekulacje walutowe, kłopoty finansowe, zwalnianie niektórych starszych, bardziej zaufanych pracowników, którzy mogliby powiedzieć najwięcej, może nawet niektóre podejrzane transakcje. Ale reszta? Nie wiedziała, co

sądzić o wszystkich upiększeniach w listach—insynuacjach na temat seksu, rozrzutności, wyprzedawania skarbów rodzinnych, by sfinansować jego rozwiązły tryb życia. Po prostu nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Wreszcie, kto przesłał jej to ostrzeżenie, żeby zajęła się swoimi sprawami. Z czego właściwie chcieli, aby się wycofała?

Prawdopodobnie natrafiła na coś większego, niż się spodziewała, przestraszyła kogoś i puściły mu nerwy. Na razie nie chciała jednak typować winnych.

A poza tym, w jakim stopniu Mil przyczynił się do zerwania zaręczyn Helen? Jednego była pewna, a mianowicie tego, że nie zrobił nic, żeby uratować związek Hugo i Helen. Poza tym prawda jest taka, że często pojawiał się na pierwszych stronach brukowych gazet i nie należał do wzorów godnych naśladowania. Czy to on nakłonił Hugo do wycofania się, do prowadzenia razem z nim rozwiązłego życia? Czy rzeczywiście tak było?

Z trudem pojmowała, dlaczego jej ogromny podziw dla Mila, który odczuwała jako dziecko, zmienił się w tak ogromną niechęć, z powodu jego arogancji, rozwiązłego trybu życia, samolubstwa i bezwzględnej ambicji. Nie była nawet w stanie wyliczyć wszystkich jego wad i sama była zdziwiona faktem, że interesowało ją jeszcze, jaki on jest naprawdę.

Zamknęła swój notatnik, zarzuciła torbę na ramię, zapinając jasny, lniany żakiet, a później rozpinając go ponownie, kiedy zdała sobie sprawę, że w budynku jest gorąco. Pomyślała, że fakt, iż Mil okazał się zepsutym, aroganckim draniem, nie jest powodem, aby oskarżać go o najgorsze — o zrujnowanie przyszłości Helen, czy też przesłanie tego obrzydliwego ostrzeżenia, tylko dlatego, że grzebała w jego życiu i interesach. Istniało wielu innych potencjalnych winowajców, których mogła zdenerwować. Nie było sensu zrzucać wszystkiego na Mila.

Z tym mocnym postanowieniem wyszła energicznym krokiem z sali, ignorując całkowicie rzeźbione, drewniane panele i żywe, bogate barwy rzucane przez witraże ukazujące zbrojne sceny jeszcze z czasów Wielkiej Karty. Jej obcasy stukały głośno po ułożonej w romby, biało-czarnej posadzce, unikając miedzianych kratek wentylatorów znajdujących się w podłodze. Skręciła tuż za znakiem „Przejdźcie wzbronione” w korytarz wiodący do pokoju straży Izby Lordów. To nie była droga, którą powinna była opuścić budynek, ale był to skrót, który знаła z dawnych czasów, kiedy pracowała jako asystentka starego lorda Puighe. — On dopiero był prawdziwym dżentelmenem — mruknęła do siebie.

Wyszła pod portalami z drugiej strony Izby Lordów w pobliżu ogrodów Victoria Tower, na ulicę Abingdon i wpadła prosto na Mila wrzucającego teczkę do samochodu. Wyprostował się i spojrział na nią. Na jego zmęczonej twarzy odbiło się rozczarowanie.

— Tanie chwyt, Liz. Dlaczego nie robisz tego, w czym jesteś naprawdę dobra, i nie demaskujesz złych facetów zamiast obsmarowywać polityków jak inni krwiopijcy? A może zdecydowałaś, że to jest łatwiejsze— patrzył na nią bacznie, zastanawiając się, skąd się wzięły cienie pod jej oczami, dlaczego jest taka nerwowa, a jej twarz przypomina kolorem jej kremowy kostium.

— Tacy jak ty sprawiają, że to staje się łatwiejsze. Nie ma w tym mojej winy. Poza tym nie jesteś już politykiem, prawda? I bynajmniej me jesteś jednym z dobrych facetów — odpowiedziała słodko i chciała go ominąć, przejść drugą stronę, ale blokował jej drogę i nie wyglądało na to, by zamierzał ją przepuścić.

— Co się z tobą ostatnio dzieje, Liz? — zmarszczył brwi. — Już drugi raz napadasz na mnie w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Kto cię karmi tymi bzdurami? Jeżeli nie będziesz uważała, to ludzie pomyślą, że czujesz coś do mnie. — Elizabeth usłyszała jego krótki, smutny śmiech i zastanawiała się, czy to, co zobaczyła w jego oczach, nie było oznaką cierpienia. Wzruszyła ramionami.

— Nie jesteś w moim typie, Mil. Jesteś zbyt bogaty, zbyt przystojny i zbyt dobrze zdajesz sobie z tego sprawę. Twoja moralność jest też nieco podejrzana, zarówno w biznesie, jak i w przyjemnościach życia. Przepuść mnie, proszę. — Zauważyła, że to, co powiedziała, naprawdę go zabolalo.

— A więc teraz uważasz się za strażnika moralności, moja droga? Powiedz mi, proszę, czy robienie kariery przez łóżko jest jeszcze w granicach przyzwoitości, czy to tylko plotki o tobie i o Charliem Steinie? — Na te słowa jej oczy rozbłysły wściekłością. — Może też powinnaś dodać, że jestem dla ciebie zbyt młody. On ma przecież coś koło pięćdziesiątki.

Stłumiła wzburzenie, zmuszając usta do słabego uśmiechu.

— Drań z ciebie, Mil, po prostu drań. Czy dotknęłam twojego czulego punktu? Przyznaj przynajmniej, że chociaż Charlie jest starszy, jest również mądrzejszy. Nie wierzy w te wszystkie bzdury, które pojawiają się w brukowcach, a interesy, które prowadzi, są uczciwe. Zapamiętaj to sobie! — Rozwścieczona, chciała przejść obok niego, ale chwycił jej ramię i zatrzymał ją.

— Zdaje się, że zaprowadził również specyficzny porządek w swoim prywatnym życiu. Może Charlie w końcu odkrył, że te wszystkie bzdury mogą jednak przywrócić mu dobre samopoczucie. Czy dlatego właśnie powrócił do swojej żony? Czyżby był zmęczony twoją wersją słodkiego i miłego życia? — poczuł, że wstrząsnął nią dreszcz.

— Ty draniu! — Liz wyrwała się i wymierzyła mu policzek. Ze łzami w oczach ruszyła rozwścieczona w siąpiącą popołudniową mżawkę przechodząc niemal na ślepo przez Old Pałace Yard i znikając za rogiem opactwa Westminster.

Mil czuł, jak złość uchodzi z niego, a napęnia go uczucie rozgoryczenia i pogardy do samego siebie. Dlaczego, do diabła, napadł z taką furią na dziewczynę, którą zna całe życie, tylko dlatego, że niespodziewanie nastąpiła mu na odcisk? Zatrzasnął drzwi samochodu i przeszedł na stronę kierowcy.

— Niezłą ma rączkę ta dziewczucha— zauważył sucho sierżant MacWilliams przez okno swojego samochodu.

— Dorównuje jej ciętemu językowi — odparł Mil.

— Sądzę, że powinien pan uważać, jeżeli zechce pan jej dokuczyć ponownie. Zwykle miła z niej dziewczyna, ale ostatnio jest lekko nerwowa. Potrzebuje chyba trochę odpoczynku.

Mil zatrzymał się i potarł w zamyśleniu policzek.

— Wezmę to pod uwagę — powiedział ponuro. — Uwierz mi, będę o tym pamiętał. — Wsiadł do samochodu. Wycofał go ostrożnie i odjechał.

Nie zauważył niechlujnej postaci stojącej przy ogrodzeniu, leniwie przeglądającej mokry egzemplarz *Evening Standard*. Jego przeczucie nie ostrzegło go.

Bendinat, Majorka Lipiec, 1992

— Maria Luisa! — rozległ się miękki, niemal kobiecy głos. Stara kobieta zawahała się. Znała ten głos i obawiała się go. Jej ręka stawiająca garnek na piecu zamarła. — Maria Luisa! — Spojrzała w górę nerwowo, a jej ręka automatycznie powędrowała w stronę serca zaciskając się kurczowo na materiale sukienki osłaniającym jej obfity biust.

38

— Co się stało? Czego chcesz? - starała się, aby jej głos brzmiał pewnie i jak zwykle donośnie, ale wydała z siebie suchy skrzek Popatrzyła na psa w rękach mężczyzny, obserwując, jak jego lśniąca, brązo-woczerwona sierść faluje pod głaskającą go dłonią. - Chamaco! Tutaj jesteś, ty niegrzeczny psie! — uśmiechnęła się blado i zrobiła krok do przodu, wyciągając ręce, aby odzyskać swój skarb. Mężczyzna ominął ją jednak kierując się w stronę kuchni,

podziwiając stare, marmurowe zlewy, terakotową podłogę i oszklone drzwiczki kredensów. Przez chwilę oglądał w nich swoje odbicie, a później spojrzął na psa i pomachał jego łapą w stronę ich niewyraźnego odbicia w szkle.

— Powiedz „hola”, Chamaco. To ty, widzisz? - Ponownie zamachał jego łapą, podczas gdy pies próbował się uwolnić z jego mocnego uścisku. — „Hola”. — Pies wyraźnie się męczył, a Maria Luisa wydała z siebie mimowolny jęk. Mężczyzna odwrócił się do niej — Nie zadzwoniłaś do mnie, Mario Luiso - powiedział, jakby strofując ją swoim miękkim, kobiecym głosem. - Mówiłem ci, żebyś zadzwoniła, kiedy podejmiesz decyzję o sprzedaży, ale nie zrobiłaś tego. — Przerwał na chwilę patrząc na starą kobietę, na prosty biały fartuch zasłaniający jej tamą sukienkę, na mocne opalone nogi i szerokie stopy. Typowa wieśniaczka — pomyślał z pogardą.

— Nie chcę sprzedawać ani teraz, ani nigdy — powiedziała to tak stanowczo, jak tylko mogła, wciąż obserwując swego małego jamnika z uczuciem rozpacz i nienawiści rodzących się w głębi jej serca Ten człowiek sprawiał, że czuła się chora. Jej skóra cierpła i miała dreszcze Czuła, że coś podchodzi jej do gardła. - Powiedziałam ci to już przedtem. A teraz oddaj mi mojego psa i idź sobie. Zostaw nas w spokoju — ponownie zrobiła krok do przodu. Powiedziała „nas” - pomyślał mężczyzna i ta myśl napełniła go zadowoleniem. Ten pies wiele dla niej znaczy.

— A jednak chcesz sprzedać, Mario Luiso, zapewniam cię, że chcesz i wkrótce zmienisz zdanie. - Rozejrzał się raz jeszcze po jasnej, prostej kuchni. Z metalowych haków pod sufitem zwisały pęki cebuli, wędzone szynki i duże garnki. Na parapecie okiennym rosły zioła, a w kącie stał zabytkowy młynek do kawy. Prosty stół i plecione krzesła były przygotowane do obiadu. Na środku stołu stał dzbanek lokalnego wyrobu wypełniony stokrotkami, pomalowany w jasne, niebiesko-zielone pasy. To rzeczywiście był dom w każdym tego słowa znaczeniu. Nie wywarło to jednak na nim żadnego wrażenia.

Mężczyzna przełożył Chamaca na drugie ramię i otarł się o Marię Luisę stojącą blisko pieca. Wydawało jej się, że chce oddać psa, i wyciągnęła po niego rękę. Nagle oparł się o nią całym swoim ciężarem, przygniatając na moment jej dłoń do gorącej pokrywki rondla. Spojrzał uważnie w jej oczy widząc w nich ogromne zdziwienie i rodzący się na jej ustach krzyk. Po chwili wyprostował się i wycofał.

— Ale ze mnie niezdara — mruknął.

Krzyk starej kobiety, który zamarł jej na ustach, stłumiony podczas krótkiej chwili, gdy skóra jej ręki dotykała gorącej pokrywki, teraz przerodził się w pełen bólu jęk. Przytuliła dłoń do piersi, kołysząc się. Zamknęła oczy, a łzy spływały po jej pokrytej zmarszczkami twarzy. Słyszał, jak nadaremnie wzywa imię Boga. Uśmiechnął się.

— Sprzedasz mi — powtórzył i zobaczył zacięte i pełne nienawiści spojrzenie. — Dam ci jeszcze tydzień, przemyśl to. — Poklepał Chamaca po tłustym zadzie. — Podoba mi się twój pies. Zawsze chciałem mieć podobnego, zupełnie takiego jak ten, ale martwię się, że coś mogłoby mu się stać — posłał jej zagadkowe spojrzenie, jak gdyby dzieląc się z nią swoim niepokojem. — Nie chciałbym zbyt przywiązać się do tego maleństwa, aby nie stał się dla mnie zbyt ważny. Ludzie przywiązują się bardzo do psów, prawda? Zupełnie jak do dzieci czy wnuków — roześmiał się, a Maria Luisa poczuła pierwsze oznaki przerażenia przenikającego przez jej ból.

Masz przecież taką piękną, małą wnuczkę. Ta twoja Angela wygląda jak malutki aniołek, z tymi wspaniałymi jasnymi włosami i piękną twarzą. Zupełnie jak z Botticellego. Czy też może bardziej przypomina Lo-litę, już teraz przewracając chłopcom w głowie. Taka młoda, ma przecież dopiero piętnaście lat, a już prawie kobieta. Prawie... — wydawało się, że opowiada swoje wspomnienia, patrząc w odległy kąt pokoju i pogrążając się w upojeniu.

Maria Luisa nienawidziła go w tej chwili czystym, ślepym uczuciem, które podpowiadało jej, żeby chwycić za ciężki nóż kuchenny z czarną rączką i zatopić go głęboko w jego sercu. Powstrzymał ją tylko fakt, że trzymał Chamaca. — Cóż, lepiej nie będę kończył. Zostawiam ci to do przemyślenia. Przekażę twoje pozdrowienia Angeli, kiedy ją znowu zobaczę. Wiesz, widuję ją dosyć często, z zakonnicami i innymi dziewczętami, wędrującą poprzez ulice Apuntadores — dziwne miejsce w Palmie dla szkoły zakonnej, prawda? Ale to bez znaczenia. Pozdrowię ją w twoim imieniu.

40

Prychnął pogardliwie, uśmiechnął się i postawił Chamaca delikatnie na podłodze. — Zadzwoń do mnie wkrótce, Mario Luiso, nie chciałbym stracić do ciebie cierpliwości. — Przeciagnał językiem po i tak już wilgotnych wargach, robiąc to raczej z nawyku niż konieczności. Wycofywał się z pomieszczenia kłaniając się jej nisko. Nie był taki

głupi, aby odwrócić się tyłem do starej kobiety. To była chłopka, a myśli chłopów zawsze były dla niego obrzydliwe. Widział przecież, jak patrzyła na nóż.

Kiedy Maria Luisa upewniła się, że już sobie poszedł, zaczęła jęczeć głośno, kołysząc się na boki. Jej głos przybierał na sile. Zawodziła pieśń pogrzebową, będącą od wieków wyrazem nieszczęścia. Jej sąsiad, El Professor, podniósł wzrok znad wędkarskiego kołowrotka, nad którym pracował w swoim domu, i poczuł, jak przenika go dreszcz. A więc... ten mężczyzna znowu powrócił.

Hardres, Kent Lipiec, 1992

Margaret i Helen Barrett piły herbatę w małym domku ciotki Sofii. Siedziały przy kominku uśmiechając się i prowadząc uprzejmą rozmowę. Helen rzucała ukradkowe spojrzenia na ścienny zegar. Chciała jeszcze tego wieczoru powrócić do Londynu. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że Sofia coś mówi.

— ..oczywiście musi to być historia miłosna. Nie jakieś kiepskie romansidło, ale prawdziwa historia miłosna.

Sądzę, że mogłabym jej nadać tytuł: „Śmietanka towarzyska”. Co o tym sądzisz? — Sofia uśmiechnęła się do siostry czekając na aprobatę. Przechyliła na bok swoją elegancką, długą szyję ozdobioną perłowym naszyjnikiem. Był on od zawsze powodem zazdrości Margaret, która uważała, że powinien się dostać jej, jako starszej. Kiedy po chwili przerwy Sofia nie usłyszała słów zachęty, dodała płaczliwie: — Cóż, każdy pisarz musi od czegoś zacząć...

— Ale ty nie jesteś pisarzem, Sofio, i nie potrafisz nawet sklecić dwóch zdań nie tracąc wątku. Nie mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała twoja książka. I ten tytuł! Brzmi jak jeden z tytułów Jilly Cooper. Dlaczego nie zaczniesz od napisania artykułu? Lizzie mogłaby ci pomóc. — Margaret, silna i otyła, z policzkami szorstkimi od wiatru, roześmiała się

ironicznie. Helen wstała nagle i podsunęła matce talerz z kruchym ciastem, który niebezpiecznie zakołysał się w jej dłoni. Margaret odmówiła gestem ręki opierając się swojemu łakomstwu. Helen powróciła na miejsce, bawiąc się łyżeczką.

Spojrzała na wiśniowe ściany, które powinny stwarzać przytłaczający efekt w tak małym domku, ale oświetlone jasno stanowiły wspaniały kontrast dla jasnych perkalowych zasłon i jasnozielonej kanapy. Nadawały pomieszczeniu ciepłej i tętniącej życiem atmosfery. Portugalski dywan *gros point* pokrywający matę z włókna kokosowego, leżącą koło kominka, był nieco wystrzępiony na jednym rogu, tam gdzie wygryził go pies Sofii, Gertie, gdy był jeszcze szczeniakiem. Koszyk ze świeżo porąbanym drewnem stał obok kominka, wypełnionego na lato zielenią.

Ozdobne, złoczone lustro odbijało promienie słońca rzucając je na zabytkowe biurko z drzewa orzechowego przepełnione papierami, listami i zaproszeniami, które dodawały radosnego bałaganu pomieszczeniu. Bluszcz wylewał się z donicy na oknie, a na stole przed nią stał wazon z różami przydając temu miejscu domowej atmosfery. Jako dziecko Helen zawsze pragnęła mieszkać ze swoją ciotką. Zachwycał ją zapach lakierowanych mebli, woskowych świec i świeżych jabłek, kuszący, lekki i świeży i zupełnie niepodobny do tego, co było w ich w domu. Margaret, jej matka, nie umiała nadać domowi przytulności i wygody. Atmosfera ich domu była oficjalna, surowa i zimna — pomyślała Helen. Niechętnie skupiła się znowu na rozmowie matki i ciotki.

— Właściwie, Margaret, to nie jest coś, o czym chciałbym pisać — powiedziała Sofia. „Właściwie, Margaret” — zastanawiała się, ile razy powtórzyła to dzisiaj. — Nie jestem osobą, która jest stworzona do pisania artykułów. Lizzie musi sama znajdować tematy do swoich tekstów, wyciągać je wręcz z ludzi. Jest w tym dobra. Ja chcę pisać o tym, o czym wiem. A poza tym, co jest złego w pisaniu w stylu Jilly Cooper? Uważam, że jest ona doskonałą pisarką i nie miałabym nic przeciwko temu, żeby moje książki sprzedawały się równie dobrze jak jej.

Sofia zmusiła się, żeby powiedzieć to spokojnie, uśmiechając się przyjaźnie do siostrzenicy. Oczywiście miała do połowy przymknięte, aby uniknąć pełnego ciekawości spojrzenia Margaret.

— Myślę, że mogłabym napisać tajemniczą powieść. — Powinna była się spodziewać, że Margaret będzie się z niej wyśmiewała, bagatelizując

35

jąc jej pomysł, tak jak zawsze to robiła, odkąd były dziećmi. Ale tym razem liczyła na jej poparcie.

— Tajemnica! Co ty możesz wiedzieć o takich rzeczach? Albo o historii miłosnej? Nie wiesz nic, te tematy są dla ciebie obce. Przecież... — Margaret uśmiechnęła się, a Helen modliła się, żeby tego nie powiedziała. Ale oczywiście

Margaret dokończyła zdanie. — ..Przecież nigdy nie byłaś zameżna... Cóż, przepraszam, jeśli cię zraniłam, nie chciałam, ale to jest fakt, prawda? — Margaret brnęła dalej. Później przerwała zakłopotana, ale Helen wiedziała doskonale, że było to udawane zakłopotanie. Siedziała sztywno, pragnąc, aby jej matka chociaż raz była miła i tolerancyjna.

— Może nie byłam zameżna, Margaret, ale sędzę, że powinnaś przynajmniej przyznać, że kiedyś zaznałam prawdziwej miłości — warknęła Sofia. — Miłość z pewnością nie jest tylko przywilejem małżeństw. Właściwie, z tego, co widzę dookoła siebie, małżeństwo może oznaczać koniec miłości, prawda? — Jej zgryźliwa uwaga na chwilę zachwiała pewnością Margaret.

— Nie sędzę, żeby to był zły pomysł, to znaczy mam na myśli tę książkę — powiedziała Helen pośpiesznie, wykorzystując chwilę ciszy, jaka zapadła po wypowiedzi Sofii. Margaret zacisnęła z irytacją usta. Helen mówiła dalej: — Sędzę, że Sofia powinna spróbować. Na przykład Mary Wesley zaczęła pisać dopiero, kiedy miała koło siedemdziesiątki. A popatrzcie na nią teraz! Dlaczego Sofia nie może zacząć pisać mając koło pięćdziesiątki. To daje jej dwadzieścia lat na doszlifowanie stylu. — Uśmiechnęła się do ciotki, a jej oczy były pełne ciepła i milczącego poparcia. Zdawały się mówić: Dalej! Spróbuj!

— Z pewnością będzie miała mnóstwo materiałów od ciebie, Helen.— Margaret stała się zjadliwa jak zawsze, kiedy czuła, że doznaje niepowodzenia. Myślała o Hugo i Helen, jak wielka to była strata, i nie mogła zapanować nad sobą.

— Jak mogłaś być taka głupia, Helen, i pozwolić mu odejść? Zupełnie nie mogę tego zrozumieć. Łamię sobie nad tym głowę, żeby zrozumieć, co się mogło stać, a jedyne, co ty masz mi tylko do powiedzenia, że ten związek jest już skończony. Skończony!

Twarz Helen znieruchomiała. Z trudem stłumiła przykre słowa, które cisnęły się jej na usta. Gdyby je teraz wypowiedziała, nie mogłaby już przestać. Skutki byłyby fatalne. Lepiej już nic nie mówić — pomyślała. Zaległa nieprzyjemna cisza.

— To już skończone. Chciałabym, mamó. żebyś to po prostu zaakceptowała, dla mojego dobra. — Helen przerwała i policzyła do trzech. — Przepraszam na chwilę, chyba widziałam Gertie na drodze. Lepiej złapię ją i przyniosę do domu, zanim coś się jej stanie. — Zarówno Helen, jak i jej ciotka dobrze wiedziały o tym, że tłuściutka, baryłkowata Gertie śpi bezpiecznie w swoim koszyku w kuchni. Helen wstała, przeszła ostrożnie obok stolika i wyslizgnęła się z pokoju. Rozległ się trzask zamykanych gwałtownie drzwi frontowych.

— Mój Boże, czy ona musi być taka wrażliwa? — poskarżyła się Margaret nieco zakłopotanym głosem. — Nie chciałam jej zdenerwować wspominając, no wiesz... o tym wstrętnym mężczyźnie.

— Ich... przygoda, o ile to jest właściwe słowo— powiedziała niepewnie Sofia — jest skończona, Margaret. Przestań mówić o tym za każdym razem, kiedy Helen przyjeżdża do domu. Na miłość boską, jest skończona od kilku miesięcy. A poza tym Helen nie próbowała usidlić Hugo. Ona go kochała. I wciąż kocha. — Sofia była tak wzburzona, że filiżanka zadrżała w jej dłoni.

— To nie była przygoda, Sofio — Margaret zignorowała sedno całej sprawy. — Oboje byli wolni, więc nie możesz tego nazwać przygodą. Lizzie i ten odrażający Stein — ich związek to była przygoda! Na szczęście już się skończyła. To było niesmaczne. — Margaret myślała nad tym przez chwilę, zanim ponowiła atak.

— Związek Hugo i Helen był zupełnie inny. Jak najbardziej odpowiedni. To uświęcone tradycją narzeczeństwo. Teraz się skończyło, a my nie ośmielamy się o tym wspominać, czy chociaż zapytać dlaczego! A ona nie chce słyszeć złego słowa o nim. Helen mogła mieć każdego mężczyznę w Anglii. Nadal może, gdyby tylko zechciała. Ma tylko trzydzieści dwa lata. A więc, co się stało? To właśnie chcę wiedzieć. Tylko popatrz na nią. — Jej słowa pozostały bez odpowiedzi i Margaret wiedziała, że tak będzie. Przez ostatnie kilka miesięcy obie przyglądały się Helen, cierpiąc, że nie robią nic, aby pomóc.

— Helen nigdy nie winiła Hugo. Czasami zdarza się, że... mężczyzna się odkochuje— powiedziała cicho Sofia. Margaret prychnęła.

— To mogło przydarzyć się tobie, ale kto mógłby odkochać się w Helen? Jest na to zbyt piękna, by jakikolwiek mężczyzna mógł się jej oprzeć. A już na pewno nie Hugo. Dla niego święta była ziemia, po której ona stąpała. Zawsze tak było; odkąd byli dziećmi. — Te słowa również pozostały bez odpowiedzi. Helen, z jej wysoką, szczupłą sylwetką, ciem-

nymi jedwabistymi włosami, ciemnymi oczami i nieskazitelnie gładką skórą, była prawdziwą pięknoscią. Rzeczywiście trudno było wyobrazić sobie kogokolwiek, nie tylko Hugo, odkochującego się w niej. Sofia pomyślała, że Helen jest absolutnie doskonała.

Margaret przerwała. Jej myśli potoczyły się podobnym torem jak myśli Sofii.

— To z pewnością wina jego siostry Sarah, czy też, jak na nią mówią — Sassy. — Margaret pochyliła się do przodu.

— Ona chciała, żeby jej brat poślubił kogoś innego, z lepiej sytuowanej rodziny. Może którąś z Penrithów, ale teraz, jak już wszystkie trzy wydały się za mąż, mierzy nawet wyżej. Hugo pożałuje pewnego dnia, że dał się jej omotać. Zapamiętaj sobie moje słowa.

— Zapamiętuję sobie twoje słowa już od jakiegoś czasu, Margaret, ale powiedz mi, w jakim celu? Ten związek jest skończony, tylko zadajesz ból Helen, gdy o tym mówisz. Dla jej dobra musisz przestać o tym wspominać. A co powiedział Edward, przecież jest lekarzem?

— Znasz Edwarda! — Margaret machnęła z lekceważeniem ręką. — On zawsze dopasowuje wszystko do swojej filozofii, aż każde wydarzenie staje się tak suche i najeżone faktami, że trudno czerpać otuchę z jego słów. Jest jej ojcem, ale nie ma najmniejszego pojęcia, jak z nią rozmawiać. Zresztą nigdy nie miał. Poza tym — powiedziała do siebie — jest zbyt zajęty pocieszaniem Celeste Penrith, aby znaleźć czas na wspieranie własnej rodziny. Dzięki Bogu, że dziewczęta nie zauważają tego.

— No cóż, w takim razie zaakceptuj to, przestań o tym mówić i pozwól biednej dziewczynie o tym zapomnieć. To samo dotyczy Liz — Sofia odwróciła gwałtownie głowę na swojej eleganckiej szyi, aby spojrzeć o-skarżycielsko na siostrę. Wiedziała dobrze, że Margaret niezbyt przejmowała się cierpieniem Liz. Liz nie była jej ulubienicą.

— Och, Lizzie. Ona jest wystarczająco twarda, aby poradzić sobie z takim niepowodzeniem. Nie przejmuje się zupełnie, kiedy wspominam o tym okropnym mężczyźnie i powtarzam jej, jakie ma szczęście, że ten związek już się zakończył. Zresztą ona nigdy nie przyprowadzi do domu nikogo odpowiedniego. Nie ma więc powodu, aby się nią przejmować. To Helen jest wrażliwa, a nie Liz. Jeżeli Hugo nie wróci do niej, będziemy musiały kogoś dla niej znaleźć, na przykład Geor-ge'a Rochforda.

— Przypominam sobie, że Edward nie miał o nim zbyt dobrego zdania. Wspominał, że nie byłby zachwycony takim związkiem.

— Bzdury — przerwała Margaret — podarujmy mu bogatego wicehrabiego na zięcia, a nie sądzę, abyśmy słyszały jakieś skargi.

Oboje są siebie warci — pomyślała Sofia, mocno zirytowana całą tą obłudą. Tylko koneksje i pieniądze rządzą tym światem. Delikatne kuranty zegara kominkowego z czasów Jerzego III wybijające piątą przerwały jej rozmyślenia.

— Helen sama poradzi sobie ze swoim życiem, Margaret. Sądziłam, że po trzydziestu dwóch latach wtrącania się w jej życie nauczyłaś się, że powinnaś zostawić ją samej sobie. Musisz po prostu dać jej trochę czasu. — Sofia popatrzyła znacząco na zegarek. — A mówiąc o czasie, czy nie spóźnisz się na posiedzenie swojego bractwa kobiecego, czy na czym tam spędzasz swój czas...

— Oprócz wtrącania się w życie twoje i moich córek, to chciałaś powiedzieć? — zapytała Margaret. Wstała, zabierając swoją torbę i zakiet. Nadstawiła do ucałowania pachnący lawendą policzek.

— Dokładnie — Sofia odprowadziła siostrę do drzwi, otwierając je na wilgotną, usłaną liśćmi aleję, prowadzącą do domu Barrettów, na drugim końcu wsi. Aleja pachniała smołą, ponieważ właśnie brygada robotników wyrównywała ją, i unosił się lekko kwaśny zapach zamierającej trybuli leśnej. Aleja była rozświetlona złotymi promieniami słońca, zachodzącego za dęby rosnące wzdłuż pól, widok ten sprawił Sofii radość.

Pomachała od niechcienia siostrze wycofującej samochód, który wyglądał wyjątkowo malowniczo na tle alei, i potrząsnęła głową. George Rochford! Tym razem Margaret naprawdę sięgała zbyt wysoko. Sofia wróciła do domu, aby oddawać się z przyjemnością siedzeniu w promieniach słońca wpadającego przez okna i wymyślaniu imion dla bohaterów swojej książki. — Może Millicent albo Esmeralda?

— Annette Jones — powiedziała zwięźle dziewczyna. Mil nie oczekiwał takiej Annette, z wyraźnym akcentem z Catford. Ani też śniadej skóry, czy migdałowych oczu, które miały odcień bardziej złoty niż brązowy, gdy tak patrzyły na niego wyzywająco. Jest fantastyczna — pomyślał, zapisując jej imię. Poczul napływ pożądania, który odsunął niechętnie.

— Twój nauczyciel polecił mi ciebie osobiście, Annette. Powiedział, że masz jeden z najwspanialszych umysłów analitycznych, jakie udało

46

mu się spotkać, chociaż uczy już piętnaście lat w Trinity. Co sprawia, że chciałabyś być moją kiepsko płatną asystentką? — Odchylił się do tyłu na czerwonym, skórzanym fotelu, wydając się nieco rozbawiony. Annette nabrała powietrza delektując się spokojem i wspaniałością tego biura wypełnionego książkami, fantazyjnie wygiętymi krzesłami przy kominku oraz niebiesko-białymi chińskimi lampami ustawionymi na stole w odległym

kącie. Wykrzywiła lekko usta. Podobał jej się ten elegancki mężczyzna, z doskonałym akcentem i w nieskazitelnie skrojonym garniturze, ze smukłymi, pięknymi dłońmi.

Miał charakterystyczny typ twarzy — szczupłą i regularną, która pochodziła jeszcze z czasów Plantagenetów, jasne włosy zaczesane gładko do tyłu. Jego bystre niebieskie oczy patrzyły na nią przenikliwie. Poszedł w ślady ojca — zauważyła szydyczko, ale wiedziała, że to nie była do końca prawda, chociaż próbowała pomniejszyć go w swoich oczach. Okazał wystarczająco dużo inteligencji, by pretendować na stanowisko ministra, zanim jeszcze dostał mu się spadek po ojcu. No dobrze, był inteligentny i bardzo przydatny.

— Chciałabym zająć się polityką pewnego dnia. Że najpierw mogłabym obejrzeć sobie to wszystko od środka, sprawdzić, jak to jest. Alec powiedział, że pan potrzebuje kogoś do... — niewiele brakowało, a powtórzyłaby dosłownie to, co powiedział jej Alec, jednak uśmiechnęła się tylko i dodała po chwili — do pomocy. — Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co tak naprawdę chciałam powiedzieć — przemknęło jej przez myśl. Że mogłabym ucześcić się jego płaszczyka, gdy będzie wspinał się gładko po stopniach kariery na szczyt. Lord Rochford uśmiechnął się smutno.

— Jeżeli potrzebujesz opiekuna, możesz to powiedzieć. I możesz zapomnieć o swoim wypracowanym akcencie. Alec powiedział mi, że lubisz go używać, żeby onieśmielać ludzi. Nie wątpię, że to bardzo pożyteczny chwyt, ale tutaj zupełnie niepotrzebny.

— To nie jest chwyt. To ja, Annette Jones z Dagget Road z Catford. Albo mnie taką zaakceptujesz, albo nie. — Zauważył, jak wysoko podniosła podbródek, i popatrzył na swoje paznokcie zastanawiając się, dlaczego w ogóle rozważał przyjęcie do pracy tej dziewczyny, która obnosiła swoje różnice klasowe jak flagę wojenną, a śniadą skórę jak zbroję. Ale potrzebował do pomocy w pracach komisji kogoś inteligentnego, ta-modzielnego, a poza tym był winien przysługę Alecowi. No i jeszcze — uśmiechnął się — patrzeć na nią sprawiało przyjemność.

— Alec twierdzi, że brałaś lekcje wymowy. Tak bardzo chcesz dołączyć do tych wielkich, prawda, Annette? — spojrzał na nią uważnie i Annette zarumieniła się. — Dlaczego więc nie miałbym usłyszeć prawdziwej Annette, stworzonej dzięki twojej inteligencji, ambicji i zdecydowaniu? To właśnie ona mnie interesuje. Nie nudna, mała Annette z Dagget Road. Nie ta, która mogła wstąpić do Partii Pracy i dostać się do rady lokalnej. Chcę poznać tę, która chce zagrać w pierwszej lidze. Proszę cię.

Kiedy się do niej uśmiechnął, była zaskoczona szczególnym urokiem, którego nabrała jego twarz. Wyglądał młodziej, niż to sobie wyobrażała, mimo że wiedziała o nim tak wiele. Miał prawie trzydzieści pięć lat i próbował być dla niej miły z jakiegoś powodu, którego nie mogła odgadnąć, ponieważ wiedziała, że nie chce, żeby dla niego pracowała. Wyświadczał tylko przysługę Alecowi. Przyglądała mu się uważnie.

— No dobrze, lordzie Rochford—jej samogłoski brzmiały teraz płynnie — ale to mnie nie zmienia tak bardzo. Wciąż jestem nudną, małą Annette i nie życzę sobie żadnych opiekunów, Szanowny Panie. — To zabrzmiało tak, jakby było obelgą. Widziała, jak jego oczy zwężają się w rozbawieniu. Potrząsnął głową.

— Mój Boże, przestraszyłaś mnie. Ale to będzie dobre szkolenie dla nas obojga, prawda? Będziemy musieli uważać, zachowywać się odpowiednio i mówić też odpowiednio. Czy wiesz coś o obu Izbach, a może, jeszcze lepiej, o sporządzaniu protokołów z ich posiedzeń?

— Niestety, jeszcze nie — przyznała niechętnie, spoglądając na opasłe tomy leżące na niższych półkach. Jej oczy powróciły na biurko, zatrzymując się na moment na szklanej popielnicy ze złotym emblematem House of Westminster i na czarno-białej fotografii w starej, powyginanej, srebrnej oprawie, przedstawiającej żaglówkę i dwóch młodych, uśmiechniętych ludzi. Byli to srebrni medaliści z 1976 roku. Wciąż wyglądał na takiego, co mógłby dokonać jeszcze raz tego wyczynu. Przerwała swoje rozmyślenia i dodała stanowczo: — Ale nadrobię to do końca tygodnia.

— Dobrze. Więc może się on okazać długim tygodniem dla nas obojga. Możesz do mnie mówić George lub Mil, jak wolisz, a ja, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, będę się zwracał do ciebie Annette. Twoja pensja będzie bardzo kiepska, jak już o tym wiesz, ale większość z tego idzie z mojej własnej kieszeni. Obawiam się, że w tej chwili tylko na tyle mnie stać. Jeżeli okaże się, że dobrze nam się razem pracuje, może uda się jeszcze zdobyć jakiś dodatek. Twoje biuro jest obok, a moja sekretarka ma na imię Linda. Teraz ci ją przedstawię i pozwolę ci przejść przez pierw-

szy nawał listów od moich byłych wyborców. Wciąż piszą do mnie zamiast do nowego beneficjanta, a ja staram się im pomagać, bo on jest tylko demagogiem. — Uśmiechnął się znowu rozbijając. — Od tego właśnie rozpoczniesz swoją pracę. Będziesz mi przekazywała ważniejsze listy, odpowiadała sama na mniej ważne, starając się dogodzić wszystkim i nikomu nie nadebrać na odcisk. Zrozumiałaś? — Uniósł brew, gdy zobaczył jej nadąsaną minę. Jej pełne, różowe usta stanowiły miły kontrast ze skórą. Przez chwilę wręcz zapomniał, o czym mówił. Zebrał ponownie myśli: — Jeżeli będziesz dobra, dostaniesz lepsze stanowisko, będziesz prowadziła prace badawcze dla komisji i tak dalej. Jeżeli nie sprawdzisz się, zwolnię cię. Tutaj mogą pracować tylko ludzie doskonali.

Wstał i ruszył do drzwi, a dopiero kiedy je otworzył, zdawał się czekać na odpowiedź Annette.

— To wszystko? To znaczy, że jestem zatrudniona?— Wstała niepewnie, ze zmarszczonymi brwiami, poprawiając spódnice, jakby podejrzewając, że wyśmiewał się z mej. Przeciągnęła nerwowym ruchem po włosach, patrząc na niego świecącymi, ciemno oprawionymi oczami. — Jest pan pewien?

— Chyba że miałaś tatusia Irlandczyka, którego karmiono twórczo-ściąYeatsa— zażartował. — Po południu przejdziesz wszystkie procedury bezpieczeństwa i wyrobimy ci przepustkę. Linda się tym zajmie. Zbliżamy się do letniego szczytu, więc na razie będzie tu trochę zamieszania i nerwowości, ale później wszystko zwolni tempo i będzie prawie pełzać. Wtedy będziesz miała okazję na zbadanie całego tego labiryntu. — Przepchnął ją lekko przez drzwi, zamykając je za nią. Jego spokój zakłócił na chwilę dotyk ciepłej skóry pod bluzką ze sztucznego jedwabiu. Jest bez biustonosza i tak naprawdę nie potrzebuje go — pomyślał nie mogąc oderwać oczu od prześwitujących przez białą bluzkę ciemniejszych aureoli.

Mój Boże — pomyślał czując własne podniecenie — może przyprawić kilku z nas o atak serca. Zapiął marynarkę zirytowany swoimi myślami, które znowu wiodły go w określonym kierunku, kiedy Annette szła przed nim, a jej jędrne pośladki kołysały się lekko w opiętej czarnej spódnicy, wabiąc go wyraźnie. Miała na sobie tanie pantofle na wysokim obcasie, podkreślające długie, nagie, opalone nogi, i chodziła w sposób, który oddziaływał na niego bardziej niż brak biustonosza.

Chyba okaże się, że Annette będzie interesująca na wiele sposobów —

4 — Zraniona duma

49

pomyślał. Czy to nie sprawi mi kłopotów? A właściwie dlaczego nie? Już i tak tonę w kłopotach. Uśmiechnął się do siebie.

Annette odwróciła się i zauważyła jego uśmiech. Zastanawiała się, co go tak rozbawiło. Jeszcze bardziej interesowało ją, dlaczego nie mógł płacić jej lepiej. Powiedziano jej przecież, że Penrithowie mają tak dużo pieniędzy, że sami nie wiedzą, co z nimi robić. Czy był aż tak skąpy, czy też miał jakieś problemy z przepływem gotówki? Zdecydowała, że to będzie pierwszy problem, który rozwiąże. Trev z pewnością też będzie chciał to wiedzieć.

Rozdział trzeci

Lunch w kawiarni policyjnej? Chyba żartujesz, Sass. Ostatnim razem zabrałem cię do Cafe Rodin. — Hugo położył dłonie na udach i zmarszczył brwi w sposób, który — lubił to sobie wyobrażać — miał być postrachem dla siostry. Roześmiała się i przechylając na bok głowę popatrzyła na niego.

— Trochę mi brakuje gotówki, Hugo, a poza tym zaletą tej kawiarni jest, że możemy tam trafić na pewną osobę, którą właśnie próbuję wyśledzić do tego projektu komisji leśnej. Będzie więcej cholernych drzewek iglastych, jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli. Wyobraź sobie, że unikał mnie przez cały tydzień. — Jej ton był pełen niedowierzania i Hugo popatrzył rozbawiony, wiedząc, że jest niemożliwie próżna, a jednocześnie zdając sobie sprawę, że ma ku temu powody. Sassy mówiła dalej nie zważając na jego myśli — ..właśnie dzwoniła sekretarka, że wymknął się do Izby na Szybki lunch. Jak sądzisz, dokąd mógłby pójść? — Uniosła brew, która znikła pod francuskim lokiem jej wspaniałych blond włosów, w wyzywającym, kokieteryjnym geście, którego nie zawahała się użyć w stosunku do własnego brata. Zresztą próbowała go na wszystkich.

— Tylko nie kawiarnia policyjna — powtórzył stanowczo, zupełnie ją ignorując. — Zabiorę cię do Blades, a ty poradzisz sobie ze swoimi projektami innym razem. Będiesz mi winna dwa lunchy, ale weź pod uwagę, że mają być porządne. Poza tym nie mógłbym z tobą spokojnie porozmawiać w całym tym zgiełku, jaki panuje w Izbie. A muszę z tobą

porozmawiać, Sass. — Hugo właśnie wychodził z jej biura i nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale odgadła, o co mu chodziło, po opuszczonych ramionach. Taki odruch pojawiał się u niego często, odkąd zerwał z Helen. Posłała mu zirytowane spojrzenie, sprawdzając w małym lustreczku, czy ma dobrze nałożoną szminkę, i wygładzając niewidoczną skazę na skórze. Zamknęła z furią puderniczkę.

Helen, Helen, Helen — myślała wychodząc za bratem na ulicę. Dlaczego, do diabła, Hugo nie może zrozumieć, że są jeszcze na świecie inne kobiety, równie piękne, równie czarujące i obdarzone innymi zaletami, chociażby odrobiną sprytu. Gdyby to z nią Hugo zerwał, nie zaakceptowałyby tego jak Helen, nie byłaby tylko chodzącą dumą, która nie zniża się, by prosić o wyrozumiałość... nie, walczyłyby o niego bez względu na konsekwencje. Ale Helen nie była taka — pomyślała Sassy lekceważąco — i to była jej słabość. A słabe punkty zawsze są wykorzystywane...

Gdy tak szli ramię w ramię przez ulicę King Charles, każdy mógł zauważyć, że są rodzeństwem, mimo znacznych różnic w budowie i wysokości. Hugo, jako postawny mężczyzna, w stylu Apolla, zwracał na siebie uwagę nie tylko piękną opalenizną i jasnoniebieskimi oczami. Pogodne rozbawienie na jego twarzy i wabiący uśmiech sprawiały, że ludzie garnęli się do niego, żeby porozmawiać, poznać tego wrażliwego człowieka, a on tak mało zdawał sobie sprawę z własnej wartości. Ci, którzy ulegli urokowi Hugo, zostawali jego przyjaciółmi i starali się chronić go przed ludźmi wykorzystującymi dobrą naturę. Jak na przykład Sassy.

Sassy była tak drobna, że z pewnej odległości można było ją wziąć za dziecko. Drobna, ale pięknie zbudowana, sprawiała, że porównując się z nią kobiety czuły się niezgrabne, szczególnie gdy odrzucała gęste jasne włosy, które wyglądały tak pięknie, jakby spędziła całe lato na Azorach. Poza tym miała wspaniałą, złotą skórę, małe, ostre, białe zęby i jasnozielone oczy. Błyszczała, wręcz oślepiała, oczarowując wszystkich i rzucając się w wir życia z nieposkromionym zapałem.

W tej drobnej istocie natura upakowała energię, witalność i pewność, które bardziej pasowałyby do postury Hugo.

Wszyscy nazywali ją Sassy i tylko kilka osób pamiętało, że jej prawdziwe imię brzmiało Sarah.

— Nie zamierzasz rozczarować Mila i nie pokazać się we czwartek, prawda? — zapytała, jakby kontynuując swoje myśli, z których Hugo powinien zdawać sobie sprawę. — To okropnie ckliwe tak siedzieć i po-

52

grażać się ciągle w myślach o kimś, kto robił swoje na boku, Hugo. Musisz w końcu się z tego otrząsnąć. Mil przyprowdzi Camillę Gains-Ga-skill. Wiesz, tę z długimi włosami i... nogami. Specjalnie dla ciebie. Słyszałam, że ma na ciebie oko — kontynuowała. A że jest wnuczką arystokraty i spadkobierczynią dość potężnej fortuny — dodała do siebie w myśli Sassy — nie powinno się jej lekceważyć — Hugo nic nie odpowiadał.

Widziała, jak jej brat obserwuje samochód mknący ulicą.

— Hugo, co ty na to? — zapytała, kiedy szedł dalej pogrążony w myślach, ignorując jej pytanie.

— To zabawne, ale przysiągłbym, że to był Jose-Marie Jimenez-Clar, tam w samochodzie, obok starszego człowieka.

— Jakiego starszego człowieka? Twojego szefa, Harveya Quislinga--Zdrajcy?

— To nie zdrajca, Sassy, to...

— Wiem, Hugo. — Westchnęła. — Wiesz, zawsze uważałam, że ten facet mógłby być doskonałym modelem dla Humphreya. Wciąż krążą na ten temat plotki. Nawet wyglądają podobnie, zupełnie jak wielbłądy. Zauważyłeś?

— Wygląda jak Humphrey czy jak aktor, który grał Humphreya? — Roześmiał się i zauważył, że Sassy zupełnie straciła wątek. — No, wiesz, co mam na myśli — wyjaśniała Sassy. — On ma coś w sobie z Machia-vellego.

— Wiem, co masz na myśli... Quisling-Zdrajca, ale właściwie zdrada jest bardziej... — przerwał na chwilę, jakby myśląc o czym innym. Sassy czekała na jego odpowiedź.

— Tak?

— Mniejsza z tym. Ale musisz przyznać, że Harvey jest najlepszym tymczasowym Sekretarzem, jakiego mieliśmy w ciągu ostatnich kilku lat, i wie dokładnie, ile jest wart każdy z ministrów. Nie mogę zrozumieć, co on robił w towarzystwie Jimeneza-Clara. Chyba nie miało to nic wspólnego z olimpiadą w Barcelonie. Pamiętasz Jose-Marie, prawda?

— To chyba jakiś kuzyn Mila. Ten z dużym nosem, który miał oko na Helen i spędzał każde lato zalecając się do niej, do czasu, kiedy ty przyszedłeś i znokautowałeś go. Z tego, co wiem, jest teraz kimś ważnym w Barcelonie, jakimś wziętym prawnikiem, czy też kimś z wielkich w biznesie.

— Ale nie ma nic wspólnego z Milem? To znaczy, nie prowadzą wspól-

nie żadnych interesów? Jeżeli prowadzą, to Mil może być w większych kłopotach, niż mi się wydawało. — Hugo niepewnie zmarszczył brwi.

— Nie mam pojęcia, co masz na myśli mówiąc, że może być w większych kłopotach, niż myślałeś? Jakie kłopoty ma Mil?

— To nic poważnego. Tylko jakieś problemy z przepływem gotówki, jak sądzę. Nie chciałbym tylko, żeby Mil wykorzystywał swojego kuzyna, żeby osiągnąć coś w ministerstwie, z obawy, że gdyby zrobił to sam, mogłoby to źle wyglądać.

— Wiesz dobrze, Hugo, że Mil nie zrobiłby nic nieuczciwego. Poza tym, dlaczego Jose-Marie nie powinien się spotykać z twoim szefem? — Kiedy Hugo nie odpowiadał, dodała starając się wyrwać go z zamyślenia. — Czyżbyś się obawiał tego, że Jose-Marie dowie się, iż Helen jest w mieście? — Uśmiechnęła się słodko do Hugo. — Nie przejmowałabym się tym. Myślę, że Helen i on byli ze sobą już od dłuższego czasu. Zresztą wielu innych też tego spróbowało.

— Przestań, Sassy! — W głosie Hugo słychać było prawdziwy ból, jakby to było ponad jego wytrzymałość. Rozejrzał się wokół, a później spojrział na nią i powiedział stanowczo: — Nie chcę więcej słyszeć nic złego o Helen. Nie masz prawa mówić takich rzeczy. — Kiedy wziął ją za ramię, żeby przejść przez jezdnię, stawiając długie kroki i nie zważając na to, że aby mu dorównać, musiała niemal biec, Sassy wyszarpnęła się.

— A ona nie miała prawa sypiać z kim innym, będąc zaręczona z tobą. Ale dobrze — uniosła dłoń w geście obietnicy — nie pozwolę, aby jej imię przeszło mi przez usta. Przynajmniej dzisiaj — poprawiła, z uśmiechem pełnym samozadowolenia.

Stary, kochany Hugo, nigdy nie istniał dla niego nikt inny oprócz Helen. Przez całe lata szkolne i uniwersytet czekał cierpliwie, aż Helen w końcu go zauważy. Biedactwo. Po prostu głuptas.

Skręcili w boczną aleję. Gdy dochodzili do wejścia świecącego dyskretnymi, złotymi literami, hałas z Parliament Square powoli ucichał.

— Ale czy to nie była zapłata za lunch? Moja cenna rada co do Helen i wyrażenie o niej opinii? — Sassy dodała tę końcową uwagę, żeby dodać sobie animuszu, i nagle zobaczyła, jak twardnieją rysy twarzy brata. — Przepraszam cię, Hugo. To był nieuczciwy chwyt i jest mi przykro. Wciąż jestem na nią wściekła za potraktowanie cię w ten sposób. — Poklepała go pocieszająco po ramieniu, uśmiechając się do niego i odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że westchnął i też się uśmiechnął.

— Wiem, że jesteś wściekła, Sassy, i wiem, że starasz się pomóc mi o niej zapomnieć, ale nie wytrzymam już więcej.
— Potrzebujesz jakiejś odmiany. I nie mam na myśli przesiadywania jak niewolnik, do późnych godzin, przy twoim biurku w Whitehall. Potrzebujesz. .. — zobaczyła nagle wysoką postać Mila idącą w ich kierunku z długonogą dziewczyną, o skórze koloru *cafe au lait* prowokacyjnie odsłoniętym biuście. — Tego właśnie — Sassy kiwnęła głową w kierunku Annette— potrzebujesz.

— Mil? A... tego! No, cóż, całkiem niezła...! — Hugo zastanawiał się nad właściwym określeniem dziewczyny i w końcu poddał się.

Z typową dla niej bez troską, która sprawiała, że Sassy odnosiła zwykle sukces we wszystkim, czego próbowała, natychmiast zapomniała o Helen i Hugo, a skoncentrowała się na mężczyźnie idącym w ich stronę. Owładnęła nią znowu ta dziwna słabość, którą zawsze wzbudzał w niej Mil, prawdziwe zwierzęce pożądanie, które zaszokowałoby jej brata, gdyby o nim wiedział. Sassy nie obchodziło, jakie problemy miał Mil'i czy postępował uczciwie. Po prostu pragnęła go.

— Nie wiedziałam, że Mil miał do nas dołączyć. — Ustawiała się w taki sposób, że zamiast stać obok Hugo, oparła się niedbale na jego ramieniu, podkreślając piękną linię piersi i nóg. Jakiś mężczyzna wchodzący do restauracji, potknął się zapatrzony w nią. Sassy jednak nawet tego nie zauważyła.

— Nie zamierzał do nas dołączać, ale teraz chyba dołączy. — Po raz pierwszy głos Hugo nie brzmiał entuzjastycznie na widok najstarszego i najlepszego przyjaciela. Machnął niechętnie ręką i odwrócił się do Sassy. — Chciałem z tobą porozmawiać, ale nie przy Milu— powiedział cicho. Mil również uważał, że Hugo mógł znaleźć sobie kogoś bardziej odpowiedniego od Helen. — Czy mogłabyś później wybrać się ze mną na drinka? Po pracy, wieczorem? — Sassy zauważyła, że w jego głosie wyraźnie brzmi rozpacz. Pokiwała potakująco głową.

— Dla ciebie wszystko, Hugo. — Powiedziała to lekko, a on uściśnął z wdzięcznością jej dłoń.

— Dobra z ciebie dziewczyna— powiedział i przywołał na twarz swój zwykły, słoneczny, leniwy uśmiech witając przyjaciela i nawet nie myśląc, co czuje jego siostra. Byłby zaskoczony, gdyby wiedział.

Nikt nawet nie podejrzewa — pomyślała Annette z ledwo ukrywaną pogardą— że ta szczupła, seksowna blondynka zrobiłaby wszystko, żeby Mil należał do niej. Oboje byli oczywiście czarujący i dokładnie

skrywali swoje emocje, ale w Sassy wyczuwało się pewne napięcie, które Annette rozpoznała, wydawało jej się znane. Jaka szalona namiętność drzemie w tej małej, rozpieszczonej dziewczynie — dziwiła się. Czy mieli ze sobą romans? A może romansowali ze sobą w przeszłości, a teraz Sassy próbowała to przywrócić? Tak — pomyślała Annette — o to chodziło. Biedny Mil.

Jakie to szczęście, że poplotkowałam sobie z Lindą, sekretarką Mila — zastanawiała się Annette obserwując Hugo, który powitał ją z miłym, delikatnym uśmiechem na twarzy. W przeciwnym razie mogłabym sama się w nim zakochać.

Helen oparła się wygodnie na poduszkach i oglądała katalog sztuki iberyjskiej, który właśnie dostała z drukami. Kilka błędów zauważyła od razu. Sanchez Cotan miał dodane „g” do nazwiska, data przydzielona do arabeskowej dekoracji była opóźniona o pięć wieków. Również adres galerii i dni otwarcia były ściśnięte w dwóch liniijkach, zamiast być rozmieszczone w trzech, jak o to prosiła. Zaznaczyła dokładnie wszystkie poprawki czerwonym flamastrem. Pomimo poprawek album i tak był udany. Świecący, elegancki i umiarkowany jednocześnie. Tym razem uda jej się wyrzeźić duże wrażenie.

Telefon ponownie zadzwonił, a ona ponownie go zignorowała, wiedząc, że dzwoni matka. Nie chciała z nią rozmawiać. Nie po tym, co powiedziała wczoraj. Helen zagryzła wargi licząc dzwonki — dwanaście, trzynaście, czternaście — nie, tego już było za wiele. Właśnie sięgała po słuchawkę, kiedy dzwonek urwał się i pokój ponownie utonął w ciszy. Doskonale, mamó — pomyślała — na razie mnie nie ma. Jestem zajęta swoim własnym życiem. Rozbawiła samą siebie tymi słowami. Moje własne życie... życie, kiedy byłam niezależna, silna i opanowana, kiedy tylko lubiłam Hugo jako przyjaciela, byłam zaangażowana w inne wspaniałe podboje.

Skrzywiła się do siebie, myśląc o ślepocie, która wtedy ją chroniła od ran. Pragnęła z całej siły powrócić do tamtych czasów, kiedy wszystko wydawało się jasne i proste. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Poderwała się. Jej serce zerwało się przez chwilę do galopu w nadziei, że to Hugo. W domofonie rozległ się jednak zniekształcony głos siostry. W chwili, w której Elizabeth wspięła się na schody prowadzące do jej mieszkania na galerii, serce Helen powróciło do normalnego rytmu.

56

— Lizzie! — roześmiała się widząc przemoczoną, zabrudzoną, ale uśmiechniętą Elizabeth, trzymającą butelkę wina i pizzę.

— To pepperoni. Wiem, że nie możesz się oprzeć pepperoni — powiedziała Elizabeth i weszła do mieszkania, całując przelotnie siostrę i oddając jej pakunki. — Ależ tutaj jest cudownie i sucho. Nie będziesz miała nic

przeciwno, jeżeli zamoczę nieco twój wspaniały dywan? Jest nowy, prawda? — Elizabeth wyslizgnęła się z płaszcza przeciwdeszczowego, trzymając go z dala od siebie.

— Nowy i zbyt cenny, żeby marny deszcz padał na niego. Czy mogłabyś powiesić płaszcza nad wanną w łazience? I podsusz sobie nieco włosy. Wyglądasz jak...

— Wiem, wiem, przysłowiowa zmokła kura. Ale na zewnątrz pada, Helen, jeżeli jeszcze tego nie zauważyłaś, a ja muszę od czasu do czasu wyjść na deszcz w przeciwieństwie do ciebie. — W głosie Elizabeth nie było jednak złości, tylko pobłażanie.

— Nieprawda. Wczoraj wychodziłam z domu. Odbyłam całą drogę do Kent, żeby obejrzeć obraz, który odkryła mama. Oczywiście całkowita strata czasu. Ale też przemokłam do suchej nitki, jeżeli to sprawi, że poczujesz się lepiej — Helen roześmiała się.

— Och, dużo, dużo lepiej! A jak zachowała się nasza droga mamusia? Pewnie była równie taktowna jak zawsze? — Dopytywała się Elizabeth przechodząc z łazienki do sypialni Helen i podziwiając jak zawsze wystrój jej mieszkania. Zachichotała słysząc odpowiedź Helen.

Malutki dom Helen zawsze sprawiał Elizabeth dużo radości. Podziwiała wyłożoną kamiennymi czworokątami podłogę z jasnymi kilimami, surowe białe ściany z żelaznymi dekoracjami, lakierowane okiennice i zielone drzewa przypominające jej Hiszpanię. Było tam małe wewnętrzne podwórze z fontanną, którą Helen i ona wyłożyły w wielkim trudzie niebiesko-białymi płytkami. Helen zrobiła też czerwone poduszki, aby pokryć ławki, które biegły wzdłuż trzech ścian. Teraz podwórze tonęło w strugach deszczu, który padał też do fontanny, zakłócając jej monotonię.

Elizabeth powiesiła płaszcza w łazience, zawinęła włosy w ręcznik i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nie była zadowolona z tego, co zobaczyła. Rumieniec znikł z jej twarzy, która wyglądała pusto. Bursztynowe oczy, które zwykle rozjaśnione były śmiechem, wyglądały wręcz smutno. Kąciki ust opadały w dół i pojawiły się na ich przedłu-

zeniu niewyraźne linie, które nigdy nie miały specjalnego znaczenia, kiedy się uśmiechała, ale teraz wyglądały staro — pomyślała nieprzyjemnie zaskoczona. Czy starzała się już? Spojrzała na siebie ponownie i westchnęła ciężko.

Nie, jeszcze nie. Miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Jeszcze daleko do starości.

Nie chciała myśleć o swoich następnych urodzinach wcześniej niż miesiąc przed ich datą. — Masz tyle lat, na ile się czujesz — powiedziała do siebie stanowczo. Ale przeżycia ostatniego roku miały niewątpliwie duże znaczenie i jeżeli miała być ze sobą szczerą, czuła się całkiem staro.

— Charlie — powiedziała rozbawiona do lustra — ty doskonale wiesz, co zrobić, żeby dziewczyna była szczęśliwa.

— Zaczesała włosy, zakładając je za uszy, nie zauważając ich złotego połysku, czerni brwi stanowiących wspaniałą kontrast dla jej oczu, inteligencji, która dodawała jej twarzy życia i emocji. Była wspaniałą dziewczyną w porównaniu z każdą inną, z wyjątkiem swojej siostry. Przy niej niestety jej urok przygasał.

Helen uśmiechnęła się z aprobatą, kiedy Elizabeth weszła do kuchni.

— Tak jest dużo lepiej. Mogę ci pożyczyć jedną z moich spódnic, jeżeli ta jest wilgotna.

— Nie, wszystko w porządku. Padało głównie na płaszcz. Jaki cudowny letni dzień! Czuję, że chciałabym zwinąć się w kłębek przed ogniskiem i robić tosty. A, otworzyłaś wino. Jak ci leci...? — przerwała nagle, gdyż zabrakło jej słów; nie chciała pytać bezpośrednio o Hugo, by Helen nie pomyślała, że wścibia nos w nie swoje sprawy. Helen uśmiechnęła się, odgadyując jej myśli.

— Sądzę, że powinnam raczej ciebie zapytać, jak się miewasz. Wyglądasz na wykończoną. Czy to przez Charliego?

— podała siostrze kieliszek z winem.

Elizabeth wzięła go, połknęła cały haust i utonęła w starym krześle rzeźbionym w sośnie. Pociągnęła delikatnie palcem po rzeźbieniu. — Gorzej. Myślę, że już o nim powoli zapominam — uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Czyż nie jesteśmy szczęśliwą parą? Dwie kobiety, robiące karierę w latach dziewięćdziesiątych, które potrafią radzić sobie ze wszystkim oprócz miłości... Ta, zdaje się, nieco nas sponiewierała.— Westchnęła. — Wiesz, nie sądzą, żeby kiedykolwiek zależało mi bardzo na Charliem. Wciąż mnie nieco boli, że odszedł, ale tylko tyle. Myślę, że tak naprawdę chodzi o poniżenie.

58

— Poniżenie! Charlie był wolnym mężczyzną, od dawna żył w separacji z żoną, kiedy zaczęliście się spotykać, bez względu na to, co mówi mama. I był ci wierny przez pięć długich lat — zaprotestowała natychmiast Helen. Usiadła naprzeciw siostry i obserwowała ją z zagadkowym spojrzeniem. — Jeżeli miał atak serca i nagle zdecydował, że

będzie pokutował za wszystko zło, które uczynił innym w swoim życiu wracając do zony, której nie kocha, to on, a nie ty, powinieneś się czuć głupcem.

— Och, wiesz, jak to jest. On jest katolikiem i wierzy, ukrywając to pod swoim cynizmem, w karę za grzechy, ogień piekielny i siarkę. - Elizabeth roześmiała się cierpko. - Może ma rację. To co naprawdę mnie dręczy, to fakt, że chciałam go zostawić już od dwóch lat jeżeli mam być szczerą. Ale myślałam, że to by go zraniło. — Parsknęła — Więc zamiast tego kłóciliśmy się i dokuczaliśmy sobie... i on dostał tego ataku.

— Może właśnie to cię męczy? Może obwiniasz się, że to ty spowodowałaś ten atak? - Helen spojrzała uważnie na siostrę, a ona wzruszyła ramionami i odwróciła się.

— Nie, to chyba nie tak. Przynajmniej już nie - poprawiła, kiedy Helen nie odpowiedziała. — Ale... on był... cóż— spojrzała na Helen. — Nie powinnam ci tego mówić, ale on jest impotentem. Dlatego tak bardzo było mi go żal, nie chciałam go zostawić. — Spojrzała na zdziwioną twarz siostry i skrzywiła się.

— Mój Boże, Lizzie. Czy ty jesteś szalona? Żyłas jak zakonnica z mężczyzną prawie dwa razy starszym od ciebie?

— Helen wybuchnęła śmiechem i Elizabeth po chwili przyłączyła się do niej. — Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

— Ponieważ nie chciałam, żeby czuł się zakłopotany, lub też tak sobie wmawiałam. Poza tym, ty byłaś tak zajęta Hugo i jego znajomymi nie wydawało się to właściwe. A dla mnie najważniejsza była kariera Słuchaj, czy sądzisz, że stworzyłam Charliemu piekło na ziemi? Czy jestem agresywnym typem kobiety, która martwi się tylko o siebie i potrafię ugryźć rękę, która mnie karmiła?

— I że wykorzystywałeś go tak długo, jak to było możliwe, tak? Kto ci to powiedział? — zapytała groźnie Helen.

— To nie ma znaczenia, po prostu ktoś. — Popatrzyła wzrokiem pełnym bólu na Helen i wypila następny łyk wina.

— Myślę, że to sprawiło, iż w końcu zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest prawda. Inne rzeczy też...

— To nie jest prawda! — Helen wstała od stołu kuchennego i potrząsnęła głową. — Czasami mnie zadziwiasz. Jesteś jedną z najbardziej popularnych i lubianych dziennikarek, wciąż żyjesz na przyjaznej stopie z Charliem, masz dobre układy z niemal każdym w Westminsterze, a mimo to zastanawiasz się, czy nie jesteś zaborczą dziwką. Tylko dlatego, że ktoś na ciebie napadł z takimi zarzutami... Dlaczego jesteś wciąż taka wrażliwa?

— To był Mil. — Zapadła cisza.

— A więc to ten drań, Mil. — Helen odwróciła się na chwilę, aby wyciągnąć z piecyka pizzę. — Od kiedy on jest dla ciebie autorytetem? — zapytała wciąż odwrócona tyłem do Elizabeth.

— Prawdopodobnie od tego samego czasu, od kiedy próbuje narzucić swój autorytet tobie — powiedziała Elizabeth nieostroźnie i Helen odwróciła się, żeby spojrzeć uważnie na twarz siostry.

— Co to ma niby znaczyć?

— Och... tylko tyle, że uważam, iż wywarł wpływ na Hugo. Zdecydował, że Barrettowie mogą zbyt wiele kosztować. — Elizabeth przechyliła głowę, spoglądając na Helen. — Nie jesteśmy częścią jego wspaniałego, globalnego planu. Docięłam mu dzisiaj publicznie, oczywiście wie też, że od jakiegoś czasu grzebię trochę w jego sprawach. Dlatego właśnie na mnie napadł. — Spojrzała na swój kieliszek, na dłonie, które oglądane przez zawartość kieliszka, wydawały się nieproporcjonalnie długie.

— Docięłaś mu? Mówiąc o mnie? — Helen była zdumiona. Przyniosła pizzę na stół i położyła na płaskim talerzu. Elizabeth potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, oczywiście, że nie. Mówiłam o jego ciemnych interesach. Spekuluje teraz kursami walut, co oczywiście jest w tej chwili całkowicie legalne...

— Ale niewłaściwe dla byłego ministra? No to co, Liz? Po prostu potrzebuje pieniędzy. Jego interesy są zagrożone, ma olbrzymie zobowiązania w stosunku do wielu ludzi. — Helen zaczęła kroić pizzę na kawałki.

— Gdzie o tym słyszałaś? — Elizabeth patrzyła zdziwiona na piękną, spokojną twarz Helen.

— Wiem to od ojca. Celeste mu powiedziała. — Helen uśmiechnęła się i usiadła. — Ale nie wydaj mnie. To jest tajemnica.

60

— Mój Boże, a więc to prawda. Penrithowie mają problemy finansowe. Zdumiewające, ale zaczęłam sama się nad tym zastanawiać, słyszałam jakieś plotki na ten temat... — Elizabeth przerwała, nie chcąc wyjawic, że regularnie otrzymywała anonimy. Jeden zarzut za drugim podważające wiarygodność Mila. Czy te anonimy wywierały na nią jakiś wpływ, mimo że nie były oparte na faktach? Czy w jakiś sposób wypaczały jej myślenie? Ale nie, zaczęła

śledzić sprawy Mila, zanim jeszcze dostała pierwszy anonim. Coś złego działo się w jego życiu i ona chciała być pierwszą, która to odkryje.

— Czy ojciec wciąż spotyka się z Celeste? Myślałam, że ona czuje się już lepiej — głos Elizabeth był pełen zażenowania.

— Nie bierze już środków uspokajających, jeżeli to masz na myśli. Ale wciąż jest bardzo samotna i tęskni za mężem. Myślę, że ojciec po prostu stara się ją podtrzymywać na duchu. Rozmawia z nią. Któregoś dnia przyprowadził do niej jakiegoś awanturnika, który twierdził, że ma dla niej wiadomość. Okazało się, że to był jakiś wariat, który oskarżał ją o niestworzone rzeczy, zanim udało się ojcu go pozbyć.

Elizabeth zamarła.

— Co to były za oskarżenia?

— Nie wiem dokładnie. Wiesz, jak się zachowuje ojciec, gdy sądzi, że mógłby naruszyć zaufanie pacjenta. Ale jak zrozumiałam, Mil był zły na ojca, że w ogóle przyprowadził do Celeste tego człowieka. Ojciec tylko wzruszył ramionami, ale wiem, że go to zabolalo.

— Trzeba zacząć od tego, że Mil nigdy nie przepadał za naszym ojcem — zauważyła Elizabeth. Nie bardziej niż ona sama za Celeste. Może ze względu na te same powody, te same... wątpliwości. — Dlaczego ojciec przyprowadził tego człowieka do Celeste? — Umysł Elizabeth rozpoczął swoją pracę, wietrząc kolejną aferę. Było to przyzwyczajenie, którego nie mogła się wyzbyć.

— Ten mężczyzna zatrzymał go niedaleko domu. Powiedział, że zepsuł mu się samochód, a ma pilną wiadomość do przekazania w Com-pton Lacey. Ojciec nawet się nad tym nie zastanawiał, po prostu zawiózł go tam.

— Spodziewam się, że inaczej ten człowiek nigdy nie dotarłby w pobliże Celeste. — Elizabeth postawiła kieliszek na stole i zaczęła bębnić po nim palcami, myśląc intensywnie. — Jak się nazywał?

— Chyba Russell. Czy to ma jakieś znaczenie? To jakiś wariat, który przyczynił się do tego, że zbesztano ojca. Nic dziwnego, że Mil nie był

specjalnie szczęśliwy, kiedy go dzisiaj zaatakowałaś. Pewnie uważa, że Barrettowie uwzięli się na niego. — Roześmiała się, starając się nie myśleć o najgorszym. Nie chciała poczuć się zraniona zdradą Mila. Elizabeth posłała jej wymuszony uśmiech.

— Może ma rację.

Helen przechyliła głowę, patrząc uważnie na siostrę.

— Dlaczego? Czy zrobił coś, co cię rozzłościło?

— Chciałabyś wiedzieć, co zrobił, oprócz tego, że jest aroganckim draniem, odkąd skończył osiemnaście lat, zawsze zadowolonym z siebie kobieciarzem...?

— Oprócz tego — przerwała Helen i uśmiechnęła się. — Dobrze znamy całą gamę grzeszków Mila z przeszłości.

— Cóż, właściwie nie chciałabym o tym mówić, dopóki tego nie sprawdzę dokładnie... to ma coś wspólnego z jego firmą zajmującą się nieruchomościami w Hiszpanii. Wiem, że prowadzi te sprawy jego wuj, ale dostałam informację, że Mil też jest zamieszany. I w jeszcze kilka innych historyjek. Ogółem niezbyt piękny obrazek. Pomyślałam, że mogłabym tam pojechać i sprawdzić kilka faktów.

— Jesteś pewna? — Helen była zdziwiona. — Wiem, że Mil jest trudnym człowiekiem i dumnym nie do wytrzymania. Ale ze względu na to, nigdy nie powiedziałabym, że mógłby być zamieszany w coś nieuczciwego.

— Cóż, tak jak powiedziałam, nie miałam jeszcze okazji tego sprawdzić — Elizabeth przyciągnęła do siebie kawałek pizzy i ugryzła go. — Powiem ci, jak coś znajdę.

— Trudno mi w to uwierzyć, Lizzie. Wiem, że nie spotykaliście się ze sobą od dłuższego czasu, wiem też, że ma reputację człowieka uczestniczącego w nie kończących się zabawach...

— Zapomniałaś o kobietach...

— Tak, wiem, ludzie kojarzą go z tym wszystkim. Ale czy nie zauważyłaś, że ostatnio oszczędzają go w brukowcach, a życie zaczął brać jakby nieco poważniej? Dodając do tego śmierć jego ojca i kłopoty w biznesie...

— No, właśnie! Przecież nie można sobie wyobrazić Mila biednego lub zmuszonego do sprzedania Compton Lacey, prawda? Zrobiliby wszystko, żeby temu zapobiec.

— Zatrudnia wielu ludzi, których życie zależy od tego, czy im płaci czy nie. Jest dumny, może arogancki, jeżeli tak wolisz to nazywać, wy-

starczająco dumny, żeby dbać o to, aby nie wylądowali na ulicy. — Argumenty Helen były logiczne. Pełna obaw patrzyła na siostrę. Liz wyglądała na kompletnie wyczerpaną — pomyślała. Zdaje się gonić resztką sił. Co u Liz było nie tylko nieoczekiwane, ale wręcz alarmujące.

— Kochana, dobra Helen. Broniłabyś racji samego diabła, żeby tylko nie uwierzyć w najgorsze. Ale ja wierzę. — Elizabeth patrzyła wyzywająco. — Jak tylko będę miała czas, spróbuję to wszystko zbadać. — Ziewnęła. — Tyle jest afer w tej chwili. Jestem zaganiana sprawdzając każdą z nich. Ale nie martw się, przyjdzie też czas na Mila.

Helen potrząsnęła głową.

— Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Pomimo twojego zirytowania i całej pogardy dla jego stylu życia, zawsze uważałam, że masz do niego słabość. Podziwiałaś go jako dziecko — jej uśmiech zbladł. — Posłuchaj, Lizzie, czy coś złego wydarzyło się ostatnio? Wyglądasz na ogromnie spiętą.

Elizabeth chciała odpowiedzieć: — Tak, stało się, ktoś zabił zwierzaka tylko po to, żeby mnie przerazić i odsunąć od czegoś, co odkryłam, a ja nawet nie wiem, kto to zrobił i o co mu właściwie chodzi. Ale nie mogę zaprzestać poszukiwań, bo to tylko sprawi, że poczują się silniejsi, pomyślą, że mogą mnie zastraszyć. Ale to moje życie. Boże, co za bagno!

Zamiast tego uśmiechnęła się tylko do Helen.

— Coś złego? Oprócz tego małego skandalu z cłami, na który natknęłam się kilka tygodni temu? Wszystko w porządku, wypuściłam to, nie podpisując się pod artykułem. Ktoś po prostu łamał embargo na broń, a coś mi mówi, że sfery rządowe doskonale o tym wiedziały. A właśnie, przypomniałam sobie — Elizabeth przerwała, zadowolona, że udało jej się sprowadzić ich rozmowę na bezpieczniejsze tory. — Czy powiedziałam ci już, że prawie skończyłam nowy artykuł? Wiem już, co oni robią, i wiem jak, teraz tylko muszę ich przyłapać na gorącym uczynku! — Ugryzła jeszcze kawałek pizzy, delektując się jej smakiem.

— Kto i co robi?

— To samo, ale tym razem to rosyjska mafia. — Uśmiechnęła się do Helen. — Ciemne interesy z bronią. Wiesz przecież, gdzie leżą największe pieniądze, jeżeli ktoś nie jest wystarczająco odważny, żeby zająć się narkotykami...

— Ale kto? Mafia rosyjska? Nie wiedziałam nawet, że coś takiego istnieje.

— Nie tylko ty o tym nie wiedziałaś, ale również cała reszta świata. Ale wszyscy się dowiedzą, kiedy już to doprowadzę do końca. Wtedy *Organizatsiya* będzie na ustach wszystkich. To będzie najbardziej pasjonujący temat, zaraz po tych wszystkich rewelacjach o Triadach. — W oczach Lizzie pojawił się błysk podekscytowania.

— Czy to wszystko nie jest aby niebezpieczne? — zapytała zaniepokojona Helen. — Chyba zajmujesz się dużo poważniejszymi sprawami, niż się spodziewałaś.

— To nie jest niebezpieczne — Elizabeth przeżuwała w zamyśleniu ostatni kawałek pizzy. — Wiesz dobrze, że nigdy nie prowadzę takiego śledztwa sama, i zawsze ktoś wie, gdzie jestem. To dwie reguły, których ściśle przestrzegam. I nigdy nie podejmuję niepotrzebnego ryzyka — dodała. Ale czasami przychodzą się mścić do domu — pomyślała smutno. — Więc nie przesadzaj, dobrze? — Pochyliła się i poklepała Helen po rękę, podśmiewając się z jej wątpliwości. — Jestem już teraz dużą dziewczynką i mogę sama o siebie zadbać. Więc zjedz trochę, proszę, bo sama pochłonę wszystko i będę gruba. — Helen roześmiała się, ponieważ Elizabeth nigdy nie udało się i prawdopodobnie się nie uda utyć.

— Czasami nawet duże dziewczynki mają kłopoty — dodała Helen. — Więc uważaj, dobrze? Bardzo cię proszę. — Obiecuję, że będę uważała. Żadnego ryzyka.

Mniej więcej to samo powtarzała sobie we czwartek wieczorem, odpychając stanowczo dłoń swojego towarzysza i miażdżąc go spojrzeniem.

— Przestań, Freddie, bardzo cię proszę, ja naprawdę nie jestem tobą zainteresowana. Jesteś dla mnie tylko dobrym kolegą. — Rozejrzała się dokoła, starając się nie zauważać hałaśliwej grupy w kącie sali i skupić się na mężczyźnie o bladej twarzy, który siedział przy środkowym stoliku popijając spokojnie wodę mineralną.

Dłoń Freddiego znalazła się ponownie na jej udzie. Westchnęła i pozwoliła jej tam zostać. To przecież ona prosiła go, żeby ją tutaj przyprowadził, gdyż sama nie zostałaby wpuszczona. W Annabel nie akceptowano prasy.

Człowiekowi o bladej twarzy towarzyszyli mężczyzna i kobieta. Faceta widziała już przedtem i wiedziała, że jest jego zastępcą. Był wiceprezesem, jeżeli ktoś może być wiceprezesem interesu zajmującego się szmu-

64

głowaniem. Młody, bystry, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, w garniturze, jaki nosiła młodzież lat osiemdziesiątych, zdawał się zupełnie obojętny na otoczenie. Drugą osobą była żona szefa. Była równie blada, ale raczej bierna niż ostrożna, bawiła się kieliszkiem, wyraźnie oczekując z niecierpliwością końca wieczoru. Wesołe trio — pomyślała Elizabeth.

Freddie nachylił się do niej i wyszeptał jej w ucho jakieś nieokreślone słowa, których nie mogła zrozumieć.

— Co powiedziałaś, Freddie? Nie zrozumiałam. — Zniecierpliwiona odwróciła się gwałtownie od mężczyzny z bladą twarzą, tłukąc kieliszek Freddiego. Wstrząsnął nią dreszcz. — Co takiego?

Ale od słów Freddiego oderwał ją kolejny wybuch śmiechu grupy siedzącej w kącie. Nie mogła się powstrzymać od obserwowania ich, gestykujących żywo, opowiadających jakieś absurdalne historie. Szampan spływał kaskadami w ich kieliszki. Piękne dziewczęta ze wspaniałymi, prowokującymi nogami, falujące włosy, błyszczące, wydęte usta. Mężczyźni w strojach wieczorowych wydawali się pompatyczni, paląc cygara i przekomarzając się grubymi głosami.

A przynajmniej tak to wyglądało dla Elizabeth siedzącej smutno i obserwującej ich. Zauważyła niechętnie, że obok Hugo siedziała piękna, śniada dziewczyna. Jakaś blondynka starała się oczarować Milla swoimi pięknymi włosami i próbowała pić z jego kieliszka. Obejmował ją za ramiona, jego dłoń delikatnie gładziła jej udo, ale nie odpowiadał na jej zaloty. Wydawało się, że jest jedynym, który nie dał się ponieść urokowi tego wieczoru i Elizabeth pomyślała złośliwie, że pewnie zastanawia się, czy będzie go stać na zapłacenie rachunku.

Ręka Freddiego przesunęła się wyżej.

— Och, Freddie, proszę cię. To był długi dzień i jeszcze dłuższy wieczór, więc czy nie mógłbyś trzymać rąk przy sobie? — Odrzuciła jego dłoń i popatrzyła ponownie na środkowy stół, powód jej przyjścia do tej knajpy. Zdawało się, że mężczyzna nie zbiera się do wyjścia, siedział ciężko w krześle i palił cygaro, a jego żona wyglądała na zrezygnowaną i wyczerpaną. Chyba nie mam tu nic wieczorem do roboty, zdecydowała Elizabeth i odwróciła się do Freddiego.

To było bardzo miłe z jego strony — pomyślała sobie, uśmiechając się do jego krótkowzrocznych oczu, kojarzących się ze spanielem. Ale nie jest zupełnie w jej typie. Lubiła bystry umysł, zdecydowanie, siłę ducha połączoną z poczuciem humoru. Wszystko to, czym zdawał się

5 — Zraniona duma

65

być obdarzony Charlie. No cóż. Otrząsnęła się z ponurego nastroju i uśmiechnęła się do swojego przyjaciela. — Przepraszam cię, Freddie. Chyba nie jestem najlepszą towarzyszką zabaw, prawda? Ale nie lubię poruszać się po omacku. — Zobaczyła, jak jego oczy wilgotnieją, kiedy powrócił do kieliszka, aby dokończyć drinka, i nagle poczuła się winna. Czy Freddie rzeczywiście był zraniony brakiem jej uwagi, czy też był to stan spowodowany wypitym tego wieczoru alkoholem? — Przecież ostrzegałam cię, że tak naprawdę będę tu tylko ciałem. Że jestem teraz w pracy — dodała. Ostrzegała go, a on śmiejąc się wyraził zgodę, ale bynajmniej nie poczuła się lepiej, kiedy spojrzała na melancholijny wyraz twarzy Freddiego i jego drżące wargi.

— To wszystko przez to, że próbowałem zwrócić na siebie twoją uwagę już od tak dawna— wybuchnął w nagłym przeblasku świadomości. — Ale ty zawsze tylko mówisz o kolegach z pracy, śmiejesz się, a jeżeli cię dotknę, to mnie odrzucasz. To nieuczciwe, Lizzie. Zaslługuję na coś więcej. — Elizabeth otworzyła szeroko oczy.

— Freddie! Ty świni! Tylko w tym miesiącu byłeś na randce przynajmniej z tuzinem dziewcząt i z tego, co wiem, oświadczyłeś się im wszystkim, a ze mną nie próbowałeś nic osiągnąć już od dłuższego czasu, z tej prostej przyczyny, że nie widziałam cię już od wieków. Proszę cię, nie próbuj na mnie zwałać winy.

— Ale zawsze chciałem być z tobą, naprawdę — jęknął.

— To bardzo miło z twojej strony, że to mówisz — poklepała go po rękę— i jestem pewna, że w tej chwili w to wierzysz, ale czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyś wrócił do Charlotte? Bardzo za tobą tęskni, było wam tak dobrze razem— dodała delikatnie Elizabeth. — Twierdzisz, że lubisz miasto, ale nigdy nie widziałam cię bardziej szczęśliwym niż na farmie rodziców Charlotte.

Zapadła długa cisza, podczas której Freddie zdawał się rozmyślać nad słowami Elizabeth.

— Naprawdę? Tęskni za mną? — zapytał w końcu spoglądając zdziwiony na Elizabeth. Jego rude włosy sterczały nad bladą, lekko puciołowatą twarzą. — Nie wiedziałem o tym. Wszyscy bardzo uważali, żeby nawet nie wspominać przy mnie o Charlotte i niewiele o niej słyszałem.

— Może już czas najwyższy, żebyś się dowiedział. Wiem, że to nie moja sprawa — uwolniła jego dłoń i uśmiechnęła się — ale gdybym była na twoim miejscu, zadzwoniłabym do niej. Albo może wpadnij na

66

uroczystości letnie w sobotę. Z pewnością tam będzie. — Sięgnęła- po torebkę i spojrzała na niego wyczekująco. — Obawiam się, że muszę już iść. Jest już bardzo późno, a moje śledztwo nie posunie się dzisiaj ani o krok, więc już się pożegnam. Dziękuję ci bardzo, Freddie, że mnie tu zabrałeś. Odwdzięczę ci się. — Wstała, a on wraz z nią, przez chwilę zachwiał się, a później pochylił się nad nią i wyszeptał:

— Ale nie odpłacisz mi swoim ciałem, czy to chciałaś mi powiedzieć? — Westchnął i popatrzył ze smutkiem na wysoką szczupłą dziewczynę, która stała przed nim w satynowej bluzce koloru kości słoniowej, krótkiej, czarnej aksamitnej spódnicy, czarnych pończochach i butach na wysokim obcasie. Jej błyszczące włosy spływały miękko na ramiona, a kryształowo czyste oczy wypełnione były rozbawieniem. — Moja strata— zamruczał. Elizabeth roześmiała się.

— Wychodź, Freddie, zanim zapomnę, że jestem damą. — Popchnęła go stanowczo w stronę drzwi, ignorując tłum w kącie i starając się nie patrzeć na znudzone trio przy środkowym stoliku. Była już druga trzydzieści rano i nie mogła zrozumieć, co ich zatrzymuje w knajpie.

Zawahała się przez chwilę, kiedy Freddie odbierał jej żakiet, zastanawiając się, czy nie za szybko zdecydowała, że już nic się nie stanie dzisiejszego wieczoru. Przerwała te rozmyślenia hałaśliwa grupa z Hugo i Mi-lem na czele, którzy rzucili się do odbierania okryć. Elizabeth wymknęła się na zewnątrz, czekając przy ogrodzeniu na Freddiego. Był zadziwiająco pogodny, kojący wieczór. Delektowała się tym spokojem, delikatnym szumem drzew w lekkich podmuchach wiatru.

— Jesteś pewna, że nie należy mi się choćby mały pocałunek, Lizzie? Na pamiątkę starych dobrych czasów? — Freddie oparł się ciężko na ogrodzeniu obok niej, utrzymując z trudem równowagę. Trzymał kurczowo jej żakiet.

— Jakich starych czasów? Zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi, Freddie — zauważyła Elizabeth.

— Więc na dobre przyszeły czasy, które nie nadejdą. Obiecuję, że zadzwonię do Charlotte i nie będę cię więcej niepokoił, ale pocałuj mnie, proszę, tylko ten jeden raz. No, Lizzie, bądź miła.

— Przepraszam, Freddie — chciała przejść obok niego — ale to ponad moje obowiązki. Całus w policzek to wszystko, co ci się należy. — To było wszystko, na co mogła się zdecydować. Freddiemu jednak udało się przygnieść ją do ogrodzenia i próbował obrzucić jej twarz pocałunkami. Elizabeth uderzyła go mocno łokciem.

— Stajesz się nudny, Freddie, i zamierzam o tym powiedzieć Charlotte, o ile nie będziesz uważał, więc proszę cię, przestań! — Panowała nad sytuacją, ale była zirytowana i wzburzona. Nagle Freddie został odciągnięty od niej i ktoś potrząsnął nim gwałtownie. Jego usta wciąż się jeszcze otwierały i zamykały, jakby ją całował, wciąż miał zamknięte oczy. Wyglądał jak ryba wyciągnięta z wody. Elizabeth zarumieniła się i spojrzała w oczy Milowi.

— Czy chcesz, żebym coś z nim zrobił? — zapytał, gdy zamarła w milczeniu.

— Myślę, że znalezienie taksówki, która by go odwiozła do domu, byłoby dobrym pomysłem. Nie może prowadzić w takim stanie. — Starła się odpowiadać obojętnie, próbując dorównać opanowaniu Mila. — Dobranoc, Freddie. Nie zapomnij zadzwonić do Charlotte. — Freddie został odprowadzony do najbliższego postoju taksówek i niezbyt delikatnie wsadzony do samochodu. Kiedy Mil powrócił, Elizabeth była już opanowana.

— Powiedziałbym, że Freddie Cooper nie jest w twoim typie. Zasłużył chyba na policzek — powiedział Mil i sięgnął do kieszeni po papierosa, a kiedy ich tam nie znalazł, zaklął i popatrzył na Elizabeth stojącą w świetle lamp ulicznych. Delikatna i szczupła, wyglądała na wyczerpaną. Kątem oka zauważył, że Hugo złapał inną taksówkę i właśnie pomagał wsiąść Annette i Camilli. Zawahał się.

— Freddie był pijany, to wszystko. Ty nie byłeś. — Elizabeth otworzyła torebkę, znalazła klucze do samochodu i zamknęła ją z trzaskiem. — Poradziłabym sobie z nim, ale dzięki za pomoc — powiedziała to szorstko i Mil poczuł dziwną chęć sprawienia, aby dziewczyna roześmiała się jak kiedyś, radośnie i po przyjacielsku. W jej głosie brzmiała niechęć i nie mógł tego znieść.

Dlaczego jesteś na mnie wściekła, Lizzie? Co ja takiego zrobiłem — chciał powiedzieć, ale zamiast tego nachylił się nad jej małą upartą twarzą i pocałował jej usta, zanim zdołała tego uniknąć. Były bardziej miękkie i pełniejsze, niż oczekiwał, i przez moment nie mógł się im oprzeć, rozchylił je delikatnie i pogłębił pocałunek. Mgliste, nieprzyjemne wspomnienie z przeszłości i jej próba uwolnienia się sprawiły, że niechętnie oderwał się od niej, zirytowany ponownie.

— Tak, z tym też sobie poradzisz bez trudu, prawda? Tak jak ci się wydawało, że poradzisz sobie z motorem Jose-Marie i z tym przyjęciem, na którym cię znalazłem w Plaža Gonzalez, czy też wtedy, kiedy niemal

60

utonąłaś w Bendinat i Bóg wie z ilu jeszcze problemami, z którymi twierdziłaś, że sobie poradzisz — powiedział szyderczo. Jest wściekły — pomyślała Elizabeth cofając się zakłopotana. Patrzyli na siebie przez chwilę.

— Jeżeli nie będziesz ostrożna, to pewnego dnia spotka cię coś, z czym nie będziesz umiała sobie poradzić i nie będzie obok ciebie nikogo, kto mógłby ci pomóc. Pomyślałaś kiedyś o tym?

— Przestań, Mil! Już od dłuższego czasu nie przejmowałeś się tym, że masz być moim bohaterem, czy też bohaterem kogokolwiek innego. Właściwie przez ostatnie kilka lat twoja lśniąca zbroja tak zardzewiała, że wątpię, czy ktoś rozpoznałby w niej to, czym była kiedyś. — Zauważyła, jak przez jedną krótką chwilę jego oczy zareagowały, jakby udało jej się zburzyć mur, który zbudował wokół siebie, a który miał go chronić przed krytyką innych. Złość, ból, konsternacja. Odczytała te uczucia z jego twarzy, ale mówiła dalej: — Udało mi się jakoś przeżyć bez ciebie przez ostatnie dziesięć lat i zwykle udaje mi się osiągnąć to, co zamierzam. Freddie nie miał na myśli nic złego, po prostu był pijany.

Przerwała, próbując uporządkować myśli.

— Dziękuję ci za pomoc. Przepraszam, że nie byłam bardziej... wdzięczna. — Powiedziała to powoli i zobaczyła zmianę w jego oczach, ale nie wiedziała, co może oznaczać. Usłyszeli głos Hugo wołający od taksówki, zmieszany z pełnymi zniecierpliwienia głosami dziewcząt. Mil wyprostował się i wycofał, stając się ponownie rozbawiony i obojętny.

— Cóż, zawsze musiałas mieć ostatnie słowo, Lizzie, i zwykle to było coś przykrego, więc nie staraj się nawet przeproszać. Jesteś pewna, że nie chcesz, żebyśmy cię podwieźli? A może przyłączysz się do nas? — Uniósł brew i roześmiał się, kiedy potrząsnęła przecząco głową, wycofując się na bezpieczną od niego odległość. Odeszła, a on pomachał za nią ręką.

Stał tam jeszcze przez chwilę, obserwując ją do momentu, kiedy znikła z widoku. Czowała na sobie jego wzrok, kiedy jej pantofle wyraźnie stuknęły o chodnik odbijając się echem na pustej ulicy. Plecy miała wyprostowane, aż do chwili, gdy skrzyła za róg.

Jej samochód stał zaparkowany pomiędzy dwoma większymi autami, pogrążony w mroku, poza zasięgiem lampy. Otworzyła samochód, wsiadła, spojrzała na ulicę i zauważyła jedną ze swoich ofiar biegnącą przez skwer. Nie był to mężczyzna z bladą twarzą, ale jego zastępca, asystent — Oliver Trent. Nie oglądając się na boki podążył spieszenie w stronę swoje-

go samochodu, zaparkowanego na placu. To chyba lamborghini — pomyślała. Nawet Mil nie jeździ czymś takim. Przez chwilę była zła na siebie, że to pomyślała, że jej myśli nie były skupione na śledztwie. Co ma teraz zrobić? Mogłaby śledzić Trenta, ale nikt nie wiedziałby, gdzie jest, i byłaby zupełnie sama, jeżeli coś by poszło nie tak. Ale z drugiej strony, może właśnie teraz naprowadziłby ją na transport? Jeżeli teraz tego nie wykorzysta, może nigdy nie dokończyć artykułu. Jakieś wewnętrzne przeczucie podpowiadało jej, że to właśnie ten moment, na który czekała. Miesiące pracy, poszukiwania faktów, zadawania pytań, łapówek, żeby zdobyć informacje, oczekiwania, jak tego wieczoru, żeby coś się wreszcie stało i pomogłoby jej rozszyfrować tę sprawę. A teraz mogła to wszystko stracić. Strzeliła palcami, jakby chciała zachęcić samą siebie. Do diabła z Milem, do diabła z Charliem, do diabła z jej regułami bezpieczeństwa. Nie pozwoli, żeby ta sprawa jej się wymknęła. Przynajmniej spróbuje. Uruchomiła silnik.

Rozdział czwarty

Co, do diabła, robiłeś tam tyle czasu, Mil? — podpity Hugo oparł się na ramieniu Annette, czując, że nachodzą go mdłości. Jęknął, obserwując przyjaciela, który wsiadał do taksówki.

— Freddie Cooper naprzykrzał się Liz. Zapakowałem go do taksówki i odesłałem do domu.

— Liz? Liz Barrett? O Boże! Widziała mnie? — Hugo nagle poczuł się zupełnie trzeźwy, jego usta wykrzywiły się w pełen bólu grymas. Czuł, jak Annette siedząca obok niego odsuwa się gwałtownie.

— Być może. Niewiele jest w stanie umknąć uwadze Liz. — Mil powiedział to suchym, zrezygnowanym głosem. Hugo zamrugał oczami.

— To znaczy?

— Wątpię, czy była tobą zainteresowana, Hugo. Jeżeli już, to zupełnie przypadkowo. Nie martwiłbym się na twoim miejscu. Dlaczego nie miałbyś tutaj przychodzić? Helen też tu była — Mil odniósł się zupełnie obojętnie do pełnego zakłopotania zdziwienia Hugo. — Postaraj się pamiętać, że jesteś wolny. Możesz mi wierzyć, że to nie ciebie obserwowała Liz.

— A więc kogo? — zapytała Annette siadając wygodniej obok Hugo i przytulając się do niego mocno. Wstrząsnął ją gwałtowny dreszcz napiętości. — A może ciebie? — Jej twarz przybrała figlarny wyraz, gdy próbowała wyśmiewać się z próżności swojego szefa.

— Nie, nie tym razem — uśmiechnął się Mil. — Kogoś zupełnie inne

63

go, kogo nawet nie rozpoznałem. Podejrzewam, że ten ktoś stanie się obiektem jednego z zacieklej ataków Lizzie. Jestem pewien, że będzie to dla niego bolesne doświadczenie.

— Elizabeth Barrett. Pisze artykuły demaskujące afery różnych firm, a czasami także pojedynczych osób. Głównie zajmuje się sektorem publicznym, prawda? — Annette spojrzała na Mila oczekując jego aprobaty i rozbawiło ją pełne smutku skinienie głowy. — Teraz pracuje dorywczo w różnych gazetach, odkąd rzuciła Charliego Steina.

— Ach, już wiem! Dziewczyna Charliego Steina. Zdemaskowała skandal rady z Redditch. Aleja słyszałam, że było odwrotnie, to on ją zostawił — głos Camilli był pełen ulgi, kiedy udało jej się przypomnieć, kim jest dziewczyna, o której wszyscy mówili. — I nie ma w tym nic zaskakującego. Słyszałam, że jest na liście tych, którzy mają dostać tytuł szlachecki, o ile będzie żył przykładnie z własną żoną.

Wszyscy odwrócili się zdumieni jej słowami. Mil uśmiechnął się z przymusem i potrząsnął głową.

— Jesteś prawdziwą kopalnią informacji, Camillo. Skąd wiesz o tym wszystkim?

— Och, z różnych źródeł. — Camilla uśmiechnęła się do niego sennie. — Ludzie lubią mówić, a ja lubię słuchać. — Założyła prowokacyjnie nogę na nogę, obserwując wciąż Mila. Jej ciasna spódnica odsłoniła ciemniejsze zakończenia rajstop. Przeciągnęła po wargach różowym koniuszkiem języka. — Słyszałam też, że obecnie uwzięła się na ciebie. Czy to prawda? — Nie widziała, jak Annette pochyliła się z zainteresowaniem do przodu.

Obserwowała tylko Mila, który uśmiechał się smutno.

Elizabeth była dobrym i pewnym siebie kierowcą, bardziej skłonny do przewidywania nie skoordynowanych poczynań innych kierowców niż do reagowania na nie, ale zdała sobie sprawę, że Oliver Trent należy do zupełnie innej ligi. Mężczyzna prowadził tak, jakby na drodze nie było nikogo oprócz niego, niebezpiecznie szybko, wyprzedzając na zakrętach i przy mostach kolejowych. Zachowywał się zupełnie jak wariat i Elizabeth zaczęła się obawiać, że dostrzegł, iż ktoś go śledzi i próbuje uciec. Ale uparcie jechała za nim. Jej spocone dłonie trzymały kurczowo kierownicę, a w żołądku czuła ogromny strach, gdy podejmowała ryzyko, na które nie pozwoliłaby sobie w żadnej innej sytuacji. Coś wewnątrz

72

niej, jakaś wściekłość i złość pchały ją do przodu, rozwiewając wszystkie wątpliwości.

Jechali teraz po południowej stronie rzeki, wzdłuż Jamaica Road, i Elizabeth doszła do wniosku, że Oliver Trent zawsze tak jeździ, bez względu na to, jaki ruch panuje na drogach. Kryła się za samochodem jadącym przed nią i obserwowała, jak Trent zwiększa obroty silnika przed czerwonymi światłami, które zatrzymały go w miejscu.

Widziała, jak jego palce wybijają rytm na kierownicy w takt muzyki, która była doskonale słyszalna z jego wozu.

Nagle ruszył z piskiem opon, aż zarzuciło tyłem samochodu. Przyspieszył gwałtownie. Mając się na baczności, pojechała za nim, pewna, że za chwilę skręci w lewo, gdzie wzdłuż rzeki rozciągała się dzielnica drogich mieszkań, i pogrzebie jej oczekiwania udając się do domu, idąc spokojnie spać. Ale jechał wciąż naprzód. Wjechali w dzielnice, których zupełnie nie знаła. Był to labirynt bocznych ulic położonych w pobliżu linii kolejowej. Sunęli z ogromną prędkością wzdłuż nie wykończonych budynków i zniszczonych ogrodzeń. Elizabeth jechała za nim prawie po omacku, gdyż wyłączyła światła obawiając się, że zostanie zauważona.

Nagle skręcił w prawo i zniknął jej z oczu. Elizabeth skręciła za róg i zatrzymała się, nic nie widząc w panujących ciemnościach. Zwykle nie postępowała w ten sposób i nie była pewna, czy powinna dalej śledzić Trenta. Ale jeżeli teraz go zostawi... Niechętnie ruszyła do przodu, tocząc się wolno, aż do chwili, kiedy znowu zobaczyła jego samochód. Stał zaparkowany przy jakimś magazynie, opodal innego samochodu. Zakłęła nagle, kiedy zobaczyła, że głowa tego drugiego kierowcy wysunęła się szybko z samochodu, jak gdyby wyczuł jej obecność, a jego oczy zaczęły przeszukiwać mrok. To była wąska ulica i nie miała szansy na wycofanie się tą samą drogą, którą przyjechała. A poza tym, to tylko jeszcze bardziej zaniepokoiłoby mężczyznę. Już lepiej jechać do przodu i pozwolić im upewnić się, że jest tylko kobietą. Oni z pewnością zlekceważą obecność kobiety. Może by tak udać, że się zgubiła?

Wyciągnęła mapę i zatrzymała się tuż obok lamborghini, odsuwając szybę. Oliver Trent popatrzył na nią z irytacją, podczas gdy na twarzy drugiego mężczyzny widniała tylko ciekawość. Był potężnie zbudowany i wyglądał raczej nieciekawie, z wyjątkiem nosa, który przypominał jej ogromny czerwony kartofel. Uśmiechnęła się lekko.

— Przepraszam, ale trochę się zgubiłam. Czy mogliby mi panowie powiedzieć, jak wyjechać na Southwark Park Road? Chciałam pojechać na skróty, ale tutaj żadna z ulic nie jest prosta, a później jeszcze ta linia kolejowa i pomyślałam sobie, widząc inny samochód, że jak pojedę za panem to może wyjedziemy w bardziej znane okolice, ale chyba nie wyjechaliśmy — brnęła dalej, jakby brakowało jej powietrza, starając się mówić jak mała dziewczynka, z wyraźnym akcentem wyższych sfer. Zauważyła, że wyraźnie się odprężyli.

— Chyba trochę za późno, żeby jeździła pani sama, szczególnie w tej okolicy. Tym bardziej z wyłączonymi światłami — powiedział ten drugi. Brooklyn czy Bronx? — nie była pewna, jaki to akcent. Nachylił się nad samochodem, kładąc rękę na odsuniętej szybie. Dostrzegła jakieś dziwne znaki na jego palcach. Napisy cyrylicą? Prawdopodobnie.

— O mój Boże, czyżbym znowu zapomniała je włączyć? Zawsze mi się to zdarza. Ostatnio miałam w związku z tym straszne problemy z policją. Bynajmniej nie było to zabawne. — Zachichotała. — Dziękuję bardzo, że pan mi przypomniał. — Uśmiechnęła się do niego zadowolona, że nigdy nie zgadzała się na umieszczenie swojego zdjęcia obok artykułu. Była pewna, że niewielu ludzi jest w stanie ją rozpoznać. Jeszcze mniej osób zdawało sobie sprawę, że to ona przyczyniła się do zdemaskowania skandalu związanego z inwestycjami lokalnego samorządu Red-ditch czy też szefów Triady z Hongkongu, zdobywających wpływy w Soho. A Trent pewnie nie zauważył jej siedzącej w kącie Annabel, gdyż całą uwagę skupiała na sobie hałaśliwa grupa Hugo i Mila. Przynajmniej taką miała nadzieję. Oliver Trent posłał jej szybki uśmiech, na który nie udało się jej odpowiednio zareagować. Facet był już wyraźnie zniecierpliwiony i znudzony.

— Na końcu tej ulicy w lewo, później w prawo, następnie proszę jechać tą drogą aż do ostrego zakrętu w prawo, później proszę skrócić w pierwszą w lewo. Zrozumiała pani?

— W lewo, w prawo, w prawo, w lewo. Zrozumiałam, dziękuję. — Uśmiechnęła się blado i wrzuciła pierwszy bieg odjeżdżając powoli, mimo że ten drugi mężczyzna wciąż pochylał się do przodu, rzucając jej jeszcze jedno spojrzenie. Czyżby ją rozpoznał? Czy posiadał szósty zmysł, którego najwyraźniej brakowało Trentowi? I co, do diabła, ma teraz zrobić? Zaparkować, podkraść się do nich i spróbować podsłuchać, o czym mówią?

74

Problem rozwiązano za nią. Nagle ujrzała jakiś ruch na drodze przed sobą. Kilka osób zablokowało ulicę, usłyszała walnięcie pięścią w dach, nakazujące jej zatrzymanie samochodu. Gwałtownie zahamowała.

Co teraz? — pomyślała. Jej nerwy były napięte do ostatnich granic. Zmusiła ponownie usta do uśmiechu, ale jej dłonie na kierownicy drżały. Potrafisz się wydostać i z tego, Lizzie, udało ci się przed chwilą, to i teraz się uda.

Wezmą cię za zwykłą dziwkę, bo jesteś odpowiednio ubrana. Tylko uspokój się — przekonywała siebie. Odsunęła szybę.

— Co się stało?

— Proszę wysiąść z samochodu — mężczyzna ubrany w dzinsy i lekką kurtkę zapinaną na suwak pochylił się, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Pokazał jej odznakę policyjną i Elizabeth poczuła, że całe zdenerwowanie ją opuszcza.

— Policja. Dzięki Bogu — zamruczała do siebie, wysiadając z samochodu. — Dzięki Bogu.

Przez chwilę czuła, jak nogi zadrżały pod nią, ale natychmiast powróciły jej siły i stanęła prosto.

— Proszę o dokumenty. — Mężczyzna ubrany na jasno był uprzejmy, ale stanowczy. Rozejrzała się ciekawie wokół, zauważając trzech czy czterech innych mężczyzn ubranych podobnie. W światłach samochodu były też widoczne inne postacie poruszające się cicho nieco dalej.

Szukając w torebce prawa jazdy, zdawała sobie sprawę, że przyglądają się jej uważnie.

— Proszę bardzo — podała dokument zastanawiając się, czy będą chcieli jej wyjaśnić, co się tutaj dzieje. Z pewnością miało to coś wspólnego z tamtymi dwoma, których zostawiła z tyłu.

— Pani Elizabeth Barrett, zamieszkała na Morton Place 11 A, czy tak? — Policjant był zupełnie poważny i Elizabeth poczuła, że serce zamiera jej w piersi. Nie znał jej i zupełnie jej nie ufał.

— Tak. Jestem dziennikarką.

— I sądzi pani, że to wyjaśnia, co pani tutaj robi o tej porze i to tak ubrana? — Jego głos stwardniał i Elizabeth westchnęła. Był zupełnie młodym mężczyzną, może nie starszym od niej, ale miał nad nią niewątpliwą przewagę w tej sytuacji.

— Tak. Śledziłam kogoś, o kim zbieram informacje do mojego artykułu. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego mnie zatrzymano? — ton jej głosu wyraźnie się zaostrzył i stał się bardziej pewny. Policjant umilkł na chwilę.

— W tej chwili przeszkadza nam pani w prowadzeniu dochodzenia pani Barrett. Niestety muszę przeszukać panią i pani samochód. Proszę odejść od samochodu i podnieść ręce do góry.

- Chyba nie będzie to konieczne - rozległo się w ciemności. -W porządku, Johnson, ręczę za panią Barrett. - Jakiś mężczyzna wyszedł z cienia. Elizabeth uśmiechnęła się blado.

— Jimmy Mycock - kiwnęła głową, wyciągając do niego dłoń.

— Chyba zjawiłem się w porę? — zapytał.

Niski, ciemnowłosy mężczyzna o śniadej cerze i jasnych oczach ucisnął jej dłoń. Pokiwał uspokajająco głową w stronę oficera.

— Mieliśmy już ze sobą do czynienia. - Spojrzenie oficera, który obserwował Elizabeth zastanawiając się, jakie mogli mieć wspólne interesy, rozbawiło go jeszcze bardziej. Oficer wycofał się.

— Co cię tutaj sprowadza, Liz? Może chciałabyś mi powiedzieć coś ciekawego? — Mężczyzna objął Lizzie ramieniem i odszedł z nią na bok. Potrząsnęła figlarnie głową.

— To moje śledztwo, Jimmy. Jeżeli powiem ci wszystko, co wiem zapewnisz mi, że będę mogła zobaczyć, co się tam będzie działo jak ich przyłapiecie? Łącznie ze zdjęciami? Zgoda?

— Pozwolić ci zobaczyć? Zdjęcia? O, nie. - Uśmiechnął się konspiracyjnie. — Ale po tym wszystkim powiem ci, co się stało. Ze wszystkimi detalami. - Mrugnął do niej. - Zresztą wiesz dobrze, co oni tam mają, prawda, Lizzie?

— A ty nie wiesz? Daj spokój, Jimmy. Pełne wyposażenie. Spluwy — wyjaśniła rozbawiona, podczas gdy Mycock wciąż udawał, że nic nie wie.

— Broń, no tak... — przerwał, jakby oceniając informację. — A do kogo ta broń ma trafić, Lizzie, jak myślisz?

— Do czegoś, co się nazywa *Organizatsiya* w byłym Związku Radzieckim, jak sam dobrze wiesz. Pomoże im to w prowadzeniu interesów, a szczególnie w handlu narkotykami. Czy potwierdziłam twoje informacje wystarczająco, żebyś mógł już ruszyć do akcji? Jest tam w tej chwili Oliver Trent z potężnym mężczyzną z czerwonym nosem, z akcentem prosto z Brooklynu i o bardzo podejrzliwej naturze Ale jeżeli jeszcze trochę zaczekasz, to ich tam już nie będzie. A... przypomniałam sobie, że miał jakieś dziwne napisy na palcach, o tutaj - zademonstrowała — prawdopodobnie to cyrylica. I był trochę nerwowy. Zniknie jak tylko załatwi interes.

76

Mycock wymienił spojrzenia ze swoim podwładnym.

— Myślisz, że to Vadim? — zapytał Johnson podniecony, ale umilkł natychmiast pod spojrzeniem Mycocka.

— I wtedy nie będziesz miała o czym napisać, czy to właśnie chcesz powiedzieć, Lizzie? — Ale Mycock uśmiechał się, wszystkie zatem jego wątpliwości zostały rozwiane.

— Długo nad tym pracowałam, Jimmy — upierała się Elizabeth. — Nie zmarnuj mi tego.

— Przecież nie mógłbym tego zrobić! — Dał znak swoim ludziom i podprowadził Elizabeth do jej samochodu. — Jedź teraz do domu, moja droga, i zadzwoń do mnie z samego rana, a ja ci powiem, jak się to wszystko odbyło. Nie chcę, żebyś tu była z nami i żeby ci bandyci widzieli cię, szczególnie że, jak słyszałem, dostałaś już ostrzeżenie. — Poczuł, jak Elizabeth wstrząsnął dreszcz.

— Nie sędzę, żebyś chciała im zdradzić, że prowadzisz to śledztwo, prawda? — Podniósł brew, kiedy potrząsnęła przecząco głową. — Cóż, chcę przez to powiedzieć, że *Organizatsiya* nie jest zbyt pobłażliwa dla informatorów czy też ludzi, którzy wydobywają na światło dzienne ich ciemne interesy. Więc jedź do domu i połóż się spać. Obiecuję, że ten temat jest twój.

Elizabeth wiedziała, że Jimmy Mycock zawsze dotrzymywał słowa. Kiwnęła głową, wsiadła do samochodu i odjechała.

— Dobrze ją pan zna? — dopytywał się Johnson, kiedy Mycock powrócił do swoich ludzi. — Czy można jej ufać?

— Lizzie Barrett dała mi bardzo ważne informacje w sprawie skandalu w Reddith. Ma nosa do takich spraw. I nie popuści, dopóki nie są rozwiązane. Tak, ufam jej całkowicie. I to sprawia, że nasza robota dzisiaj pójdzie łatwiej. Bo jeżeli Lizzie twierdzi, że tam jest broń, to znaczy, że jest, rozumiesz, Johnson? Myślę, że już czas na nas.

Hugo powoli budził się ze snu, wciąż jeszcze pełen słodkich marzeń o haremach wypełnionych smagłymi dziewczętami w kusych strzępach gazy i złotych łańcuchach opinających ich brzuchy, uda i piękne, gładkie pośladki. Boże — pomyślał — jaki cudowny sen.

Powoli rozglądał się dookoła jeszcze przez współprzymknięte powieki. Jęknął zaskoczony. Dziewczyna leżąca obok niego próbowała wzbudzić w nim pożądanie, a jego rozum, wciąż pogrążony we śnie, starał się prze

konać go, że wszystko jest w porządku i że dziewczyna leżąca obok niego to Helen. — To powinna być Helen — wyszeptał. — To możliwe.

Zamknął ponownie oczy, starając się zakłócić obraz leżącej przy nim dziewczyny, widząc znowu w marzeniach Helen, jej piękne ciało, wspaniałe ciemne włosy falujące na plecach. Ale chociaż starał się zatrzymać ten obraz jak najdłużej, ten jednak powoli rozwiewał się i w końcu znikł zupełnie. Jęknął rozczarowany i zirytowany.

Odwrócił się na drugi bok i prześcieradło ześlizgnęło się z jego ciała. Zimne poranne powietrze wstrząsnęło nim. Zupełnie obudzony poczuł pulsujący ból w prawej skroni i drażniącą suchość języka. Wciąż jeszcze czuł pożądanie, które rozpałała w nim dziewczyna, ale serce w nim zamierało na myśl, że to nie była Helen. Nie chciał się kochać z żadną inną.

Z jękiem spojrzał na sylwetkę dziewczyny leżącej na łóżku. Jej długie, opalone nogi wysunęły się spod prześcieradła, jasne włosy spływały po poduszce. Odwróciła od niego twarz, ale wiedział, że to była Camilla. Jej ciało było mocno opalone, gładkie i bez skazy. Nakryła głowę poduszką, kiedy włączył lampę. Udawała, że nie odrzucił jej, że nic się nie stało. Hugo wyślizgnął się z łóżka.

Mój Boże, co ja narobiłem — zastanawiał się siedząc i wpatrując w dobrze mu znane malowidło pokrywające niemal całą ścianę naprzeciw łóżka. Chciał przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Annette poszła do domu. Pamiętał, jak poklepała go po policzku i powiedziała, jak to było... „Nie ma sensu zaczynać z facetem, który wypił aż tyle”. Ale Camilla została, piła jeszcze, próbowała kochać się z Milem. Zastanawiał się, jak to się stało, że leżała teraz w jego łóżku, a nie w łóżku Mila. Mil nie był w najlepszym nastroju ostatniego wieczoru. Właściwie humor mu nie dopisywał już od jakiegoś czasu.

Stanął niepewnie na nogi, jęknął ponownie, gdy ból w czaszce znowu się odezwał. Jasnożółte zasłony świeciły, jakby słońce przemieniło je w złoto. Ruszył ciężko do drzwi, stąpając bosymi stopami po dywanie z juty, sięgnął po szlafrok, który zawsze zostawiał u Mila, i zawiązując go ciasno skierował się do łazienki. — Dzięki Bogu, że to piątek — mruknął. Potrzebuję dwóch aspiryn i dużej szklanki wody, bo inaczej ten ranek będzie nie do wytrzymania — pomyślał znużony, a później doszedł do wniosku, że bez Helen i tak nie warto żyć.

— Do licha z tobą, Helen — powiedział cicho. Zacisnął na chwilę powieki i uderzył wściekle dłonią o ścianę, zastanawiając się, dlaczego

70

mu to zrobiła. I nawet nie zaprzeczyła, nie próbowała się bronić. Tylko patrzyła na niego, zarumieniona ze wstydu, a jej spokojne spojrzenie było pełne bólu. Dlaczego, Helen, dlaczego?

Odwrócił się i sięgnął po buteleczkę z lekarstwem. Połknął szybko dwie tabletki, odrzucając pokusę, żeby wziąć więcej. Nie było na to odpowiedzi, nie było powodu, dla którego miałyby to zrobić. Skierował się przez przedpokój do kuchni. Zaklął, gdy uderzył boleśnie palcem o próg. Znał mieszkanie Mila równie dobrze jak swoje, ponieważ często u niego zostawał, kiedy był zbyt pijany, aby wracać do siebie. Nie mógł sobie pozwolić na skandal. Na jego stanowisku nie byłoby dobrze, gdyby został złapany na prowadzeniu po pijanemu, a ostatnio był pijany niemal każdego wieczoru. Skrzywił się i wypił dużą szklankę wody, czując w ustach rezultaty wczorajszego szampana. Kuchnia była wysoka, długa i wąska. Po obu stronach stały pomalowane na biało szafki ze szklanymi drzwiczkami. Szkło oświetlone mocnymi promieniami słońca, wpadającymi przez okno, odbijało jeszcze mizerniejszy wizerunek Hugo niż lustro w łazience. Mniej więcej pośrodku kuchni było miejsce wydzielone na śniadanie, eleganckie niebie-sko-białe zasłony wisiały po obu stronach drzwi francuskich, które prowadziły na taras i do położonego poniżej ogrodu.

Pod zasłonami, które rzucały nieco cienia na zalaną ciepłym, letnim słońcem kuchnię, stały wielkie donice z białymi hortensjami, lawendą, drzewami wawrzynowymi i bukszpanowymi, które zasadził główny ogrodnik Compton Lacey. Wyglądały przepięknie, ale to nie Mil dbał o nie, tylko jego gospodyni, pani Bridges.

Hugo marzył o tym, żeby znaleźć swoje okulary przeciwsłoneczne i siedzieć na tym tarasie pijąc kawę przez cały dzień. Może nawet przez cały rok? Ale miał być wcześniej w pracy, żeby zaradzić awanturom, które wybuchły podczas ostatniego meczu krykietowego. Pomyślał zgryźliwie, że Harvey i tak będzie w biurze przed nim, nawet jeżeli wyjedzie już teraz. Nie wspominając już o „porannych modłach” z ministrem, z którym należało omówić wszystkie sprawy na cały tydzień. Ale przecież — pomyślał nagle i jego czarny humor natychmiast się poprawił — wcale nie będzie go w biurze przez następny tydzień i jeszcze następny. Przecież od dzisiejszego wieczoru jest na urlopie.

Bóg wie, dlaczego obiecał wspierać Mila w całym tym zamieszaniu związanym z uroczystościami letnimi w jego posiadłości, które jak zwy-

kle miały się odbyć w Compton Lacey w sobotę. Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl i zastanawiał się, dlaczego nie wpadł na to wcześniej.

Może zobaczy Helen podczas tego weekendu? Może ona także będzie na uroczystościach? To bardzo możliwe — bywała tam często. Porozmawia z nią, wyjaśni sobie kilka spraw. Może Helen zda się na jego wspaniałomyślność, a on będzie tak dobry i jej wybaczy?

Wszyscy popełniają błędy. Camilla leżąca teraz w jego łóżku była tego dowodem, mimo że nic pomiędzy nimi nie zaszło. Zresztą, kto by w to uwierzył? To jest właśnie rozwiązanie. Helen go przeprosi, pocałują się na zgodę i wszystko będzie jak dawniej — pomyślał. Może nawet pobiorą się jeszcze w tym roku? Dlaczego nie?

Podniesiony na duchu tymi rozmyślaniami, przeszedł cicho przez przedpokój, zaglądając do salonu, nieskazitelnego w swoich jasnych kolorach, z olbrzymim orientalnym dywanem na lekko lakierowanej drewnianej podłodze.

Kolekcja dziewiętnastowiecznych figur z brązu i srebrnych pudeł stała tu na dużym, orzechowym stole, a czysta, lustrzana ściana pomiędzy oknami balkonowymi odbijała inne, wypukłe lustro pamiętające czasy panowania Jerzego IV i ciemne plecione koszyki z białymi hortensjami. Białe półki wisiały po obu stronach marmurowego kominka.

Wszędzie panowały książki, które Mil czytał, kiedy przesiadywał tu do późna w nocy nie mogąc zasnąć, zatopiony w swoim ulubionym fotelu w rogu pokoju, gdzie pojedyncza lampa oświetlała niewielki krąg salonu. Ostatnio — pomyślał Hugo — Mil często przebywał tutaj.

Nagle wydało mu się, że słyszy jakieś głosy, zatrzymał się kierując głowę w stronę gabinetu Mila. Mil rozmawiał z kimś przez telefon. Hugo spojrzął na zegarek. Była dopiero szósta trzydzieści. Interesy chyba rzeczywiście nie idą najlepiej — pomyślał.

Hugo stał przez chwilę zastanawiając się, czy powrócić do łóżka, czy też ubrać się i jechać do domu. Teraz już był wystarczająco trzeźwy.

O tej porze dnia nie zajęłoby mu zbyt dużo czasu przejechanie od Mila w Pimlico do jego mieszkania w South Kensington. Gdyby tak nie założył wieczorowej muchy i pożyczył jedną z marynarek Mila, żaden gliniarz nie wpadłby na pomysł, żeby go zatrzymać i sprawdzić zawartość alkoholu we krwi. Byłby po prostu jednym z wielu spieszących do pracy. Usłyszał, jak głos Mila nabrał ostrości. Mil mówił po hiszpańsku

I Hugo zaskoczony jego tonem nie mógł się powstrzymać i zaczął nasłuchiwać, o czym mówią:

80

— ..nie potrzebuję jego rady. Powiedz mu, żeby się trzymał od tego z daleka...! Powiedziałem ci już, że wszystko będzie w porządku, tylko nie wpadaj w panikę. Nikt nie musi o tym wiedzieć, wszystko zostanie w rodzinie... Mój

Boże! Jakie mamy inne wyjście? Ty mi to powiedz! — Hugo zawstydzony nagle faktem, że podsłuchuje przyjaciela, ruszył cicho przez korytarz w kierunku sypialni.

Mil miał problemy w interesach, szczególnie tej części firmy, którą prowadził w Hiszpanii jego wuj Antonio. Powiedział mu o tym kilka dni temu. Nie jest to jednak nic, z czym nie mogliby sobie obaj poradzić, kiedy pojedą tam w niedzielę — tłumaczył sobie Hugo — a na pewno nie jest to nic takiego, co upoważnia go do podsłuchiwania przyjaciela.

Hugo spojrzał na Camillę. Prześcieradło okrywało tylko jej talie, odsłaniając pełne piersi. Perfekcyjnie okrągłe, opalone, z sutkami przypominającymi dojrzałe wiśnie, stwardniałymi pod wpływem zimnego powietrza. Spod prześcieradła wyłaniał się też gładki, płaski brzuch i szczupłe uda. Reszta prześcieradła spływała po jej długich nogach na podłogę. Wygląda jak rusałka— pomyślał— ze złotymi włosami rozrzuconymi na poduszce i ciemnymi długimi rzęsami rzucającymi cienie na jej policzki, kiedy tak śpi spokojnie z rozchylonymi ustami. Lekko zdziwiona, śpiąca rusałka. Uśmiechnął się i poprawił prześcieradło, okrywając ją delikatnie. Pocałował jej gładkie ramię i wyszedł z pokoju. Najwyższy czas, żeby pojechać do domu— pomyślał.

— *Elena? Elena...? Soy Marisa. Llama— me, por favor. Es muy urgente.* Helen? Helen? Tu Marisa. Zadzwoń do mnie, proszę, to pilne. — To absurdalnie krótka wiadomość, pomyślała Helen. — Z drugiej strony Marisa nie lubi rozmawiać z automatyczną sekretarką, nigdy nie wie, co powiedzieć. Zresztą i tak przekazała dużo w tych kilku słowach.

Czego mogła chcieć ich stara gospodyni z letnich wakacji — zastanawiała się Helen szukając jej numeru telefonu. Jej głos brzmiał dziwnie, wręcz płaczliwie. To jest podobne do Marii Luisy — pomyślała Helen uśmiechając się lekko. Łapała się za serce, ilekroć jako dzieci zbiegali w pędzie po stromych stopniach wydrążonych w skale, zawsze nawoływała ich, żeby zwolnili i uważali na siebie, a później zwykle narzekała na swoje serce: „*Aie, mi corazon!*” Siadała ciężko i wachlowała się, aby ochłonać po takim przeżyciu. Za każdym razem rozgrywał się ten sam dramat.

6 — Zraniona duma

81

Być może uległa w końcu namowom córki i postanowiła sprzedać swój dom i ziemię i zamieszkać z nimi? Może w końcu się zdecydowała i chce ustalić warunki?

Podniesiona na duchu, wybrała numer i czekała na połączenie. Natychmiast zobaczyła w wyobraźni mały, cichy zakątek w Bendinat, ukryty pomiędzy drzewami migdałowymi i dwoma pasmami skał wychodzących ku morzu. Dla większości ludzi Majorka jest hałaśliwą, wesołą miejscowością turystyczną. Dla Helen i jej rodziny to było cudowne miejsce, to był Bendinat, stare wille zbiegające w dół skał prosto do spokojnego, zielonego morza, wietrzne, zakurzone pola porośnięte pnączami tropikalnych roślin, leniwe godziny spędzane w kawiarni na zacienionym placu w pobliżu jedynej piaszczystej plaży w okolicy, tańce i sztuczne ognie podczas zabaw, ciemne topole wyznaczające granice starego pałacu na wzgórzu, gdzie mieszkał dumny wuj Mila. Cudowne miejsce na wzrastanie i być może równie cudowne miejsce na odzyskanie utraconego spokoju ducha — pomyślała. Ale nikt nie odbierał telefonu.

— Cholera! — zaklęła Helen i odłożyła słuchawkę. Spojrzała na zegarek. Prawie druga. Już czas zamykać. W piątki zawsze zamykała wcześniej. Pod koniec tygodnia nie miała zbyt dużego ruchu, nie było zainteresowanych poszukiwaniem ciekawych egzemplarzy sztuki iberyjskiej. Interesy najlepiej szły na początku tygodnia i to zwykle z dekoratorami, dealerami i właścicielami zagranicznych galerii. W piątki po południu każdy był zainteresowany tylko tym, by jak najszybciej wyjechać z Londynu. O tym samym marzyła Helen.

Zadzwońię do Marisy, jak tylko dotrę do Hardres — postanowiła i nagle zdała sobie sprawę, że sama skazuje siebie w ten sposób na dokuczliwe zainteresowanie iniepój matki. Gdyby nie było uroczystości letnich, pewnie w ogóle by nie pojechała. Ale obiecała Sofii pomóc na stoisku z ciastami, tak samo jak Liz, i teraz żadna z nich nie mogła już tego odwołać.

Obiecała sobie, że to będzie wizyta, po której nie zobaczą jej w Hardres przez długi czas. Zrobi dokładnie to, co zrobiła Liz, kiedy nie mogła już wytrzymać zainteresowania innych jej związkiem z Charliem. Dzwoni do domu, ale tam prawie nie przyjeżdża. Najwyżej na święta, takie jak Boże Narodzenie czy na urodziny. Zawsze się uśmiecha i nie widać po niej żadnych niepowodzeń. Powinnam brać przykład z Lizzie — pomyślała i uśmiechnęła się smutno.

82

Przynajmniej nie zgłosiłam się na ochotnika, żeby towarzyszyć matce i Sofii na herbacie w Fortnum's i na zakupach, bo później musiałabym je dźwigać — cieszyła się w duchu. Biedna Lizzie. To było wyraźne wykorzystywanie jej dobrego serca. Matka i tak nie będzie wystarczająco wdzięczna. Doskonale wiedziała, że matka nie ceniła Lizzie tak jak powinna. Na dodatek miały jechać pociągiem!

Zatrzymała się na chwilę przed lustrem wiszącym nad jej biurkiem, zaczesując długie jedwabiste włosy, tak ciemne, że niemal opalizujące kolorem indygo, i zebrała je umiejętnie w kok z tyłu głowy. Nałożyła jasny żakiet na białą bluzkę. Na jej piersiach kołysał się duży, złoty krzyż, nieco barbarzyński w wykonaniu. Helen bawiła się nim przez chwilę. Dostała go od Hugo na ostatnie urodziny.

Cóż, to był przynajmniej hojny dar na pożegnanie — pomyślała zaciskając usta pełne i delikatne jak pączek kamelii. Jej smutne oczy były zacienione długimi ciemnymi rzęsami, które podniosły się na moment, kiedy patrzyła na siebie w lustrze. Efekt był taki, jakby ktoś zobaczył fioletowy witraż podświetlony promieniami słońca. Ale usta Helen skrzywiły się jeszcze bardziej. Helen wiedziała, że jest piękna, ale ta piękność nie miała dla niej wartości, chyba że odbijała się w oczach innych, w ich podziwieniu. A Hugo już jej nie podziwiał, więc to piękno utraciło swój blask. To było takie głupie. Niemal zerwała złoty łańcuch z szyi szarpiąc nim gniewnie. Dlaczego wtedy spotkała się z Enrique? Dlaczego? Ponownie zobaczyła jego wrażliwą twarz, przeszedł przez nią dreszcz, gdy pomyślała o pocałunkach, którymi pokrywał jej twarz, szyję, piersi ukryte za opiętą suknią. Jęknęła głośno. Zbyt dużo wina, zbyt dużo pochlebstw — i wpadła w pułapkę zastawioną przez Enrique. A Hugo nie było przez kilka dni w mieście. Było to tylko kilka chwil, kilka minut szaleństwa i pożądania, a zapłaciła za nie tak wiele.

— Cóż, mój Hugo — powiedziała cicho do siebie — to moja wina i nie da się tego ukryć.

Sofia nie umiała prowadzić samochodu. Nigdy się tego nie nauczyła. A Margaret powiedziała, że nie będzie prowadziła samochodu w Londynie. Zmusiła więc Sofię, żeby pojechały pociągiem. Zwykle Elizabeth lub Helen odwoziły je z zakupami do domu, ale tym razem Helen musiała jeszcze pojechać do domu aukcyjnego w Maidstone, a samochód Eliza

beth był właśnie w naprawie. Nie pozostawało nic innego, jak zdecydować się na pociąg i dołączyć do całego tłumu ludzi uciekających w piątkowe popołudnie z gorącego i brudnego Londynu.

— Lizzie, weź ten ciężki pakunek od Sofii, dobrze? Nie widzisz, że się z nim męczy? Nie bądź śmieszna, Sofie, oczywiście, że Liz sobie z tym poradzi. Jest od ciebie o połowę młodsza. Pospieszcie się. Nie mogę zrozumieć, dlaczego obie tak się guzdracie— słowa Margaret wzbudziły jak zwykle sprzeciw Sofii.

— Prawdopodobnie dlatego, że wszystko niesiemy — mruknęła Sofia, czując, że zaczyna jej brakować powietrza. Gdyby Margaret nie uparła się na to ostatnie *millefeuille* — wysmienitą napoleonkę — miałyby wystarczająco dużo czasu, żeby bez pośpiechu dotrzeć na dworzec Victoria.

— Bzdura. Przecież niosę ciasto, prawda? Mogłoby się zupełnie pognieść, gdybym niosła coś jeszcze. — Margaret maszerowała z przodu w wygodnych butach, ubrana w szeroką, plisowaną spódnicę. Trwała ondulacja na jej siwych włosach zupełnie nie pasowała do jej twarzy, która kiedyś być może piękna, teraz była zniszczona przez zbyt częste przebywanie na słońcu.

Jej siostra, szczuplejsza i bardziej elegancka, kroczyła za nią drobnymi kroczkami w butach na wysokim obcasie i wąskiej spódnicy, która była zaprojektowana tak, jakby miała uniemożliwić ruch w jakimkolwiek kierunku. Jej srebrne włosy obcięte były krótko i twarzowo, w szykowną, modną fryzurę. Kiedyś była pięknocią, jak teraz Helen, i nie wyobrażała sobie, żeby mogła wyglądać lub zachowywać się inaczej. Jej przymglone, niemal fioletowe oczy wciąż rozglądały się wokół, poszukując spojrzeń pełnych podziwu i rzadko kiedy odwracały się rozczarowane.

Elizabeth zamykała pochód w żółtej jedwabnej bluzce i wyblakłych niebieskich dżinsach, które kiedyś opinały jej zgrabną figurę, ale teraz były mocno ściśnięte paskiem. Miała na sobie buty na niewielkim obcasie, które zawsze dawały jej pewność, że jest w stanie przejść bez problemu przez wszelkie przeszkody.

Elizabeth była w doskonałym humorze, gdyż właśnie ukończyła swój artykuł dzięki pomocy Mycocka i wysłała go do wydawcy ku obopólnemu zadowoleniu. Teraz oczekiwała z niecierpliwością niedzielnego wydania gazet. Jeżeli wydawca uzna go za dobry, będzie wart wszystkiego, co musiała dla niego wycierpieć — pomyślała.

76

Jej bursztynowe oczy śmiały się widząc, jak jej matka toruje sobie drogę. Bawiła ją głupota matki. Taki dobry nastrój zwykle nie trwa zbyt długo, najwyżej kilka godzin, a później powróci rzeczywistość. Nie pozwól, aby uderzył ci do głowy — powtarzała sobie. Ale to było bardzo trudne.

Nagle zobaczyła znajomą, nieskazitelną sylwetkę idącą zaledwie kilka kroków przed nimi przez halę dworcową. Szedł długimi krokami, zdając się połykać przestrzeń. Ludzie oglądali się za nim, mężczyźni z zazdrością, wciągając

brzuchy i próbując kroczyć w taki sam sposób, a kobiety zafascynowane, śledziły jego lśniące, jasne włosy, jeszcze długo po tym, jak zniknął w tłumie. Jak zawsze wydawał się zupełnie obojętny na otoczenie. Elizabeth ponownie spuściła głowę klnąc po cichu.

Co, do cholery, Mil robi na dworcu kolejowym — pomyślała rozwścieczona. Wydawało się, że ostatnio śledził ją. To było szczególnie denerwujące, jako że Elizabeth absolutnie nie chciała go widzieć, czy też z nim rozmawiać po ich nieprzyjemnym spotkaniu przed Annabel's. To przecież było wczoraj wieczorem. Jej się zdawało, że minął już wiek, ale Mil z pewnością jeszcze o niczym nie zapomniał.

Czy matka go zauważyła? Miała nadzieję, że nie. Nagle usłyszała ostry i wyraźny głos matki:

— George? George! — Mil odwrócił się zdziwiony i rozejrzał dookoła. Elizabeth zaklęła.

Nie ma innego wyjścia, musi do nich podejść. Sofia oddawała już z uśmiechem Milowi swoje pakunki, a jej matka zastanawiała się, czy może dołożyć swoje ciasto. Elizabeth spojrzała na Mila i zaczerwieniła się, widząc w jego spojrzeniu pełną rezygnację.

— Poradzisz sobie, Elizabeth, czy mam ci pomóc? — zapytał ironicznie i Elizabeth posłała mu wymuszony uśmiech. Miała mnóstwo paczek, ale on również był obładowany niosąc swoją walizkę, teczkę i jeszcze paczki Sofii.

— Czy sądzisz, że mógłbyś jeszcze poradzić sobie z tym wielkim pakunkiem? — przesunęła go w jego stronę, podczas gdy Mil starał się uchwycić wszystko razem. Wzięła ponownie dużą paczkę śmiejąc się. — Nie, jeszcze byś to upuścił. Na miłość boską, oddaj mi kilka pakunków Sofii.

— Mam być oskarżony o to, że jestem podłym człowiekiem? Nie ma mowy. Być może moja zbroja jest zardzewiała, ale mam nadzieję, że

jeszcze jest na swoim miejscu. Potrzebuję ochrony — dodał. — Pospieszmy się, bo wszystkie miejsca będą zajęte. Czy wy też może macie zarezerwowane miejsca?

— Też? — Elizabeth popatrzyła na niego, starając się dorównać mu kroku. — O mój Boże, a powinniśmy mieć zarezerwowane? Zwykle nie jeżdżę pociągami. Nie pomyślałam o tym. — Mil westchnął cicho.

— Może nie okaże się to konieczne. Wciąż mamy jeszcze dziesięć minut, może będzie kilka wolnych miejsc — powiedział z nadzieją. Ale oczywiście nie było. Widzieli przed sobą tłum pchający się do wejścia i pędzący, aby zająć miejsce. Tymczasem Mil starał się przyspieszyć krok starszych pań, doprowadził je do właściwego wagonu i pomógł wspiąć się do środka. Kiedy w końcu tam dotarli, wszystkie miejsca były już zajęte. Elizabeth zamknęła oczy.

Zaskoczona ujrzała, że jakiś młody człowiek ustąpił miejsca Sofii, być może wzruszony jej delikatnymi kostkami i przegubami rąk, które nie zniosłyby trudów takiej podróży. Mil wskazał jej matce jedno puste miejsce, które było zarezerwowane dla niego.

— To moje. Proszę tam usiąść. Postawimy wszystkie paczki przy pani — zarządził. Ale był to niezbyt dobry pomysł, bo matka wyciągnęła czym prędzej swoją książkę i zaczęła czytać. Sofia zamknęła oczy, pogrążając się w rozmyślaniach, pozostawiając Elizabeth uśmiechającą się do Mila.

— Naprawdę mi przykro — wymruczała niemal bezgłośnie.

— Z jakiego powodu? — Ustawił lepiej swoją teczkę i wyprostował się patrząc na nią. — Ze względu na paczki, utracone miejsce siedzące, długą podróż na stojąco czy ze względu na to, że będziesz musiała chociaż raz uprzejmie ze mną porozmawiać?

— Ze względu na wszystkie te przyczyny, a szczególnie tę ostatnią — odpowiedziała.

— Nie pozwól, by to zniszczyło twój styl — roześmiał się. — Bądź tak niemiła jak zawsze.

— *Gracias tanto por su permiso* — jej słowom towarzyszył słodki uśmiech. — Właśnie taka będę. Dlaczego nie jedziesz pierwszą klasą?

— Czy to pierwsze z twoich podchwytliwych pytań? Cóż, jeżeli musisz to wiedzieć, doszedłem do wniosku, że pierwsza klasa stała się diabelnie droga, i zdecydowałem, że mógłbym przecierpieć dwie godziny w mniej szlachetnym powietrzu drugiej klasy. Powinienem doświadczyć codziennych trudów tych wszystkich, którzy dojeżdżają do pracy,

aby sprawdzić, co nowego powinniśmy założyć w naszych planach sprzedaży — dodał, jak gdyby uprzedzając wszelkie inne pytania na temat sposobu, w jaki podróżuje.

— Mój Boże. Rzeczywiście musi brakować ci pieniędzy. Czy następnym posunięciem jest otwarcie Compton Lacey dla publiczności? Jakies targi w ogrodzie różanym, a może zoo w oranżerii?

— Raczej nie. — Z jego głosu powiało chłodem.

Pociąg nagle szarpnął do przodu i zatrzymał się wytrącając wszystkich z równowagi. Mil automatycznie objął Elizabeth w tali, gdy wpadła na niego, i przytrzymał ją tak przez moment, podczas gdy motorniczy dał sygnał, drzwi ostatniego wagonu zamknęły się i pociąg ruszył ponownie. Mil puścił Elizabeth. Cofnęła się mając nadzieję, że nie zauważył rumieńca na jej twarzy. Świeży zapach jego wody po goleniu, drażnił przez chwilę jej nozdrza.

Rozejrzał się wokół.

— A gdzie jest Helen?

— Ma dużo pracy. — To była krótka, cięta odpowiedź, jakby Elizabeth przypomniwała sobie podejrzenia co do udziału Mila w rozpadzie związku Helen. — Jak interesy?

— Mam dużo pracy. — Mil spojrział przez okno na płaskie lustro rzeki, które mijali. Elizabeth przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać.

— George, mój drogi, będziesz jutro na uroczystościach, prawda? — Margaret wysunęła głowę. — Pomyślałam sobie, że może miałbyś ochotę wpaść do nas po tej imprezie na obiad. Helen też będzie.

— To bardzo miło z pani strony, że mnie pani zaprasza, ale obawiam się, że przyjeżdżają do mnie przyjaciele na weekend i będę musiał się nimi zajmować.

— Och, możesz przyjść razem z nimi.

— Nie sądzę, żeby to było... mam na myśli, że...

— To ze względu na Hugo, prawda? — Elizabeth odgadła to od razu po sposobie, w jaki na nią spojrział. — Może innym razem, mamu. Nie w ten weekend.

— Bzdura, Lizzie. Pozwól, żeby George zdecydował o sobie. — Matka wyraźnie nie rozumiała. — Jestem pewna, że będzie chciał przyjść, prawda, George? — Elizabeth zastanawiała się, dlaczego matka nie mogła do niego mówić Mil, jak wszyscy inni. Dlaczego zwracała się do niego George — imieniem, którego nienawidził.

— Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, rzeczywiście wolałbym

skorzystać z zaproszenia innym razem. Obawiam się, że naprawdę nie będę mógł jutro. — Mil uśmiechnął się. Margaret wyprostowała się niezadowolona i powróciła do książki mruczając:

— No cóż, dobrze.

— To chyba trochę nieuczciwie sprowadzać Hugo na jutrzejsze uroczystości— powiedziała cicho Elizabeth odwracając się tyłem do matki. — Cała wasza paczka tam będzie?

— A gdzie mielibyśmy być, przecież to się odbywa na naszym terenie, matka jak zwykle otwiera tą cholerną uroczystość. Nie przesadzaj. Mam zabronić Hugo przyjeżdżać do mojego domu, ponieważ istnieje szansa, że natknie się tam na twoją siostrę? Hugo już nie jest zainteresowany Helen.

— To przynajmniej jest całkowicie jasne. Ale myślałam, że zrozumiesz, jak bardzo Helen cierpi. Chyba jednak się przeliczyłam — wymruczała zła.

— Przestań, Lizzie. Przecież to Helen pierwsza szukała przygody. Nie sędzę, żeby bardzo cierpiała z powodu rozpadu tego związku. Poza tym ma wystarczająco wielu adoratorów, żeby nie zauważyć odejścia Hugo. — Mil był wyraźnie rozdrażniony.

— Tak sądzisz? Co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć? I jakim prawem osądzasz Helen? — Elizabeth wpatrywała się w Mila, a jej głos wznosił się mimowolnie.

— Wcale jej nie osądzam. Tylko stwierdzam fakty. Helen spotykała się z wieloma mężczyznami, z których kilku było bogatszych i bardziej przystojnych od Hugo, chociaż nie sędzę, by któryś z nich traktował ją równie poważnie jak Hugo. Ale to nie ma nic do rzeczy. Wciąż spotyka się z wieloma adoratorami i z pewnością nawet nie zauważyła, że Hugo nie ma już w ich gronie. Odszedł, a ona o nim zapomniała. To proste — jego głos wydawał się brzmieć zupełnie obojętnie.

— Rzeczywiście? To jest twoje zdanie na ten temat? — Ton jej głosu był przepełniony ironią. — To nie jest takie proste. Nic nie jest aż tak proste, ale może nie zauważyłaś tego, zmieniając tak często swoje part' nerki? — Rozejrzała się dookoła i zobaczyła zaintrygowane spojrzenia kobiet stojących w pobliżu, które teraz były najwyraźniej zainteresowane ich rozmową. Zniżając głos mówiła dalej: — Helen jest najbardziej atrakcyjną dziewczyną w Londynie. Ile znasz kobiet, które wyglądałyby tak cudownie jak ona i były tak miłe zarazem? — I to wcale nie oznacza, że traktowała Hugo niepoważnie, że go nie ceniła. Na miłość

88

boską, oni byli zaręczeni. On był całym jej światem, i nagle ją zostawił, po prostu o tak — strzeliła palcami. — Poszedł cieszyć się razem z tobą rozwiązłym stylem życia, bez wątplenia, nie bez twojego wpływu na tę decyzję.

Każdy dobrze wie, że nie odważy się podrapać w głowę bez zapytania o twoje pozwolenie. A ty sądzisz, że Helen nie będzie cierpiała, jeżeli go jutro spotka? Mil wzruszył ramionami.

— Ciekawe, jak można różnie zinterpretować jedno wydarzenie. Przepraszam, naprawdę nie sądziłem, że Helen mogłaby się tym przejąć. Ale skoro mówisz, że tak jest... Jesteś jej siostrą, więc sądzę, że powinienem ci uwierzyć. Ale to niczego nie zmienia— dodał obojętnie.

— Czego nie zmienia?

— Faktu, że Helen zdradziła Hugo i że została na tym przyłapana.

— Nie bądź śmieszny — warknęła Elizabeth. — Kto to powiedział?

— Ja — odparł Mil i uśmiechnął się, ale był to smutny uśmiech. — Sassy i ja widzieliśmy ją z mężczyzną, który ma jeszcze gorszą reputację od tej, którą mi przypisujesz. I bynajmniej nie pili drinka. Czy możemy już o tym nie dyskutować? — Wydawał się już tym tematem znudzony i zirytowany, ale Elizabeth w ogóle nie zwracała na to uwagi— Nie wierzę ci— powiedziała odważnie. — Myślę, że to absolutne

kłamstwo. Z jakiegoś powodu zdecydowaliście wspólnie z Sassy, że Hugo powinien się raczej spotykać z dziewczętami typu Camilli Gains-Gaskil. Sądzę, że nie uznaliście Helen za godną rodziny Montfordów — wiesz, tych Montfordów, którzy wywodzą się ze szlacheckiego rodu już od 1265 roku. Wyobrażam sobie, jak Sassy to powtarza. Czy nie sądzisz, że najwyższy czas, żeby ktoś oświecił Sassy, że jej dziadek handlował węglem i że powinna być z niego dumna, bo to on zapoczątkował dobrobyt jej rodziny, a nie jakiś starożytny Normandczyk? — Elizabeth, niemal dławiła się sarkazmem. — Jak zawsze uważasz, że to ty masz rację, i jak zwykle okazujesz szczyt arogancji. Ja się na to nie zgadzam i nie wierzę w to, co mówisz — teraz wręcz dyszała wściekłością.

— Zanim zaczniesz krytykować innych, zapytaj najpierw Helen. Nawet nie zaprzeczyła, gdy Hugo jej to zarzucił. Możesz też być pewna, że gdy powiedziałem mu o Helen i o tym mężczyźnie, zrobiłem to w jak najlepszej wierze, ze względu na naszą przyjaźń i lojalność. Nie dlatego, żebym uważał, że Barrettowie są godni Montforda czy też tego, co zawsze plecie Sassy o swoich przodkach. Nic mnie to nie obchodzi. Ważny

jest tylko Hugo. — Jego twarz nabrzmiała i zaczerwieniła się. Chyba ma ochotę mnie udusić — pomyślała Elizabeth. Byłaby zaszokowana, gdyby mogła odczytać jego myśli, bo Mil zastanawiał się właśnie, co go tak bardzo pociąga w jej pełnych złości orzechowych oczach, ciemnych brwiach i pełnych ironii ustach. Siłą powstrzymywał się, żeby jej nie pocałować, żeby chociaż przez chwilę poczuć, jak jej usta poddają mu się. Ale nie miało to żadnego sensu. Nie potrzebował Liz w swoim życiu, ani żadnej osoby z rodziny Barrettów.

— A mówiąc o arogancji i poważaniu tylko własnego zdania, może powinnaś się zastanowić, czy przypadkiem nie są to twoje wady? — mówił dalej Mil. — Zdecydowałaś ostatnio, że jestem ostatnim draniem i próbujesz na siłę wcielić mnie w tę rolę, prawda? Dlaczego? Czego tak bardzo nie znosisz w mojej osobie? — Zdała sobie sprawę, że zapomniał zupełnie o swojej pełnej obojętności pozie. Nachylał się nad nią pełen wściekłości.

— W tej chwili nic mi się w tobie nie podoba, Mil. I to nie tylko ostatnio, ale już od dłuższego czasu. — Pociąg kołysał się gwałtownie, potrząsając nimi i rzucając na siebie, kiedy wjechał w pierwszy zakręt wiodący do tuneli.

— Tak? Od kiedy? — wyszeptał w jej ucho, zauważywszy w końcu zainteresowanie innych pasażerów ich rozmową. — Od czasu, kiedy poszłaś do szkoły, a później na uniwersytet, kiedy niemal zupełnie cię nie widywałem? Dbał o to doskonale twój ojciec, starając się chronić cię przed moim zgubnym wpływem. A może od kiedy wyjechałaś do swojej lokalnej gazety na zimnej północy, kiedy absolutnie nie mogłem cię widywać? A może — jego usta zwięzły się — opierasz się na opiniach z plotek, które o mnie słyszałaś w ciągu ostatnich kilku lat, będąc dziewczyną Charliego Steina? Jestem pewien, że on miał absolutnie obiektywny obraz mojej osoby. Czy o tym właśnie mówisz? Czy byłaś świadkiem którejkolwiek z tych rzeczy, które mi zarzucasz?

— Co chcesz mi wmówić, Mil? Że jesteś niewinny jak aniołek? Że wszystko, co ludzie mówią o tobie, to plotki wynikające z zazdrości? Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Tak naprawdę to mnie absolutnie nie obchodzi. Popatrz no — jej głos stał się jeszcze bardziej sarkastyczny, kiedy zobaczyła małą blondynkę wsiadającą do wagonu — czy to nie twoja przyjaciółka o sokolim wzroku, Sassie, macha do ciebie? Masz zupełną rację, nic nie ujdzie jej uwagi. Jak rozumiem, uznalibyście to nasze spotkanie za romans. Przecież ze sobą rozmawiamy. Powinniśmy

90

się wstydzić. Biegnij do niej się przywitać. Nie marzę nawet o powstrzymaniu cię. — Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, aby sobie poszedł, ale on został jeszcze przez chwilę, przyglądając się jej uważnie.

— Wiesz, Liz, ostatnio jesteś okropna. Bóg wie, dlaczego mnie to w ogóle wzrusza.

— Nie martwiłeś się mną przez całe lata, więc i teraz nie zaprzataj sobie głowy, proszę. — Elizabeth odwróciła się do niego tyłem. Mil wyciągnął swoją teczkę i walizkę i zaczął się przepychać w stronę Sassy. Jak przez mgłę usłyszała jej śmiech.

Reszta podróży upłynęła Liz na rozpamiętywaniu słów, które usłyszała od Mila. „Mężczyzna o gorszym morale od niego samego... Helen nawet nie zaprzeczała... przyjaźń... lojalność”. Irytację Liz powoli wypierało zmartwienie i zakłopotanie.

Wiedziała doskonale, że Helen znała znacznie więcej mężczyzn niż ona sama, była przecież piękniejsza i zawsze miała wielu adoratorów. Łatwiej też poddawała się wszelkim emocjom. Elizabeth nie wiedziała, z ilu mężczyznami Helen sypiała, ale Mil mówił o tym tak, jakby wiedział, jakby słyszał jakieś plotki, widział na własne oczy... Nie, to niemożliwe. To była pomyłka. Prawdopodobnie Mil i Sassy, jak zwykle pewni siebie i zbyt pochopnie oceniający innych, doszli do niewłaściwych wniosków, a teraz nie chcieli przyznać, że się mylą.

Ale zakłopotanie pozostało jeszcze wtedy, gdy Elizabeth wysiadała z pociągu szukając w oczekującym tłumie twarzy Helen. Matka i Sofia podążały tuż za nią, kłócąc się jak zwykle i nie zwracając uwagi na napięcie widoczne na twarzy Elizabeth, która lawirowała w tłumie, starając się nie wpaść na Sassy i Mila. Ale szczęście znowu jej nie dopisało. Zobaczyła ich oboje tuż przed nimi, gdy cały tłum ruszył do wyjścia.

A co gorsza, Hugo stał tam razem z innymi, mówiąc coś do zdenerwowanej i zarumienionej Helen, która rozglądała się wokół szukając desperacko pomocy.

— Hugo! — Sassy rzuciła się w ramiona brata, jakby nie widziała go co najmniej przez dziesięć lat. Elizabeth zauważyła z zawziętą przyjemnością, że linia majteczek Sassy była wyraźnie widoczna spod zbyt ściśle przylegającej spódnicy, a jej żakiet też był kiepsko dopasowany.

Dlaczego, do diabła, Sassy nie pojechała z Hugo — zastanawiała się Liz. Ale natychmiast doszła do wniosku, że Sassy dowiedziała się, że

Mil ma zamiar jechać pociągiem i zdecydowała, że będzie go miała wyłącznie dla siebie przez kilka godzin.

Elizabeth roześmiała się widząc, jak Sassy ciągnie Hugo w kierunku samochodów i woła wesoło:

— Nie martw się, Mil jest tuż za nami, musimy się stąd wydostać, zanim to całe stado owiec ruszy do przodu. — Zauważyła wyraźne zakłopotanie Hugo i złość niektórych osób, które zareagowały na ten ostatni epitet.

— Sassy, zaczekaj chwilę. Helen jest tutaj — powiedział stanowczo Hugo zmuszając siostrę do zatrzymania się i zachowania pozorów grzeczności. Sassy przystanęła na chwilę, mierzając lekceważącym wzrokiem Helen.

— A, rzeczywiście, jest tutaj, nie zauważyłam. Witaj, Helen — i pociągnęła za sobą Hugo, którego twarz pokryła się rumieńcem wstydu. Hugo krzyknął jeszcze coś do Helen, a ona pokiwała głową. Na jej twarzy rysowała się całkowita obojętność.

Elizabeth zauważyła, że Mil zatrzymał się na dłużej przy Helen. Ale co tam się dokładnie działo, nie była w stanie powiedzieć, ponieważ widok zasłaniała wysoka kobieta w kapeluszu z ogromną dekoracją kwiatową i nieco niższy mężczyzna, którzy skutecznie zablokowali wyjście szukając w kieszeniach i torbach swoich biletów. Nie wiedziała, co Mil powiedział Helen, ale widziała, jak Helen uśmiecha się, a Mil ściskają w pocieszającym geście za ramię. Później zniknął z widoku nie oglądając się i nie interesując się, gdzie może być Elizabeth i reszta jej rodziny, obciążone pakunkami.

Niestety Margaret również zauważyła zainteresowanie Mila Helen i pchnęła ostro łokciem Sofię.

— Widziałas — syknęła głośno — jak Mil dotykał Helen? Widziałas? I kto miał rację? Mówiłam ci, że George Rochford byłby doskonałą partią dla Helen. Jeszcze lepszą niż Hugo. Taki miły młody człowiek. Jeszcze będziemy mieli Barretta w Compton Lacey! — mrużąc coś do siebie, odepchnęła gwałtownie jakiegoś młodego człowieka wołając: — Doprawdy! Ta dzisiejsza młodzież jest absolutnie pozbawiona dobrych manier. Zupełnie jak barbarzyńcy. — Parła w stronę Helen witając ją z większym uczuciem, niż można było tego oczekiwać.

Humory poprawiły się nieco, kiedy jechały samochodem do domu. Przekrzykiwały się wzajemnie, opowiadając, co robiły przez cały dzień,

84

kogo widziały i o czym słyszały. Zamilkły jednak zupełnie, kiedy dojechały do Hardres i minęły otwartą bramę w wysokim murze, ozdobioną po obu stronach pięknymi grabami. Cienie wieczorne kładły się na polach lekką mgiełką, a okna Compton Lacey świeciły w ciemności, przydając widokowi niezwykłego czaru. Helen mimowolnie przeskakiwała wzrokiem wijącą się ścieżkę, mając nadzieję ujrzeć na niej Hugo. Jej matka długo jeszcze oglądała się za siebie, nawet kiedy już dawno minęły mur wyznaczający granicę posiadłości.

Elizabeth zdawała sobie sprawę z cierpienia Helen, ale daremnie próbowała znaleźć słowa pocieszenia. Wreszcie dojechały do wioski i skręciły w lewo, w szeroką aleję pokrytą liśćmi, która prowadziła do domu Barrettów — starego probostwa z zabytkową fasadą, po której nigdy nie śmiały się pięć róże czy bluszcz. Do probostwa prowadziła alejka porośnięta po obu stronach różnorodnymi kwiatami, które zdawały się stać na straży domu. Margaret westchnęła i stwierdziła, że cudownie jest powrócić do domu z taką ulgą, jakby cały tydzień walczyła z tłumami przemierzającymi Londyn.

Wikariusz, który mieszkał w domku stojącym tuż obok kościoła, a z którego okien miał doskonały widok na drogę, popatrzył na nie nieco mniej życzliwie, niż można się było po nim spodziewać, pomachał im ręką na powitanie i zawołał:

— Zobaczymy się jutro. — Wycofał się szybko w głąb domu, aby powiedzieć żonie z bolesnym uśmiechem, że droga Margaret wróciła.

— Czy mamy ci pomagać już od samego rana, Sofio? — zapytała Elizabeth, kiedy podjechali pod dom.

— Na stoisku z ciastami? Nie, nie musicie przychodzić przed jedenastą. Chciałabym, żebyście były od jedenastej do pierwszej. Później możecie się zająć własnymi sprawami. — Sofia ożywiła się na myśl o uroczystościach następnego dnia, a Margaret pomyślała natychmiast o cieście, herbacie i słodkim odpoczynku jeszcze przed kolacją. Ale gdzie był Edward?

Drzwi były zamknięte. Nie widać też było świateł witających je w domu. Gabinet znajdujący się z boku domu był również zamknięty i cichy.

— Może pracuje w ogrodzie? — zapytała z nadzieją Elizabeth, gdy już wysiadły z samochodu i wpatrywały się zaskoczone w opustoszały dom.

— Zadmij w róg, Helen! — zarządziła Margaret. — Stary głupiec! Pewnie nawet nie zauważył, że już zrobiło się ciemno i nawet nie pomy

ślal o włączeniu świateł. Jeszcze raz! — Usłyszały tylko ujadanie psów, zamkniętych w kuchni. Margaret sięgnęła więc do torby i wyciągnęła klucze.

— Może wezwano go na jakąś wizytę domową— powiedziała Helen pomagając Elizabeth wypakowywać pakunki i wnosić je do domu. — A, właśnie, czy mówiłam ci już, Elizabeth, że dzwoniła Marisa i zostawiła wiadomość... — Jej głos powoli odpływał i ginął w szczekaniu psów i odgłosach kłótni matki i ciotki. Wszystkie były zakłopotane, chociaż starały się udawać, że nic się nie stało.

Wokół domu powoli zapadał wieczór.

Rozdział piąty

To niesamowite, jak tej rodzinie zależy na wejściu do wyższych sfer — powiedziała Sassy i uśmiechnęła się do Mila. — Ta ich matka, która obładowała cię pakunkami i bez przerwy zwracała się do ciebie „drogi George”. Helen też zjawiała się tam jakby na zawołanie, tylko zapewne dlatego, żeby Hugo się na nią natknął. Nie mówiąc o Liz Barrett. Z każdym dniem staje się bledsza, a jej charakter też robi się coraz trudniejszy. Wciąż pewnie tęskni za swoim starszym Charliem — zirytowana obojętnością Mila, Sassy znowu się roześmiała, ignorując pełne bólu spojrzenia Hugo. Jechali właśnie do Comp-ton Lacey na uroczystości letnie.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w oknach pokrytego różami zachodniego frontonu domu. Ten widok zwykle sprawiał, że Sassy pogrążała się w pełnej szacunku kontemplacji. Niewątpliwie miał na to wpływ masywny fronton domu, z herbem Henryka VIII, który był spokrewniony z rodem Penrithów, oraz ich własny herb umieszczony na łuku mostu. Przedstawiał podzieloną na cztery części tarczę, zwieńczoną głową byka. Sassy nie dociekała symboliki tego herbu, a Mil nigdy jej tego nie wyjaśnił.

Idealne piękno tego domu pobudzało ją zawsze do marzeń o przyszłym sukcesie. Jeszcze nie osiągniętym, ale prawie już zdobytym.

Tego jednak dnia była zbyt zirytowana, aby nad tym rozmyślać. Rozejrzała się więc tylko mimowolnie dokoła, delektując się zapachem

świeżego, nocnego powietrza wypełniającego ogród. Potrząsnęła prowokacyjnie kaskadą swoich jasnych włosów, udając, że próbuje sprawdzić poziom wody w fosie.

— Mój Boże, niemal wyschnięta. Nie możecie dolać wody węzem ogrodniczym, zanim osady zebrane na dnie zaczną cuchnąć? Twoja matka jest w domu, prawda? — zapytała nagle, kiedy nikt nie ukazał się w drzwiach, aby ich przywitać. — Przecież wiedziała, że przyjeżdżamy. Zadmij w róg — dodała, powtarzając niemal dokładnie słowa, które w tej samej chwili wypowiadała Margaret. Stanęli przed domem zaskoczeni.

— Może jest na spacerze z psami? — powiedział Hugo sięgając po torbę Sassy, która sama nigdy nie zniżyłaby się do wyładowania jej. Mil wzruszył ramionami i skierował się pierwszy do drzwi, otwierając je i zamykając kopnięciem, kiedy psy przybiegły ich powitać. Kincaid i Brutus, dwa czarne i silne labradory ogłaszały całemu światu radość na widok swojego pana. Tylko złota Locks, nieśmiała seterka, okazywała spokojnie swoją radość, wymachując ogonem.

— A więc nie wyszła z psami — zabrzmiało stwierdzenie Mila. Hugo i Mil witali się ze zwierzętami przez dłuższą chwilę. Hugo szczególnie lubił Locks, więc poświęcił jej całą swoją uwagę. Sassy popadała w coraz większą irytację, zmęczona i oburzona, że się ją ignoruje. Weszli do hallu i złożyli tam swoje torby.

— Halo! — zawołała głośno Sassy, oglądając wspaniałą kompozycję kwiatową na stole złożoną z jaskrów, wilczomleczków, róż, storczyków i lili. Czekali wpatrzeni na schody, ale nie pojawiła się ani Celeste, ani gospodyni — pani Dawson.

— Sprawdź w salonie matki — powiedział Mil z oznakami zaniepokojenia na twarzy. — Idźcie do swoich pokoi i rozpakujcie się. Przygotujcie sobie drinki, jeżeli macie ochotę. Zaraz wracam — dodał. Znają ten dom równie dobrze jak ja i nie muszą ich niańczyć — pomyślał Mil idąc szybko po schodach prowadzących na pierwsze piętro do salonu matki.

Gdzie ona jest? — zastanawiał się. Zawsze witała ich, kiedy przyjeżdżali, otwierając szeroko drzwi i ciesząc się na ich widok, co sprawiało, że tak bardzo lubili przyjeżdżać do domu. Gdzie ona się podziewa?

Mil otworzył drzwi do salonu, słonecznego dzięki dominującej w nim żółtej barwie. Salon tonał w kwiatkach, egzemplarzach sztuki chińskiej i w srebrnych ramkach zdjęć dzieci i wnuków. Oczekiwał, że pokój bę

96

dzie pusty, i już miał odejść, kiedy nagle zatrzymał się zakłopotany, zdumiony i rozwścieczony zarazem. W rogu pokoju, przy oknie, jego matka tonała w ramionach jakiegoś mężczyzny i nawet nie robiła nic, żeby to ukryć.

Mil stał cicho, nie wiedząc, co powiedzieć. Sztywność jego postawy musiała dać do zrozumienia matce, co czuje, ponieważ w końcu uwolniła się z obejmujących ją ramion doktora Barretta i zwróciła ku niemu twarz.

— A, jesteś, mój drogi. Właśnie miałam do was zejść. Czy przyjechałeś z przyjaciółmi?

— Mamo! — Mil był zaskoczony widokiem bladej, całej we łzach twarzy matki, która próbowała się do niego uśmiechnąć. — Co się stało? — Zupełnie zignorował doktora Barretta, próbującego pocieszyć matkę. Jego wyobraźnia podsuwała mu najgorsze myśli. Może któraś z siostr miała wypadek? Rozwód? A może coś się stało któremuś z jej wnucząt? Może nawet coś z kotami? — Co się stało, mamo? — zapytał ponownie.

— Mil, kochanie, przepraszam cię, ale nie chciałam, żebyś mnie oglądał w takim stanie. Hm... porozmawiamy o tym później, kiedy będziemy sami. — Przesunęła długimi palcami po policzkach, ścierając łzy, które tam jeszcze pozostały. — Nie sądzę, żeby Edward chciał przez to przechodzić raz jeszcze, a poza tym, najlepiej będzie porozmawiać o tym w cztery oczy. Naprawdę mi przykro. Już mi lepiej. — Uśmiechnęła się do niego i wydawało mu się, że rzeczywiście jest już bardziej opanowana.

— Ale o czym mamy porozmawiać? Nie rozumiem. — Mil po raz pierwszy spojrział na doktora, widząc, jak patrzy ze współczuciem na Celeste, i poczuł do niego niechęć. Cokolwiek się zdarzyło, jego matka najpierw zwróciła się do innego mężczyzny, a nie do własnego syna. Stał tam wciąż nie rozumiejąc nic z tego, co się działo, a ten mężczyzna doskonale wiedział, co tak wstrząsnęło jego matką. Mil odwrócił się gwałtownie, aby zapanować nad zirytowaniem, które go ogarnęło.

— Muszę już iść, Celeste — doktor Barrett zakasłał dyskretnie, spoglądając na Mila. — Pewnie moja rodzina już przyjechała i zastanawiają się, gdzie jestem.

— Jestem pewien, że już się zastanawiają. Jechali ze mną pociągiem, pana żona także — powiedział Mil zimno i starszy mężczyzna zamilkł

7 — Zraniona duma

97

na moment rozważając słowa Mila i ostatecznie decydując się na ich zignorowanie.

— Zadzwoń do mnie, proszę, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała. I nie przejmuj się. Nie musisz mnie odprowadzać, myślę, że znam drogę wystarczająco dobrze. — Doktor Barrett uśmiechnął się ironicznie i ruszył w kierunku drzwi. Mil poczuł, że matka oparła się o niego, jak gdyby doktor, wychodząc, pozbawiał ją części swojej siły.

— Oczywiście, Edwardzie. Dziękuję bardzo. Porozmawiamy jutro. Podczas uroczystości, przecież to ja dokonuję otwarcia, prawda? — Ta myśl była dla niej jakby kolejnym ciosem. Opadła na krzesło przy kominku, a jej palce zaczęły się bawić frędzlami przy poduszcze. — A więc do jutra — powtórzyła i posłała doktorowi wymuszony uśmiech. — Dobranoc, Edwardzie.

— Dobranoc, Celeste, dobranoc, Mil. — Powiedział to sztywno i oficjalnie, po czym znikł w drzwiach. Jeszcze przez chwilę słychać było jego kroki na schodach. Mil stał obok matki w milczeniu. W końcu podniosła na niego wzrok.

— Zamknij drzwi, kochanie. Obawiam się, że muszę ci przekazać dosyć szokujące wieści.

— Czy możesz tego dowieść? — zapytała Elizabeth patrząc z gniewem na siostrę.

— Nie, nie mogę! Enrique obcałowywał mnie, a ja po prostu wypiałam zbyt dużo i nie wytrzeźwiałam, aż do chwili, kiedy wyszliśmy na zewnątrz i orzeźwiło mnie świeże powietrze. Odepchnęłam go wtedy i poszliśmy w zupełnie inne strony. Oczywiście Enrique był wściekły. Ale nikt nie widział, że nie poszliśmy razem. — Helen ścisnęła mocno w dłoniach ścierkę do naczyń, a jej twarz pokrył rumieniec wstydu. — To była moja wina!

— Ale dlaczego nie powiedziałaś Hugo, że to nieprawda? Dlaczego pozwoliłaś mu myśleć o najgorszym?

— Ponieważ byłam zakłopotana, zmartwiona i dokładnie zdawałam sobie sprawę z tego, że Hugo i tak mi nie uwierzy. Krzyczał na mnie, piniąc się ze złości. Sassy powiedziała mu p Enrique, a wiesz, jaką on ma reputację...

— Oczywiście, że wiem. Dobry Boże, Helen... dlaczego w ogóle poszłaś z nim na spotkanie?

98

— Ponieważ powiedział, że chce porozmawiać o interesach. Miał jakieś antyki i obrazy, które zamierzał sprzedać, i pomyślał, że mógłby za nie dostać wyższą cenę w Londynie niż w Madrycie. Poszłam więc na to spotkanie.

Pomyślałam sobie, że jeżeli go oczaruję, to...

— A więc ich nigdy nie dostałaś, tak? Chciał je wymienić na ciebie i uważał, że się na to zgodzisz?

— Tak — Helen zacisnęła usta zirytowana.

— Czy próbowałaś porozmawiać o tym z Hugo? Wyjaśnić mu wszystko?

— Nigdy nie udaje mi się go spotkać bez Mila lub Sassy. A poza tym nie oddzwania.

— Spróbuj jeszcze raz. Co masz do stracenia? Wydaje mi się, że wyglądał niezbyt dobrze. Spróbuj złapać go samego na minutę. Poza tym, on ostatnio też nie zachowywał się jak aniołek. Rzuć mu to jako jeden z argumentów, jeżeli nie będzie cię słuchał.

— Chyba mogłabym spróbować — Helen wyraźnie nie chciała więcej rozmawiać na ten temat. Popatrzyła na zegarek i zdziwiona zauważyła, że już ósma. — Ojciec się spóźnia. Dziwne, że nie zadzwonił. Zastanawiam się, gdzie on może być.

— Chyba nawet nie powinniśmy o tym myśleć — powiedziała Elizabeth złośliwie. Helen popatrzyła na nią uważnie.

— A więc ty też o tym myślisz? Ale on i Mil nie lubią się zbytnio. Jestem pewna, że wyszedł, jak tylko Mil przyjechał.

— Czyli przynajmniej godzinę temu. Posłuchaj... to chyba on, prawda?

Obie stanęły nieruchomo, słuchając uważnie. Samochód stanął przed domem. Psy ruszyły do drzwi.

Kiedy ojciec wszedł, obie były zupełnie pochłonięte krojeniem warzyw i nakrywaniem do stołu. Spojrzały na niego zdziwione.

— Cześć, tato. Strasznie się dzisiaj spóźniłeś. Chyba pani Hill jeszcze nie rodzi, prawda? — Helen podeszła, żeby go ucałować, i cofnęła się lekko, czując od niego zapach whisky. Elizabeth wciąż kroїła warzywa, ale uśmiechnęła się do niego, mając nadzieję, że podejdzie i ją ucałuje. Ojciec jednak usiadł na krześle.

— Nie, to nie był żaden poród. Chociaż wolałbym. To byłoby dużo prostsze — warknął wręcz doktor Barrett, zupełnie ignorując Puncta i Judy, parę terierów, które łasiły mu się do nóg, a do których dzisiejszego wieczoru dołączyła tłusta Gertie, mały kundel, którego najbar-

dziej kochała Sofia. — Cholerne psy! — krzyknął doktor. — Zmiatajcie na podwórze!

Helen spojrziała zdziwiona na Elizabeth.

— A więc co cię tak długo zatrzymało?

Doktor Barrett spojrział na swoje córki wyczuwając napięcie pod ich pozornym spokojem.

— Osobiste problemy jednego z moich pacjentów. Nie mogę o tym nic więcej powiedzieć. — Elizabeth zauważyła, że znowu stał się zarozumiały, jak zawsze kiedy chodziło o Penrithów. Westchnęła ciężko.

— Co teraz stało się Celeste? — zapytała odważnie i ojciec spojrział na nią gniewnie.

— Nie powiedziałem, że to była Celeste, i gdybym był na twoim miejscu, uważałbym, co mówię, młoda damo.

Ostatnio zrobiłaś się ogromnie ważna. To, że czasami twoje artykuły ukazują się w gazetach, nie upoważnia cię do myślenia, że zjadłaś wszystkie rozумы. — Wstał ciężko z fotela, wziął poranną gazetę ze stołu i ruszył do swojego gabinetu zaznać trochę ciszy i spokoju — jak zwykle mawiał. Dziewczęta zrobiły do siebie minę.

— Zadzwońmy do Marisy — zaproponowała Lizzie. — Po tym, co powiedział, sprawi mi ogromną przyjemność powiększenie jego rachunku telefonicznego. — Odrzuciły ścierki do naczyń i chichocząc pobiegły po schodach na górę.

Irenę siedziała sztywno na krześle. Starła się uważać, żeby jej krótka spódnica nie odkrywała zbyt wiele. Dłonie przycisnęła mocno do kolan, aby ukryć ich drżenie. Czekwała na swoją ciotkę Celeste już bardzo długo, nie odważywszy się wyjść z pokoju i sprawdzić, gdzie jest ani tez, co oznaczał hałas na dole. Ciotka kazała jej zostać w tym pokoju, cokolwiek by się działo, tonem nie znoszącym sprzeciwu i Irenę nie chciała się jej przeciwstawić. Ale zaczynała już być bardzo głodna. Właściwie, to w jej brzuchu już dwa razy zaburczało w ciągu ostatnich kilku minut, co wprawiało ją w jeszcze większe zdenerwowanie. Wciągnęła mocno brzuch.

Locks, która leżała skulona u jej stóp, zadowolona, że głaszcze ją ktoś, kto się czuje mniej bezpiecznie niż ona sama, wydawała się optymistycznie nastawiona. Może burczenie w brzuchu oznaczało dla niej, że zbliża się pora jedzenia? Jej też nie nakarmiono.

91

Irenę ponownie rozejrzała się po pokoju, starając się rozpoznawać twarze na ciemnych portretach rodzinnych. Bawiła się tak od pewnego czasu. Ale była już tym znudzona. Przyjemność odnajdywania podobieństwa do samej siebie w żeńskich przodkach rodziny przegrywała wyraźnie z jej rosnącym głodem. Przyjrzała się ozdobnemu sufitowi i gzymsom, pięknym kompozycjom kwiatowym, misternie obrobionym koronką poduszkom i westchnęła

cicho. W końcu zmusiła samą siebie do przyznania się, że była znudzona, głodna i niezadowolona z faktu, że zostawiono ją samą na tak długo.

Spojrzała ponownie na tacę z drinkami, która stała w rogu pokoju, zastanawiając się, czy ośmieli się wypić lemoniadę, kiedy usłyszała zbliżające się głosy. Pospiesznie wstała z krzesła.

— Ależ Hugo, absolutnie mnie nie obchodzi, gdzie jest Mil. Nie będę już dłużej czekała na drinka. Muszę coś wypić, przecież Mil powiedział, żeby czuć się jak... — Sassy nagle przerwała, kiedy zobaczyła, że w pokoju, do którego wtargnęła tak bezceremonialnie, ktoś już jest. Wysoka, rudowłosa dziewczyna, mająca około siedemnastu lat patrzyła na nią z przerażeniem, stojąc obok kominka.

— Dobry Boże, kim ty jesteś?! — wykrzyknęła Sassy. — Mil nic nie wspominał o innych gościach, prawda, Hugo?

— Ubrana w długą, sięgającą niemal do kostek, kremową, jedwabną suknię bez rękawów, z luźno puszczonejmi złotymi włosami i długim sznurem pereł, Sassy była najbardziej onieśmiałą osobą, którą Irenę w swoim życiu spotkała. — A więc, kto to jest? — spytała ponownie Sassy zwracając się do Hugo.

Hugo również wyglądał na zakłopotanego, ale miał lepsze manieri. Podeszedł do dziewczyny i wyciągnął dłoń:

— Jestem Hugo Montford, a to jest moja siostra Sarah. Mam nadzieję, że nie przestraszyliśmy cię. — Przyglądał się przerażonym, zielonym oczom Irenę. — Nie spodziewaliśmy się nikogo więcej. Czy zostajesz na weekend? —

Kiedy uśmiechnął się do niej czarująco, Irenę zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest w nim zakochana.

— Właściwie na całe lato, jak sądzę. Żeby lepiej poznać Anglię. — Brnęła niezdarnie widząc wzrok rozwścieczonej Sassy. — To był pomysł mojej matki, żebym dotrzymywała towarzystwa cioci Celeste teraz, kiedy została wdową.

— Jak masz na imię? Nie jesteś Angielką, prawda? Skąd masz taki akcent? — Sassy odwróciła się do tacy z drinkami i ostatnie pytanie rzuciła przez ramię.

Irene zaczerwieniła się, i poprawiła włosy.

— Nie, jestem z Hohenzollernów. Moja matka jest siostrą Celeste. Mam na imię Irene.

— Ach tak. Jesteś tą kuzynką, o której wspominał Mil, Austriaczką— przypomniał sobie Hugo.

— Właściwie ma pochodzenie austriacko-pruskie — powiedziała Celeste wesoło, wchodząc do pokoju. — Moja mała siostrzenica Irene von Hinlein. Bardzo się cieszę, że już się poznaliście. O, wspaniale, Sarah, że już naląłeś sobie drinka. Wiedziałam, że można na tobie polegać.

Celeste rzuciła Sassy pełne powątpiewania spojrzenie i uśmiechnęła się do Hugo.

— Czy mógłbyś przez chwilę spełniać honory pana domu, Hugo? Obawiam się, że Mil jest trochę zajęty w tej chwili, ale jestem pewna, że za chwilę do nas dołączy. — Westchnęła. Celeste miała na sobie wspaniałą, szyfonową, jasnobłękitną bluzkę i niebieską kreponową spódnicę, wąską, prostą i długą. Całości dopełniał ciężki złoty łańcuch wysadzany diamentami. Jasne włosy otaczały jej twarz, tworząc wspaniałe obramownie jej regularnych kości policzkowych. Celeste odsunęła Sassy w cień, lekko się tylko uśmiechając. — Mam ochotę na kieliszek szampana. Powinno go być trochę w lodzie. Dla ciebie też, Irene?

Nie była zdziwiona, gdy ujrzała, że dziecko kiwa uszczęśliwione głową, a pełne podziwu oczy Irene podążają za Hugo odchodzącym w róg pokoju.

— Ty chyba masz dzin z tomkiem, Sarah, prawda? — zapytała Celeste, kiedy Sassy podeszła do nich bliżej i usiadła.

— Wiem, jak uwielbiasz nasz różowy szampan. Sądzę, że gdybyś miała na niego naprawdę ochotę, to mogłabyś odstawić swój kieliszek i... — powiedziała to w taki sposób, że Sassy nie pozostawało nic innego jak potrząsnąć przecząco głową.

— Nie, dziękuję, Celeste. Irene, ile masz lat? — Przez kilka minut Sassy wydobywała z biednej Irene informacje na temat historii jej rodziny, wykształcenia, planów na przyszłość i obycia w świecie. W końcu zadowolona usiadła spokojnie. — A więc właściwie jesteś księżniczką. Hugo, słyszałeś? O rany, jak mamy się więc do ciebie zwracać?

— Sassy roześmiała się, a twarz Irene ponownie pokryła się rumieńcem.

— To oczywiste, że możesz do niej mówić Irene — powiedziała spokojnie Celeste. — Jak by inaczej? — dodała i rzuciła mrożące spojrzenie

93

Sassy. Sassy zagryzła zirytowana wargi. — Helene, moja siostra i matka Irene, mieszka teraz w Kalifornii, a Stasi, jej ojciec, jest raczej... zajęty swoją nową rodziną. Postanowiłyśmy więc, że Irene mogłaby przez jakiś czas zamieszkać

w Anglii. Prawda, Irene? A, Mil, dobrze że jesteś. Zaczynałam się już niepokoić. — Jej oczy spoglądały na niego pytająco, kiedy podszedł do niej i lekko ucałował dłoń.

— Rozgościliście się już? A, Irene, jak się miewasz? Nie widziałem cię od wieków. Ależ wyrosłaś. Powinienem już przejąć obowiązki starszego brata i odganiać od ciebie dumy wielbicieli. Hugo, uważaj.

— Nie powinieneś tak mówić, Mil — Sassy skarciła go wesoło. — Skoro Hugo jest dla ciebie jak brat, a ty jesteś bratem Irene, to wszyscy możemy być jedną, wielką, szczęśliwą rodziną, prawda, Irene? Czy nie chciałabyś być spokrewniona z Hugo? — naigrywała się z młodej dziewczyny, widząc zachwycone spojrzenia, jakie kierowała w stronę Hugo. Irene zaczerwieniła się. Sassy znowu się roześmiała.

— Powinnaś mieć wszystko, czego zapragniesz, moja droga — Mil pochylił się i ucałował policzek kuzynki, a później przysiadł na oparciu jej fotela wypytując, jak minęła podróż.

Mil wygląda bardzo blado i jest zmęczony — pomyślał Hugo marszcząc czoło i przyglądając się uważnie przyjacielowi. Prawie... ale nie, to jest niemożliwe. Ostatnio Mil wyglądał tak źle, kiedy umarł jego ojciec, a i wówczas pogrązał się w bólu tylko wtedy, kiedy był sam. To dziwne, ale wygląda teraz zupełnie tak samo — zauważył niespokojnie Hugo.

W sobotę świt wstał bezchmurny i upalny, a letni wiatr delikatnie kołysał obrusami na stołach tonących od szarlotek, tortów, ciast, lemoniady, krówek, karmelowych toffi i innych słodkości, które udało się wymyślić paniom z kościelnego komitetu na uczenie uroczystości letnich. Helen żałowała, że nie zajęły się raczej stoiskiem z dżemami i piklami. Przynajmniej wszystko byłoby w jakichś zamkniętych naczyniach. Teraz bez przerwy musiała walczyć z hordami napastliwych os i much.

— Ten młody Freddie Cooper powrócił i znowu spotyka się z Charlotte Bingham — powiedziała pani Dawidson, wskazując z dezaprobatą Elizabeth jakieś niezbyt udane ciasto. — Myślałam, że kazała mu odejść je

szcze zeszłej jesieni. Co sprawiło, że znowu powrócił i niepokoi to dziecko? — Podniosła w górę brew i spojrzała na Elizabeth, która zaczerwieniła się i wymamrotała, że nie ma pojęcia.

— Ja sobie tego nie wyobrażam. Mam nadzieję, że nikt go nie zachęcał, żeby ponownie zrujnował życie tej dziewczynie. Ostatnim razem zrobił wystarczająco dużo złego. A jeżeli dodamy do tego jego niezbyt moralne życie w Londynie — doleciał do Elizabeth potok słów. Odetchnęła z ulgą, kiedy pani Dawidson zauważyła swoją przyjaciółkę i obie odeszły na bok, żeby poplotkować.

Handel szedł doskonale, ponieważ każdy chciał dostać jak najlepsze ciasto do popołudniowej herbaty. Helen i Elizabeth były cały czas zajęte, uśmiechały się i plotkowały, przytakiwały uwagom kobiet z wioski i odpowiadały na pytania turystów, którzy zupełnie przypadkowo trafili na uroczystości.

— Nie, wymawia się „Hards”, drugie „r” jest zupełnie niesłyszalne. Tak, myślę, że to rzeczywiście pochodzi z czasów normandzkich... tak, jest piękne. Musi pan jeszcze koniecznie zobaczyć siedemnastowieczny spichlerz. Najstarszy w Kent.

Nagle Elizabeth usłyszała ostre i pełne niedowierzania — „Niemożliwe”, które wykrzyknęła przyjaciółka pani Dawidson. Podniosła więc wzrok i zobaczyła, że obie panie wpatrują się z przyganą w nadchodzącego doktora Barretta. Odwróciły się i zniknęły w tłumie, kiwając wciąż głowami i opowiadając najnowsze plotki. Elizabeth ogarnęło nieprzyjemne uczucie, jak zawsze, kiedy młyn plotkarski we wsi znowu zaczynał swoją pracę. Sprawiało to, że niemal się dusiła i nie mogła się doczekać, kiedy ponownie będzie mogła uciec do Londynu. Gdy popatrzyła ponownie w górę, zobaczyła twarz Mila.

— O, Mil, witaj — kiwnęła do niego głową obojętnie. Zastanawiała się przez chwilę nad jego twarzą, pozornie pozbawioną emocji. Widziała człowieka zmęczonego, który próbuje za wszelką cenę ukryć swoje prawdziwe uczucia. — Czego sobie życzysz?

Popatrzył na Helen, która uśmiechała się i podawała ciasta, i ponownie zwrócił wzrok na Elizabeth.

— Kiedy kończysz?

— Obawiam się, że nie przed pierwszą. Twoja matka doskonale poradziła sobie z otwarciem uroczystości, prawda?

— Elizabeth zdawała sobie sprawę, że była zakłopotana i odpowiadała prawie bez sensu, chcąc, żeby ich rozmowa pozostała obojętna. Była na siebie zła.

104

— Muszę z tobą porozmawiać. Nie mogłabyś wyrwać się wcześniej? — To głos zrozpaczonego człowieka — stwierdziła Elizabeth zaskoczona. Założyła za ucho przeszkadzający jej kosmyk włosów.

— Niestety nie mogę. Bardzo mi przykro. Co to było? — zwróciła się do kolejnej klientki. — Ciasto marchewkowe? Funt dwadzieścia. — Zawinęła ciasto w sposób, który daleki był od doskonałości, i wymieniła je na pieniądze. Mil niecierpliwiał się wyraźnie. — Co mam zrobić, Mil? Widzisz, jakie jesteśmy zajęte, obiecałam Sofii.

— No, dobrze. Więc o pierwszej. Przy polu krykieta. Proszę, Lizzie! — Już od bardzo długiego czasu o nic ją nie prosił. Ze zdumienia otworzyła usta i spojrzała mu uważnie w oczy, które były znużone, niecierpliwe, a nawet zdawało jej się, że zauważyła w nich oznaki paniki. Kiwnęła potakująco głową. Mil błyskawicznie znikł w tłumie. Następne dwie godziny ciągnęły się dla Elizabeth w nieskończoność. Upał narastał, a ona była już zmęczona i ogromnie ciekawa, co Mil miał jej do powiedzenia. Letnia sukienka obcierała ją, jakby była uszyta z szorstkiej serży, a włosy splecione w warkocz zwisały ciężko. Czowała, jak strużki potu płyną jej po plecach. Kiedy w końcu córki jednej z przyjaciółek Sofii przyszły je zastąpić na stoisku, Elizabeth wyszła z dusznego namiotu zaczerwieniona i z pulsującym bólem głowy. Z lekką zazdrością zauważyła, że Helen wygląda jak zwykle pogodnie i pięknie.

— A, tutaj jesteś — krzyknęła Charlotte Bingham zarzucając na szyję Elizabeth mocne i pulchne ramiona. — Jesteś naprawdę wspaniała. Nie wiem doprawdy, czy byśmy się kiedykolwiek pogodzili, gdyby nie ty. — Jako że Freddie był również zaplątany w ramiona Charlotte, wykorzystał to, aby ucisnąć Elizabeth, tak że musiała się im wyrwać, jeszcze bardziej czerwona niż przedtem.

— Nie bądź niemądra, Charlotte. Nie zrobiłam nic wielkiego, po prostu przypomniałam Freddiemu, ile traci — powiedziała pośpiesznie Elizabeth i napotkawszy wzrok pani Dawidson, znowu się zaczerwieniła. Uśmiechnęła się z przymusem. — Witaj ponownie, Freddie. Jak poradziłeś sobie z kacem?

— To było nic w porównaniu z tym, co czeka Mila, gdy się do niego dorwę. Widziałas go gdzieś tutaj? — Freddie, trzeźwy i skłonny do bójki, z czerwonymi włosami sterczącymi na czubku głowy jak grzebień koguta, przeszukiwał wzrokiem tłum, a Elizabeth i Charlotte wymieniły pełne zrozumienia uśmiechy.

— Chyba widziałam go gdzieś w pobliżu kucyków. A może pomaga skautom przy ich stoisku? Później porozmawiamy dłużej, dobrze? Muszę jeszcze coś załatwić — powiedziała Elizabeth. Charlotte ucałowała ją i podążyła za Freddieem w poszukiwaniu jego wroga. Elizabeth odwróciła się do Helen i zobaczyła, że stoi z boku z Hugo. Może jest jeszcze nadzieja — powiedziała do siebie Elizabeth — gdyby tylko Helen spojrzała na niego i pomogła mu nieco. I gdyby inni dali im kilka chwil spokoju.

Ale niemal natychmiast pojawiła się obok Hugo Sassy, biorąc go pod rękę. Elizabeth z niechęcią ruszyła w ich kierunku, żeby wspomóc Helen. Spojrzała na zegarek. Dziesięć po pierwszej. Mil już pewnie niecierpliwie chodzi tam i z powrotem.

— Irene, czyż nie chciałaś pograć w krykieta? — Sassy zwracała się do młodej dziewczyny o słodkiej twarzy, która stała obok niej z lekko rudawymi włosami zaczesanymi w koński ogon. — Widziałam, jak Mil szedł w tamtym kierunku kilka minut temu. Chodź, Hugo, pójdziemy wszyscy razem i pogramy. Między namiotami jest zbyt gorąco. Tylko spójrz na Lizzie. Wygląda, jakby przed chwilą wyszła z łaźni. — Elizabeth zacisnęła zęby i stwierdziła, że chyba pierwszy raz udało się Sassy wypowiedzieć tak zbliżone do prawdy słowa. Uśmiechnęła się.

— Mój Boże, rzeczywiście jestem wykończona, ale obawiam się, że krykiet byłby jeszcze gorszy. Myślę, że lepszym pomysłem byłby chłodny drink przy fontannie. Co ty na to, Helen?

— Tak, to wspomniałaś pomysł — Hugo natychmiast poparł wniosek. — Chodźmy się czegoś napić. Helen, nie poznałaś jeszcze kuzynki Mila — Irene. Irene von Heinlein. Helen Barrett. A to jest siostra Helen — Lizzie, wspomniała dziennikarka — powiedział Hugo nachylając się, aby ucałować policzek Lizzie. Poprowadził je w kierunku fontanny. Elizabeth jeszcze raz spojrzała na zegarek uśmiechając się do Irene i Hugo.

— Witaj, Hugo. Jak sobie radzisz w tym tłumie? To okropne, kiedy wszyscy się znają, prawda? Chociaż szczerze mówiąc ma to jedną zaletę — nikt nie może o tobie plotkować. Chociaż i to się przytrafia — dodała po chwili. — Czy możesz zamówić dla mnie pim? Za chwilę do was dołączę, muszę tylko...

I pozwalając im myśleć, co chcą, uciekła z powrotem w tłum, omijając linki od namiotów. W ostatniej chwili udało jej się też ominąć matkę. Ten unik zauważyła natomiast długoletnia sąsiadka i stara przyjaciółka

106

babki — Alicia Gordon i posłała jej konspiracyjne mrugnięcie. Alicia знаła Margaret Barrett od dziecka i nigdy jej nie dziwiło, że ludzie jej unikają, choćby to były własne córki.

W odległym krańcu placu dzieci mogły zakosztować przejażdżki na kucykach szetlandzkich, a w drugim popisywał się jakiś człowiek ze swoim owczarkiem. W końcu Elizabeth dotarła do pola krykietowego i przebiegła przez nie. Na jej zegarku była już pierwsza dwadzieścia, ale Mila nie było nigdzie widać.

— Tutaj — usłyszała znajomy głos spoza drzewa, przy którym stała. Kiedy odwróciła się, ujrzała Mila podającego jej kieliszek schłodzonego szampana. — Spóźniłaś się — dodał obserwując jej zaczerwienioną i zmęczoną twarz. — Co cię zatrzymało?

— Charlotte i Freddie, a później Hugo, Sassy i twoja kuzynka Irene. Później omal nie wpadłam na matkę. To jest uroczystość wiejska, Mil, jakbyś tego nie zauważył, i jest prawie niemożliwością przejść spokojnie dwa kroki bez rozmowy ze wszystkimi naokoło.

— Ze mną nikt nie rozmawiał — odparł i Elizabeth, siedząca teraz przy nim na trawie w cieniu drzewa, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

— Nie zachęcasz zbyt do frywolnego zachowania, kiedy spacerujesz naokoło patrząc na wszystkich wilkiem, odgrywając wielkiego lorda i prowadząc przy sobie dwa groźne psy. — Psy, o których mówiła, leżały spokojnie na grzbietach, z łapami uniesionymi do góry, dysząc z upału.

— Brutus nie jest groźny — sprzeciwił się Mil — a ja mam powód, żeby patrzeć wilkiem.

— Tak mi się też wydaje. — Przełknęła łyk schłodzonego szampana i westchnęła z ulgą. — Umm, tak jest dużo lepiej... A więc, powiedz mi, o co chodzi.

— Myślisz, że rzeczywiście zamierzam ci powiedzieć, Liz? A jutro będzie o tym wiedział cały świat — dodał z goryczą. — Nie, nie powiem ci, potrzebuję tylko nazwisko osoby, która może mi pomóc. Kogoś, kto może posprawdzać dla mnie kilka spraw.

— To mi się podoba! — parsknęła. — Prosisz mnie o przysługę i jednocześnie mnie obrażasz. Nie martw się, Mil. I tak nie mogłabym ci pomóc, bo byłby to—jak ty to ująłeś... już wiem—.konflikt interesów". — Posłała mu zirytowane spojrzenie i natychmiast pożałowała swoich słów, widząc jego minę.

— Zawsze potrafisz mnie zdemaskować, Lizzie. Jestem nieuprzejmy, arogancki, nudny...

— Nie zapomnij o przymiotniku sprośny.

— Nie przypominam sobie, żebym te ostatnią cechę wypróbował na tobie. Przypomnij mi kiedyś o tym — uśmiechnął się po raz pierwszy, widząc jej rumieniec. Wyglądała czarująco z włosami otaczającymi jej twarz, w letniej sukni odkrywającej strużkę potu ściekającą pomiędzy jej piersi. Wyciągnął dłoń i pogłaskał delikatnie gładką skórę na jej szyi. Cofnęła się gwałtownie.

— O jakie nazwisko ci chodzi? Dlaczego? — Zmarszczyła brwi starając się mówić jak profesjonalistka, ale całe jej opanowanie opuściło ją właściwie w chwili, kiedy go zobaczyła. Był ubrany w niebieskie dżinsy i koszulę z podwiniętymi rękawami odkrywającymi długie, opalone ręce, jasne włosy opadały mu na twarz. Mogła na niego patrzeć tylko dlatego, że jego twarz była pełna niepokoju.

— Gdybym ci powiedział, nikogo bym już nie potrzebował, prawda? Przepraszam — wyszeptał cicho. — Nie chciałbym być nieuprzejmy czy też niewdzięczny. Ale jesteś dziennikarką, a ja nie mogę pozwolić sobie na to, żeby ten cały... bałagan pojawił się w prasie. Potrzebuję tylko kogoś, kto mógłby dla mnie sprawdzić kilka spraw i powiedzieć mi, czy jest w tym wszystkim jakiś sens. Nie prosiłbym ciebie o pomoc, ale to bardzo ważne. — Nalał jej trochę szampana, zanim napełnił ponownie własny kieliszek. Elizabeth czuła niepokój widząc, że drżą mu dłonie.

— Widzę. Masz długopis i kartkę papieru? — Mil podał jej swój notatnik i pióro z marynarki leżącej obok niego na trawie. — Nazywa się Chris Masters i jest doskonały w zdobywaniu informacji. Płatności kartami kredytowymi, długi, zaległości hipoteczne, oszustwa podatkowe — powiedz tylko, o co ci chodzi, a on wszystkiego się dowie. Ale iest drogi— Pieniądze nie są ważne. Ale czy jest dyskretny? Czy mogę być pewien, że nie wyjawি wszystkiego pewnego dnia i nie wykorzysta tego przeciwko mnie? Czy nie będzie chciał obłowić się przekazując wszystkie szczegóły do gazet? — To była wyraźna aluzja.

— Chryste, Mil, co zrobiłeś? Jakaś dziewczyna zaszła z tobą w ciążę? — Zarumieniła się, gdyż wspomnienie okropnych plotek o Milu i Nieves ogarnęło ich oboje i zapadła długa, pełna bólu cisza. — Oczywiście, że jest dyskretny i uczciwy. Inaczej nie podawałabym ci jego na-

108

zwiska. Jeżeli cię to interesuje, to mnie również nic nie powie. Chris jest najlepszy, mówiłam ci. — Nałożyła skuwkę na pióro i położyła je razem z notatnikiem na trawę pomiędzy nimi, starając się nie patrzeć w oczy Mila. — Mam nadzieję, że będzie mógł ci pomóc.

— Może przynajmniej spróbuje. — Podniósł pióro, notatnik i schował je, jak gdyby teraz, po uzyskaniu od niej informacji, których potrzebował, chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Elizabeth uśmiechnęła się lekko i oparła o pień drzewa, zamykając oczy i delektując się cieniem rzucanym przez gałęzie. Przełknęła jeszcze trochę szampana.

— Chciałam cię przeprosić za tamten dzień, to znaczy za wczoraj. — Te słowa brzmiały nieco dziwnie w jej ustach, ale mówiła dalej, z zamkniętymi oczami, zadowolona, że nie widzi, jak on je odbiera. — Oskarżyłam cię o zmyślanie faktów na temat Helen. Helen powiedziała mi, że było w tym trochę prawdy. Spotkała się z Enrique, wypłała za dużo i nie panowała nad sobą. Ale nic się tak naprawdę nie zdarzyło. — Otworzyła oczy i patrzyła na grających w krykieta. — Kiedy wyszli z klubu nocnego, poszli w zupełnie innych kierunkach.

— I ty w to uwierzyłaś? — powiedział to tym swoim chłodnym tonem, który zawsze ją prowokował.

— Tak — odwróciła się do niego z furją — oczywiście, że jej wierzę. Helen nigdy mnie nie okłamała. Może nie mówi mi wszystkiego, ale nigdy mnie nie okłamała. — Elizabeth nie zdawała sobie sprawy z tego, że kiedy odwróciła się do niego gwałtownie, jej rozpinana spódnica rozsunęła się, odsłaniając szczupłe brązowe uda. Mil nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nie. Pragnął wyciągnąć dłoń i dotknąć jej miękkiej skóry.

Wyobraził sobie, że rozpiną tę spódnę, a jego dłoń wędruje wzdłuż ciepłych ud do płaskiego brzucha, rozchylając potem stanik i śledząc dłonią strużkę potu pomiędzy piersiami, podczas gdy jego usta... Z trudem odrzucił te myśli.

— To wspaniale. Bardzo się cieszę, że to słyszę. Hugo odetchnie z ulgą. — Nalał Elizabeth resztki szampana i włożył pustą butelkę do stojącego obok koszyka.

— Tylko tyle. Powiesz o tym Hugo, prawda? Helen nie może się przełamać, jest zbyt zakłopotana, a on jest na nią zły. Ktoś jednak musi mu to powiedzieć — nalegała Elizabeth, nie odwracając wzroku nawet wtedy, gdy spojrzał na nią ciemnoniebieskimi oczami i uśmiechnął się ironicznie.

— Myślę, że przynajmniej tyle jestem ci winny. Przysługa za przysługę? Czy to właśnie miałaś na myśli?

— Czy to by było takie okropne? Helen zasługuje na karę za to, co zrobiła, ale nie aż taką...

— Cóż, Hugo musi sam zdecydować. Nie zakładałbym... — przerwał uderzony nagłą myślą, że przecież zawsze zakładał, że jego decyzje w sprawach Hugo są w jego najlepszym interesie. Teraz wydawało się, że me miał racji. Ta myśl wstrząsnęła nim. - To nie mój interes - Wstał i nachylił się, żeby pomóc podnieść się Elizabeth. Ich twarze przez moment zbliżyły się. Dopiero teraz zauważyła, że wyglądał na poważnie chorego. Jego czoło pokrywały kropelki potu. - Muszę wyjechać na jakiś czas, żeby to wszystko wyjaśnić. Jak to załatwię... jak wrócę to się zobaczymy, dobrze? — powtarzał to chyba tylko dlatego, żeby utwierdzić siebie, że może to zrobić.

Elizabeth wysączyła ostatnie kropelki szampana i włożyła kieliszek do koszyka. Obciągnęła spódnicę i wyprostowała się pokazując mu opanowaną twarz.^F

— Może się zobaczymy... Ja też muszę wyjechać, pomóc przyjaciółce, która zdaje się mieć kłopoty. Pamiętasz Marisę, prawda?

Nagle zwięzły mu się oczy, twarz zdawała się przybrać oznaki zakłopotania.

— Maria Luisa z Bendinat? Jakie ma kłopoty?

— Podejrzewam, że to nic poważnego. Wiesz, że czasami podchodzi zbyt histerycznie do wielu spraw. Ktoś próbuje ją nakłonić do sprzedania ziemi i domu, to wszystko. Mam teraz trochę wolnego czasu. Obiecałam że postaram się to wyjaśnić. Ale teraz już muszę iść odszukać Helen Hugo też już pewnie stracił nadzieję, że przyjdę po mój pim. Więc na razie. -Nie była zdziwiona, kiedy nagle odszedł od niej i dał nura w krzaki na odległym krańcu trawnika. Psy niechętnie podniosły się z ziemi, by pobiec za nim. Przekroczył tablicę z napisem „Teren prywatny”. Taki napis doskonale do niego pasuje — pomyślała.

Kiedy Elizabeth wróciła do towarzystwa koło fontanny, właśnie dołączyła do nich Alicia Gordon ze swoim wnukiem Tonym Ingramem oraz jego żoną Claudią.

— Tony był do niedawna w Królewskich Siłach Policyjnych w Hong-

101

kongu, specjalizował się w zwalczaniu Triad. Teraz powrócił do Londynu, gdzie będzie szefem oddziałów specjalnych w Scotland Yardzie. Ty też jesteś specjalistką od Triad, prawda? — zapytała Alicia.

— Raczej nie. Zajmowałam się tylko niewielką częścią ich działalności w Soho. — Uśmiechnęła się do jasnowłosego mężczyzny. Spodobały się jej siła i inteligencja bijące z jego twarzy. — Ale nie ukrywam, że bardzo

sobie cenię znajomość z kimś, kto wie wszystko o Triadach — odpowiedziała i odetchnęła z ulgą widząc, że on też się uśmiecha.

— Będę bardzo zobowiązany — powiedział Tony. — Im bardziej prasa jest w stanie ich zdemaskować, tym bardziej jestem zadowolony. — Okazało się, że Tony jest niewyczerpanym źródłem informacji na temat, który badała zaledwie rok temu.

Claudia także była wspaniałą dziewczyną i Elizabeth spędziła cudowne pół godziny, na koniec wymieniając z nimi numery telefonów w Londynie.

— Nawet nie mogę wyrazić, jak bardzo się cieszę, że was poznałam. Chciałabym widywać was częściej — powiedziała. Claudia odpowiedziała rozpromienionym uśmiechem.

— A ja ogromnie się cieszę, że udało nam się tutaj poznać tak miłych i przyjaznych ludzi. Wszyscy w Londynie są tacy sztywni — zauważyła z przykrością. — Akceptują Tony'ego, jest jednym z nich, aleja... — przerwała.

— Amerykanka, zupełnie odmienna, zbyt inteligentna i zbyt przyzwyczajona, żeby to innym okazywać, tak? — zapytała Elizabeth i nie była zbyt zdziwiona, kiedy Claudia jej przytaknęła. — Nie martw się. Zaakceptują cię, jak cię lepiej poznają. Nie próbuj się zmieniać.

— Nie mogłabym! Bardzo by mi pomogło, gdybym była tak piękna jak twoja siostra — spojrzała na Helen, otoczoną jak zwykle adoratorami. — Ale skoro tego nie mogę mieć, to trochę towarzystwa podobnego do mnie wydaje się wspaniałe. Tony i ja będziemy zachwyceni, jeżeli będziemy mogli cię wkrótce zobaczyć. Zadzwoń do ciebie. — Zabrała swojego męża wraz z babcią i odpłynęli w tłum.

Dopiero kiedy odeszli, Irenę nareszcie miała szansę, aby nieśmiało podejść do Elizabeth i porozmawiać z nią o karierze dziennikarskiej, o której sama też marzyła. Okazało się, że Elizabeth nie była taka sztywna, jak powiedziała jej Sassy, ale przeciwnie — miła, przyjazna i pomocna.

— Mój Boże, mc podobnego! — roześmiała się Elizabeth zaskoczona sugestią, że ma dyplom z dziennikarstwa. - Po prostu chodziłam na wykłady z literatury angielskiej na uniwersytecie w Bristolu. Później pojechałam na północ do jednej z lokalnych gazet na kilka lat, aby zdobyć podstawowe doświadczenie i trochę się podszkolić, a dopiero później starałam się o pracę na Fleet Street.

— A tam spotkałaś Charliego Steina, co oczywiście pomogło ci w zrobieniu kariery, prawda, Lizzie?- zaznaczyła Sassy złośliwie i pogroziła palcem Irene. - Mil zamknie cię w klasztorze, jeżeli spróbujesz czegoś w tym stylu, moja droga.

— To zadziwiające, jacy purytańscy potrafią być najbardziej rozwiązli mężczyźni wobec własnej rodziny, prawda? — roześmiał się Hugo, starając się zrównoważyć nieco uwagę Sassy. Zauważył, że zarówno Elizabeth, jak i Irene zamilkły. - A więc, Lizzie, kiedy zobaczymy twój następny artykuł? Już od kilku tygodni nie było cię na pierwszych stronach gazet — dodał.

— Właściwie to jutro - Elizabeth starała się odzyskać równowagę.

— A kiedy zostaną ogłoszone wieści o przyznaniu Charliemu Steinowi tytułu szlacheckiego? Pewnie czekasz na to z zapartym tchem*? — Sassy zignorowała wściekły jęk Hugo i uśmiechnęła się prosto w twarz Elizabeth zauważając, że zadrzała, a jej ręka sięgnęła odruchowo do gardła, jakby potrzebowała więcej powietrza.

— Tytuł szlachecki? Nie wiedziałam - Elizabeth z trudem przełknęła sunę. — Musi się bardzo cieszyć.

— Och, to jeszcze nic pewnego — kontynuowała Sassy. — Dostanie go tylko wtedy, jeżeli jego sprawy będą czyste. Czyż nie tak mówiłeś, Hugo? Ale chyba nic nie będą mu mieli do zarzucenia teraz kiedy wrócił już do żony. To musi być dla ciebie bardzo trudne, Lizzie-mam na myśli to, że cię zostawił.

Błada i drżąca Elizabeth rozglądała się wokół za kimś, kto mógłby jej pomóc.

— Nie, nie, to znaczy...

— Chcesz przez to powiedzieć, że to była wasza wspólna decyzja o rozstaniu, prawda, Lizzie? - powiedział zimno Mil, wyłaniając się spoza pleców Elizabeth. - A skoro Lizzie i Charlie Stein są wciąż dobrymi przyjaciółmi, nie rozumiem, dlaczego miałabyś przypuszczać Sassy, że to rozstanie jest dla kogokolwiek ciężkim przeżyciem.

To były wręcz druzgocące słowa i Elizabeth była nimi równie zdi-

112

wioną jak Sassy. Wydawało się, że mówił to zupełnie obojętnie, ale Sassy widziała przez chwilę jego pełne furii oczy zwrócone w jej kierunku i zadrzała pod tym spojrzeniem.

— Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, że lunch jest gotowy już od pół godziny i pani Dawidson jest zniecierpliwiona czekaniem na was. Chodź, Irenę, znajdziemy matkę. — Po tych słowach wyprowadził z zaskoczonej grupy zakłopotaną Irenę, która rzucała przeprasające spojrzenia Elizabeth. Sassy złapała pod ramię Hugo i natychmiast ruszyła za nimi, bez słowa pożegnania w kierunku sióstr Barrett, a Hugo westchnął ciężko, wznosił oczy do nieba i ruszył za nią.

Irenę patrzyła na swojego kuzyna z szacunkiem. Miała już teraz zupełnie inne spojrzenie na sławną dziennikarkę, którą opisywał jej przedtem ze śmiechem Hugo. Była bardzo wdzięczna, kiedy wrócili do domu i zasiedli do lunchu, że Mil przez długi czas z uwagą słuchał jej opinii na temat Elizabeth Barrett.

Kiedy drzwi wejściowe do mieszkania Elizabeth w Londynie otworzyły się lekko, niski, ciemnowłosa mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem. Nadal nie było słychać alarmu. Cieszył się, że odważył się na ryzyko. Ostrożnie dał znak osobie czekającej na niego w ciemnościach obok małej ciężarówki. Wszedł do mieszkania i rozejrzał się wokół. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy włamał się tu kilka miesięcy temu. Oczywiście okno zostało naprawione. Podeszedł do niego i zasunął szczelnie zasłony. Zapalił światło. Zegar kominkowy wskazywał dokładnie drugą piętnaście rano.

Na zewnątrz drzwi furgonetki otworzyły się i po opuszczanej rampie zjechał ostrożnie wózek z dużą plastikową beczką. Niski mężczyzna otworzył szerzej drzwi i pomógł wciągnąć beczkę do środka. Później obaj zabrali się do pracy.

— To obrzydliwa niespodzianka — skomentował kierowca, po godzinie wyteżonej pracy. Odsunął się, żeby lepiej widzieć swe dzieło. Usta i nos dokładnie zakrył chusteczką do nosa. — Chyba rzeczywiście nienawidzisz tej dziewczyny? — spojrzał pytająco na niskiego mężczyznę. Mężczyzna uśmiechnął się.

— To należy do mojego planu, to wszystko. A ty się nie martw, dostaniesz swoją część, jak się to już skończy. — Patrzył na oślizgłe mokre

— **Zraniona duma**

ściany i kolorowe napisy sprayem w pokoju. — Obaj dostaniemy naszą działkę, albo niech go Bozia ma w opiece — wymruczał. Spakowali się i cicho wynieśli z mieszkania, wyłączając światło i odsłaniając zasłony.

Załadowali furgonetkę, włączyli silnik i już mieli ruszyć, kiedy niski mężczyzna powiedział:

— Jeszcze jedna rzecz. — Zawrócił w kierunku domu, wszedł do środka, wziął do ręki zegar kominkowy i cisnął go w okno. Odgłos tłuczonego szkła zabrzmiał wyraźnie w ciszy nocy. Zobaczył, że w mieszkaniu powyżej zapaliło się światło. — No, dalej, wynośmy się stąd. — Kiedy furgonetka zbliżała się do końca ulicy, zapaliło się kilka świateł i zawiadomiono już policję.

Rozdział szósty

Doktor Barrett przewrócił kolejną stronę gazety i spojrzął na młodszą córkę. — Ten dziennikarz napisał naprawdę bardzo dobry artykuł. Będziesz musiała pilnować swoich laurów, żeby ktoś ci ich nie odebrał. Kim jest ten Edward Bryce? Helen popatrzyła na Elizabeth nakładając marmoladę na tosta i mrugnęła do niej.

— Zastanów się, tato, Edward Bryce — E.B. — Ugryzła kawałek tosta i obserwowała rozbawiona, jak jej ojciec rozmyśla. Elizabeth wzruszyła ramionami.

— To ja, tato. To pseudonim, jakiego używam. Ale dziękuję, cieszę się, że artykuł ci się spodobał. — Wróciła do swoich myśli tylko na krótką chwilę, ponieważ ojciec zapytał: — Dlaczego? Dlaczego nie pisujesz pod własnym nazwiskiem?

— Och, wiesz — zarumieniła się — czasami lepiej nie rozgłaszać na cały świat, kto jest autorem jakiegoś artykułu. — Starła się, żeby jej głos był opanowany, mając nadzieję, że nie będzie się dopytywał dalej. Nie chciała, żeby dowiedział się o ostrzeżeniu, jakie ostatnio otrzymała.

— Masz na myśli, że nie należy mówić tym złym facetom, kto ich namierzył, tak? — powiedział to zdanie tak poprawną angielszczyzną, że zabrzmiało śmiesznie. Ale było oczywiste, że doktor Barrett jest zmartwiony. Margaret podniosła wzrok znad stołu. Okulary ledwie trzymały się na jej nosie, a ręka z tostem zatrzymała się w pół drogi.

— Bzdura! Przecież Lizzie nigdy nie napisała nic tak ważnego, żeby mogła narazić się na niebezpieczeństwo. Uważam natomiast, że mogła użyć pseudonimu, kiedy napisałaś ten artykuł o George'u Rochfordzie jakiś czas temu. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś? Szczególnie teraz, gdy Helen i on są tak szczególnie zaprzyjaźnieni. A może jesteś zazdrosna? — Spojrzała groźnie na Elizabeth.

— Mil i ja wcale nie jesteśmy żadnymi szczególnymi przyjaciółmi — zaprotestowała natychmiast Helen. Tak naprawdę tylko mnie toleruje i to ze względu na Hugo. Powiedziałabym raczej, że jest bardziej zainteresowany Lizzie, pomimo jej artykułów. — Spojrzała z ciekawością na siostrę. — Sądząc po sposobie, w jaki cię uratował wczoraj, kiedy Sassy się nad tobą znęcała, można nawet powiedzieć, że czuje do ciebie więcej niż przyjaźń... — Uśmiechnęła się widząc gwałtowny rumieniec Lizzie.

— Wcale nie. Po prostu przywołał Sassy do porządku — mruknęła Elizabeth — lub też miał nadzieję, że w ten sposób uniknie następnych artykułów.

— To śmieszne mówić, że on tylko cię toleruje, Helen. Widziałam, jak się zachował w stosunku do ciebie na stacji, i możesz mi wierzyć, że było to dalekie od wyrozumiałości. Ja się dobrze orientuję w takich sprawach — kontynuowała Margaret.

Doktor Barrett potrząsnął niecierpliwie gazetą i rzucił żonie zirytowane spojrzenie.

— George Rochford jest zainteresowany tylko swoją osobą i nie zachęcałbym żadnej z naszych córek do zainteresowania się nim, ponieważ wszystkie możecie się rozczarować, kiedy dowiedziecie się wkrótce, że i tak nie ma o co walczyć.

— Co, u diabła, masz na myśli, Edwardzie? — zapytała Margaret.

— To, moja droga, że gdyby nie miał tytułu lub fortuny rodzinnej, to nie sądzę, żebyś uważała go za atrakcyjną partię — zauważył ostro.

— To nieprawda — zaprzeczyła Margaret. — Przecież nadal miałby Compton Lacey. I wciąż jeszcze byłby bardzo przystojnym, młodym człowiekiem. — Nie zauważyła ironicznych uśmiechów obu dziewcząt. — Czy przypadkiem nie chcesz powiedzieć, że zbankrutuje?

Ale doktor zmienił temat.

— Co ta *Organizatsiya* mogłaby ci zrobić, Lizzie, gdyby odkryli, że to ty jesteś odpowiedzialna za zdemaskowanie ich w Londynie?

— Co mogliby zrobić? — Elizabeth wzruszyła ramionami. — Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie wysyłaliby do mnie listy z pogróżkami — skłamała. — Wiesz, o co mi chodzi. Każdy dziennikarz je otrzymuje. — Uśmiechnęła się do ojca, mile wzruszona faktem, że wydawał się o nią martwić, chociaż ostatnio nie zwracał na nią za bardzo uwagi. — Nie martw się, tato. Nic mi nie zrobią, bo się nie dowiedzą. Nie wie o tym nikt oprócz mojego szefa, policji i ciebie. — Pochyliła się, żeby nakarmić bekonem kota. — A mam nadzieję, że nie masz zamiaru nikomu o tym powiedzieć?

W chwilę później policja przerwała im śniadanie. To Mycock przysłał samochód po Elizabeth, żeby wróciła natychmiast do Londynu. Początkowo chciał z nią jechać ojciec, ale po namyśle powiedział, że musi pozostać i mieć na uwadze dobro dziecka pani Hill. Matka była pewna, że to zwykłe włamanie. Pojechała więc z nią Helen. Elizabeth rzeczywiście dostała list z pogróżkami. Ale tym razem był on wypisany literami wielkości sześciu stóp na ścianach jej pokoju, brązową farbą, którą na początku trudno było zidentyfikować, aż do momentu, kiedy poczuła zapach — słodki i obrzydliwy. Cofnęła się z odrazą.

Na dole jej sypialnia oraz łazienka pokryte były tym samym obrzydliwym, odór był wprost nie do wytrzymania. — Ohyda! — Johnson skrzywił nos i pomógł Elizabeth wspiąć się na schody. — Musieli wylać tego mnóstwo. Zupełnie jak krwawa rzeźnia. — Spojrzał na dziewczynę wiszącą na jego ramieniu, tak bladą, że mogła za chwilę zemdleć. — Tym razem rzeczywiście udało im się przekazać wiadomość. Spodziewam się, że będziesz chciała gdzieś wyjechać, zanim ich dopadniemy.

— Nie spodziewaj się niczego, Johnson — warknął Mycock. — Zostaw mi tę dziewczynę i zagoń chłopaków do roboty, dobrze? Chodź, Lizzie, złapiemy trochę świeżego powietrza. Twoja siostra czeka na ciebie i umiera z niepokoju. Dlaczego nie powiedziałaś jej o poprzednich ostrzeżeniach? — Wyprowadził ją na chodnik, który zdawał się kołysać przez chwilę pod nogami Elizabeth. Helen podbiegła, żeby ją podtrzymać. Wstrętny odór powoli oddalał się. Przez moment marzyła o tym, żeby poczuć zapach wody kolońskiej Mila, który pozwoliłby jej na zawsze wymazać z pamięci ten smród.

— Teraz może zechcesz mi coś powiedzieć o tym liście — zaczął Mycock. — Ktoś nieźle się natrudził, żeby go przekazać, i mam nadzieję, że wiesz, kto to był i dlaczego to zrobił?

Ale Elizabeth tylko patrzyła na niego. Kości policzkowe rysowały się pod jej pobladłą skórą.

— Nie — pokręciła przecząco głową — i to właśnie jest problem, Jimmy. Ja nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia.

— Ktoś to przygotował specjalnie dla ciebie, Lizzie, i tym razem nie jest to jakiś wściekły radny. Mogłaś być w domu, kiedy rozlewano tę krew i część z niej mogła być twoja. Więc uważaj na-siebie, słyszysz? — To ostatnie zdanie Mycocka, które wypowiedział, zanim odprowadził ją do wyjścia na lotnisku, do samolotu linii Iberia, wracało w jej umyśle, jak zacięta płyta. Wiedziała, że martwił się o jej bezpieczeństwo i postara się znaleźć tych, którzy jej grożą. Ona jednak nie była w stanie mu pomóc. I niestety zdawała sobie sprawę, że on też nie wiedział, o co tu chodzi.

Gdyby *Organizatsiya* wiedziała o niej, skończyliby z nią już za pierwszym razem, zamiast zostawiać jako ostrzeżenie martwe zwierzę. Ich metody cechowała całkowita dyskrecja i bezlitosne okrucieństwo. Gdyby tylko podejrzewali, że zamierza ich zdemaskować, rozprawiliby się z nią natychmiast i to na dobre.

Więc, jeżeli to nie byli oni, na czyje odciski nastąpiła ostatnio wystarczająco silnie, żeby chcieli ją ukarać wylaniem w mieszkaniu takiej ilości śmierdzącej krwi? Kto chciał ją bardzo przestraszyć, ale jednocześnie jej nie skrzywdzić? Zupełnie nie wiedziała. Triady to była sprawa z zeszłego roku, a lokalna rada z Redditch nie odważyłaby się na taki krok, bez względu na to, jak byliby wściekli. Inne zaś sprawy były zbyt błahe, żeby coś takiego mogło się zdarzyć. I nie było doprawdy nikogo innego. A może jednak...

Zmieniła pozycję w kolejce do kontroli paszportowej, poprawiając torbę na ramieniu i podsuwając nogą koszyk. Na zewnątrz lotniska w Palmie panował okropny upał, ale ona drżała pod zimnymi podmuchami klimatyzacji i dziwiła się zmianom, jakie zaszły w tym miejscu w ciągu kilku lat. Nareszcie to wygląda jak lotnisko — pomyślała — a nie tylko jak hangar.

Strażnicy, wyglądający bardzo elegancko w bryczesach, wysokich bu-

108

tach i w hełmach zakończonych metalowym szpicem, obserwowali nowo przybyłych pasażerów z ledwo ukrywanym rozbawieniem. Przewodnicy kroczyli na czele wycieczek prowadząc je do autobusów i hoteli. Elizabeth współczuła im.

Nigdy nie będą wiedzieli, jak piękną wyspą była Majorka, kiedy jeszcze nie zabudowano pasma wybrzeża ciągnącego się od El Arenal do Santa Ponsa. Nigdy nie wyruszą szlakiem do Deya po szczytach gór, wznoszących

się ponad stromymi wybrzeżami i otoczonych przez ogrody pełne drzew owocowych, oliwnych i migdałowców. Nie pobiegną z krzykiem, pokryci czerwonym błotem z naturalnych kąpielisk błotnych na plaży Lluch Alcari, by rzucić się do morza. Nie skosztują potraw w starych restauracjach *bodega*, które obsługują tylko tubylców i ludzi, którzy osiedli na dłużej w *pueblos*, ani nie kupią buteleczek z zapachem lawendy czy tuberkulozy od zakonników z miejscowego klasztoru. Nie zobaczą rozległych wybrzeży, które opadają na tysiące stóp w dół, do migocącego morza. Ani też nie urządzą sobie pikniku w opuszczonych zatoczkach i nie będą zrywali dzikich kwiatów na polach otoczonych kamiennymi ścianami. Tak naprawdę, nie zakosztują uroku Majorki. A jednak, kiedy pojedą do domu, będą krytykowali wyspę.

Elizabeth westchnęła, zadowolona, że udało jej się dostać pokój w hotelu Bendinat bez wcześniejszego uprzedzenia. Powiedziano jej, że było to możliwe tylko dzięki temu, że dzień wcześniej ktoś niespodziewanie zrezygnował ze swojego pokoju, w przeciwnym razie, w pełni sezonu, nie miałyby żadnej szansy. Zastanawiała się, kto odwołał rezerwację i dlaczego. Zdecydował, że nie przyjedzie i zostanie w domu? Uprzykrzone myśli znowu jednak powróciły do kompletnie zdewastowanego mieszkania.

Helen powiedziała, że zamówi czyszczenie domu, ale to trochę potrwa. Dywan nadaje się do wyrzucenia, płyty podłogowe trzeba będzie unieść, żeby wyczyścić krew, która przez nie przesiąknęła. Wszystkie pomieszczenia trzeba przemalować i położyć nowe wykładziny. I oczywiście wymienić okno. Dopiero wtedy będzie mogła próbować je sprzedać. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby tam jeszcze wrócić. Niestety, niewiele mogła za nie dostać przy obecnym popycie na mieszkania.

Elizabeth spojrzała na kapitana gwardii, który przyglądał się jej zbyt natarczywie. Jego wzrok ślizgał się po szczupłych nogach przykrytych króciutką, kremową spódnicą i po piersiach pod cienką niebieską bluz-

ką. Przeniósł wzrok wyżej na jej twarz, usta, oczy i uśmiechnął się widząc oburzenie Elizabeth. Jest samotną kobietą, a on reprezentuje tutaj władzę, czego więc oczekuje — zdawał się mówić jego wzrok.

Po sprawdzeniu paszportu przeszła do następnej hali, gdzie czekał na nią bagaż. Kiedy szła w stronę postoju taksówek, zauważyła, że kapitan gwardii idzie za nią. Zatrzymał się tuż przed nią, uśmiechając się:

— *Su pasaporte, por favor!* Proszę okazać paszport— To nie była jednak tylko prośba, więc znowu zaczęła przeszukiwać torbę i położyła paszport na jego dłoni. Okulary ukrywały wściekłość bijącą z jej oczu.

— *Senorita Elizabeth Barrett? Verdad?* Prawda? — przerwał oczekując na potwierdzenie jej tożsamości. Powoli zdjęła okulary i spojrzała mu prosto w oczy.

— *Claro, como puede ver!* Oczywiście, tak jak pan widzi. — Przytaknął, jak gdyby potwierdzając raz jeszcze, że jest właściwą osobą.

— *Esta aqui sola, senorita?* Jest pani sama?

— *Si. Tiene problema, senor!* Jakiś problem? — Nie był przyzwyczajony do tego, żeby to jemu zadawano pytania ani do pełnego sarkazmu tonu, który nadała głosowi. Zesztywniał i mówił dalej, już bardziej ostrym głosem, w lokalnym narzeczu hiszpańskiego:

— W którym hotelu się pani zatrzyma?

— Co pan właściwie chce wiedzieć, kapitanie? Czy zrobiłam coś złego?

— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. W którym hotelu pani się zatrzyma?

Elizabeth westchnęła i ponownie założyła okulary.

— W hotelu Bendinat. Na dwa tygodnie. Coś jeszcze, kapitanie? -A może mam się skontaktować z moim starym przyjacielem, don Arturem? Jestem pewna, że pan go zna. Jest szefem żandarmerii w Calvia. Z pewnością będzie chciał wiedzieć, dlaczego zamęcza mnie pan tymi pytaniami — rzuciła z wściekłością. To był blef. Spotkała co prawda don Artura kilkakrotnie będąc jeszcze dzieckiem, kiedy jej rodzice przyjmowali lokalnych dygnitarzy, ale z pewnością by jej nie pamiętał i nie chciał pomóc. Ale spodziewała się, że jeśli nie ustawi teraz tego kapitana, może sprawić, że jej pobyt na Majorce stanie się niezbyt przyjemny.

Twarz oficera zesztywniała, cofnął się i oddał jej paszport.

— Gratuluję pani doskonałej znajomości hiszpańskiego, *senorita*. Miłego pobytu. Mam nadzieję, że nie przesadzi pani z opalaniem się — jego wzrok raz jeszcze prześlizgnął się po jej ciele — ani z niczym innym. Nie

chciałbym, żeby naraziła się pani na jakieś kłopoty. Piękna samotna kobieta powinna uważać, żeby nie prowokować mężczyzn. — Uśmiechnął się widząc jej zażenowanie, odwrócił się na obcasie i odmaszerował w stronę hali przylotów. Jej „przyjaciół” don Arturo byłby rozbawiony — pomyślał podziwiając jej tupet. Cóż, przynajmniej potwierdził, gdzie się zatrzymała. Przestał o tym myśleć i rozejrzał się po hali, aby spróbować szczęścia z inną samotną kobietą.

— „...uważać, żeby nie prowokować mężczyzn” — powtórzyła do siebie złośliwie Elizabeth wsiadając do taksówki i opadając na rozgrzaną skórę — „...nie chce pani kłopotów, prawda?” — Drań! — mruknęła cicho. Ale zdawała sobie sprawę, że mógł mieć rację. Kiedy była tu ostatnio, jako mała dziewczynka, zawsze ktoś jej towarzyszył. Będzie musiała uważać na to, co na siebie wkłada, bo rzeczywiście może nieświadomie kusić mężczyzn, którzy uważają, że angielskie turystki potrafią dostarczyć niezłej zabawy.

W przeciwieństwie do Sassy nie chodziła na łożko opalające przez całą zimę. Spędzi teraz godzinę lub dwie na plaży, a później powędruje w dół calle Rossegada do Marisy, żeby sprawdzić, czym ona się tak zamartwia. Przecież to mają być również jej wakacje, więc na początek powinna się nieco odprężyć.

Z takim postanowieniem opadła na siedzenie z pełnym zadowoleniem i pochłonęła ją obserwacja mijanych krajobrazów. Najpierw jechali przez płaski, nieciekawy krajobraz w pobliżu lotniska. Jego monotonię zakłócały nieliczne *pueblos* (osady), lub osamotnione wiatraki. Później zaczęli się zbliżać do przedmieść Palmy. Upał wzmagał się. Ludzie poruszali się jak w letargu, chroniąc się przed gorącem w cieniu żaluzji i grubych ścian. Było zbyt wcześnie na sjęstę, w niektórych biurach wciąż jeszcze pracowano w zwolnionym tempie. Tylko turyści byli zachwyceni upałem, chroniąc się pod słomianymi parasolami, smażąc się na plaży lub przedzierając przez labirynt sklepów Palmy w poszukiwaniu okazji na pamiątkę, które mogliby nabyć i zawieźć dumnie do domów. Elizabeth nie rozpoznawała zbyt wiele do momentu, kiedy dojechali do wielkiego portu otoczonego klubem żeglarskim Real Club Nautico dla starszych rodzin Majorki oraz Club de Mar — nowszego, bardziej eleganckiego i nastawionego na młodszych amatorów żeglarstwa. Droga prowadziła dalej poza Palmę, poprzez przepięknie położoną posiadłość, prawie niewidoczny dla oka San Augustin, pałac letni króla Juana Carlosa i Uletas, aż do migdałowych wzgórz Bendinatu. Była to mała

oaza przeszłości, do niedawna niemal zapomniana, ukryta w przypadkowej pętli drogi, która przecinała wzgórze i pozostawiała Bendinat z dala od tłumu turystów.

Elizabeth słyszała, że plaża, która poprzednio należała do wojska, została przejęta przez elitarny klub, podobnie jak mały odosobniony port Portals Nous. Zostały one rozbudowane z zachowaniem oryginalnego uroku Bendinat i Portals. Przynajmniej tak jej powiedziała Marisa. Teraz będzie mogła sprawdzić to na własne oczy.

Elizabeth pochyliła się do przodu. Wiatr wpadał przez otwarte okno taksówki. Rozpoznawała znajome, wijące się aleje, stare wille ukryte za niskimi ogrodzeniami. Taksówka zbliżała się po stromej drodze do Rosse-gady, cichej i sennej w południowym słońcu. Blask cudownie niebieskiego morza i terakotowych donic z geranium wygrzewających się w słońcu, przyciągnęły jej wzrok i przypomniały dzieciństwo nie kończącego się, pełnego śmiechu i pozbawionego trosk lata. Nie zawsze była to idylla, ale nigdy nie wisały nad nią tak ponure cienie jak teraz. Wciągnęła głęboko do płuc ciepłe, słone powietrze niosące zapach wody, ziół, kruszących się skał wapiennych, oleandru i pnączy pławiących się w upalnym słońcu.

Zbliżało się południe, kiedy zameldowała się w hotelu Bendinat i zaprowadzono ją do malutkiego domku na terenie hotelu, miejsca otoczonego kamiennym podwórzem, tarasami pełnymi kwiatów i samotnymi łaźniami. Szczęśliwym trafem znalazła się w jednym z domków z widokiem na morze i skalisty cypel, z którego tak często skakała do morza jako dziecko. Z którego skoczyła wtedy, kiedy nieomal utonęła. Na dalekim horyzoncie, jak niewielka smuga, widniała wyspa Cabrera i mniejsza wysepka z plażą, która kiedyś należała do wojska. Wciąż stała tam wieża z syreną. Na jej szczycie zawsze rozpalano ognisko ostrzegając przed inwazją od strony morza. Błyszczała teraz w gorącym słońcu, jakby i w tej chwili płonął na niej ogień.

Rozpakowała się pośpiesznie i wskoczyła w turkusowo-białe bikini, szaleństwo, na które zdecydowała się wczoraj w salonie Harrodsa. W białej bluzce zarzuconej na bikini, ciemnych okularach i wielkim kapeluszu słomkowym czuła się dziwnie lekko i swobodnie. Po to właśnie są wakacje — powiedziała sobie, gdy sumienie wyrzucało jej, że nie poszła natychmiast do Marisy. Nic się przecież nie zmieni, jeżeli najpierw posiedzi godzinę na plaży. Tylko tyle, żeby skóra nabrała koloru — myślała szczęśliwa. Opalała się szybko i od razu na piękny brąz, jakby była rodowitą mieszkanką Majorki.

122

Leżała napawając się upałem już przez pół godziny. Czuła, jak ciepło przepływa przez jej kości, topiąc napięcie, odsuwając złe myśli. Pociągnęła językiem po ustach, czując, jak natychmiast wysychają, i zdecydowała, że nadszedł

czas na drinka. Coś z niewielką zawartością alkoholu, z lodem i owocami. Schłodzona sangria byłaby doskonała. Podniosła dłoń, kiedy przechodził obok kelner.

— Czy nie miałybyś nic przeciwko dołączeniu do mojego dzbana, *ninital* Nie jest miło pić w samotności w tak wspaniałym otoczeniu — rozległ się czyjś miły głos. Przypomniała sobie, że kilka minut temu słyszała z tyłu skrzywienie krzesła. Odwróciła się lekko i spojrzała przez ramię na ciemnowłosego mężczyznę, w ciemnych okularach i o śniadej cerze, siedzącego w cieniu parasola przy malutkim metalowym stoliku. Ubrany w nieskazitelny letni garnitur, z poluzowanym krawatem i odpiętym górnym guzikiem koszuli, wyglądał elegancko, ale jednocześnie łobuzersko. Uśmiechnął się do niej szeroko i ona też niepewnie uśmiechnęła się do niego.

— Guillermo!

Maria Luisa poczuła się bardziej pewnie od chwili, kiedy porozmawiała z siostrami Barrett. Przyjadą tutaj i to właśnie im odprzeda dom — zdecydowała. To będzie nauczka dla tego wstrętnego faceta. Przyjemnie będzie spojrzeć na jego małą, miękką twarz i powiedzieć: — Sprzedać? Ależ ja już nie jestem właścicielką tej willi. Musi pan rozmawiać z nowymi właścicielami. To bardzo ważni ludzie, z Anglii. Nie będą chcieli panu sprzedać. Traci pan czas. — Będzie wtedy ją straszyl, ale nic nie będzie mógł osiągnąć. Zupełnie nic!

Roześmiała się do siebie zadowolona. Wachlowała się siedząc wygodnie na schodach, z podciągniętą do kolan suknią. Jej włosy połyskiwały w promieniach słońca przebijających się pomiędzy praniem, które suszyło się nad jej głową. Elizabeth przyjedzie jeszcze dzisiaj po południu. Marisa przez cały ranek czyściła i sprzątała dom, żeby dziewczęta nie mogły się oprzeć jego urokowi.

— Oferują dobrą cenę, wiesz, piesku, dużo lepszą niż ten mężczyzna— powiedziała do Chamaca, który leżał w cieniu obok niej, dysząc ciężko w upale. Zresztą zaczynała być już zmęczona ciągłym wspinaniem się na schody i praniem. Jej córka miała rację. Już czas zostać *abueta* dla wnuków.

Spojrzała na skaliste, wapienne wybrzeża, którym obrastające je krzewy nadawały zielonoszary odcień, na migocącą i tonącą w upale zatokę. Z jej ust wyrwało się głębokie westchnienie.

To nie był ten sam Guillermo, którego Elizabeth pamiętała z młodości. Jako chłopak był grubszy. Co prawda dosyć wysoki, ale niezbyt dobrze umięśniony. Od dnia, w którym pobił się z Milem o Nieves, nie przyjeżdżał latem na Majorkę. Jego rodzina mieszkała w Madrycie i pewnie znaleźli sobie inne miejsce na spędzanie letnich wakacji. Niepotrzebnie, bo Mil od tamtej bójki także nie przyjeżdżał na Majorkę. Ze względu na Nieves.

Ledwie rozpoznała w tym człowieku Guillerma. Tylko uśmiech, który miał w sobie coś rozbrajającego, a jednocześnie prowokującego, pozostał ten sam. Nic więcej w tym świetnie zbudowanym, wysokim mężczyźnie nie przypominało dawnego Guillerma. Jego twarz była szczupła i miała w sobie coś drapieżnego. Nos zdradzał mauretańskie pochodzenie. Włosy były teraz ciemniejsze, prawie granatowoczarne, a nie brązowe, jak w dzieciństwie.

— Co cię tu sprowadza, *ninita*? Chyba tak piękna kobieta jak ty nie spędza samotnie wakacji? — Przyciągnął bliżej krzesło do jej leżaka. Przyjęła kieliszek sangrii, który jej zaproponował, i przyglądała mu się spoza okularów słonecznych.

— Elizabeth, Liz lub Lizzie, Guillermo, którekolwiek ci się podoba, ale nie *ninita*, dobrze? — błagała go z uśmiechem. — Jak to już zauważyłeś, jestem kobietą. Mam prawie trzydzieści lat, więc nie jestem już małą dziewczynką. Rzeczywiście jestem tu sama. — Uśmiechnęła się widząc jego udawane niedowierzanie. A może nie było ono udawane, może rzeczywiście podziwiał ją? Dwóch mężczyzn w ciągu kilku godzin powiedziało jej, że jest piękna, i nawet jeżeli nie wierzyła w to do końca, miło było tak siedzieć i delektować się komplementem. Jego woda kolońska była podobna do jej własnej. To chyba Equipage?

— Ale dlaczego? Bez męża? Lub kochanka? Nie wierzę! — Jego spojrzenie prześlizgnęło się po jej smukłych nogach, płaskim brzuchu, małych piersiach i po raz pierwszy nie była tym zirytowana czy zakłopotana. Umiał dozować pożądanie, bez narzucania się. Podziwiać, uśmiechać się, ale jednocześnie zaczekać, aż poproszą go o więcej. Niezły chwyt — pomyślała.

124

— A jednak — odpowiedziała. — Jestem zbyt zajęta robieniem kariery. Przyjechałam odwiedzić Marię Luisę... — pochyliła się i udawała, że szepcze — a właściwie, to zamierzam kupić jej willę. Na spółkę z Helen. Ktoś jeszcze jest zainteresowany kupnem i naprzykrza się z tym Marisie, więc zaproponowała, żebym przyjechała i podpisała od razu odpowiednie papiery. — Usiadła ponownie wygodniej na leżaku i uśmiechnęła się. — Dlatego tu jestem.

— Czy już ją kupiłeś? — zapytał, potrząsając głową, jakby nie mógł pojąć współczesnych kobiet. — Starą, zrujnowaną willę na walącym się zboczu? Czy na pewno wiesz, co robisz, Lizzie? — zapytał napełniając ponownie jej kieliszek.

— Oczywiście to wszystko zostanie uwzględnione w kontrakcie i zamierzam się jeszcze rozejrzeć. Nie jestem zupełnie naiwna— jej głos stał się ostry. Guillermo spojrział na nią zakłopotany, jakby obawiał się, że czymś ją obraził.

— Oczywiście, że nie jesteś. Nie sugerowałem nic takiego. Sam pracuję w nieruchomościach w Barcelonie. Jestem prawnikiem i cały czas mam do czynienia z takimi kontraktami. Chcę tylko, żebyś uważała i nie spieszyła się za bardzo z tym zakupem. Czy wiesz, kim jest ta inna osoba, która chce kupić willę?

— Nie mam pojęcia. Myślę, że Marisa dostarczy mi wszelkich informacji i to bardzo wyczerpujących, o ile ją znam. Ale prawdę mówiąc, kiedy dzwoniła do mnie, była nieco przestraszona, więc powiedziałam jej, że natychmiast przyjadę. Oszukuję teraz nieco, siedząc na plaży. — Mrugnęła do niego. Guillermo roześmiał się.

— A więc nie widziałaś się jeszcze z Marią Luisą ani nie znalazłaś nikogo, kto by ci pomógł z kontraktem? Mógłbym ci pomóc, jeżeli sobie życzysz — powiedział. Był tak gotowy zająć się tą transakcją, że Elizabeth podświadomie zaczęła się obawiać. Nie lubię, kiedy się mnie zmusza do czegoś — wyjaśniła sobie chwilowy niepokój, który ją ogarnął.

— Dziękuję ci, ale jeszcze na to za wcześnie. Pójdę się z nią zobaczyć jeszcze dzisiaj po południu, a później zobaczymy. — Uśmiechnęła się znowu sącząc sangrię i podziwiając błękit morza i brzoskwiniowe malwy kwitnące na kamiennych tarasach.

W dali widziała sosny, pod którymi zasiadł starszy mężczyzna z dzieckiem, i młodą parę na rowerze, pedałującą z zapalem po wybrzeżu. Mała łódka pełna dzieci pływała po zatoczce.

— Ale teraz chcę popływać — powiedziała Elizabeth. — Nie masz

ochoty pójść ze mną? Nie jest ci za gorąco w tym garniturze? — Rzeczywiście nie ubrał się najlepiej na plażę hotelową. Uśmiechnął się rozbrajająco, a jego ciemne brwi podniosły się komicznie do góry. Wygląda niewątpliwie atrakcyjnie — pomyślała z zainteresowaniem.

— Mam spotkanie w interesach o drugiej w Palmie.— Popatrzył na zegarek i westchnął. — Z wielką chęcią poszedłbym popływać, ale chyba będę musiał zrezygnować. Może później. Będę tutaj do środy lub nawet czwartku, w zależności od tego, jak szybko uda mi się załatwić sprawy. — Wstał i zawahał się. — Czy zechciałabyś zjeść ze mną kolację, Lizzie? Tutaj, w hotelu. Z przyjemnością porozmawiałbym z tobą i dowiedział się, co robiłaś przez kilka ostatnich lat.

— Oczywiście. Dziękuję, Guillermo. O której? O dziewiątej? — Poczwała ulgę, że nie będzie jadła kolacji sama. Restauracja hotelowa była jedną z najlepszych i najbardziej eleganckich i gdyby była sama, mogłoby to wywołać zdumienie.

— Może być o dziewiątej. W którym jesteś domku?

— Nie rób sobie kłopotu przychodząc po mnie. Mniej więcej o tej porze będziesz mógł mnie znaleźć w barze. — Uśmiechnęła się i pomachała mu dłonią na pożegnanie udając się w kierunku morza i zastanawiając się, czy za nią patrzy. Szła starając się zachować wdzięczne ruchy, kołysząc biodrami. Ale kiedy obejrzała się, już .go nie było. Roześmiała się z własnej naiwności. Zdjęła okulary i wskoczyła do wody.

Londyn

— Trev? To ja, Annette... Nie, wyjechał właśnie do Hiszpanii na kilka tygodni. Powiedział, że musi sprawdzić kilka spraw... Oczywiście, że nie. Przecież jestem tu dopiero od tygodnia. Czego się spodziewałeś? Cudów? —

Zarumieniła się i wzburzona, poprawiała fryzurę. — Jeszcze nie wiem. Mam mnóstwo pracy z tymi parlamentarnymi papierzyskami, a on trzyma mnie raczej z daleka od własnych interesów. Ale z rozmów z ludźmi tutaj wiem, że ma w tej chwili czym się martwić. Zwolnił jednego z ważniejszych dyrektorów, zupełnie niedawno...

— Bawiła się ołówkiem, słuchając bez entuzjazmu wskazówek Russella.

Na początku wydawało się jej, że to tylko niezły dowcip, dobry sposób, żeby dokuczyć kilku osobom. Ale odkąd dostała tę posadę, za-

116

czynała doceniać, jak ciężko wszyscy pracowali, jak bardzo się starali. A oprócz tego wywarła na niej wrażenie etyka pracy jej szefa. Przychodził do biura pierwszy i zostawał najdłużej. Wychodził w czasie pracy tylko wtedy, gdy

musiał coś załatwić w Izbie Lordów lub szedł na lunch z biznesmenami. Mogło jej się nie podobać to, kim był albo jego łatwe życie, które prowadził dzięki swojemu urodzeniu, ale doceniała jego wysiłki w biurze.

— Tak, tak... słyszę cię. Wiem tylko, że dzwoni do niego jakiś Jimenez — Clar, kuzyn... Dobrze, zostanę dłużej i przejrzę kartoteki... Nie, Linda zacznie coś podejrzewać, jak ją poproszę o klucze. Sądzę, że będę je musiała zabrać po cichu i dorobić kopię... Nie, ja to wyjaśnię, dobrze? Tak, wiem, że za to właśnie mi płacisz — ton jej głosu wyraźnie się zaostriął. — Powiedziałam, że sobie z tym poradzę, w porządku? Wyraźnie nic nie było w porządku sądząc z jej tonu. Z westchnieniem odłożyła słuchawkę i rozejrzała się po biurze. — Cholera, co mam teraz zrobić? — powiedziała cicho.

Widziała swoje odbicie w oszklonych półkach regałów. Wykrzywiła twarz i pokazała język jak dziecko. To Trev poprosił ją o to, a nie odwrotnie. I jeszcze nie wzięła od niego żadnych pieniędzy. Nie musiała więc nic dla niego robić. Ale... on z pewnością wysłałby anonim do Mila, wyjaśniając wszystko. A skoro Russell ma zająć wysoko, głupio by zrobiła, gdyby zaprzepaściła taką szansę.

— Cholera — zaklęła głośno. — Cholera! Cholera!

W pomieszczeniu znajdującym się obok pokoju Annette, Chris Masters odłożył słuchawkę, przewinał taśmę i uniósł brwi uśmiechając się lekko. A więc lord Rochford miał rację. Rzeczywiście miał problem. I to nie tam, gdzie się go spodziewał.

— Doprawdy, Mil! Nie spędzaliśmy razem wakacji już od wieków, nie byliśmy tutaj piętnaście lat, a ty siedzisz w pokoju zawałony papierami ze słuchawką przylepioną do ucha. Obiecałeś mi, że będzie zabawnie — skarżyła się Sassy, nie pamiętając, że błagała go, żeby zabrał ją ze sobą. Gdyby uważała, że to może wpłynąć na jego decyzję, tupnęłaby nogą. Byłoby to jednak śmieszne w tej chwili, gdyż była prawie niemal naga. — Chodźmy popływać, chociaż przez chwilę, proszę...

Otworzyła drzwi francuskie wiodące do małego gabinetu, w którym zaszył się Mil niemal od chwili przyjazdu zeszłej nocy. Nie zważała na wiatr, który przerzucał papiery na jego biurku. Stała w bikini i patrzyła na niego groźnie. Zaklął i przytrzymał papiery na biurku.

— Zamknij te cholerne drzwi, Sassy. — Zmęczony i zirytowany, tarł dłońmi zaczerwienione oczy, przed którymi latały już całe setki liczb. Boże, co za bałagan! Wuj Antonio, nie mając własnych dzieci, powierzył interesy w ostatnich latach swojemu siostrzeńcowi Jose-Marie. Mil pomyślał ze wściekłą determinacją, że kuzyn Jose-Marie będzie musiał znaleźć dla swoich poczynań dobre usprawiedliwienie, albo natychmiast zostanie zwolniony. Żadnego zawieszenia wyroku, żadnych próśb o łaskę, po prostu do widzenia. Sassy, zawiedziona jego słowami, zamknęła cicho drzwi. Nie odeszła jednak. Zbliżyła się do Mila i pochyliła nad nim swoje piękne ciało.

— Mil? — delikatnie gładziła jego włosy. Zamknął oczy, napawając się miłym wrażeniem. — Wiesz, musisz kiedyś zrobić sobie przerwę. Jeżeli będziesz pracował w takim tempie, wpędzisz się do grobu. — Masowała jego ramiona i szyję, gdzie mięśnie były napięte od stresu i wyczerpania.

Czuł, jak jej kciuk wbija się w jego ciało, usuwając zmęczenie i napięcie. Pochylił głowę oddając się przyjemności jej dotyku.

— Nie mam wyboru, Sassy — wymruczał, kiedy pochyliła się nad nim, jak gdyby chcąc usłyszeć lepiej słowa Mila.

— W każdym pokoleniu musi być ktoś, kto robi porządek z finansami i znowu pchnie firmę do przodu. Tio, mój wuj, robił to przez lata, naprawiając to, co zepsuli mój ojciec i ojciec Irene; błędy w zarządzaniu, zbytnią rozrzutność.

— Przerwał na chwilę zastanawiając się, czy nie popełnia błędu mówiąc jej to wszystko... Ale jaki był sens udawania?

Sięgnął po jej rękę i zacisnął ją w swoich dłoniach.

— Teraz wuj jest już za stary i zbyt chory, żeby prowadzić interesy, a jego następca, sądząc po całym tym bałaganie, nie radzi sobie najlepiej. Ja zatem będę musiał naprawić to wszystko, co on zepsuł przez ostatnie kilka lat. Odciąć martwe korzenie i spróbować odrodzić interesy. Niestety, nie mogę tego zrobić przesiadując na basenie i w Annabel's. — Spojrzał na nią. — Rozumiesz mnie, Sassy? Nie jestem nudny, ale po prostu nie mam innego wyboru. Od tego zależy życie wielu ludzi, nie mówiąc już o moim.

Na chwilę zapadła cisza. Po chwili Sassy odezwała się dziwnie ostrym głosem.

128

— Czy chcesz powiedzieć, że zbankrutujesz, Mil? Że nie masz już wystarczająco dużo pieniędzy, żeby prowadzić życie na dotychczasowym poziomie? Że możesz stracić Compton Lacey? — Usiadła na brzegu biurka, a jej mokre

bikini zostawiło ślad na skórzanym pulpicie. Włosy spadły jej na twarz. Odrzuciła je wyuczonym, eleganckim gestem.

— Nie, wcale tak nie twierdzą — westchnął Mil zrezygnowany. Powinien był się spodziewać, że tak naprawdę Sassy nie zrozumie całego problemu, skupiając się tylko na detalach, które mogłyby mieć wpływ na jej styl życia. Żałował teraz, że dał się przekonać, żeby ją tutaj ze sobą zabrać. — Teraz trzymamy się dosyć dobrze. Interesy rozkwitną, kiedy nastąpi wzrost gospodarczy, ale przez pewien czas będzie dosyć ciężko. To wszystko— dodał. Nie powiedziałem jednak całej prawdy — pomyślał. To będzie tak, jakby ktoś próbował przeżyć zderzenie z ciężarówką. Ale to może się udać! Musi się udać! Jeżeli wszyscy zjednoczymy swoje siły i będziemy mieli trochę szczęścia. Sassy bawiła się pasmem swoich włosów, pogrążona w rozmyślaniach. Mil obserwował ją rozbawiony, a jednocześnie trochę zirytowany, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, jakimi torami biegną jej myśli.

— A więc chcesz, żebym sobie poszła i zostawiła cię w spokoju, tak? — Pochyliła się w jego kierunku, prowokując go pełnymi, niemal odkrytymi piersiami. — Więc nie masz już dla mnie czasu, tak? Czy to właśnie chciałeś powiedzieć?

Nie mógł powstrzymać uśmiechu widząc jej dąsy. Wydawała się tak niewinna, a jednocześnie podstępna, że zastanawiał się, czy kiedykolwiek zrobiła coś spontanicznie. Przesunął dłonią po jej niemal nagiej piersi, ukrytej za skąpym bikini, zastanawiając się, czy nie potrzeba mu rzeczywiście chwili ukojenia. Sassy nie jest niewinnym dzieckiem. Wie doskonale, że nie zamierza związać się z nią na stałe. Powiedział jej to już wiele razy, chociaż ona za każdym razem mu nie wierzyła.

Oparła ręce na fotelu i pochyliła się nad nim. Położył dłoń na jej pośladku.

— Ty kokietko — przekomarzał się z nią — nie obchodzi cię wcale, co się stanie. Ważne jest tylko, żeby ktoś zabierał cię do dobrych restauracji, teatrów i klubów nocnych. Jestem dla ciebie tyle wart, ile mój portfel.

Nadała się figlarnie.

— Nie. Od tego jest Hugo. Ty jesteś do zupełnie innych rzeczy. —

9 — Zraniona duma

129

Pochyliła się i pocałowała jego szyję, różowy język ze znanstwem wyszukiwał czułe miejsca i Mil zadrżał z podniecenia.

— A jeżeli nie spełniłbym twoich oczekiwań, co wtedy?—jego dłonie mimowolnie gładziły plecy dziewczyny.

— Wtedy— westchnęła— musiałabym cię opuścić. Poszukać kogoś innego. Nie mogłabym pozwolić na to, żeby moje talenty się zmarnowały. — Przesunęła palcem po jego piersi, śmiejąc się cicho.

— Czy to ultimatum? — Mil nie był bynajmniej rozbawiony. Zastanawiał się, czy gdyby powiedział jej całą prawdę, byłaby z nim tu jeszcze. Podrywała go już od dłuższego czasu i właściwie chyba się do tego przyzwyczaiła. Chciała go, ale razem ze wszystkimi dodatkami — jego tytułem, domem, pieniędzmi. Zastanawiał się, czy byłaby gotowa zrezygnować z tego wszystkiego dla niego samego. A później uśmiechnął się do siebie zmęczony, dziwiąc się, że w ogóle się nad tym zastanawia.

— Powiedzmy, że to jest ostrzeżenie. Masz dwa tygodnie na to, żeby wszystko załatwić. To twoja ostatnia szansa— żartowała, ale jej słowa zaboląły go jak ukłucie ostrej szpilki.

— Albo mnie zostawisz, tak? — Objął ją, posadził na kolanach, jego usta przesunęły się po szyi ku piersiom i ponownie do pełnych ust. Jęknęła z rozkoszy. Zdjął jej bikini i objął dłońmi piersi, zastanawiając się, czy reakcja Sassy nie była równie udawana, jak wszystko, co robiła.

— Kontynuując to, co powiedziałaś, chyba wiesz, co mówią o tonących okrętach. — Jego uścisk stał się teraz mocniejszy. Krzyknęła głośno.

— Mil! To bardzo nieuczciwe. Sugerujesz, że jestem jak szczur? — Jej oczy się śmiały. — Jestem twoja, jeżeli mnie pragniesz, ale nie zastanawiaj się zbyt długo — zamruczała pochylając jego głowę ku swoim piersiom. — Zawsze byłam twoja. Zawsze byliśmy we troje — Hugo, ja i ty. Dlaczego więc nie zaakceptujesz tego, co nieuniknione, kochanie? Wiesz przecież, że bylibyśmy dobraną parą. — Jej słowa były pełne naiwności, mówiła zupełnie jak dziecko. Mil uśmiechnął się do siebie, przez chwilę skuszony ich długą znajomością, jej wszystkimi, tak dobrze mu znanymi, atrybutami.

Nagle przed oczami jego wyobraźni pojawiła się Elizabeth. Patrzyła na nich i śmiała się. Ona już dawno przejrzała Sassy. Wyśmiewałyby się z niego, choćby dlatego, że mógł pomyśleć, iż Sassy mówiła poważnie.

120

Niewątpliwie myślała poważnie o złapaniu go, ale na pewno nie o dobranej parze. To był tylko żart.

Niechętnie nałożył jej ponownie bikini i posadził delikatnie na podłodze.

— Wystarczy, Sass. Nie potrzebuję tego teraz. Mam zbyt wiele na głowie. Idź popływać, a ja spróbuję odpowiednio pokierować moimi myślami. — Rozległ się dzwonek telefonu.

Podniósł słuchawkę i gestem poprosił ją o wyjście z pokoju.

— Jose-Marie! Właśnie chciałem z tobą porozmawiać... Tak, jestem pewien, że to zrobiłeś... — przerwał, słuchając uważnie. Uśmiech odpłynął z jego twarzy, a usta zacisnęły się. — Czy możesz kogoś wysłać, żeby się tym zajął...?

Tak, właśnie teraz albo będzie za późno. Nie chcę więcej słyszeć *manana*, Jose-Marie. Nie jutro. Musisz natychmiast radzić sobie z problemami... Tak, uważam, że to jest problem. Załatw to... Nie, nie obchodzi mnie w jaki sposób. To ty powinieneś wiedzieć. Zadzwoń do ciebie później, żeby sprawdzić, czy sobie z tym poradziłeś. — Nagle roześmiał się. — To nie obciąża mojego sumienia, *primo mio. Hasta luego*.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się. Sassy już nie było w pokoju.

Rozdział siódmy

Galie Rossegada niewiele zmieniła się przez te wszystkie lata— myślała Elizabeth idąc aleją w popołudniowym słońcu, wzbijając sandałami kurz i wdychając słodki zapach kapryfolium zmieszany z ostrym zapachem ziół, cedrów i sosen. Ogrody na wybrzeżu wciąż były starannie utrzymywane przez ogrodników. Roz-pryskiwacze podlewały zielone trawniki. Na progach domów pokojówki trzepały maty. Między domami widać było niewielkie przesmyki morza, po których przesuwały się w leniwym wietrze łodzie zmierzające ku Palmie. Wydawało się, że naprawdę nic się nie zmieniło.

Oprócz niej samej. Ostatni raz była tu mając szesnaście lat. W wieku lat siedemnastu wyjechała na uniwersytet i ojciec postanowił, że nie będą już wspólnie spędzać wakacji na Majorce. Dziwnie było znowu poczuć się tak młodą, jak gdyby te wszystkie późniejsze lata nigdy nie nastąpiły. A przynajmniej nie tutaj. Wdychała głęboko aromatyczne powietrze. Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku słońcu, pozwalając mu usunąć ostatnie ślady napięcia.

Od tej chwili wszystko będzie inaczej — postanowiła. Lepiej zastanowi się nad tym, co jest dla niej najważniejsze w życiu. Będzie się cieszyła każdym dniem, nie będzie podejmowała wyzwań, którym nie mogłaby sprostać, ani też narażała się na porażkę. Będzie więcej przebywała z mężczyznami. Takimi jak Guillermo z jego delikatnym, pełnym podziwu spojrzeniem, jego umiejętnością sprawiania, że czuła się

pożądana, kobieca i... słaba? Jej umysł buntował się na to słowo. Nie, nie słaba. Po prostu nie taka zaborcza, nie tak okropnie niezależna — przecież tak zawsze czuła się z Charliem lub Milem. Z Guillermem mogła po prostu być sobą. A raczej mogła być tą nową osobowością, o której przed chwilą myślała.

Przez chwilę wyśmiewała się z siebie, dochodząc do wniosku, że zachowuje się zupełnie jak czytelniczki magazynów kobiecych. Nowa osobowość, dziewczyna, która sama kieruje swoim życiem, która wie, do czego zmierza... Boże, byłabym wdzięczna, gdybym chociaż wiedziała, gdzie jestem — pomyślała przez chwilę i znowu się roześmiała. Żadnego spoglądania we wnętrze, żadnej analizy własnego ja. — Na litość boską, ciesz się po prostu słońcem — powiedziała do siebie.

Droga skręcała w lewo wznosząc się nieco i musiała włożyć więcej wysiłku w jej pokonywanie. Zauważyła, że cienie topól rosnących wzdłuż drogi wydłużyły się i przypominały nienaturalnie długie, ciemne palce. Zanim dotarła do wspaniale utrzymanego ogrodu Marii Luisy i starej willi, jej ciało lepilo się od potu. Zatrzymała się na chwilę, pozwalając chłodnemu wiatrowi owiać nagie ramiona. Podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek.

Dzwoniła kilka razy, ale nikt nie odpowiadał. Zaniepokojona zajrzała przez okno. Zobaczyła tylko pusty korytarz. Może Maria Luisa jest na niższym tarasie i podlewa swoje rośliny? Obeszła dom i zaczęła schodzić po schodach, zdziwiona tym, że wydawały się jej bardzo strome. Nic dziwnego, że Marisa zawsze krzyczała na dzieci, kiedy zbiegały po nich, czasami nawet na łyżwowrotkach. Pokręciła głową dochodząc do wniosku, że była wtedy szalona. Dotarła na środkowy taras, poniżej którego stał domek, który zawsze wynajmowali na lato. Spojrzała na wyspę i na jaśniejszy pas błękitu, gdzie skały przechodziły w piasek. To było cudowne miejsce dla nich jako dzieci. Powinni być wdzięczni Celeste za przedstawienie ich Marisie, kiedy poszukiwali wakacji w słońcu, miejsca wolnego od trosk, a jednocześnie wystarczająco taniego, żeby ojciec mógł sobie na to pozwolić ze swojej lekarskiej pensji. Będzie o tym pamiętać, kiedy następnym razem zobaczy ojca z Celeste. Postara się być bardziej życzliwa. Chociaż, z drugiej strony, to było doskonałe miejsce, aby Celeste i ojciec mogli się ukryć przed Jamesem Rochfordem... — Och, przestań! — powiedziała do siebie ostro. — Spróbuj dla odmiany brać rzeczy takimi, na jakie wyglądają. Czy nie możesz na chwilę pozbyć się

123

swojej podejrzliwości? — skarciła siebie. Wzięła głęboki oddech i oczyściła umysł ze wszystkiego, oprócz cudownych wspomnień z dzieciństwa. Zauważyła niżej dużą skałę wyłaniającą się z wody, tę samą, z której uczyli się nurkować. Daleko na wybrzeżu odpoczywało stadko mew.

Patrzyła wokół w miłym rozmarzeniu, na jej ustach igrał uśmiech. Nagle złotą ciszę popołudnia przeciął krzyk przerażenia. Elizabeth drgnęła przestraszona. Minęła chwila, zanim mogła znowu ruszyć z miejsca. Pobiegnęła w stronę zejścia ze schodów, z którego rozpościerał się widok na zatokę. Rzuciła się w dół schodów. Ściany błyszczały w słońcu, rażąc wzrok, przed oczami zaczęły jej migotać czarne punkciki, płuca z trudem łapały powietrze. Nagle zauważyła niewyraźny, ciemniejszy kształt na prawo we wnęce starego domu, ale zignorowała go, biegnąc w dół. Sandały ślizgały się po wapiennych schodach, przy każdym kroku narażając ją na upadek. Na zakręcie schodów mogła spojrzeć w dół. Wychyliła się i popatrzyła w kierunku morza. Sto lub więcej stopni w dół, na małej kamienistej plaży, skrapianej uderzającymi o wybrzeże falami, ktoś leżał. Z miejsca, w którym stała, trudno było rozpoznać szczegóły, ale widziała wystarczająco dużo. To była Marisa. Pobiegnęła w dół wolniej i ostrożniej, mocno trzymając się balustrady, jak gdyby starając się nadrobić brak ostrożności Marisy. Kiedy w końcu dotarła na dół, powoli ruszyła przed siebie i zatrzymała się przy leżącej kobiecie. Obok ciała leżała połamana miotła, jak gdyby wyjaśniając jej śmierć. Miała zmiażdżoną czaszkę; spod włosów widoczny był szaroróżowy wyciek. Tania czarna suknia była mokra i nieprzyzwoicie zaplątana wokół nóg, odsłaniając pończochy, nałożone, bez wątpienia, ze względu na jej przyjazd. Elizabeth kucnęła obok i zmusiła się do wzięcia jej za nadgarstek. Nie było najmniejszej oznaki życia w tym zaskakująco chłodnym ciele i Elizabeth upuściła dłoń Marisy. Spojrzała na zachodzące słońce w nadziei, że ktoś jeszcze usłyszał krzyk. Przez chwilę widziała ciemną głowę, która spoglądała na nią z tarasu, ale znikła natychmiast, gdy Elizabeth ją zauważyła. Dobrze, ktoś zadzwonił po pomoc — pomyślała. Odwróciła się niechętnie w stronę postaci leżącej na wpół w wodzie, patrząc smutno na swoją przyjaciółkę. Jak, do diabła, po tylu latach chodzenia po tych schodach, Marisa spadła? Nagle przez jej głowę przebiegła myśl: — Jak mogła spaść tak daleko, aż do wody? Żeby tak się stało, musiałyby... Elizabeth popatrzyła podejrzliwie na schody.

Musiała wypaść z zakrętu na schodach, ale... tam była wysoka balustrada, która to uniemożliwiała. Elizabeth spojrzała ponownie na Mari-sę, zauważając dopiero teraz dodatkowe szczegóły, które poprzednio umknęły jej uwadze. Porwany rękaw sukni, sposób, w jaki spadła ze schodów, tak jakby... Nagle Elizabeth przypomniała sobie ciemny kształt we wnęce, która znajdowała się tuż nad nimi, ciemną głowę, która przyglądała im się z tarasu i później nagle znikła, jak gdyby ktoś nie chciał być zauważony.

Może Marisa zmywała schody i kiedy była na ich zakręcie, ktoś wybiegł cicho z ukrycia i pchnął ją tak mocno, że przeleciała przez balustradę i rozbiła się na kamienistej plaży? Czy tak właśnie było? Marisa wspominała, że ktoś jej groził, że ten mężczyzna, który do niej przychodził, przestraszył ją... Czy postanowił w końcu wykonać jeszcze jeden krok i popełnił morderstwo?

A może był to jednak wypadek? A ten człowiek patrzył na nie przez chwilę, a teraz dzwonił na pogotowie i policję? Elizabeth czekała, aż ktoś się pojawi, ale cienie wieczoru wydłużały się, fale objęły się o martwe ciało Marisy i nikt nie nadchodził. Dreszcz przerażenia ogarnął Elizabeth, kiedy pomyślała, że teraz ona musi wspiąć się na schody, przejść obok ciemnej wnęki... ten człowiek wciąż jeszcze może tam czekać.

— Co się stało, kochanie? — Asuncion Sastre czuła rozgoryczenie. — Zapewniam cię, że Jorge nie wróci do domu jeszcze przez wiele godzin. Nie mamy się czego obawiać.

— Wiem. Nic się nie stało. Po prostu jestem zmęczony — Było jednak jasne, że myśli i uczucia Guillerma są gdzie indziej. Widziała, że jej wypracowana postawa, koronkowy stanik i podwiązki, na które wydała tyle pieniędzy Jorge, nie wywierały zamierzonego efektu. Popatrzyła na niego z niesmakiem. W przytłumionym świetle pokoju wyglądała delikatnie i szczupło, więc o co chodziło?

— Mówiłeś, że przyjechałeś z Barcelony tylko po to, żeby być ze mną, że wymyśliłeś jakieś interesy, żeby mnie zobaczyć. A teraz popatrz na siebie. — Z lekceważeniem machnęła dłonią. — Też mi wielki kochanek. — Wściekła usiadła na łóżku, włożyła szlafrok i sięgnęła po papierośnicę. Była zdumiona, że Guillermo nie zareagował na jej wymówki. Wydawało się, że w ogóle jej nie słyszał. Spoglądał niemo przed siebie.

125

— Guillermo! — kopnęła go bosą stopą. Odwrócił się do niej i posłał jej wymuszony uśmiech.

— Soony — zanucił. Objął ją w talii i pociągnął ku sobie. Wypuściła dym prosto w jego twarz. — Wybacz mi *cañna*, moje myśli krążyły gdzie indziej. Pewien mały problem zaprzęta mi głowę. — Pochylił się, żeby ją pocałować, ale przeciągnęła wściekle paznokciami po jego ramieniu, aż odepchnął ją i krzyknął zirytowany.

— Mały problem? Z pewnością jakaś kobieta? — Odtrąciła go wściekle. — Nie rozumiem, dlaczego pozwalam, żebyś mi to robił, Guillermo. Bez przerwy ponizas mnie przy innych kobietach, a później znowu przychodzisz do mnie.

— Soony, do diabła, uspokój się. Nie ma innych kobiet i nigdy nie było. To tylko wytwór twojej wyobraźni. Chodź — poklepał łóżko obok siebie—chodź, usiądź tu i pozwól, żebym roztoczył nad tobą swoje czary. Wiem, że to lubisz. Chodź tu, mój skarbie.

Uśmiechnął się nieco wzgardliwie, kiedy ponownie usiadła przy nim. Jego miękkie dłonie zaczęły gładzić jej skórę, usta błędziły po jej ciele, a język wkradał się w najbardziej wrażliwe zakamarki sprawiając, że opadła ciężko na poduszki, wzdychając z rozkoszy.

Głupia dziwka — pomyślał jak zawsze, kiedy miewali podobne **klótnie** — będzie musiała zapłacić mi za te sceny. To był okropny dzień. Nie potrzebował jej napadów złego humoru. Uszczypnął ją lekko, a **później** mocniej, aż krzyknęła cicho.

— Tio, poprosiłeś mnie, żebym przyjechał, powiedziałaś, że **korporacja** jest w moich rękach, że mam pomóc Jose-Marie. A **teraz, kiedy** wydałem pierwsze polecenie, on przybiegł do ciebie **ze skargą i ty go** chronisz. Czego właściwie chcesz, Tio? Jose-Marie i **schorowanego** interesu z nieruchomościami, który trzeba będzie **zamknąć pod koniec** roku, jeżeli tak dalej pójdzie? Czy też chcesz mnie i **moich twardych** decyzji? Nie ma pośredniego wyjścia. Wybierz jedno **lub drugie**. — **Mil** siedział wygodnie w zabytkowym fotelu pokrytym **dekoracyjną tkaniną**, sączył trunek i patrzył stanowczo na wuja. **Nie zmienił** spojrzenia nawet wtedy, kiedy Tio zmarszczył groźnie **czoło i zakasłał**.

— Musisz być bardziej cierpliwy, Mil. **Jose-Marie** **zrobi** to, co **mu** powiesz, ale czy nie mógłbyś go o to **poprosić** **niewiele** delikatniej? Bardziej taktownie? — Tio uśmiechnął się **ze zrozumieniem**. — Ciezko **mu**

oddać ci tak od razu kontrolę nad wszystkim. — Podsunął swój wózek inwalidzki w kierunku biurka sięgając po inhalator.

— Próbowałem już swojego uroku i taktu, ale bez skutku. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle przekazałeś mi kontrolę nad interesami. — Mil zmrużył oczy obserwując uważnie wuja. Czy rzeczywiście jest aż tak chory? A może to jakaś diabelna gra? Z Tio nigdy nie wiadomo. — Dlaczego odsunąłeś Tomea? — zapytał. — Jest starszy i bardziej sprytny...

— Za sprytny — warknął Tio. — Tomeo zawsze goni tylko za szybkim, łatwym zyskiem, decyduje się na podejrzanych współnikach. Nie, Tomeo nie może kontrolować interesów. Dwa lata to i tak za długo. Ale JoseMarie bardzo się stara. Jest utalentowanym prawnikiem, wysoko cenionym w Barcelonie. Nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał przejąć interesy rodziny. Ale szybko się uczy. — Tio wzruszył ramionami. — Może ty uważasz, że niewystarczająco szybko, ale on daje z siebie wszystko. Nie niszczy jego dumy, kiedy on stara się tak bardzo dla nas wszystkich.

— Nie chcę urazić jego dumy ani nie chcę zająć jego miejsca, ale mamy problem, a on zdaje się tego nie dostrzegać — mówił Mil z rosnącym zaciekawieniem. Dlaczego Jose-Marie cieszył się takim zaufaniem wuja, skoro firma radziła sobie coraz gorzej? Czy wuj wiedział więcej, niż by się mogło wydawać?

— A o co właściwie chodzi? — Tio bawił się cygarem. Odciął ostrożnie końcówkę. — Co takiego się stało, że w końcu przyjechałeś tutaj i ponownie się nami zainteresowałeś?

— SolconMar, jedna z naszych firm. — Mil zignorował sarkazm wuja i wyrzut zawarty w jego słowach. — Ta firma szybko rośnie, nabywając wiele nadmorskich posiadłości. Nie hotele lub apartamenty, ale małe wille z ogrodami. Bardzo dobre ziemie z ogromnym potencjałem. Ale kilku właścicieli nie chce nam ich sprzedać.

— Więc należy zaoferować więcej. — Tio wzruszył ramionami i zapalił zapalniczkę.

— Próbowaliśmy tego. W większości przypadków nie zawiodło. Ale jest jedna... stara kobieta, której nie możemy przekonać. Chce po prostu spędzić resztę życia w tym samym domu. Nie zamierza ulec i całe przedsięwzięcie jest zagrożone. Jose-Marie pożyczył ogromne pieniądze na sfinansowanie nabycia gruntów i płacimy niesamowite odsetki, bez możliwości rozwoju w najbliższej przyszłości.

A więc co ma zrobić, według ciebie, Jose-Marie? — Tio przerwał

i zapalił cygaro, przeżuwając końcówkę w ustach i zaciągając się mocno. Jego oczy zapadły się głęboko, a twarz postarzała się przedwcześnie z powodu choroby. Pozostało mu tylko kilka przyjemności, takich jak dobre cygara i wino, których zresztą też nie powinien nadużywać. Przez chwilę patrzył podejrzliwie na Mila.

— Wiesz co... — powiedział Mil. Tio zacisnął usta.

— Czy to konieczne? To chyba zbyt... drastyczne posunięcie. Nie ma innego wyjścia? Jose-Marie powiedział, że można to inaczej rozwiązać...

— Rozmawialiśmy już o tym, Tio. I zgodziłeś się, że to jedyne wyjście. Może to pozwoli firmie przetrwać. Sam to powiedziałeś. Taka decyzja stoi przed nami i przed każdą inną firmą na wybrzeżu. Nieważne, co powiedział Jose-Marie. Ty wybieraj. — Mil zauważył, że dłoń wuja, podnosząca do ust cygaro, zdrząła.

— Nie, nie potrafię już podejmować takich decyzji. Nie chcę ich podejmować. Teraz ty musisz to kontrolować. Ty zadecyduj. — Spojrzał na siostrzeńca sączącego sherry i delektującego się jej smakiem.

— Już zdecydowałem — Mil uśmiechnął się lekko. — Chociaż nie byłem zbyt taktowny — dodał cierpko. Jego usta nabrały surowości przez kilka ostatnich lat — pomyślał Tio. Nie jest już czarującym chłopcem, którego pamiętam tak dobrze, ale za to poradzi sobie. Rodzina musi przetrwać bez względu na koszty.

— A więc załatwione? — zapytał.

— W tej chwili powinno już być po wszystkim. — W głosie Mila zabrzmiała wyraźna satysfakcja.

Tio westchnął ciężko.

— A więc nie ma potrzeby o tym więcej dyskutować. Pewnie chcesz wrócić do swoich przyjaciół, już późno. — Zakasłał cicho.

Elizabeth czekała na zewnątrz kamiennego, żółtego tarasu, w miejscu, gdzie zostawił ją kapitan żandarmerii.

Podeszła do wiklinowych foteli i opadła w jeden z nich zupełnie wyczerpana. Słyszała jakieś głosy, ale zbyt wiele myśli kotłowało się w jej głowie, żeby mogła skupić się na dobiegającej ją rozmowie. Była wykończona— psychicznie i fizycznie — wiedziała też, że nie będzie w stanie myśleć logicznie przez jakiś czas. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła nalegając, żeby wezwano don Artura, nie dowierzając policjantowi, który stwierdził, że to był wypadek, spowo-

dowany prawdopodobnie atakiem serca. Wszyscy w okolicy doskonale wiedzieli o kłopotach z sercem, jakie miała Maria Luisa.

Najpierw zadzwonili do domu don Artura, ale pokojówka powiedziała im, że jest w pałacu. Być może czuł się w domu samotnie, będąc wdowcem i nie mając już obok siebie swoich dorosłych córek. A może — zastanawiała się cynicznie Elizabeth, rozpoznając ostry kaszel i głos Tia, dochodzące gdzieś z głębi pałacu — don Arturo przybył, aby wesprzeć na duchu kobietę, która wkrótce miała zostać wdową.

Zdziwiła się, kiedy usłyszała drugi głos. Czy to nie był Mil? Nie wspominał, że wybiera się na Majorkę, kiedy powiedziała mu, że odwiedzi Marię Luisę. Ale to był z pewnością jego głos. Słuchała ich rozmowy coraz bardziej zdezorientowana. Nagle wstała z fotela i mocno zacisnęła dłonie. To przecież niemożliwe. Z pewnością źle ich zroszczyła.

Przez chwilę pragnęła uciec stamtąd, a wyobraźnia podsunęła jej obraz martwego ciała Marisy. Ale zawahała się. Drzwi francuskie otworzyły się szerzej, światło padło na taras i oświetliło ją stojącą w białej sukience, jak ćmę zwabioną do światła.

— Elizabeth! — rozległ się ostry, pełen zdziwienia głos. Starła się zachowywać spokojnie. Tak normalnie jak każdy, kto właśnie odnalazł zamordowaną przyjaciółkę. — No właśnie — powiedziała do siebie — zamordowaną. A ona dowie się, dlaczego i kto to zrobił — pomyślała patrząc w twarz Mila.

— Mil? Co ty tu robisz? — jej własny głos zabrzmiał fałszywie.

W pokoju, z którego wyszedł, rozległo się pukanie do drzwi i to odwróciło jego uwagę.

— Proszę wejść — powiedział Tio i w drzwiach ukazał się don Arturo z Piru, w towarzystwie kapitana żandarmerii.

— Co się stało, Lizzie? — Mil zwrócił się do niej ponownie, łapiąc jej ramię, kiedy cofnęła się gwałtownie. Czuł jej kruchość i lekkie drżenie. — O co chodzi?

— Maria Luisa... — spojrzała przez jego ramię na sztywne sylwetki stojące w pobliżu fotela inwalidzkiego. Mil również odwrócił się w ich stronę.

— Martwa! — głos Tia zabrzmiał ostro. Spojrzał przez pokój na siostrzeńca. — Co się stało? Atak serca? — Gdyby Elizabeth nie słyszała ich poprzedniej rozmowy, mogłaby sądzić, że reagują zupełnie normalnie na wieści, które przynosił kapitan. Ale widziała dokładnie ich zakłopotane spojrzenia. Zdawało się, że krew odpłynęła z twarzy Mila.

129

Don Arturo, mały i pompatyczny, nastroszony jak kogut, przywołał ją ruchem ręki, jednocześnie wyraźnie dając do zrozumienia, że chce jak najszybciej mieć ją z głowy. Twarz Elizabeth zamieniła się w sztywną maskę.

— Co to za bzdury, seniorita? — warknął. — Dlaczego pani twierdzi, że ktoś zepchnął tę starą kobietę? Wszyscy dobrze wiemy, że miała kłopoty z sercem i że była za stara na takie strome schody. Dlaczego więc wysuwa pani takie sugestie, a raczej oskarżenia?

Przez chwilę Elizabeth zastanawiała się, czy przypadkiem nie potrafi czytać jej myśli, ale później zdała sobie sprawę, że przede wszystkim jest zirytowany faktem, że mu przeszkodzono. Wzięła głęboki wdech.

— Nie widział pan ciała, senior, więc nie może pan jeszcze wydać opinii. Jeżeli przyjrzy się pan dobrze miejscu, w którym upadła, przekona się pan, że musiała spaść z bardzo wysoka, wypaść mimo dość wysokiej balustrady. Ale nawet wtedy, aby dostać się tak daleko do wody, musiałyby albo skoczyć, albo zostać popchnięta— głos Elizabeth był zimny.

— Dlaczego ktoś miałby zabijać tę starą kobietę, Lizzie? — przerwał Mil. Jego twarz wyglądała na zmartwioną i pełną przyjaznych uczuć, jakby miał zamiar za chwilę objąć ją ramieniem, żeby ją pocieszyć. Odsunęła się gwałtownie i jego ręka trafiła w próżnię. — Jeżeli rzeczywiście miała atak serca — kontynuował swoim logicznym tonem — mogła wypaść mimo balustrady. A poza tym, skąd można wiedzieć, jak daleko upadnie ciało spadające stamtąd? Czy ty ją znalazłeś? To musiało być dla ciebie okropne, dobrze się czujesz? — Wyglądał tak uczciwie, jego włosy błyszczały w świetle lampy, twarz wyglądała spokojnie. Elizabeth poczuła wzbierającą w niej złość, że mógł wydawać się tak niewinny, mógł powtarzać te słowa niby pełne troski, przecież cały czas...

— Dziękuję, doskonale — warknęła. — Chyba zapomniałeś, że przyjechałam tu tylko ze względu na Marisę... Ktoś namawiał ją do sprzedania własności, więc chciała, żebym przyjechała i kupiła tę willę, aby tylko pozbyć się tamtego człowieka. — Skrzyżowała ramiona, jakby chciała powiedzieć: proszę, teraz spróbuj to wyjaśnić.

— Ach tak, więc powód pani przyjazdu tutaj — zasugerował chytrze don Arturo — jest czysto finansowy... Chciała pani kupić tę nieruchomość, a teraz, kiedy Marisa nie żyje, nie jest to możliwe. Czy stąd właśnie wzięło się całe zamieszanie? — Uśmiechnął się usprawiedliwiająco w kierunku Tia i Piru, jakby wyjaśnił już całą sprawę.

— Bynajmniej! — odpowiedziała wściekła. — Zupełnie pan nie słucha tego, co mówię. Dlaczego tak uparcie nalega pan, że to był wypadek, jeżeli nie zrobiono jeszcze autopsji, nie widział pan ciała ani nie sprawdził całego podłoża wydarzenia? Dlaczego tak bardzo panu zależy, żebym wyjechała i przestała zajmować się tą sprawą? — Patrzyła na pociemniałą z gniewu twarz i na isierki irytacji w jego oczach. W zapadłej ciszy rozległ się kaszel i odezwał się Tio.

— Moja droga, z pewnością jesteś zupełnie rozbita, inaczej nie zaprezentowałabyś takiego braku manier. Don Arturo, jak pewnie dobrze wiesz, jest szanowanym człowiekiem i odpowiada za wiele spraw całkowicie nie związanych z twoimi wymysłami. Mil, odprowadź, proszę, swoją małą przyjaciółkę do hotelu, do czasu, aż don Arturo będzie miał szansę przyjrzeć się dokładniej całej sprawie. — Gestem dłoni kazał jej odejść. Poczula, jak palce Milla zaciskają się stanowczo na jej ramieniu, mimo że próbowała jeszcze protestować.

— Chodź, Liz. Lepiej zaczerpnij trochę świeżego powietrza. — Prowadził ją z taką stanowczością, że nie pozostało jej nic innego, jak iść za nim. Doprowadził ją do swojego samochodu stojącego na podjeździe i stanowczo pchnął w jego stronę.

— Dokąd mnie zabierasz, Mil? Chyba nie sądzisz, że zrezygnuję z tej sprawy, ponieważ twój wuj kiwnął na mnie palcem. — Wściekła wsiadła do samochodu i patrzyła przed siebie czekając, aż Mil usiądzie obok.

— Nie bądź dzieckiem, Lizzie. — Mil uruchomił silnik, włączył światła i skierował samochód w dół wzgórza. — Zupełnie nie wiesz, co robisz strasząc w ten sposób don Artura. Mógł przecież zamknąć cię w więzieniu — spojrzał uważnie na jej twarz. — To nie jest Anglia i nie jesteś tutaj znaną dziennikarką. Dla nich jesteś tylko problemem i jeżeli będziesz naciskać zbyt mocno, kiedy nie są gotowi przyznać ci racji, wplądziesz się w kłopoty. Więc postaraj się dorosnąć i zachowuj się przezorniej.

Miała już na końcu języka wypomnienie Milowi rozmowy z Tiem i zażądanie wyjaśnienia, jaką to decyzję podjął... ale pozostało jej wystarczająco dużo rozsądku, by zacisnąć mocno zęby. Wpatrywała się w jego profil zarysowany na tle ciemnego nieba.

Nie powiedziała nic i zapadła długa cisza. Słysząc tylko świst wiatru, kiedy samochód sunął szybko w kierunku Bendinat.

Kiedy dojechali do hotelu, Elizabeth zapytała:

— Skąd wiedziałeś, że tutaj się zatrzymałam? — Jej wściekłość prze-

rodziła się teraz w dziwny chłód; to nie była depresja, ale coś, czego nie czuła jeszcze nigdy dotąd.

— Założyłem, że się tutaj zatrzymałaś, to wszystko. Poza tym właśnie tutaj jadam kolacje — odpowiedział zimnym głosem i otworzył jej drzwi. Patrzył na nią przez chwilę i powiedział: — Nie wyglądasz dobrze, Liz. Najlepiej będzie, jak się położysz i pozwolisz innym ludziom, powołanym do tego, wyjaśnić sprawę.

Roześmiała się potrząsając głową, a w jej oczach zabłyśły łzy.

— Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć, Mil? Wycofaj się? Czy tak? Wydaje mi się, że taką wiadomość już dostałam.

— Co to ma, do diabła, znaczyć? Słuchaj, Lizzie, ja po prostu nie chcę, żeby cię skrzywdzono. — Zmusił ją, żeby spojrzała na niego. Na jego twarzy malowało się cierpienie. — Proszę cię, zostaw to. Wyjaśnię tę sprawę. Daję ci moje słowo.

— Wszyscy dobrze wiemy, ile znaczy twoje słowo, Mil. — Otarła łzę, która spływała jej po policzku.

Nieoczekiwanie objął ją mocno, zanim mogła się oprzeć. Pograżona we łzach, tonęła w jego uścisku i delikatnym zapachu wody po goleniu. Musiała zwalczyć w sobie pragnienie złożenia głowy na jego ramieniu i pozwolenia mu na otarcie jej łez.

— Och... Liz, Lizzie, co ja mam z tobą zrobić? Potrząsnęła głową.

— Kiedyś myślałam, że potrafisz wszystko rozwiązać, że jesteś jedynym człowiekiem... O Boże. — Jej głos załamał się i zakończyła szeptem: — Dłaczego, Mil?

— Proszę cię, zaufaj mi. Wiem, że to trudne, ale nigdy cię nie okłamałem ani nie skrzywdziłem. — Gładził jej włosy szukając słów, które mogłyby ją przekonać. — I staram się bardzo nie zrobić tego teraz. Powiedz tylko, że się zgadzasz, ten jedyny raz, Liz. Proszę. — Elizabeth zbyt zmęczona i wyczerpana emocjonalnie wyszeptała słowo, które chciał usłyszeć.

Tak właśnie znalazł ich Guillermo, kiedy raz jeszcze wyszedł przed hotel, aby sprawdzić, czy Elizabeth nie wróciła. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie. Było już po dziewiątej, a w recepcji potwierdzili, że wyszła wiele godzin temu i nie wróciła. Klucz do jej domku był wciąż w recepcji. Gdzie się więc podziewała?

Zobaczył samochód zaparkowany w pobliżu hotelu, a obok niego,

w cieniu, parę objętą ramionami. Dostrzegł biel sukni kobiety, kiedy wyrwała się z uścisku i padło na nią światło lampy. Elizabeth. A mężczyzna? Skrzyżował ramiona, obserwując, jak mężczyzna odprowadza Elizabeth do hotelu i nagle rozpoznał go, a jego wyobraźnia podsunęła gorzkie wspomnienia. Usta Guillerma wykrzywiły się z wściekłości. Czuł, jak ogarnia go furia, mimo że zmuszał się, aby wyglądać spokojnie. Mężczyzna i kobieta szli powoli w jego kierunku.

Rozdział ósmy

Elizabeth odwróciła się na drugi bok i wpatrywała się w ciemność. W sypialni było duszno i gorąco. Już od dłuższego czasu przewracała się niespokojnie na łóżku poszukując chłodnego miejsca. Prześcieradło owinęło się wokół jej nagiego ciała. Znowu w jej myślach pojawiła się postać Mila, który obserwował ją przez całą kolację. Zdawało się, że ani na chwilę nie spuścił z Elizabeth wzroku. Co chciał wyczytać z jej twarzy? Czy szukał jakiegoś znaku, że mu ufa, że rzeczywiście zgadza się na to, żeby on sam wyjaśnił sprawę śmierci Marisy? Czy też przeciwnie, chciał się upewnić, czy słyszała jego rozmowę z wujem...

Biedny Guillermo! Starał się, mimo niechęci do Mila, być uprzejmy, a nawet dowcipny i próbował śmiechem pokryć swoje zakłopotanie. Początkowo Elizabeth nie zdawała sobie sprawy z tego, jak okropne musiało być dla niego takie spotkanie. Osobie postronnej, jaką był Guillermo, wydawać się mogło, że Mil patrzył na nią z miłością, a ona czerwieniła się pod jego spojrzeniem. Skąd mógł wiedzieć, że jej rumieniec był spowodowany wściekłością, strachem i zmęczeniem— rozważała Elizabeth.

Powróciła myślami do wydarzeń z kolacji. Kiedy Elizabeth wkroczyła na salę w towarzystwie Mila i Guillerma, ich przyjaciele powitali ją ze zdziwieniem i radością. Wyjątkiem, jak zwykle, była Sassy, która siedziała nadąsana aż do chwili, kiedy postanowiła podbić serce Guillerma i zabrała go na werandę. To była jej mała zemsta, która nie przyniosła

10 — Zraniona duma

145

jednak zamierzonej satysfakcji. Nie wywarło to bowiem wrażenia ani na Milu, ani na mnie — myślała Elizabeth uśmiechając się szyderczo. Elizabeth nie mogła sobie przypomnieć, kto z nich powiedział:

— Podobno jakaś stara kobieta spadła ze stromych schodów. To musiało być okropne! — Mil nic nie odpowiedział, tylko spojrzął na Elizabeth, która zareagowała niemal histerycznie, pytając go:

— O co ci właściwie chodzi?

— To rzeczywiście okropne — potwierdził Guillermo.

— Kiedy byliśmy dziećmi, zwykle obdarowywała nas słodyczami— powiedział Hugo — i bez przerwy na nas krzyczała, o ile sobie przypominam, żebyśmy nie biegali po schodach i nie hałasowali. Podejrzewam, że rzeczywiście sprawialiśmy mnóstwo kłopotów. To bardzo smutne — przerwał. Sassy ucisnęła jego dłoń w pocieszającym geście

— Co zamierzasz teraz zrobić, Lizzie? Zdaje się, że straciłaś okazję. — Guillermo podniósł swój kieliszek rzucając jej współczujące spojrzenie. Poczula, że jej twarz oblewa się rumieńcem.

— Nic — odpowiedziała krótko.

— Jaką okazję? — próbowała się dowiedzieć Sassy. — Co takiego straciłaś? — Jej oczy zabłysły zaciekawieniem.

— Lizzie chciała kupić willę Marisy. Ale teraz, gdy Marisa nie żyje, sprawa jest nieaktualna.

— Och! To dlatego tu przyjechałaś. Daremna podróż. — Sassy uśmiechnęła się. — Widzę, że pech cię nie opuszcza. Nie ma sensu, żebyś zostawała tu dłużej.

— To ty tak sądzisz — odparła Elizabeth. Sassy nie wiedziała dokładnie, co Elizabeth chciała przez to powiedzieć, więc na wszelki wypadek umilkła, podczas gdy pozostali skupili się na swoich kieliszkach.

Później wszyscy zasiedli do wspólnego stołu, mimo że Guillermo namawiał Lizzie, żeby zjedli spokojną kolację we dwoje. Mil zignorował go całkowicie i przysunął krzesło Elizabeth, upewniając się, że siedzi bezpiecznie w zasięgu jego wzroku. Guillermo zastanawiał się przez chwilę, czy może coś na to poradzić, ale w końcu usiadł zrezygnowany. Sassy posłała mu jednak natychmiast spojrzenie, które podniosło go nieco na duchu.

Mil obserwował Elizabeth. Ona natomiast po usłyszeniu tych samych dowcipnych komentarzy, które słyszała w Londynie, wstała gwałtownie od stołu, cisnęła serwetkę, wymamrotała słowa przeprosin i odeszła.

Nie zastanawiała się nawet, co inni pomyśleli o jej zachowaniu. Wystarczyło, że widziała zdziwione i pełne dezaprobaty spojrzenia innych osób siedzących w restauracji. Zastanawiali się, czy jest pijana, rozdrażniona, czy też po prostu chora.

Spodziewała się, że ktoś za nią pójdzie, i postanowiła, że będzie opryskliwa. Chciała, żeby to był Mil, wówczas cieszyłaby się jeszcze bardziej, że będzie dla niego nieuprzejma.

Ale nikt za nią nie poszedł i jej uczucia przechodziły od ulgi do wściekłości, kiedy zrzuciła z siebie ubranie i padła na zimne łóżko. Otoczyła ją ciemność. Ciszę wieczoru zakłócały tylko świerszcze. Niemał natychmiast zmorzył ją sen i obudziła się tuż przed świtem. Przewracała się na łóżku, próbując znaleźć chłodniejsze miejsce. Prześcieradło owinęło się ciasno wokół jej ciała. Im dłużej zastanawiała się nad wydarzeniami wczorajszego wieczoru, tym bardziej była pewna, że natarczywy wzrok Mila starał się przekazać jej zupełnie co innego, niż jej się poprzednio wydawało.

*

Kiedy obudziła się ponownie w późny wtorkowy rano, pokój wypełniony był upalnym powietrzem. W głowie jej dudniło, jakby wypła zbyt dużo, usta miała spieczone. Poprzedni wieczór był chyba tylko snem, wytworem wyobraźni, a nie rzeczywistością, z którą należało się pogodzić. Z jękiem odrzuciła prześcieradło.

— Cieszę się, że zamierzasz jednak dzisiaj wstać — usłyszała głos z drugiej strony drzwi wiodących do jej małego saloniku. Ponownie otuliła się prześcieradłem, siadając sztywno na łóżku i wpatrując się uważnie w kąt pokoju.

— Nie martw się, nie zamierzam cię pożreć, jestem już po śniadaniu. Chciałem cię obudzić, ale tak słodko spałaś, że nie mogłem się na to zdobyć. Pewnie miałaś niewinne sny? — Mil złożył gazetę, którą czytał, i rzucił ją na stolik do kawy.

— Powinieneś kiedyś spróbować, jak to jest śnić niewinnie — odcięła się Elizabeth. — Ach, zapomniałam, że w twoim przypadku to jest niemożliwe. — Z trudnością odzyskiwała bystrość umysłu. — Co tu w ogóle robisz?

— Pozostawienie otwartego okna można zrozumieć jak zaproszenie, prawda? Po prostu z niego skorzystałem.

Zanim zrobił to ktoś inny. —

Wstał z krzesła i wszedł do jej pokoju, trzymając ręce w kieszeniach. Elizabeth zauważyła, że miał na sobie to samo ubranie co wczorajszego wieczoru, ale nie wyglądało tak, jakby w nim spał. Wyglądał świeżo jak zawsze. Otuliła się mocniej prześcieradłem.

— Czyżbyś wyznaczył sobie tymczasowo rolę mojego anioła stróża?

— Nie masz do mnie zaufania? — Przechylił głowę na bok, obserwując jej reakcję.

— A powinnam? Nie jesteś osobą wiarygodną. Czy twoje pragnienie ciągłego obserwowania mnie nie wynika przypadkiem z obawy, co mogłabym uczynić, gdyby na chwilę udało mi się umknąć twojej uwadze? Jaką to ciekawą historię mogłabym o tobie napisać? — Potrząsnęła głową i wstała z łóżka. — Mam nadzieję, że kanapa jest wygodniejsza, niż na to wygląda — przeszła obok niego kierując się do kuchni. Zajrzała do lodówki, mrużąc oczy podrażnione światłem.

— Proponuję wodę.

Zamknęła oczy, żeby policzyć do dziesięciu.

— To zabawne, ale właśnie na to nie mam najmniejszej ochoty. — Wyciągnęła z lodówki colę i piła ją wolno, delektując się chłodnym płynem przepływającym przez jej wyschnięte gardło.

— Nigdy nie korzystasz z moich rad. Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać. — Podeszedł do niej stając tuż przy jej ramieniu. Spojrzała na niego.

— Nie, to nieprawda. Pomyślałeś sobie, że ty powinieneś mówić, a ja powinnam słuchać i zgodzić się na wszystko, co powiesz, a później będziesz mógł mnie zapakować do pierwszego samolotu odlatującego do Anglii. Tak właśnie myślałeś. — Wypiła jeszcze jeden duży łyk i odstawiła butelkę. Jeszcze szczerzej otulając się prześcieradłem odwróciła się twarzą do niego.

— Umiesz czytać w moich myślach i jesteś jasnowidzem, tak? — Pokręcił głową z niechęcią.

— Idę wziąć prysznic, a kiedy wyjdę, ciebie tu już nie będzie. Chyba umiem nieźle przewidywać przyszłość, co?

— Nie jesteś najlepiej nastawiona do świata tuż po przebudzeniu. Chciałem powiedzieć niemal „wczesnym rankiem”, ale już jest dosyć późno, więc nie możesz skorzystać z takiego usprawiedliwienia— zauważył, a kiedy rzuciła mu jedno ze swoich najgroźniejszych spojrzeń, westchnął i podniósł w górę obie ręce w geście poddania. — Potrzebuję twojej pomocy.

— Co? Znowu? Chyba rzeczywiście w twoich interesach panuje całkowity bałagan — zażartowała ponuro. — O co chodzi tym razem? Niestety nie mam tutaj żadnych zaufanych osób, w przeciwnym wypadku sama bym skorzystała z ich pomocy.

— Dlaczego okazujesz mi taką wrogość, Lizzie? Wydawało mi się, że ostatnio doszliśmy do pewnego rodzaju porozumienia— wyglądał na wyczerpanego. Mówił tak ostrym tonem, że wydawało jej się, iż gdyby nie potrzebował jej pomocy, usłyszałaby z jego ust przykre słowa.

— Wcale nie — zaprzeczyła potrząsając głową. — Po prostu zlitowałam się nad tobą i pomogłam ci trochę, kiedy wyglądałeś dość wzruszająco i bezradnie. Teraz jednak widzę, że się myliłam — odpowiedziała cierpko.

— Czy to miał być komplement? Chyba nie chciałbym uchodzić za osobę budzącą współczucie. — Jego usta ułożyły się na kształt uśmiechu. — Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

O mój Boże — pomyślała Elizabeth odwracając się do okna i podziwiając piękny dzień. Co teraz mam powiedzieć? Zawahała się i wzruszyła ramionami.

— Twoje zachowanie wczoraj wieczorem... Ty, twój wuj i wasz drogi przyjaciel don Arturo udający, że wiecie dużo lepiej ode mnie, że Ma-risa umarła na atak serca. Nieważne, że was tam nie było, że nic nie widzieliście...

— Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście coś słyszałaś?

— Tak! — Odwróciła się i spojrzała na niego uważnie. — Słyszałam też jej krzyk. Ujęłam ją za rękę i widziałam krew spływającą z jej czaszki! Widziałam jej ciało. — Wymachiwała rękami, znowu porażona tamtym widokiem. — Widziałam też kogoś, kto spoglądał na nas, a później uciekł. Tak! — Niemal krzyczała na niego. — Wiem tym razem lepiej od ciebie i jestem pewna, że ktoś ją zabił. I zamierzam się dowiedzieć kto. To właśnie jest moja praca i jestem w tym dobra. Czy to rozumiesz?

Nic nie mówił przez długą chwilę. Elizabeth już myślała, że odwróci się i wyjdzie. W ostatniej minucie, kiedy postanowiła, że coś powie tylko po to, by przerwać ciszę, odezwał się:

— No dobrze. Ktoś ją zabił.

Przez chwilę myślała, że właśnie przyznaje się do winy i odruchowo postanowiła tego nie słuchać, nie przyjmować do wiadomości. Ale mówił dalej:

— Może masz racje. Bardzo często masz rację. Ale nie chcę, żebyś się w to zaangażowała. Zaufaj mi. Wszystko zostanie wyjaśnione, obiecuję ci. Proszę cię, nie angażuj się.

— To brzmi jak powtórka z wczorajszego wieczoru, ale tym razem rzeczywiście przyznajesz, że mogę mieć rację. Dlaczego właściwie chcesz, żebym się tym nie zajmowała? — Oparła się na parapecie okiennym, obserwując go uważnie, podczas gdy Mil próbował znaleźć właściwą odpowiedź. Była zdziwiona samą sobą, jak bardzo nie chciała usłyszeć, że był w tę śmierć jakoś zamieszany, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że to nieuniknione.

Włożył ręce głęboko do kieszeni ciemnoniebieskich spodni. Rękawy koszuli miał podwinięte i starał się wyglądać swobodnie. Ale Elizabeth widziała zmarszczkę na jego czole, zacięte usta i jego oczy, które z niebieskich stały się niemal granatowe. Westchnął.

— Nie chcę, żebyś została skrzywdzona. Jeżeli Marisa została zamordowana, to z pewnością ktoś, kto to zrobił, nie zawaha się uczynić wszystko, żeby ochronić siebie. Tak jak powiedziałaś, jesteś dobra w tym, co robisz. Czasami nawet zbyt dobra i dlatego nie chcę, żebyś się w to angażowała. To nie jest twoja praca, nie będziesz mogła zrobić z tego artykułu, więc zostaw tę sprawę!

Pomyślała, że jego słowa brzmią zupełnie szczerze. Była zaskoczona, jak bardzo chciała mu uwierzyć. Gdyby podszedł do niej i objął ją— pomyślała z pewnego rodzaju przerażeniem— nie byłaby w stanie mu się oprzeć. Nagle jasno zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jej na nim zależy, właściwie zawsze jej zależało, jak bardzo raniła ją każda historia, którą o nim słyszała. Jak do tej pory mogła tego nie rozumieć... A jednak faktów to nie zmieniało. Był w to zamieszany. Wiedziała o tym.

Stali tam, wpatrzeni w siebie, dłużej, niż zdawali sobie z tego sprawę, oboje zaskoczeni swoimi myślami. Wreszcie Mil podszedł do niej, ale chwila słabości już minęła. Elizabeth wymknęła mu się, uciekając w bok i kierując się do drzwi łazienki. I tak udało mu się ją zatrzymać. Ręką zagroził przejście.

— Muszę wziąć prysznic — zaprotestowała stanowczo. — Nie mogę ci nic obiecać, Mil. Będziesz musiał po prostu poczekać... a teraz idź już, proszę. Denerwujesz mnie. — Mówiła do niego bardziej ostro, niż zamierzała, nie chcąc, aby zauważył jej zmieszanie. Mil pokiwał tylko głową.

— Kogo próbujesz oszukać, siebie czy mnie? — Spojrzał w jej oczy zamyślony i pochylił się ku dziewczynie.

Poczuła, jak gwałtowny rumieniec oblewa jej twarz.

— Nie próbuj na mnie swoich sztuczek, Mil. Nie jestem jedną z twoich damulek, które wskakują do łóżka na każde skinienie. Powiedziałam ci już. Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale jedno mogę ci zagwarantować. Nie będę tu stała trzepocząc rzęsami. — Przeszła obok niego, ignorując jego rozbawienie i zaniknęła z trzaskiem drzwi do łazienki. Oparła się z ulgą o drzwi, obserwując swoje odbicie w lustrze. Słyszała, jak Mil woła do niej drwiącym głosem zza drzwi.

— Doskonale! Niech Bóg broni, żebyś się miała kiedyś pomylić co do mojej osoby lub żeby było coś pomiędzy nami warte... — przerwał nagle. Obserwowała w lustrze, jak rysy jej twarzy twardnieją. Usłyszała oddalające się kroki. Wspaniale, Liz — powiedziała do siebie, skrzywiona. — Ale mu powiedziałaś, co? — Weszła pod zimny prysznic nawet nie drgnąwszy.

Chris Masters doszedł do wniosku, że James Rochford, dziesiąty wicehrabia Hardres, nie był bynajmniej wzorem do naśladowania. Należał do ludzi, którzy nie bardzo przejmują się tym, co inni o nich sądzą. Uczciwość, która cechowała go jako polityka, nie pasowała zupełnie do jego niemoralnego postępowania w życiu prywatnym. Masters odsunął szybę w samochodzie, aby wyrzucić niedopałek. Przeglądał swoje notatki. Po wielu udanych podbojach i ogólnej sławie nikczemnika, Rochford w wieku około czterdziestu lat poślubił młodziutką kuzynkę, austriacką szlachciankę i spłodził z nią czworo dzieci. Drugim dzieckiem był właśnie George.

Następnie w tajemnicy, ponieważ taki właśnie był jego zwyczaj, nie poczuwając się do winy, opuścił żonę, zostawiając ją na łasce losu i... powrócił do rozpustnego życia. Masters przypominał sobie rozmowę z panią Goodall, która okazała się prawdziwą kopalnią informacji. Zupełnie nie przypominała tych lojalnych służących, którzy zabierali ze sobą do grobu tajemnice swoich panów. Twierdziła, że została zwolniona za to, że ujmowała się za swoją parną, ale Masters podejrzewał, że kręciła z Rochfordem i dlatego ją odprawiono. Jej twarz wciąż nosiła ślady dawnej urody.

Dziwne, że Celeste, czy też lepiej — lady Rochford, była tak zafascynowana swoim mężem, iż nie zważała na jego amory. Czuła się pokrzywdzona i osamotniona, ale nigdy nie przestała go kochać, bez względu na to, jak się zachowywał. A on oczywiście powracał do swojej żony, kiedy okazywało się, że jego pozycja wymagała, aby uchodził za dobrego męża. Chris Masters pokręcił z niedowierzaniem głową, zastanawiając się nad takim związkiem.

Gdzie jednak należało umieścić Russella w tym zagmatwanym labiryncie niewierności? Russell pokazał lady Rochford fotografię ślubną, nieco pożółkłą i zniszczoną, ale niewątpliwie przedstawiającą jej męża. Jego świadectwo urodzenia stwierdzało jasno, że nazywał się Trevor James Russell i był synem Lillian Violet Russell, z domu Winters, oraz Jamesa Louisa Milтона Russella. Sama Celeste potwierdziła podobieństwo rodzinne, wyraźne kości policzkowe, kosmyk włosów spadający na oko. Masters zresztą też to zauważył. To musiał być szok dla tej dumnej kobiety. Stało przed nią jeszcze jedno dziecko jej męża i rzuciło jej to w twarz.

Ale czy to małżeństwo było ważne, a jeżeli tak, to kiedy zostało zawarte? W St. Catherine's House nie było dowodu na zawarcie takiego małżeństwa, chociaż rzeczywiście odnotowano urodziny Trevora Jamesa Russella w tym samym roku, w którym urodziło się pierwsze dziecko Penrithów. To była jedna z dziewczynek, ale która? Masters znowu odwołał się do swoich notatek. A tak, Hon Flora Penrith, w tej chwili mająca niemal czterdziestkę i od kilku lat zamężna ze szkockim właścicielem ziemskim mieszkającym w Perthshire. A imiona ojca na świadectwie urodzenia Russella? Dziwny zbieg okoliczności — pomyślał cynicznie.

Jamesie Lousie Miltonie Penrith, niezły był z ciebie drań — pomyślał Masters i roześmiał się.

Czy rzeczywiście matka Russella poślubiła ostatniego lorda Rochforda pod przybranym nazwiskiem Russell? Czy to było ważne małżeństwo? I czy miało ono miejsce przed ślubem z owdowiałą lady Rochford? A jak udało mu się sfalszować dane w dokumentach? To była prawdziwa zagadka. Podkreślił najważniejsze pytania i spojrzał na zegarek. Prawie druga. Jeszcze miał czas, żeby dotrzeć na północ. Pojedzie zobaczyć się z miejscowym księdzem. Rozejrzy się też po Manchesterze, gdzie Russell dorastał. Był pewien, że znajdzie się kilka star-

szych pań, które będą jeszcze pamiętały wysokiego, jasnowłosego, dobrze ułożonego obcego, który romansował z jedną z lokalnych panien, nawet jeżeli to było czterdzieści lat temu. Cicho pogwizdując uruchomił silnik.

— Nigdy nie widziałem Tia tak wściekłego. Piru niemal wyrzuciła mnie z domu. — Tomeo spojrział na kuzyna siedzącego obok. — Nie jestem pewien, czy nie wyśle nas z powrotem do domu, kiedy będzie miała więcej czasu, żeby o tym pomyśleć. To było zbyt pochopne, nie sądzisz? Nie powiedziałeś mi, że zamierzasz jej wszystko powiedzieć.

— Pochopne? Te kilka słów prawdy? Na miłość boską, Tomeo, kiedy przestaniesz skradać się wokół Jose-Marie, udając, że wiesz dobrze, co robi? Kiedy wreszcie staniesz twarzą w twarz z faktami? — Mil potrząsnął głową, jakby nie mógł zrozumieć Tomea. — On zupełnie nas lekceważy, a ty tak jesteś zajęty własnymi sprawami, że zdajesz się nie zauważać, że on nas oszukuje.

— Posłuchaj, to ja jestem tym, którego on wykopał z pozycji, która mi się należała jako głowie rodziny, więc nie próbuj mi wmawiać, że nie podchodzę do tego wystarczająco poważnie. A poza tym nie sądzę, żebyś kiedykolwiek brał pod uwagę skręcenie karku mojemu młodszemu braciszкови— powiedział Tomeo, ułożywszy się wygodnie na krzeselku pokładowym. Spoglądał na wody zatoki Andraitx; jego nakremowane ciało lśniło w słońcu. Szczupły, delikatny mężczyzna, na tyle przystojny, że mógł zainteresować sobą każdą kobietę, która znalazła się w pobliżu. Mil jest wyższy, lepiej zbudowany i nawet bardziej przystojny ode mnie — pomyślał Tomeo. Dlaczego jego kuzyn nie wykorzystuje lepiej swojego wyglądu? Kiedyś to robił, podrywając jedną dziewczynę za drugą, czarujący, arystokratyczny, uganiający się za przyjemnościami życia. Teraz, co prawda, pozostał mu dostojny wygląd, ale sprawiał raczej ponure wrażenie. Cały dawny czar zniknął. Znudzony Tomeo ziewnął szeroko.

— To tobie należy się ta przyjemność. — Mil uśmiechnął się z przymusem. Nastrój mu się wyraźnie pogorszył, kiedy przekonał się, że Tomeo nie przejmuje się za bardzo problemami. — Ale to nie zmienia faktu, że wczoraj to ja źle wypadłem i jemu udało się zdobyć dodatkowe punkty u Tia. Zastanawiam się właśnie, skąd wiedział... Nikt przecież nie wie.

— Martwisz się wszystkim, Mil. — Tomeo ziewnął ponownie, nie trując się nawet, aby zasłonić usta.

— Ponieważ mam powody. I ty także, gdybyś tylko zechciał to zauważyć. To jest cholernie poważne! Jose-Marie to twardszy orzech do zgryzienia, niż mi się wydawało.

— Chyba wybaczysz mi, jeżeli powiem „Przecież ci mówiłem” — jest również dla nas niebezpieczny. Ale w końcu popełni jakiś niewybaczalny błąd, zobaczysz. Zawsze tak było, nawet wtedy, kiedy był jeszcze mały. Starał się przedstawić rodzicom swój charakter jako nieskazitelny. Niby nudny i konwencjonalny w swoich przekonaniach — ale w środku, pod tymi wszystkimi udawanymi zaletami, jest w nim wiele nieposkromionej ambicji i chytrłości. To w końcu się ujawni. Zrobi coś zbyt ryzykownego, zbyt daleko popchnie go chciwość.

— Naucz się być trochę cierpliwy, Mil. Baw się dobrze, używaj życia, zabawiaj swoją uroczą dziewczynę, która wygląda na taką, która nie lubi pozostawać długo sama — uśmiechnął się spoglądając znacząco na molo, gdzie Sassy udało się już znaleźć kilku adoratorów. — Wydaje się, że z chęcią wprowadzą ją w tajniki... nart wodnych.

— Nie mam nic przeciwko temu. A to nie jest moja dziewczyna, zresztą już ci mówiłem — odparł Mil sucho. — Poza tym instrukcje, co do nart wodnych lub czegośkolwiek innego, to ostatnia rzecz, jakiej Sassy potrzebuje. — Zauważył, że Hugo również próbował swoich sił w jeździe na nartach, ale w tej chwili leżał w wodzie po jednym z nieudanych manewrów.

— Ona jednak sądzi, że jest twoją dziewczyną. Zawsze tak uważała, prawda? A przynajmniej zawsze jej na tym bardzo zależało. — Tomeo przez chwilę rozmyślał nad skomplikowaną naturą Sassy. — A więc nie miałbyś nic przeciwko temu...? — Kiedy zmęczony Mil machnął tylko ręką, twarz Tomea wyraźnie się rozpromieniła.

— Zostawiam ją tobie — powiedział Mil. — Ale postaraj się jeszcze przez chwilę skupić na interesach, dobrze? Powiedziałem Jose-Marie, że jutro wyruszamy do Barcelony zobaczyć olimpiadę. Załatwił nam bilety wejściowe. — Mil uśmiechnął się widząc radość w oczach Tomea. — Przykro mi, ale chciałbym, żebyś pozostał tutaj i obserwował Liz Barrett. Niemal mi obiecała, że wycofa się z tej sprawy i pozostawi mi możliwość rozwiązania zagadki, ale zwykle daje się ponieść emocjom. Nie chciałbym, żeby grzebała w tej historii i dowiedziała się więcej, niż wie do tej pory. Pamiętaj, że musimy bronić dobrego imienia rodziny. —

142

Uśmiechnął się mimowolnie obserwując, jak Hugo podniósł się na chwilę na nartach, a później ponownie zniknął w wodzie, kopiąc wściekle nogami.

— Założę się, że to ty będziesz eskortował słodką Sassy do Barcelony — Tomeo był wyraźnie rozczarowany. — Cóż, w takim razie będę musiał się pocieszyć tą Lizzie. Jest dosyć ładna, prawda? Pamiętam ją jako dziecko.

— Tak, jest bardzo ładna, ale spróbuj tylko ją tknąć *primo mio*, a twój nos zostanie ponownie złamany. Oszczędź więc sobie dodatkowych kłopotów. — Mil uśmiechnął się, a jego białe zęby zaśniły złowieszczo. Co prawda te słowa zabrzmiały lekko, ale Tomeo wiedział od razu, że posunął się zbyt daleko.

— Nie powiedziałaś mi, że jest twoją dziewczyną — powiedział. — Skąd mogłem wiedzieć?

— Wcale nie jest moją dziewczyną — zabrzmiała sucha odpowiedź.

— Ale ma coś wspólnego z twoim ohydnyim nastrojem? — Tomeo uśmiechnął się, ale Mil całkowicie go zignorował, powracając do poprzedniej rozmowy.

— Postaraj się dowiedzieć, jeżeli będziesz mógł, kto odwołał rezerwację domku, który teraz zajmuje Liz.

— A także, dlaczego i kiedy? Chcesz pewnie wszystkich szczegółów? — Tomeo uśmiechnął się. — Chciałbyś też pewnie wiedzieć, czy będzie miała jakichś nocnych gości? Mogę się tym zająć, Mil. Wystarczy, że powiesz tylko słowo.

— Myślę, że to słowo brzmi: „odwal się”, Tomeo — odparł zimno Mil. — Powiedz mi teraz, kto właściwie stoi na czele SolconMar?

— W tej chwili, czy wcześniej?

— Oczywiście, że w tej chwili. Nie miałbym problemu z odpowiedzią na pytanie, kto to był wcześniej, będąc jednym z większych współdziałalców.

— Nie spodoba ci się to.

— Ten interes w ogóle mi się nie podoba, więc mów, może mnie zaskoczysz.

El Professor, sąsiad Marisy, a także jej lokator, który dzierżawił od niej mały domek, związywał walizkę grubym sznurkiem, upychając ostatnie

rzeczy do rozpadającej się torby. Wyprostował się gwałtownie, kiedy padł na niego czyjś cień.

— Kto tam? — Jego głos był pełen napięcia. Elizabeth stała niezdecydowanie w drzwiach.

— To ja, profesorze, Elizabeth Barrett! — zawołała wchodząc do domu. — Nie chciałam pana przestraszyć. — Elizabeth nigdy nie zastanawiała się, czemu profesor zawdzięczał swoje imię, pod którym wszyscy go znali. Był teraz już starszym człowiekiem, dosyć korpulentnym i noszącym zbyt obcisłe spodnie. Wciąż jeszcze uczył baletu dziewczęta z Palmy i mieszkał aż do ubiegłego roku z miłym mężczyzną, seno-rem Ruizem, który prowadził sklep jubilerski. Po śmierci senora Ruiza pozostał sam ze swoim małym psem Tabano rasy chihuahua i Marisą, sąsiadką i przyjaciółką. Aż do wczoraj.

— Ach, to ty, Lizzie! — Napięcie w jego głosie wyraźnie zmalowało. — Jak się miewasz? Słyszałem, że wczoraj to ty znalazłaś Marisę. To musiało być dla ciebie okropne. Taka strata. — Jego głos załamał się, a oczy wypełniły łzami. Przerwał i sięgnął po chusteczkę. Tabano kulił się u jego stóp. El Professor podniósł go i zaczął głaskać malutką główkę, podczas gdy oczy psa patrzyły na niego pełne przywiązania.

— Tak, to rzeczywiście było straszne — powiedziała cicho Elizabeth. Pochyliła się, aby pogłaskać Tabana, zmieszana kruchością tego zwierzęcia. Delikatnie pogładziła jego główkę, zdziwiona inteligencją oczu psa, tym, że wydawał się patrzeć na nią ludzkim wzrokiem. Nie lubiła malutkich psów, ale w Tabanie było coś niezwykłego. — Nino powiedział mi, że pana nie było w domu, ponieważ miał pan właśnie lekcje. — El Professor pokiwał potakująco głową. Ich rozmowa wyraźnie się rwała, nie wiedzieli, co powiedzieć, jak wyrazić swój smutek i współczucie.

Nino, miejscowy policjant, był ulubieńcem wszystkich dzieciaków, pomimo że często je strofował. Kiedy Elizabeth zadzwoniła na policję, on właśnie przyjechał jako pierwszy. Tuż za nim nadjechała żandarmeria.

— Przyszłam, żeby powiedzieć, jak bardzo panu współczuję. Wiem, że byliście sobie bardzo bliscy z Marisą, po tych wszystkich latach spędzonych wspólnie. — Elizabeth spojrzała zdziwiona na walizkę. — Wyjeżdża pan? Nie przeszkadzam?

— Ten mężczyzna powiedział, że muszę wyjechać — odpowiedział profesor. — Teraz firma jest właścicielem tej ziemi i zamierzają to wszy-

stko wyburzyć. Odebrano mi moja własność. – Wzruszył ramionami jakby podkreślając, że nie może walczyć z losem. Elizabeth przerwała i zmarszczyła brwi, czując ogarniającą ją wściekłość.

— Nie rozumiem. Jaki mężczyzna?

— Ten, który bez przerwy do nas przychodził. Ten z miękkim, prawie kobiecym głosem i zimnym, surowym spojrzeniem. Marisa powiedziała mi, że nie zamierza mu sprzedać ziemi- ponownie wzruszył ramionami— ale widocznie zmieniła zdanie, lub on to zrobił za nią — Zawahał się przez chwilę, a później pochylił się do niej i wyszeptał- - Straszyl ją i kiedyś nawet przypalił jej dłoń. Groził też, że zrobi coś z Chamakiem, a teraz nie mogę znaleźć tego psa. Szukałem go wiele godzin.

— Pies Marisy zaginął? - Elizabeth oparła się o framugę drzwi rozmyślając. — Ale dlaczego ktoś miałby krzywdzić Chamaca?

— Zeby zmusić Marisę do podpisania aktu sprzedaży. To było dobrze przemyślane działanie. Nigdy właściwie nie skrzywdził Chamaca ale Marisa okropnie się bała, że może ukraść psa. Groźby tego rodzaju działają na starsze kobiety. - El Professor potrząsnął głową, jakby zastanawiając się, dlaczego Elizabeth jest taka głupia, że tego nie rozumie. Elizabeth natomiast chciała powiedzieć: - Dlaczego miałby się zajmować teraz Chamakiem? Jeżeli rzeczywiście podpisali kontrakt, Chamaco nie byłby do niczego potrzebny. Więc dlaczego zaginął? - ale nie było sensu o tym mówić, ponieważ El Professor był już bardzo rozdrażniony podobnie jak ona sama.

— Ten mężczyzna przyszedł do pana ponownie, żeby powiedzieć że musi pan wyjechać? Kiedy to było?

— Dzisiaj rano. Powiedział, że muszę natychmiast się wyprowadzić. Pokazał mi dokument z podpisem Marisy, a przynajmniej powiedział mi że to jej podpis. Nie jestem pewien. — Powrócił do pakowania walizki, upychając gwałtownie rzeczy.

— Czy dał panu oficjalny nakaz eksmisji? Myślę, że zgodnie z prawem przysługuje panu na to przynajmniej miesiąc - należała rozglądając się po pokoju. Był urządzone jak większość domów na Majorce. W oknach wisiały tradycyjne, miejscowe, zielono-białe zasłony, terakotowa podłoga pokryta była podniszczoną matą. Był tam też prosty sosnowy stół wiklinowe krzesła, jaskrawo malowane dzbany i talerze. Bardziej osobiste rzeczy El Professor zdążył już spakować do walizy. Niewiele tego było po kilku dziesiątkach lat jego życia w tym miejscu - pomyślała smutno Elizabeth.

— Nic nie dostałem— zaśmiał się szorstko El Professor. — Tego typu ludzie nie muszą załatwiać takich spraw oficjalnie. Wystarczy, że spojrzą na ciebie, a ty wyjeżdżasz, jeżeli jesteś człowiekiem przezornym. Marisa nie chciała być przezorna.

— Jaka była nazwa firmy? Pamięta pan?

— To było... nie pamiętam zbyt dobrze. Coś bardzo oklepanego. Pamiętam, że składało się z dwóch członów. Wind and Waves lub coś w tym guście — potrząsnął głową zirytowany. — Nie zwracałem uwagi. Zobaczyłem tam nazwisko Marisy, więc było ważne, to wszystko. — Popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem, jakby poddał się już zupełnie. — Ona nie była głupia. Nigdy nie zgodziłaby się z dobrej woli na taką sumę. Ale to już nie ma znaczenia i nie możemy nic poradzić. Zresztą, pani może coś zrobić, ja na pewno nie.

Przerwał na chwilę, wpatrując się we własne dłonie, jakby rozważał jakąś myśl. Elizabeth podejrzewała, że zastanawiał się, czy ma jej coś powiedzieć.

— Może pani jeszcze pójść do córki Marisy. Ona będzie wiedziała. Ale ona pewnie nie będzie chciała z panią rozmawiać, przynajmniej nie teraz. — Spojrzał ponownie na Elizabeth. — Szkoda, że Marisa nie posłuchała swojej córki i po prostu nie wzięła pieniędzy. Teraz już jest za późno. Ona straciła życie, a ja mój dom. A Chamaco — któż to wie? — Powrócił gniewnie do swojego zajęcia.

London

— Nie ułatwiasz sobie życia, prawda? — powiedział jakiś głos z tyłu Annette i sprawił, że jej serce zaczęło bić szybciej. To była Linda. Na palcu miała pęk kluczy. — Chcę przez to powiedzieć, że już i tak przepracowujesz się po nocach, ale jeszcze gorzej robisz pozostawiając swoje klucze. Chyba powinnaś zamykać je w szufladzie. Lord Rochford jest dosyć surowy w sprawach bezpieczeństwa. — Uśmiechnęła się strofując koleżankę, ale twarz Annette pokryła się rumieńcem.

. — Przepraszam. Gdzie je zostawiłam? — wyciągnęła dłoń po klucze.

— Na kserokopiarce. Masz — Linda podała je Annette. — Może byśmy się wybrały na lunch? Już jest pierwsza i umieram z głodu. — Annette zastanawiała się patrząc na otyłą figurę Lindy, czy ta robiła co-

kolwiek poza jedzeniem. Spojrzała przez okno na ponure, szare chmury i ogołoczone z liści drzewa i westchnęła. — Och... poszłabym z ogromną przyjemnością, ale wciąż jeszcze mam mnóstwo pracy. Może mogłabyś kupić dla mnie jakąś kanapkę? I coś do picia? — Wyciągnęła z torebki portmonetkę i podała pieniądze Lindzie. Linda potrząsnęła głową.

— Przypominasz mi lorda Rochforda. Oboje jesteście wychudzeni, ale nie potraficie oderwać się od pracy, żeby zjeść porządny lunch. Dziękuję Bogu, że nie zżerają mnie takie ambicje zawodowe. Jestem tylko płótką, ale za to wieczorem mogę iść do domu. — Odeszła mrużąc coś do siebie. Annette opadła na krzesło porażona strachem. Trzymała w dłoni pęk kluczy i klęła siarczyście. Czy Linda je zauważyła i była po prostu uprzejma, czy też zbyt ostrożna, by jej o tym powiedzieć? Nie — zapewniała samą siebie. Linda nie rozpoznałaby kopii kluczy do jej własnego biurka, nawet gdyby ktoś położył je przed jej nosem. Wszystko jest w porządku.

Trev będzie zadowolony z tego, jak szybko umiała sobie poradzić z zadaniem, które jej wyznaczył. Dzisiaj po prostu zostanie trochę dłużej, tak jak zwykle, i przejrzy dokumenty. Wyjęcie jednych dokumentów i zastąpienie ich innymi powinno być zupełnie proste. Nie musi się tym przejmować. Nie ma w tym nic takiego, co miałoby sprawiać, by jej dłonie się trzęsły.

— Co ja wyprawiam? — mruknęła do siebie. — Zostawiam klucze mając nadzieję, że Linda je zauważy i będę musiała z tego wszystkiego zrezygnować? Czy tak rzeczywiście było? Jestem głupia, po prostu głupia! Otworzyła swoje biurko i wyjęła dokumenty, które przekazał jej Russell. Bawiła się nimi przez chwilę, zastanawiając się, co z nimi zrobić. Powinna się do tego nie wtrącać, ale ona też ryzykuje, więc powinna wiedzieć dokładnie, w co się coraz głębiej pakuje. Westchnęła, otworzyła dokumenty i zaczęła je uważnie czytać.

Palma

— Nie może pani wejść — ucięła krótko kobieta. Ubrana w krzykliwy szlafrok i ranne pantofle, wyglądała zupełnie jak tańsza wersja swojej matki. — Sprawiała już pani wystarczająco dużo kłopotów. Wiem,

kim pani jest — kobieta odrzuciła dłoń Elizabeth, ofiarującą jej wizytówkę. — To pani narobiła kłopotów próbując położyć swoje łapy na domu mamy. Kapitan żandarmerii powiedział mi, że może pani tu przyjść wścibiając nos w nie swoje sprawy. Niech się pani stąd wynosi i pozwoli mojej rodzinie przeżyć w spokoju naszą żałobę. Ludzie pani rodzaju nie mają dla nikogo szacunku, nic ich nie obchodzi. — Niemal wypluła ostatnie słowa. Stała z rękami założonymi na biuście niemal tak obfitym, jak biust Marisy.

W bezlitosnym skwarze południowego słońca chodnik zdawał się więc z gorąca. Zasłona nad drzwiami rzucała niewiele cienia. Elizabeth otarła pot z twarzy.

— Czy nie przyszło pani do głowy, że kapitan żandarmerii mógł kłamać, aby ukryć morderstwo, ponieważ nie chce, aby ktoś je badał? — zaprotestowała stanowczym głosem, pomimo wątpliwości, które miała sama w związku z tą sprawą. — Tylko dlatego, że mogło ono wplątać kogoś z wyższych sfer? Przecież pani wie, że ktoś usilnie namawiał pani matkę do sprzedania domu, nawet jej grożąc. Wie pani też, że była ona ostatnią osobą, która zgodziłaby się na sprzedaż domu jakiejś firmie. A jednak okazuje się, że sprzedała i to za marną sumę. To wszystko nie trzyma się kupy, a pani wciąż nie chce ze mną rozmawiać?

Ale kobieta wzruszyła tylko ramionami.

— Co tu może być podejrzanego? Moja matka miała atak serca. Była stara, chora i po prostu miała zawał. Ale jeżeli pani będzie wciąż wtrącała się do tej sprawy, to kapitan żandarmerii zamrozi konto bankowe mamy aż do wyjaśnienia wszystkich szczegółów. Upłynie sporo czasu, zanim będziemy mogli skorzystać z tych pieniędzy, nawet z tej „marnej” sumy, o której pani mówiła, a w tej chwili nie wiem nawet, czy będzie nas stać na porządny pogrzeb.

— Jej powieki zatrzepotały przez chwilę i Elizabeth wyczuła kłamstwo. Widziała przecież za tą kobietą korytarz prowadzący do salonu umeblowanego bez smaku, ale niewątpliwie za duże pieniądze. Bynajmniej nie widać było tutaj ich braku.

— Tylko panią straszyl, żeby była pani cicho i nie zadawała zbyt wielu pytań. Straszyl, aby odebrać nawet tę niewielką sumę. Ale pani powinna dostać więcej, dużo więcej. — Elizabeth wzięła głęboki oddech poszukując gorączkowo sposobu, który mógłby przekonać tę kobietę. — Czy nie rozumie pani, że dla nich Marisa nic nie znaczyła? Była tylko starą kobietą, która powstrzymywała rozwój ogromnego biznesu.

160

Ale dla mnie i dla pani ona była kimś ważnym. Mówimy przecież o pani matce...

— No właśnie — syknęła triumfalnie kobieta. — M o j e j matce. Niech pani znajdzie sobie kogoś innego do zwracania mu głowy. My nie jesteśmy tym wszystkim zainteresowani. — Cofnęła się i zamknęła drzwi tuż przed

nosem Elizabeth, która stała przez chwilę oglądając matowe szyby i kiepskie dekoracje żelazne, zastanawiając się, czy jest sens zapukać raz jeszcze. Ale przecież wyczuła kłamstwo w głosie tej kobiety, widziała to pozorne ubóstwo i wiedziała, że jedyną rzeczą, jaka się dla niej liczyła, były pieniądze Marisy. Nic więcej nie mogła tu osiągnąć. Westchnęła i odwróciła się.

Pomyślała, że kapitan żandarmerii odwalił kawał dobrej roboty. Czy z polecenia don Artura, czy też sam to wymyślił? Teraz musiała się dowiedzieć, co to była za firma. Policja jej nie powie, El Professor nie pamięta, a córka Marisy wie, ale nie ma ochoty udzielać żadnych informacji. Może by spróbować w tutejszym rejestrze gruntów — *Camera de la Propiedad Urbana o Rural*? Ale czy oni udziela jej takich informacji? Nie wiadomo, ale warto sprawdzić.

Guillermo siedział na niskim kamiennym murze przed hotelem i machał nogami udając, że jest całkowicie pochłonięty gazetą, którą trzymał przed sobą. Spojrzał na podjeżdżającą taksówkę. Widząc go Elizabeth poczuła zirytowanie i ulgę. Guillermo uśmiechnął się do niej promiennie.

— Lizzie, *carina*. Gdzie się podziewałaś? Czekam na ciebie już pół dnia- — Złożył gazetę, zszedł z muru i ruszył w jej kierunku. Jego muskularne, silne nogi wystawały spod krótkich szortów, a ich owłosienie wydało się Elizabeth niemal odpychające. Jest zbyt męski — przemknęło jej przez myśl. Zbyt męski? Co to miało oznaczać? Zbyt seksowny, zbyt muskularny, zbyt zniewalający? Żaden z tych przymiotników tak naprawdę nie opisywał Guillermo. A jednak czasami, zupełnie bez przyczyny, przy spotkaniu z nim ogarniało ją nieokreślone uczucie niechęci, na tak krótko jednak, że po chwili już o tym nawet nie pamiętała.

Zapłaciła za taksówkę i obserwowała, jak zbliżał się do niej. Patrzyła na niego z nic nie wyrażającą twarzą.

— Lizzie, gdzie byłaś? — zapytał ponownie.

— Chciałam zakosztować uroków wyspy, Guillermo. — Zdawało się,

11 — Zraniona дума

161

że jej sarkazm nie dosięgnął go. — Cóż by innego? Jestem tu na wakacjach. — Pokazała mu koszyk, który kupiła na rynku. Sporo ją kosztował, ale przynajmniej dawał jej jakieś usprawiedliwienie. — Dlaczego czekasz na mnie? Nie umawialiśmy się, prawda?

— Nie. — Jego odpowiedź była krótka i nieco posepna. — Wybrałem się do twojego domku dzisiaj rano. Myślałem, że potrzebujesz kogoś, kto mógłby cię pocieszyć po wczorajszych wydarzeniach, ale okazało się — odetchnął głośno — że miałaś już pocieszyciela. — Kiedy zdumiona uniosła brwi, roześmiał się sucho. — Mil. Widziałem, jak wychodził. Chciałem później zapukać, ale usłyszałem, że bierzesz prysznic, więc... odszedłem. — Stał zasmucony, oczekując, że jej twarz pokryje się rumieńcem, że będzie się usprawiedliwiała. Zamiast tego Elizabeth wzruszyła ramionami, powstrzymując wzbierający w niej gniew.

— Dlaczego więc właściwie czekasz na mnie już pół dnia? — Nie miała nastroju na to, aby ktoś zarzucał ją tego rodzaju oskarżeniami. Spojrzała z odrazą na Guillerma i to on się zaczerwienił.

— Pomyślałem, że może chciałabyś wybrać się ze mną na wycieczkę łodzią. Byłem — przerwał rozważając swoje słowa, a później wzruszając ramionami — wcześniej zazdrosny, a później zdałem sobie sprawę z tego, że nie miałem do tego prawa, więc wróciłem do twojego domku, ale już wyszłaś. W recepcji powiedzieli mi, że przed chwilą wyruszyłaś gdzieś drogą, więc pomyślałem sobie, że poczekam. To było — spojrzał na zegarek — jakieś trzy godziny temu.

— Zamierzasz teraz rozliczać mnie z czasu?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale martwię się o ciebie. Jeżeli masz coś przeciwko temu, to przepraszam.

— Nie przepraszaj! — niemal warknęła, a kiedy zdziwił się, dodała — nie przepraszaj, jeżeli nie zrobiłeś nic złego!

— Westchnęła głęboko, kiedy zaczął znów machinalnie przepraszać, ale przyłapał siebie na tym i przerwał w połowie, pełen winy.

— Teraz już nie wiem, co mogę powiedzieć — poskarżył się. — Czy mam tu po prostu stać i pozwalać obrzucać się obelgami? Czy to przywróci uśmiech na twojej twarzy?

— Przyznaję, że jesteś wytrwała, Guillermo, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego miałyby cię obchodzić, co ja robię. Mil po prostu wpadł do mnie, zupełnie tak jak ty, żeby sprawdzić, jak się czuję. — Dlaczego to powiedziała? Czy potrzebowała tych słów, aby stworzyć dystans pomiędzy sobą i Milem? A może była zbyt staroświecka, by pozwolić, aby

wtrącał się w jej sprawy miłosne? Szczególnie, jeżeli nic się nie wydarzyło.

— Przepraszam, to rzeczywiście nie moja sprawa — usprawiedliwił się natychmiast Guillermo i Elizabeth poczuła nową falę zirygowania. Mil przynajmniej mówił prosto z mostu, o co mu chodziło, czy miał do tego prawo, czy nie. Ale nie powinna myśleć o nim więcej, jeżeli ma się zająć faktami, które odkryła. Marszcząc brwi zdała sobie sprawę, że Guillermo wciąż jeszcze się usprawiedliwiał: — ...byłem tak zazdrosny o Mila. I to nieporozumienie z przeszłości, które wciąż stoi pomiędzy nami. — Wzruszył ramionami pełen skruchy, jak mały chłopiec przyłapany na gorącym uczynku, który jednocześnie wie, że jest przynajmniej częściowo usprawiedliwiony.

— Tak? — Elizabeth nagle zainteresowała się tym, co mówił. — Powiedz mi, co się właściwie wydarzyło tamtego dnia? — Podeszła do muru i usiadła na nim, zdejmując sandały z obolałych nóg i rozluźniając bluzkę. Wciąż było upalne popołudnie, ale mur ukryty był w cieniu cyprysów rosnących powyżej. Lilie i jakieś białe kwiaty, których nie rozpoznawała, pięły się po murze wydzielając delikatny zapach, kiedy kruszyła je palcami. Odetchnęła z ulgą chłodniejszym powietrzem. — Byłam wtedy dzieckiem i niewiele rozumiałam, a później nikt nie chciał o tym mówić, szczególnie ze mną. — Spojrzała z zaciekawiona na Guillerma, zastanawiając się, jak mu się udało być tak uprzejmym wczorajszego wieczora, pomimo faktu, że wciąż czuł niechęć do Mila. Niewątpliwie to samo uczucie widoczne było teraz na twarzy Guillerma. Wściekłość i niechęć, powściągane jednak ogładą towarzyską.

— A, tamto — roześmiał się z bólem — to było bardzo dawno temu, Lizzie... i nie było to przyjemne. Nie chciałbym do tego wracać.

Elizabeth pokiwała głową ze zrozumieniem, chociaż była trochę rozczarowana. Zdziwiła się, kiedy jednak usiadł obok niej i mówił dalej. Jego woda kolońska była dużo mocniejsza od zapachu kwiatów i Elizabeth musiała odwrócić głowę.

— Oczywiście to było z powodu Nieves. Taka wspaniała dziewczyna. Byłem jeszcze nieokrzesanym, niezbyt przystojnym młodzikem, ale kochałem ją do szaleństwa — roześmiał się ponownie, jakby zdając sobie sprawę z własnej niedoskonałości, ale Elizabeth wyczuła w jego głosie fałszywą nutę. — Ona oczywiście nawet mnie nie zauważała. Widziała tylko Mila. W pewnym momencie on też zaczął na nią zwracać uwagę i przeraziłem się, że może do czegoś dojść.

Przerwał.

— Musisz zrozumieć, że Nieves była słodką, niewinną dziewczyną, wychowaną w bardzo konserwatywnej rodzinie i Mil nie miał prawa tego zrobić. To było nadużycie jej zaufania.

— Co on takiego zrobił? — dopytywała się Elizabeth, zanurzając twarz w pęku kwiatów. — Oczywiście słyszałam plotki, ale nigdy nie byłam pewna...

— Zgwałcił ją oczywiście! — Guillermo poruszył się gwałtownie, spoglądając na nią zdumiony. — Myślałem, że to było jasne. Wszyscy wiedzieli, co zrobił, ale on jest szlachcicem, bardzo bogatym, a poza tym don Arturo i jego wuj to bliscy przyjaciele. A rodzina Nieves nie chciała robić z tego skandalu. Więc sprawę zatuszowano, a jego odesłano do domu. Ale to niczego nie zmieniło. Wszyscy tutaj dobrze pamiętają wyskok Mila.

Elizabeth poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy. Zrobiło jej się zimno mimo upalnego dnia.

— Jestem więc zdziwiona, że przyjechał tutaj ponownie— powiedziała starając się, aby jej głos brzmiał normalnie i obojętnie. Czy to była prawda? Czy też Guillermo wymyślił tę historię, aby jeszcze bardziej zniszczyć reputację Mila? Niestety, tego nie wie. — Dlaczego sprawa ucichła? — zapytała.

— Ponieważ ludzie uważają, że kilka lat wystarczy, aby zbrodnia się zatarła. Ale to nie zmieni Mila. On wciąż może zrobić coś podobnego, a nawet coś gorszego. Taki ma charakter. Dlatego właśnie zmartwiłem się widząc, jak wychodził dzisiaj rano z twojego domku. Musisz uważać na niego, *carina*. Kiedy byłaś dzieckiem, nie zwracał na ciebie uwagi, ale widziałem, jak na ciebie teraz patrzy. — Guillermo pokiwał głową. — Nie powinnaś zostawać z nim sam na sam.

— Trudno mi w to uwierzyć. — Elizabeth walczyła ze sobą, chciała zaprotestować gwałtownie, ale powstrzymała ją to, co usłyszała wczoraj wieczorem i czego dowiedziała się w urzędzie. SolconMar — ta właśnie firma była obecnie właścicielem willi Marisy, a także większości domów, które zostały ostatnio wykupione na wybrzeżu. To firma Mila, czekała tylko na śmierć starej kobiety, aby móc rozwinąć swoje interesy. Czy mogła wierzyć w niewinność Mila wiedząc o tych wszystkich faktach? Czy miała mu ufać? A może Mil miał drugie ja, którego jeszcze nie знаła, zdolne do zaplanowania morderstwa starej kobiety tylko po to, by firma mogła się rozwijać, zdolne także do zgwałcenia młodej dziewczyny?

152

czyzny? Czy Mil, którego znała, to ta sama osoba? Czowała się chora z niepewności. — Skąd o tym wiesz? To znaczy, kto ich znalazł?

Guillermo patrzył na nią wzburzony, oceniając jej milczenie. Natychmiast odpowiedział na to pytanie, którego tak oczekiwał, pytanie, które miało jej udowodnić, że wszystko, co mówił, było prawdą.

— Ja ich znalazłem. Natychmiast się domyśliłem, co zaszło. — Spojrzał daleko przed siebie, mrużąc oczy w słońcu.

— Był zupełnie pijany, leżał tuż obok niej. Ona zachowywała się jak histeryczka, zbierała swoje ubranie i krzyczała

— nawet na mnie. — Odwrócił się i pokazał dłonią na ogrody, na samotne miejsce pod sosnami w pobliżu muru. —

To się stało dokładnie tam. A później przybiegło jeszcze kilka osób. Zdjąłem z siebie koszulę, otuliłem ją i odprowadziłem. Wszyscy się przypatrywali i chichotali, więc zabrałem ją do domu i powiedziałem rodzicom, co się wydarzyło. Nigdy by tego sama nie zrobiła. Była zbyt roztrzęsiona. Ale ja chciałem, żeby Mil został ukarany, i dlatego nalegałem, aby powiedzieć rodzicom prawdę. — Przeciągnął palcami po czarnych, lśniących włosach.

— A co zrobiła Nieves? — Elizabeth usiłowała skupić się na faktach, aby stłumić wzrastające emocje. Chciała znaleźć jakieś inne wytłumaczenie wydarzeń, ale było to niemożliwe z Guillermem.

— Zachowywała się jak histeryczka, biła mnie cały czas. Wiedziałem, że jest w szoku, więc nie zwracałem na to uwagi. Zaprowadziłem ją do domu, a jej matka zabrała ją do pokoju. Nigdy jej więcej nie widziałem. A przynajmniej nie na Majorce — zawahał się — czasami widywałem ją w Madrycie na ulicy, zanim przeprowadziłem się do Barcelony.

— A Mil? Co z nim? Chyba nie leżał tam nic nie robiąc?

— Właśnie że tak, był zupełnie pijany. Powiedział później, że ktoś go uderzył w tył głowy i że nie był pijany, ale to było oczywiste kłamstwo. Wszyscy widzieli, jak się zataczał, i czuć było zapach piwa. Jego przyjaciel Hugo zabrał Mila stamtąd, zanim zdążyłem wrócić, ale następnego dnia dopadłem go na plaży w Portals, adorującego dziewczyny, jakby nic się nie stało i po prostu nie mogłem tego znieść. Podeszedłem do niego i uderzyłem go — uśmiechnął się z przymusem — walczyliśmy. Oczywiście przegrałem. To było nieuniknione. Ale to zwycięstwo nie przyszło mu łatwo. W końcu ktoś nas rozdzielił i odprowadził do pałacu. Później oczywiście rozeszły się plotki i musiał uciekać do Anglii. — Guillermo roześmiał się gorzko, a jego oczy błysnęły od emocji, które powinny były wypalić się już dawno temu.

— A skąd się wzięły plotki? — zapytała Elizabeth. — Nie wierzę, żeby Nieves lub Mil coś o tym mówili...

— Co chcesz przez to powiedzieć, Lizzie? Że je powtarzałem? Że rozpuszczałbym plotki, rujnujące opinię Nives i Mila tylko poprzez niechęć do niego? — Wstał rozzłoszczony i zaczął krążyć wokół niej. Elizabeth miała dziwne wrażenie, że robi to wszystko tylko na pokaz. — Czy to właśnie chciałaś powiedzieć? — dopytywał się.

— Na miłość boską, Guillermo, uspokój się. Nie miałam zamiaru nic sugerować, próbuję tylko ustalić fakty — odpowiedziała zirytowana i zdziwiła się, kiedy zaczął krzyczeć na nią.

— No, tak! To właśnie jest twoja praca, ustalanie faktów. Ale dlaczego nie próbujesz ustalić faktów towarzyszących morderstwu Marisy, zamiast łązić po rynku i kupować — machnął lekceważąco ręką w kierunku jej rzeczy — jakieś koszyki, jak głupie turystki, i zabawiać ludzi w rodzaju Mila? — Spojrzał na nią. — Wszyscy powinniście coś zrobić, zanim on popełni kolejne przestępstwo!

Elizabeth poczuła nagle dziwną ciszę wokół siebie, jakby nad jej głową opuściła się dźwiękoszczelna kopuła. Wciąż widziała, że Guillermo mówił coś, ale zupełnie tego nie słyszała. Jedyna myśl, która krążyła w jej głowie, to było: Dobry Boże, co ja mam teraz zrobić? Mil, jak mogłeś? Co cię napadło? Dlaczego? Dla rodziny, reputacji, Compton Lacey? Czy wszystko to było warte tego, co utraciłeś? — W jej umyśle pojawiło się oklepane powiedzenie: Ile jeszcze wart jest człowiek, który utracił swoją duszę?

— Skąd o tym wiesz, Guillermo? — Spojrzała na niego zimno. Usta Guillerma zamknęły się ze zdumienia. — Skąd wiesz, że Mil ma coś wspólnego ze śmiercią Marisy? Skąd wiesz, że to było morderstwo?

— Nie wiem. — Jego głos stracił pewność, ale po chwili znowu ją odzyskał. — Powiedziałem ci, że jestem związany z firmami nabywającymi ziemię i zdarza mi się słyszeć różne rzeczy, na przykład, które firmy są zaangażowane w określone interesy, słyszy się plotki...

— Znowu plotki... — przerwała na chwilę i odchrząknęła. — Wiesz, wydaje mi się, że jednak skorzystam z twojej propozycji wycieczki łodzią. Wezmę tylko kilka moich rzeczy.

Przerwał na chwilę, a później jego twarz rozjaśnił pełen zachwyty uśmiech.

— Naprawdę?

— Tak — pokiwała głową — naprawdę. Będiesz mógł mi więcej

154

opowiedzieć o tych wszystkich plotkach. Idź przygotować łódź. To mi zajmie tylko chwilę. — Zostawiła go zaskoczonego i pobiegła do domku. Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby słyszał jej rozmowę telefoniczną z posterunkiem żandarmerii.

Nie chciała chronić Mila, ale nie dopuszczała nikogo do gromadzonych faktów, zanim nie miała jasności sprawy. A do tego jeszcze nie doszłam — przypomniała sama sobie — bez względu na to, co mówił Guillermo. Nie mogła w tej chwili sprawdzić, czy oskarżenia Guillerma były prawdziwe, aż do momentu, kiedy zdobędzie więcej informacji, nad którymi będzie mogła popracować. Więc wysłucha go do końca, a później spróbuje oddzielić prawdę od fałszu. Zatelefonowała do kapitana żandarmerii i została niemal natychmiast połączona. Nie zdołał jeszcze nikomu nic o niej przekazać — pomyślała z satysfakcją.

Niestety jej rewelacje o kontrakcie SolconMar, który był podpisany tydzień temu, nie wywołały zainteresowania, pomimo jej wyjaśnień, że Marisa nie podpisała nic aż do piątkowego wieczoru.

— To była pomyłka z jej strony — wyjaśniał kapitan. — Marisa chciała dostać lepszą cenę za dom, nie rozumiejąc, że kontrakt, który poprzednio podpisała, nie może już być zmieniony. To była chwila roztargnienia. — Jego wyjaśnienia nie były zbyt logiczne, ale udało mu się w końcu odprawić Elizabeth i odwiesić słuchawkę.

Wiedząc, że jeszcze nie powinna tego robić — bo może nie wykorzystywała kilku możliwości w Hiszpanii — niechętnie wykręciła dobrze jej znany numer w Anglii i poprosiła o połączenie z redaktorem naczelnym.

Jej głos był pełen determinacji, kiedy w końcu usłyszała, że podniósł słuchawkę i odezwał się.

— Charlie? To ja, Liz. Posłuchaj, kiedyś powiedziałeś mi, że jesteś mi coś winien. Chciałabym sprawdzić kilka faktów...

Rozdział dziewiąty

Tomeo obserwował małą gumową łódkę mknącą po falach. Poruszała się jak niewielki czarny punkcik na nieskazitelnym błękitcie morza i nieba. Widział, jak dziewczyna trzyma za cumę, starając się utrzymać w górze dziób łodzi. Mężczyzna wyraźnie przyspieszał chcąc, być może, ją przestraszyć lub też wyrzucić na niej wrażenie. Płynęli w stronę wyspy. Tomeo wykrzywił twarz rozpoznając Guillerma i odwrócił się, opadając na podniszczone żelazne krzesło stojące na hotelowym tarasie. Poprawił poduszkę za plecami i oparł się na niej wygodnie.

Teraz cała rzecz wydaje się dużo prostsza. Wszystko zaczyna być łatwiejsze do przewidzenia. Jego drogi, nudny brat rzeczywiście miał kłopoty. Nic dziwnego, że Mil uważał, iż obecność Guillerma na wyspie jest co najmniej dziwna. To był człowiek, który wystarczająco nienawidził Mila, żeby mu zaszkodzić. Doprawdy Jose-Marie. Bardzo niezdarne posunięcie. Tomeo roześmiał się do siebie. Delektował się pięknem słonecznego popołudnia, złocistością piasków wybrzeża, zielonych odcieni morza i wesołymi zabawami dzieci w wodzie, które były zbyt odległe, aby mogły mu przeszkadzać. Czuł zapach żywicy sosnowej zmieszanej z zapachem kwiatów i kurzu, który zawsze kojarzył mu się z Majorką. Życie będzie znowu piękne. Przed nim pojawił się kelner.

— Poproszę kawę z ekspresu i koniak. Chciałbym też prosić pana

o przysługę. — Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka tysięcy peset. Uśmiechnął się widząc żywe zainteresowanie w oczach kelnera.

— Oczywiście, senor. Czego pan sobie życzy? — Kelner był młodym chłopcem, który prawdopodobnie zarabiał na studia imając się różnych prac w czasie lata. Nie było więc nic dziwnego w tym, że tak zainteresował go widok pieniędzy. Tomeo dokonał właściwego wyboru

Kiedy kelner odszedł z zadaniem, jakie powierzył mu Tomeo, ten roześmiał się, oceniając, czy może spróbować swoich sił z czarującą panną Barrett. Może później, kiedy będzie już po wszystkim. Nie ma sensu teraz wrogo nastawiać do siebie Mila.

— Czy kiedykolwiek wydawało ci się, że ktoś tobą manipuluje? Jakby ktoś pociągał za sznurki, a ty musiałabyś skakać tak, jak on ci kazał¹? Czasami tak właśnie się czuję. - Guillermo leżał na plaży, a jego palce kreśliły koła na piasku. To nie była odkrywczą myśl, nawet w sposobie w który ją wyraził, ale zdawało się, że powiedział to szczerze. Porzucił już swój entuzjastyczny nastrój małego chłopca i teraz stał się niemal melancholijny. Elizabeth oparła głowę na rękę i przyglądała mu się uważnie.

— Czasami tak się czuję. Nie wierzę temu, co ludzie mi mówią Często mają w tym jakiś własny ukryty cel. - Zastanawiała się przez chwilę, czy wziął pod uwagę, że jemu też mogła nie wierzyć. Wydawało się jednak, że nie myślał o tym.

— No właśnie. — Jego twarz rozjaśniła się na chwilę. — Nieraz myślę, że nawet Bogu nie można ufać, ponieważ każdemu daje inne spaczone spojrzenie na te same zjawiska, a więc każdy reaguje inaczej, kiedy On pociąga za sznurki. Absolutnie nie mam wpływu na to co się dzieje. Wszystko jest już wyreżyserowane z góry. Czy nie czujesz tego? — zapytał i widząc pełne wątpliwości spojrzenie, odwrócił się od niej

Zapadło milczenie. Elizabeth patrząc na niego zdała sobie sprawę że kontynuuje tę rozmowę w formie monologu z samym sobą. Widziała jak myśli przebiegające przez jego umysł pogłębiają wyraz niechęci na jego twarzy. Spojrzała zaskoczona, kiedy usiadł nagle, a później wstał gwałtownie i pobiegł do morza. Jego ciemna sylwetka wyraźnie odcinała się na tle białego wybrzeża i błękitnego morza. Skoczył do wody, wzbijając fale nie pamiętając zupełnie o jej obecności.

Siedząc i otrzepując dłonie z piasku patrzyła, jak płynął, niemal walcząc z morzem, starając się je sobie podporządkować, zamiast delikatnie prześlizgiwać się po falach. Kiedy w końcu zmęczony, odwrócił się na plecy i wypluwał wodę w powietrze, przypominał wieloryba.

Elizabeth zmarszczyła brwi. Czowała, że coś było nie w porządku z Guil-lermem. Jego nastroje zmieniały się błyskawicznie, popadał w dziwny entuzjazm, jak wtedy, kiedy płynęli z niebezpieczną prędkością przez zatokę. Dziwiła ją jego obsesyjna potrzeba wyjaśniania swoich działań, jego wybuchowość. A jednak potrafił być czarującym towarzyszem, zabawnym, błyskotliwym, troskliwym. Był dziwną mieszaniną przeciwstawnych osobowości i trochę się go obawiała.

Leżeli już na słońcu około godziny, rozmawiając o wspólnych znajomych. Mówili też o firmach skupujących ziemię, ludziach, których Guillermo znał w Barcelonie, o sposobach przeprowadzania ciemnych interesów, o wszystkim i o niczym, a jednak Elizabeth wciąż nie była w stanie powiedzieć, czy jego informacjom można było zaufać.

Prawdopodobnie część z nich była prawdziwa, ale która? A co z SolconMar? Guillermo wspomniał o tej firmie, podając ją jako przykład takiej, która wykupiła zbyt dużo ziemi w zbyt szybkim tempie, i teraz była w kłopotach, gdyż nie mogła spłacić wszystkich zaciągniętych długów. Nie mówił nic o jej właścicielach, nie wspominał także o niczym szczególnym w związku z tą firmą, oprócz jej niepewnej pozycji. A Elizabeth nie chciała się dopytywać, żeby nie zauważył, że ją to interesuje.

A więc co miała teraz zrobić? Charlie dał jej nazwisko człowieka w Barcelonie, który mógł sprawdzić kilka spraw. Ale czy ona tego chce? Co będzie, jeżeli się okaże, że Mil rzeczywiście jest w to wszystko wplątany, że ma coś wspólnego ze śmiercią Marisy? Co wtedy? Czy będzie miała siły zdemaskować go?

Westchnęła, wstała i ruszyła wolno w kierunku morza, przechodząc uważnie przez kępy wodorostów i jeżowców.

Wskoczyła do wody. Płynęła leniwie ku zatoce, gdzie Guillermo pozwalał się unosić falam.

Elizabeth zanurkowała. Jej biały strój kąpielowy odbijał promienie słońca. Gdyby zdemaskowała Mila, czułaby się okropnie. Gdyby zaś tego nie zrobiła, czułaby się równie źle. W końcu odezwała się:

— Jeżeli mam się zająć poważnie tą sprawą, muszę pojechać do Barcelony, Guillermo. Nie mogę oskarżać nikogo bez potwierdzenia faktów. Czy wiesz, gdzie mogłabym dostać pokój nawet teraz, kiedy trwa olimpiada? — Uniósł nieco głowę, by na nią spojrzeć, wciąż unosząc się na

falach. Przez chwilę wydawało jej się, że jest martwy, jego oczy były zimne, usta otwarte, głowa lekko uniesiona. Wstrząsnął nią dreszcz, ale uśmiechnęła się natychmiast, karcąc własną głupotę. On także uśmiechnął się i to wrażenie minęło.

— Oczywiście, że znam takie miejsce. U mnie. Gdzież by indziej?

*

— Jej dłoń była już zimna, Helen! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? I... miała ze sobą miotłę, jakby zamiatała schody, ale widziałam, że tego nie robiła. Niemal poślizgnęłam się na jakichś śmieciach, kiedy zbiegałam w dół. - Elizabeth patrzyła na siostrę, a jej umysł pracował na wytężonych obrotach, jakby bojąc się, że może mu coś przeszkodzić, zanim uda mu się poskładać wszystkie elementy łamigłówki

— Ale powiedziałaś, że słyszałaś jej krzyk! I leżała w wodzie To mogło ochłodzić jej ciało, prawda? - Helen jak zawsze wysuwała logiczne argumenty. Piła kawę i patrzyła z niepokojem na siostrę. Tym razem dobrze zrobiła, że posłuchała matki i przyjechała do Lizzie na Majorce. Oczywiście, nie wiedziała tego, o czym musiała doskonale wiedzieć matka, że są tu także Mil i Hugo. Widząc Liz, czuła jednak, że dobrze się stało. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Elizabeth. - Lizzie' Czy słyszałaś, co powiedziałam?

— Co? Tak, słyszałam. Ale ciało nie może ochłodzić się tak szybko Byłam na dole najwyżej w minutę po tym, jak usłyszałam jej krzyk Poprawka - czyjś krzyk. Wcale nie jestem pewna, czy to Marisa krzyczała. Może zabito ją wcześniej i leżała tam, zanim ktokolwiek ją zauważył? To prywatna plaża, nikt tam nie zagląda. A El Professor był w Palmie. - Myśli Elizabeth płynęły szybko, starała się skupić na tym co przed chwilą powiedziała. '

— Ale w jakim celu? - Helen piła dalej kawę zdziwiona rozumowaniem siostry. — To nie miałoby absolutnie sensu. Zapadła chwila ciszy. Helen podejrzewała, że Elizabeth ponownie pogрузzyła się w myślach, ale Lizzie po chwili westchnęła i odwróciła się do Helen patrząc na nią niepewnie.

— Nie wiem. To właśnie jest problem. Jestem pewna, że musiał być jakiś powód, ale nie wiem jaki! Chyba że... nie, to niemożliwe. - Spojrzała na siostrę. - Może ktoś zabił Marisę wcześniej, ale czekał, aż ja się tam pojawię, a później upozorował jej upadek, żebym to ja ją znalazła?

159

— Jeżeli nawet założymy, że to było morderstwo, nie mogę zrozumieć, dlaczego mordercy zależało na tym, żebyś ty znalazła ciało.

— Może próbują mną manipulować? Może chcą, żebym prowadziła śledztwo, a nawet oskarżyła niewłaściwą osobę? Jednej rzeczy jestem zupełnie pewna — to było morderstwo, a nie wypadek.

— Czy to ci podpowiedziała twoja intuicja? — Helen uśmiechnęła się lekko.

— Tym razem nie ośmielam się ufać mojej intuicji, Helen. — Elizabeth wzruszyła ramionami. — Nie w przypadku, kiedy Mil jest w to wplątany. — Jej dłoń sięgnęła po kroplę wosku, która spadła ze świecy i zastygła na stole. — Znalazłam coś w moim pokoju dzisiejszego popołudnia. Pokojówka powiedziała mi, że to wypadło spod poduszek na kanapie, i niemal to wyrzuciła.

Zmarszczyła brwi, zmuszając się do mówienia dalej.

— To tylko skrawek papieru z kilkoma słowami po hiszpańsku. „Zadanie wykonane, czekam na zapłatę”. Nic więcej. — Ponownie wzruszyła ramionami. — To może dotyczyć wszystkiego. Ale może... jest to potwierdzenie śmierci Marisy. Podejrzewam, że mogło to wypaść z kieszeni Mila. Nikogo więcej nie było w moim domku.

Helen zastanawiała się, dlaczego oczy jej siostry są pełne bólu.

— Jesteś tego pewna? Dobrze by było, gdybyś przypomniała sobie dokładnie rozmowę Mila z jego wujem. Zresztą, to było tylko kilka słów. Na ich podstawie nie możesz stwierdzić, że dotyczyły śmierci Marisy. Nie mogę uwierzyć, żeby Mil był do tego zdolny — potrząsnęła głową. — Bardzo mi przykro, ale po prostu nie mogę.

— Helen, domagasz się rzeczy niemożliwej! — Jej palce bawiły się kulką wosku. — Byłam wystarczająco wstrząśnięta znalezieniem Marisy, aby później wyraźnie usłyszeć ich rozmowę. Mój Boże, daj mi pomyśleć. — Elizabeth zmarszczyła brwi, przypominając sobie tamtą scenę. Głos Mila dyskutujący z wujem o oddaniu kontroli nad interesami Jose-Marie, a nie Tomenie, mówiący o SolconMar, problemach firmy — jak to było...? „Co Jose-Marie powinien zrobić? — powiedział Tio i Mil odparł: — „Wiesz co, ustaliliśmy to już przecież”. Na to Tio odpowiedział: — „Jesteś pewien? To wydaje się zbyt drastycznym posunięciem”. Mrugając oczami, Elizabeth spojrzała ponownie na siostrę.

— Podejrzewam, że to mogło dotyczyć czegokolwiek, gdyby nie dyskutowali nad problemem SolconMar i starej kobiety, która nie chciała

sprzedać swojej willi. Jednak, czy to nie dziwne, że tego samego dnia zginęła Marisa, a kiedy Mil i jego wuj dowiedzieli się, że podejrzewam morderstwo, obaj zbledli. Powiedz mi, co byś o tym sądziła, Helen, gdybyś nie znała Mila.

Elizabeth zadrżała od podmuchu wieczornego wiatru, żalując, że nie włożyła zakietu. Zdawało się, że Helen nie odczuwa chłodu wieczoru. Elizabeth pomyślała, czy przypadkiem nie drży od wewnętrznego chłodu, który ścisnął jej serce. Jej bursztynowe oczy pociemniały i odcinały się wyraźnie od bladości lekko opalanej twarzy. Helen obserwowała ją uważnie.

— Przyznaję, że byłabym zaniepokojona. Ale chodzi właśnie o Mila. Nieważne, co ludzie o nim mówią. Znając Mila, powinnaś wiedzieć, że nie jest zdolny do czegoś takiego — upierała się, nie przejmując się subtelną wojną umysłów. Nie mogła wygrać w tym z Lizzie. Wiedziała o tym dobrze.

— Czy tym razem to twoja intuicja? — zażartowała Elizabeth, wrzucając wosk do pustej filiżanki. Spróbowała zmrożonego *hierbas* o smaku anyżowym, sprawdzając na języku jego smak.

— Tak. I prawdopodobnie twoja intuicja powiedziałaaby to samo, gdybyś tylko zechciała jej wysłuchać. Popelniamy jakiś błąd, o czymś nie wiemy, nieważne, co to jest, ale jestem pewna, że wyjaśniłoby to wszystko, gdybyśmy tylko o tym wiedziały. Czy nie możesz tego tak zostawić, Lizzie? Dlaczego musisz dalej się tym zajmować, skoro Mil prosił cię, żebyś tego nie robiła?

— Ponieważ muszę, Helen — Elizabeth odpowiedziała ostro. — Muszę to rozwiązać, nie rozumiesz tego? Jutro lecę z Guillermem do Barcelony, z tobą lub bez ciebie. Rozejrzała się po małej restauracyjce w Ter-reno, dokąd poszły, aby uniknąć znajomych. Wokół byli tylko turyści, obojętni na ich rozmowę i podniesione głosy. Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. Jej twarz była zaczerwieniona z emocji.

— Przepraszam — wymruczała. — Jestem trochę zdenerwowana. Chciałabym, żebyś ze mną pojechała, Helen, ale zrozumieć, jeżeli nie zechcesz się w to mieszać.

— W takim razie pojedę z tobą. Nie chciałabym, żeby Hugo lub Sassy spotkali mnie w hotelu — Helen zadrżała na samą myśl o tym. — I nie chciałabym natknąć się także na Mila i spojrzeć mu w oczy wiedząc, co zamierzam zrobić.

— O to możesz być spokojna. Zostawił dla mnie wiadomość w re-

cepcji— Elizabeth wzruszyła ramionami— że skontaktuje się ze mną za kilka dni, kiedy wróci.

— Skąd?

— Tego nie napisał. Więc wszystko zależy od ciebie.

— Pojadę z tobą. Im szybciej rozwiążemy tę sprawę, tym lepiej się wszyscy poczujemy — zdecydowała Helen.

Elizabeth uspokoiła się trochę i nawet uśmiechnęła się smutno.

— Twoja wiara może przenosić góry, Helen. Dziękuję ci. Potrzebuję tego teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Helen uniosła brew:

— Czy naprawdę tak go nienawidzisz, Lizzie?

Zdziwiła się nagłą reakcją Elizabeth, gwałtownym rumieńcem i napięciem na jej twarzy.

— Lizzie?

Elizabeth odwróciła się powoli, patrząc na stół. Jej głos drżał.

— Nie — przełknęła ślinę — nie czuję do niego nienawiści. — Spojrzała na siostrę. — Och, Helen, to wszystko jest takie skomplikowane. Co ja mam teraz zrobić?

— Zdaje się, że miał na imię Selby. Czy nie tak, Mary? Chyba Selby? Ten, który udzielił ślubu Lii?

— Wielebny Selby? Co pan chciałby o nim wiedzieć? Już dawno go tu nie ma. — Druga kobieta, która została wezwana, aby potwierdzić imię tego mężczyzny, obdarzona była poczuciem humoru właściwym tylko dla bardzo starych lub bardzo młodych ludzi. — Nie ma go już dawno i dobrze, że już się stąd wyniósł. To był stary, plugawy facet. Po prostu plugawy! — zaskrzeczała wesoło. Obie kobiety stały przy murze oddzielającym ich posiadłości i trącąc się łokciami, chichotały.

— A, tak. Teraz pamiętam — zgodziła się pierwsza kobieta. Jej skóra była różowa i błyszczała od potu. — Zalecał się do każdej, prawda? Mówił słodkie słówka i chwycił w objęcia, kiedy nikt nie patrzył. Robił to niemal z każdą dziewczyną, a przecież miał około czterdziestki. — Patrzyły z wyczekiwaniem na Mastersa, zadowolone, że przypomniały sobie tamtego człowieka.

— Nie wiecie przypadkiem, dokąd odjechał ten Selby? — zapytał Masters spodziewając się, że nie będą wiedziały, próbował jednak wy badać, co jeszcze pamiętają. Nie było trudno znaleźć kogoś, kto pamiętał

matkę Russella. Okazało się, że umarła dopiero kilka lat temu, a przez całe życie mieszkała w tym samym domu. To był dom jej rodziców, który odziedziczyła, a później zapisała swojemu synowi. Ale on go sprzedał i nikt nie wiedział, dlaczego i dokąd się wyprowadził. Ludzie, którzy kupili dom, powiedzieli Mastersowi, że Russell był zarozumiały, uważał się za kogoś lepszego od innych.

Pierwsza z kobiet, pani Buxton, mieszkała na prawo od starego domu Russella, a Mary — tuż za nim. Mieszkały tu już od wielu lat, więc pewnie znają wszystkie plotki — pomyślał Masters i uśmiechnął się do nich zachęcająco.

— Powiedziałam już, że dawno go nie ma. Stary zakłamanym drań. Zupełnie tak samo jak mąż Lii. To była dobrana para. Nie pozwolili przejść żadnej dziewczynie, żeby się do niej nie uśmiechnąć lub nie mrugnąć. Ale był przystojny — przyznała pani Buxton. — Prawdziwy dżentelmen.

— O, tak — zgodziła się Mary. — Mąż Lii też był przystojny. Ale ją zostawił. Obaj uciekli. A-Selby przecież był wikarym. Powinien zostać wyklęty. Był absolutnie pozbawiony moralności. Nikt się nie dziwił, kiedy obaj zniknęli. Zupełnie nie pasowali tutaj. Wszyscy to rozumieli, z wyjątkiem Lii. Była dopiero kilka miesięcy po ślubie, z brzuchem jak bania, z ich pierwszym dzieckiem. Zresztą to było ich jedyne dziecko. Okazało się, że to niezły gagatek ten Trev. Ale nikt nigdy nie miał serca, żeby powiedzieć to biednej Lii.

— Czy pamięta pan, kiedy dokładnie się pobrali? — zapytał Masters.

— Zbyt wiele pan wymaga. Po tych wszystkich latach? Co na to powiesz, Mary? Przypominasz sobie? — Pani Buxton zmarszczyła brwi.

— Pod koniec pięćdziesiątego drugiego, prawda? To był rok, w którym mój brat też się żenił. To było koło listopada.

— Tak, masz rację.

Miały jeszcze wiele do powiedzenia na ten temat, ale Masters zdał sobie sprawę, że nie wyciągnie już od nich więcej istotnych informacji, więc podziękował i odszedł drogą, myśląc intensywnie. Czy Selby rzeczywiście był wikarym? I dlaczego on i Rochford byli takimi dobrymi kumplami? A poza tym, jak Rochford w ogóle trafił do klasy pracującej Manchesteru? Mieli tam co prawda jakąś firmę inżynierską, ale ludzie twierdzili, że James Rochford nie interesował się nią zbyt wiele. Owszem, jego syn George często przyjeżdżał, żeby sprawdzić, jak firma sobie radzi, ale ojciec, bynajmniej. Nikt sobie nie przypominał, żeby przyjechał

176

choć raz, mimo że pracowali tam tacy, którzy pamiętali bardzo zamierzchłe czasy.

Masters był zadowolony, kiedy wrócił do samochodu i zaczął uzupełniać swoje notatki. Jeżeli ślub odbył się w listopadzie, w pięćdziesiątym drugim, to było już po ślubie z Celeste Rochford. W tym czasie była już w ciąży. Więc

nie było wątpliwości, które małżeństwo jest ważne. Ale nie zaszkodzi sprawdzić więcej faktów. Na początek trochę informacji o tym wikarym. Można sprawdzić u władz kościelnych — zapisał to sobie. Dowiedzieć się w Oxfordzie. Selby mógł być starym przyjacielem z czasów uniwersyteckich. Może pamięta go Celeste Rochford?

Zastanawiał się, jak Russellowi udało się odkryć prawdziwą tożsamość jego ojca. Czy szukał go przez te wszystkie lata? Czy też był to czysty przypadek? Może widział obecnego lorda Rochforda spacerującego ulicami Manchesteru i zauważył podobieństwa pomiędzy nimi?

Westchnął i spojrzał na zegarek. Już czas znaleźć jakiś hotel na dzisiejszą noc. Odjechał powoli, omijając grupkę dzieci bawiących się na drodze.

Telefon dzwonił natarczywie, ale nikt nie podnosił słuchawki. Służba udała się już do swoich mieszkań, a Piru i Tio siedzieli na tarasie wpatrując się w ciemniejące wybrzeże i pasmo morza. Cykady śpiewały w ciemnościach, ale był to dźwięk tak doskonale znany, że nawet go nie zauważali. Nic nie mówili, każde z nich pogrążone było w swoich myślach, gorzkich i smutnych.

W końcu Piru podniosła głowę i skłoniła ją na bok, nasłuchując.

— To pewnie dzieci. Prosiłam, żeby do nas zadzwoniły, żebyśmy się nie martwili, czy dojechały szczęśliwie. —

Wstała sztywno i weszła do domu.

— To nie są dzieci — wymruczał Tio, ale Piru tego nie słyszała. — Z pewnością nie są już dziećmi — powtórzył sam do siebie i westchnął ciężko.

Po kilku minutach Piru ponownie pojawiła się na tarasie, ze spokojną twarzą.

— To była jakaś asystentka Milla z Londynu. Powiedziała, że nazywa się Annette. Twierdziła, że musi pilnie skontaktować się z Milem —¹ mówiła Piru, jakby czuła potrzebę usprawiedliwienia tego, co robi — dałam jej więc nasz numer w Barcelonie. — Przerwała, a jej spokój wyra-

12 — Zraniona duma

177

źnie gdzieś uleciał. — Nie sądzisz chyba, że Mil może mieć jeszcze jakiś problem, prawda?

Tio spojrział na nią wzrokiem pełnym bólu, żalu i irytacji. Patrzył na nią przez chwilę, zanim powrócił do obserwowania wybrzeża.

— Nie, moja droga. Nie będzie już żadnych problemów. Sam mu to powiedziałem. Nie martw się, sytuacja unormuje się z czasem i będzie jak dawniej.

— A ta dziewczyna, córka Barrettów?

— Mil to wyjaśnił, a przynajmniej tak powiedział. Sądzę... — przerwał na chwilę — obawiam się, że mu na niej zależy. Ale — uśmiechnął się do żony — to może być na naszą korzyść. Jeżeli ona jest w nim zakochana, to może będzie nam pomocna.

— Ale czy on ją kocha? — Piru uniosła brwi zaniepokojona.

— Nie wiem. Z Milem nigdy nie wiadomo. — Umilkł i położył dłonie na piersiach, uciskając je mocno, jakby chciał złagodzić jakiś wewnętrzny ból. Piru nachyliła się, aby otulić kocem szczelniej jego nogi.

— Nie powinien jej krzywdzić, wzbudzając w niej nadzieję, a później zostawiając ją. Tak nie postępują dżentelmeni — stwierdziła. Zdawało jej się, że zobaczyła cień uśmiechu na ustach męża.

— Obawiam się, moja droga, że to, co robimy, nie przystoi za bardzo dżentelmenom. Powinno się jednak walczyć różnymi sposobami. Zawsze będą ofiary, to nieuniknione.

— Nic nie jest nieuniknione. Nie wierzę w to. — Ton jej głosu zmiekkł, kiedy zobaczyła, jak mąż jeszcze mocniej uciska piersi. — Nie powinieneś się tak martwić, kochanie. Chodź, już czas, żebyś wziął lekarstwo. Powinniśmy się już położyć spać. — Wyciągnęła dłoń i pogładziła go delikatnie po policzku.

— Czy mogłabyś mi coś obiecać, Piru? — pogładził jej rękę, i unióś do ust. — Coś bardzo trudnego, ale sądzę, że to najlepsze wyjście. — Patrzył, jak siada ponownie obok niego, a na jej czole pojawiają się zmarszczki.

— Oczywiście, Antonio. Co to takiego?

— Kiedy mnie już nie będzie... — widział, jak protestuje, palce Piru dotknęły jego ust, jakby chciała go uciszyć. — Nie, to jest coś, co musimy zaakceptować i stawić temu czoło. Kiedy mnie nie będzie, będziesz potrzebowała kogoś, kto mógłby cię pocieszyć. — Uśmiechnął się lekko, widząc cierpienie w jej oczach i starając się ulżyć jej w bólu. —
Artu

178

ro jest naszym starym przyjacielem, na nim instynktownie mogłabyś pragnąć się oprzeć — przerwał, jakby nabierał sił. — Proszę cię, nie rób tego. Nie chciałbym, żeby zajął moje miejsce, nie chciałbym, żebyś weszła do jego domu,

na miejsce jego żony. On nie jest... nie jest takim człowiekiem, za jakiego zawsze go uważałem. Nie jest wartościowym człowiekiem. Proszę cię, kochanie, nie wiąż się z nim. — Jego usta wykrzywił grymas bólu. — To moja jedyna prośba.

— Nie rozumiem cię, kochanie, i nie chcę rozumieć. — Piru potrząsnęła głową. — Nigdy nie próbowałabym cię kimś zastąpić, bez względu na to, jak bardzo pragnęłabym pocieszenia. Możesz mi zaufać. — Pochyliła się i pocałowała go w czoło. To był długi, delikatny pocałunek, który miał przynieść mu ulgę. Smutno pokiwał głową. — Więc nie będziemy już do tego wracali.

El Professor lekko zakołysał biodrami i ruszył tanecznym krokiem przez zwieńczony łukami hol, kończąc piruetem przy drzwiach. Robił to tak wiele razy, że jego ruchy były perfekcyjne. Stał dokładnie w miejscu, w którym to zaplanował, tak aby mógł jednym sprawnym ruchem zamknąć za sobą ciężkie drzwi. Dzisiaj jednak poruszał się ociężałe, bez polotu, który zwykle sprawiał, że jego nieco otyłe ciało fruwało jak lekki puch po terakotowej podłodze. Jego małe stopy obute były w błyszczące pantofle, równie dziwaczne jak szeroka czerwona szarfa opleciona wokół talii i koszula z długimi rękawami, marszcząca się na jego brzuchu.

Dziewczynki poszły już do domu, ucichły ich okrzyki witające rodziców i niecierpliwe kroki. Wszystkie już zniknęły, pozostawiając go samego, aby mógł posprzątać i przygotować się na jutrzejsze lekcje. Z jakiegoś dziwnego powodu profesor usiadł cicho w sali balowej na piętrze, patrząc niemo przed siebie, dopóki Tabano nie przypomniał mu o późnej godzinie.

Chrząknął i sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte. Spojrzał na Tabana, którego trzymał pod koszulą. Pies zapiszczał i pokręcił głową, zwracając swoje ciemne oczy na pana.

— Tabano, posiedź przez chwilę spokojnie — uspokajał go profesor — nie mam tylu rąk, żeby się jeszcze tobą zajmować. — Ale pies wciąż piszczał. El Professor zaklął, sięgnął po psa i postawił go na ziemi. Pochylił się niezgrabnie, żeby przyczepić mu smycz. Pies skakał z radości i kręcił się szczekając, jakby pozdrawiał innego psa.

El Professor wyprostował się i przechylił głowę nasłuchując.

— Tam nic nie ma, Tabano. Skaczesz tylko bez powodu, zupełnie bezmyślnie. Uspokój się. — Zasapał ciężko, kiedy gorset, który nosił, zaczął go zbyt mocno uciskać.

Nagle, gdzieś z daleka rozległo się znajome szczekanie, nieco grubsze od głosu Tabana. El Professor nasłuchiwał przez chwilę. Nagle Tabana wyslizgnął się z jego dłoni i pobiegł szaleńczo przed siebie, znikając w ciemnościach.

— Tabano! Tabano! Wracaj tutaj! — Profesor zadziwiająco zwinnie puścił się biegiem za psem. Jego pantofle błyszczały w świetle ulicznym, zanim nie zniknęły w ciemności. Gdzieś przed nim rozległ się jakiś szept. Uliczki zwięzały się biegnąc pomiędzy starymi kamienicami, dziwaczne bramy i gzymsy okienne zdawały się zagrażać mu drogę. Płyty uliczne były miejscami śliskie. W ciemnych uliczkach la Portela nie można było spotkać wielu ludzi w nocy i El Professor nie natknął się na nikogo.

Minął beczkę na wodę deszczową. Woda z uszkodzonej rynny spadała głośno w dół, odbijając się echem po krętych i cichych uliczkach. Oprócz skapującej wody słyszał tylko swoje kroki i dyszący oddech. Nagle, daleko przed sobą usłyszał radosne ujadanie Tabana, stłumione przez kręte uliczki. Drugi pies również szczekał, jakby się z nim witając. Ujadały przez chwilę, aż nagle rozległ się skowyt Tabana. El Professor rzucił się szaleńczo naprzód.

Skręcił za róg i wypadł prosto na gorączkową scenę. Jego pies kulał i piszczał, podczas gdy jakiś ciemno ubrany mężczyzna starał się kopnąć go nogą. To Chamaco biegał szczekając wokół tej postaci. Tabano uciekł do tyłu, a mężczyzna, zaplątany w smycz Chamaca, kłął. Kiedy uwolnił się od smyczy, zauważył postać El Professora.

Nauczyciel podbiegł do przodu i chwycił Chamaca.

— Chamaco! Tutaj jesteś! — krzyknął schylając się ku niemu. Mdłe światło ulicznych lamp odbiło się w ostrzu noża, który mężczyzna nagle wyciągnął i płynnym ruchem wbił w gardło El Professora. Ten chwycił się za gardło, czując, jak krew przecieka mu przez palce. Jego oczy zaokrągliły się ze zdumienia i przerażenia.

Mężczyzna patrzył na niego przez chwilę. Wziął na ręce drżącego i milczącego Chamaca. Z odrazą na twarzy odwrócił się, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę krwi. Jego płaszcz powiewał na wietrze, kiedy szybkim krokiem oddalał się w ciemność uliczek. Tylko pospieszne kroki przypominały o jego obecności. Po chwili i one umilkły.

180

Tabano siedział skulony w jakiejś bramie, gdzie znalazł schronienie przed brutalnością mężczyzny. Zaskomlał, kiedy zobaczył, jak El Professor pada na kolana, a później na twarz. Kasłał i wydawał charczące dźwięki, które zdziwiły psa. Powoli i ostrożnie Tabano pokuśtykał naprzód, ciągnąc za sobą nogę, złamaną kopnięciem ciężkiego

buta. Piszczął, cicho wyznając miłość swemu panu, ale on nie wydawał żadnego dźwięku. Był już tylko nieruchomą sylwetką leżącą na ulicy w kałuży krwi.

Mały pies przeszedł ostrożnie przez krew i drżąc z przerażenia usiadł w pobliżu swego pana. Przez ciało profesora przeszedł dreszcz, a jego dłonie drgnęły konwulsyjnie. Przez chwilę Tabano myślał, że chce go wziąć na ręce, i podszedł bliżej. Czekał cierpliwie, ale nic więcej się nie działo. Dłonie pana nie głaskały go, nie przytuliły mocno, by go bronić. Wciąż były nieruchome. Tabano uniósł łeb w górę i zawył.

Rozdział dziesiąty

Najpierw pływanie! Stanowczo nalegam, Hugo. Później możemy robić to, na co tylko będziesz miał ochotę, nawet oglądać nudne rzucanie dyskiem. Ale najpierw pływanie. Nie pozwolę się odciągnąć od tych ciał pokrytych kroplami wody! — powiedziała Sassy i spojrzała na Marie-Elenę, swoją przyjaciółkę, która zgodziła się towarzyszyć Sassy na olimpiadzie. Marie-Elena chciała jeszcze raz spróbować szczęścia z Milem lub Hugo, a fakt, że była żoną i matką, nie miał dla niej żadnego znaczenia.

— Poprzyj mnie, kochana, na miłość boską, bo będziemy skazane na nudę, a o drugiej są finały.

— Ale jeżeli Hugo woli raczej lekkoatletykę... — Marie-Elena wahała się. Sassy roześmiała się.

— Nie bądź śmieszna, jest na to za gorąco. Nie będzie się działo nic ciekawego aż do piątej. A więc — spojrzała do notatnika. — Nick Gil-lingham, 200 m stylem klasycznym. Musimy to zobaczyć — powiedziała, a widząc zwątpienie na twarzy przyjaciółki, westchnęła. — Dobry Boże, Marie-Elena, przecież tłumaczyłam ci, że nie powinnaś nigdy robić tego, co chcą mężczyźni. Traktuj ich z lekceważeniem, a utrzymasz przy sobie. Znam Hugo, wierz mi — syknęła i Marie-Elena zawahała się patrząc zarumieniona na Hugo.

— No cóż, może rzeczywiście pływanie będzie najlepsze. Chciałabym to zobaczyć. Szczególnie Amerykanina. Mówią, że ten Lenze jest

bardzo dobry, prawda, Mil? — Ale Mil nie słuchał, spoglądając na flagi powiewające na wietrze. Widać było, że jego twarz jest pełna niepokoju i Marie-Elena umilkła.

— W takim razie ustalone. Chodź szybko, Marie-Elena, zanim panowie zmienią zdanie. Mężczyźni! A ludzie mówią, że to kobiety są zmienne. — Sassy wzięła przyjaciółkę pod rękę i ruszyły na poszukiwanie najbardziej skąpo ubranych mężczyzn startujących w zawodach. Hugo zawahał się i położył dłoń na ramieniu Mila.

— Mil, powiedz mi, na miłość boską, co się dzieje? — Przyjaciel spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem. Jego twarz była blada, a usta zaciśnięte. Nawet oczy, zawsze pełne życia i bystre, miał teraz przyćmione. Potrząsnął głową.

— To bardzo skomplikowane. Nie wiem nawet, od czego mam zacząć ani jak z tego wybrnąć. — Włożył dłonie do kieszeni spodni, wruszając ramionami w tak nietypowy dla siebie sposób, że Hugo zdumiał się rozpaczliwością tego gestu. To nie był Mil, którego znał. Nigdy jeszcze nie widział go tak przybitego.

— Spróbuj chociaż mi o tym opowiedzieć. Może wspólnie coś poradzimy — nalegał Hugo, biorąc Mila za ramię i odprowadzając go na bok, z dala od tłumu.

— Nie tutaj — Mil westchnął ciężko. — Nie teraz. Za godzinę muszę spotkać się z Jose-Marie, a moja opowieść potrwa dłużej. Czy mógłbyś jakoś zorganizować dziewczętom dzisiejsze popołudnie? Może wyślij je po zakupy i spotkajmy się na Plaža de Catalunya o czwartej, dobrze? Może do tej pory będę coś więcej wiedział.

— Czy twój niepokój ma coś wspólnego z telefonem od Annette, wczoraj wieczorem? Wyglądałeś wtedy tak, jakby przejechała cię ciężarówka — Hugo próbował rozładować napięcie dowcipem.

— Częściowo. Jest to tylko fragment znacznie większej całości, która wydaje się... — przez chwilę szukał właściwego określenia — spiskiem, tak podejrzewam. Wiem, że to brzmi absurdalnie — mówił dalej Mil, odgarniając z twarzy kosmyk wilgotnych włosów — ale wszystko zaczyna łączyć się ze mną i skupiać wokół mnie. Mój brat zapłacił Annette za wplątanie mnie w ciemne interesy w handlu nieruchomościami i w morderstwo. — Spojrział gorzko na Hugo. — Zabawne, prawda?

— Twój brat? Ty przecież nie masz brata! — zauważył zdziwiony Hugo.

— Zdaje się, że mam. Ma na imię Trevor. — Roześmiał się. — Proszę, po prostu bądź teraz ze mną, Hugo. Wyjaśnię ci, co będę mógł, później.

A do tego czasu zaopiekuj się dziewczętami, dobrze? Nie chciałbym, żeby się tu zgubiły.

Ale dziewczęta już znikły z pola widzenia. Hugo rozglądał się wokół widząc tłumy widzów krążących pomiędzy stoiskami z żywnością i sklepami z pamiątkami.

— Już dokądś poszły, Mil. Teraz nie uda mi się ich odnaleźć. Marie-Elena zaopiekuje się Sassy, nie martw się. Pozwól mi pójść z tobą. Wydaje się, że w tej chwili ty potrzebujesz opieki. Przecież dziewczęta znają drogę do domu i mają ze sobą sporo pieniędzy. — Mil zawahał się. — Przecież nie są już dziećmi — dodał Hugo. — Chodź, znajdziemy jakieś spokojne miejsce i opowiesz mi o wszystkim.

— No dobrze, może tak będzie najlepiej. — Wydawało się, że Mil poczuł ulgę. Ruszyli do wyjścia. — Ale pamiętaj, nikomu ani słowa o tym, co ci powiem, a najbardziej Liz.

— Naprawdę uważasz, że wykorzystałaby to w swoich artykułach? — Hugo spojrzał na przyjaciela próbując znaleźć w jego twarzy odpowiedź, dlaczego ten beztroski, życzliwy człowiek od jakiegoś czasu pogrąża się w rozpacz. — Wiem, że wykorzystywała niekiedy informacje — ciągnął Hugo — ale to dotyczyło drobnostek. Nie zrobiłaby tego teraz, a przynajmniej nie odważyłaby się, gdyby mogła cię teraz zobaczyć.

— Mam nadzieję... Może robi to, o co ją prosiłem, siedzi w słońcu i się nudzi — powiedział Mil głosem pełnym wątpliwości. Nie mógł w to uwierzyć. Nawet po tym, co niemal zaszło pomiędzy nimi. Zamknął na chwilę oczy. Pragnął dotknąć jej chłodnej, pachnącej skóry, ukryć twarz w jej ramionach. Pewniejsze jednak było to, że prowadzi śledztwo przeciwko niemu. I jeżeli miał być ze sobą szczerzy, to właśnie sprawiało, że popadał w coraz głębszą rozpacz.

— Dobrze, więc chodźmy. Dokąd chcesz pójść? Jak zwykle do Cafe Zürich? Czy jeszcze dalej, wzdłuż Paseo de Gracia? Tam masz biuro, prawda?

— Tak, i dlatego poszedłbym raczej gdzieś indziej. Chodź, znam miejsce w dzielnicy chińskiej, gdzie nikt nas nie rozpozna i nikt nie będzie miał pojęcia, o czym rozmawiamy. Nikogo też nie będzie to obchodziło. — Zdawało się, że Mil na chwilę ożył, jego twarz wyrażała więcej zdecydowania. — A później będziemy musieli się uporać z tym koszmarem, zanim mój drogi kuzyn wymyśli coś jeszcze.

— Twój kuzyn? Wydawało mi się, że przed chwilą mówiłeś o bracie! — Hugo zatrzymał się nagle, tamując przepływ strumienia ludzi,

którzy klnąc obchodzili go. — Przeczuwałem, że coś się dzieje, kiedy usłyszałem, jak Tio krzyczy tamtego wieczoru, ale. — Hugo przerwał zawstydzony, że podsłuchiwał w pałacu. Co miał zrobić, kiedy Mil nic mu nie mówił o swoich problemach? Mil uśmiechnął się, wdzięczny Hugo, że zaoferował swoją pomoc, niezbyt jednak pewny, od czego zacząć.

— Tio jest stary i schorowany. Przez dwa lata pozwalał, aby nim manipulowano i okradano, a mój drogi kuzyn czyni mnie odpowiedzialnym za upadek firmy. Oczywiście przy pomocy mojego brata. Chodź, postaram się wytłumaczyć ci to po drodze.

— To brzmi jak kawałek z powieści Montalbana. — Hugo próbował zażartować. Mil uśmiechnął się z przymusem.

— Tak, ale gdzie się podziewa Pepe Carvalho, kiedy jest tak potrzebny? — dodał ironicznie Mil. — Nie uważam, żebym był najlepszym detektywem.

— Dlaczego więc nie poprosisz Liz o pomoc? — Hugo był zdziwiony, że Mil tak bardzo unika tematu Elizabeth.

— Okazuje się, że sprawy przybrały gorszy obrót, niż się spodziewałem, i nie chcę, żeby się w to wplątała. — Mil spojrzał na Hugo. Wychodzili właśnie spod wspaniałych łuków stadionu olimpijskiego na zalane słońcem, upalne ulice. — Jedna osoba już nie żyje, może nawet więcej. Nie chcę, by Lizzie dołączyła do nich, a ty?

— Na miłość boską, Mil! — Hugo był wyraźnie wstrząśnięty. — Dlaczego nie poszedłeś z tym na policję?

— Ponieważ sędzę, a właściwie podejrzewam, że też są w to wplątani, Hugo. Przynajmniej ktoś wysoko postawiony w policji z pewnością macza w tym palce. Ktoś, kto może lekceważyć śledztwo i zażalenia w tej sprawie, ukrywać fakty, a także chce zająć się tymi, którzy mu przeszkadzają. A Liz ma we krwi przeszkadzanie, prawda?

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

— Niestety tak. Idziesz więc, czy zamierzasz dalej blokować ruch uliczny, aż nas aresztują?

Mil szedł pewnie po ulicach Barcelony, orientując się doskonale w ich labiryncie. Mijali kręte, obwieszane praniem uliczki dzielnicy Gotico, labirynt, który ukrywał pozostałości z dawnych czasów — sklepy z antykami i wspaniałe budynki pamiętające czasy świetności miasta. Przechodzili obok kościołów, muzeów i pałaców, w których stare rodziny mieszkańców Barcelony chroniły się przed napływem nowoczesności.

Hugo ledwie nadażał za Milem. Wkrótce opuścili tę dzielnicę i prze-

szli przez Ramblas, serce starej Barcelony, prześlizgując się poprzez pochód starych kobiet ubranych na czarno. Mijali starych mężczyzn z laskami, siedzących w beretach na ławach, w cieniu chwiejących się pod podmuchami wiatru palm, rozmawiających o życiu lub słuchających sprawozdań z meczów piłkarskich w malutkich przenośnych radiach, przystawionych do ucha.

Mil prowadził Hugo dalej, do jeszcze ciemniejszych, ciasnych uliczek barrio Chino, kipiących życiem, pełnych straganiarzy i mniej dystygowanego towarzystwa. Kiedy Hugo w końcu zamierzał się poddać, zmęczony gorącem i hałasem, Mil skręcił w spokojniejszy zaułek i stanął pod podniszczonym neonem głoszącym „Bar Marseille”. Uśmiechnął się do Hugo przewrotnie, że to jest właśnie miejsce, gdzie można się czuć bezpiecznie. Hugo westchnął ciężko i wszedł za Milem do środka.

Nikt nie zainteresował się nimi, gdy weszli do baru. Uwagę barmana pochłaniał całkowicie czarno-biały odbiornik telewizyjny. Powietrze było gęste od dymu tanich papierosów. Uwagę szefa baru absorbowała natomiast gra w karty lub w domino. Podniszczone stoły i plastikowe krzesła nie wydawały się zbyt wygodne, a jedynym chyba napojem, który tu serwowano, był dziwny ciemnozielony płyn. Trzymano nad nim widelec z kostką cukru, na którą powoli i ostrożnie wylewano wodę. Słodki syrop ściekał w ciemnozielone głębiny trunku.

— Absynt — powiedział Mil cicho, odstawiając krzesło i siadając na nim. — Chcesz spróbować?

— Będę pamiętał resztę dnia?

— Prawdopodobnie nie. Kusząca odmiana?

— Nie dla mnie. Zamówię piwo — zdecydował Hugo. Mil wzruszył ramionami i podniósł rękę. Barman podszedł do nich, przyjął zamówienia i zniknął ponownie za kontuarem, nie wykazując najmniejszego zainteresowania.

— Rozumiesz teraz, co miałem na myśli? Nie obchodzimy tutaj nikogo.

— Łącznie z tobą?

— Nie ma nic lepszego od kopania leżącego, co? — Mil podniósł brew, a Hugo roześmiał się zniecierpliwiony.

— Więc podnieś się, na miłość boską, Mil.

Jose-Marie okazał się zupełnie inny, niż Mil sobie wyobrażał. Mil siedział wygodnie w fotelu naprzeciw biurka kuzyna, wysłuchując for

malnych grzeczności, pozdrowień i wieści o rodzinie, zastanawiając się, jak wiele jeszcze umknęło jego uwadze przez ostatnich kilka lat. Jose-Marie przybrał na wadze, ale nie można było powiedzieć, że jest otyły. Był trochę masywniejszy, twarz miał bardziej okrągłą. Pasowało to do niego dużo bardziej niż szczupłość z lat młodzieńczych. Wyglądał na mieszczaucha, któremu dobrze się powodziło. Taki człowiek budzi zainteresowanie kobiet zawartością swego portfela — pomyślał Mil. Spojrzał zdziwiony, gdy Jose-Marie wskazał na fotografię stojącą na biurku.

— To Nieves, moja narzeczona. Pamiętasz ją, prawda? — Jego oczy przybrały wyraz ironii i rozbawienia na widok miny Mila, który z trudem próbował zachować obojętność.

— Gratulacje — powiedział Mil. — Nie wiedziałem, że jesteście zaręczeni. — Zacisnął kurczowo dłonie.

— To się stało zupełnie niedawno. Właściwie kilka dni temu. Jeszcze nie ogłosiliśmy tego oficjalnie. Wiesz, ile hałasu mogą narobić obie rodziny. .. — Jose-Marie wydawał się dumny z tego, że pochodzi z rodziny, która poświęca tyle uwagi zaręczynom. — A co z tobą, kuzynie? Z pewnością też myślisz o ustatkowaniu się wkrótce? Jesteś przecież najstarszy z nas wszystkich i musisz mieć następcę. — Usiadł wygodnie w fotelu. Obserwował Mila i uśmiechał się do swojego jasnego, dużego biura i zadbanych paznokci.

Mil wzruszył ramionami.

— Wszystko w swoim czasie. W tej chwili nie odczuwam naglącej potrzeby znalezienia matki mojego następcy. — Podkreślił to ostatnie słowo z lekką zjadliwością. — Poza tym nie sądzę, żeby to był właściwy moment na podejmowanie kolejnych zobowiązań finansowych.

— Nieves jest bogata. Nie możemy tutaj mówić o żadnych ciężarach finansowych — Jose-Marie sprzeciwił się natychmiast, a na jego twarzy pojawił się rumieniec rozdrażnienia.

— W takim razie wspaniale. Raz jeszcze ci gratuluję. — Mil mówił stanowczo, nie pozwalając kuzynowi na skierowanie rozmowy na bardziej osobiste tematy. — Ale w tej chwili musimy wyjaśnić sobie kilka spraw, prawda? Czy możemy przejść do interesów?

— Sądziłem, że wszystko już jest wyjaśnione. — Jose-Marie westchnął, jakby jego cierpliwość wyczerpała już swoje granice. — Nalegałeś, żeby sprzedać firmę, ponieśliśmy stratę, stara kobieta umarła, a teraz nowi właściciele wykorzystują nasze plany architektoniczne. O czym

jeszcze chciałbyś mówić w związku z SolconMar? Zadbaleś o to, żebyśmy stracili na tym interesie.

— Rzeczywiście?

— Jak inaczej byś to nazwał?

Mil usiadł wygodnie w fotelu i uśmiechnął się do kuzyna. Oszustwo — myślał — szantaż, morderstwo, spisek. To tylko kilka możliwych nazw. Ale zamiast tego powiedział:

— Wycofanie się z interesu w odpowiedniej chwili. Nie mogliśmy wiedzieć, że stara kobieta umrze. Dalsze utrzymywanie SolconMar, płacenie odsetek od długu, który zaciągnąłeś, byłoby szaleństwem. Musimy doprowadzić korporację do porządku, obciąć koszty administracyjne, zrezygnować z biur takich jak te — spojrzął na marmurowe podłogi i kolumny, ściany pokryte malarstwem mistrzów, takich jak Gris, Dali, Miro i kilku pomniejszych malarzy katalońskich. Szczególnie brzydki obraz jakiegoś kubisty dominował na ścianie za biurkiem Jose-Marie. Mil sądził, iż jest dziełem Oscara Domingueza. Wspaniała rzeźba w metalu Gonzaleza spoczywała w pobliżu regałów. Ogromne okno, z którego roztaczał się widok na starą część Barcelony, oświetlało te wszystkie cuda z wyjątkową jasnością.

Twarz Jose-Marie przybrała kolor intensywniejszej czerwieni, a jego dłonie zacisnęły się mocniej na oparciach fotela. Mil mówił dalej, zanim kuzyn zdołał mu przerwać.

— Musimy doprowadzić do porządku księgi, określić nasze cele na cztery, pięć lat, a wówczas będziemy mogli dopasować nasze potrzeby tak, aby jak najwięcej skorzystać z możliwości międzynarodowego systemu finansowego. Jestem pewien, że nie będziesz miał z tym żadnych problemów. Przecież jesteś bardzo dobry w teorii finansów. — Mil ponownie spojrzął na kuzyna. Ton jego głosu był obojętny. — Czysty, zdrowy rozsądek, Jose-Marie. Żadnych projektów szybkiego wzbogacenia się jak w przypadku SolconMar.

— Z SolconMar wszystko by się udało, gdyby nerwy ci nie puściły. Jeszcze jeden dzień i wszystko byłoby w porządku, firma mogłaby spłacić wszystkie pożyczki...

— Kiedy? Ponieśliśmybyś dodatkowe koszty związane z budową nowych budynków...

— Nie bądź śmieszny. Moglibyśmy sprzedać wszystko w fazie projektu. Zrobilibyśmy fortunę, zanim położono by pierwsze fundamenty.

— A skąd wiesz, że potrzebowaliśmy tylko jednego dnia? **Czy mo-**

zesz mieć pewność, że banki wstrzymałyby się z żądaniem spłaty pożyczek hipotecznych aż do chwili, kiedy jakaś stara kobieta umrze? Tego nie wiesz. To był po prostu hazard, nic więcej. — Mil prowokował kuzyna, ale Jose-Marie przełknął to, nie dając się wciągnąć w dyskusję.

— Rozmowa o tym nie ma sensu, ponieważ zrobiliśmy to, co chciałeś, i ponieśliśmy stratę. — Jose-Marie uśmiechnął się, z trudem ukrywając zdenerwowanie. — Pewnie będziesz zadowolony, kiedy ci powiem, że jeden z przetargów olimpijskich przyniósł nam dodatkowe możliwości i podpisaliśmy kilka kontraktów na nowe bloki mieszkalne wzdłuż Bia de Carles III. Te kontrakty przyniosą nam spore zyski. Nic, co by nie było zgodne z twoim smakiem. Nic gorszego — powiedział to złośliwie — od spekulacji kursami funta. A czy to nie jest hazard?

— Ja nie zajmuję się hazardem, Jose-Marie, chociaż mógłbyś słyszeć co innego. — Mil sprzeciwił się stanowczo i rzucił foldery, które przeglądał, na biurko kuzyna. — Przejdźmy jednak do interesów, dobrze?

— Z pewnością miałbyś najpierw ochotę napić się? — Jose-Marie uniósł brwi, jakby karcąc Mila za jego prostactwo.

— Kawy? Herbaty? — Mówił raczej po kastylijsku niż po katalońsku, a miejscowy dialekt nigdy nie był mocną stroną Mila. Widzisz— zdawał się mówić — ja przynajmniej wiem, jak należy się zachowywać.

— Proponuję brandy, żebyś mógł gładko przebrnąć przez projekt zmian, który zamierzam ci przedstawić. — Mil uśmiechnął się widząc wzbierającą wściekłość kuzyna.

— Dlaczego po prostu nie zaproponujesz harakiri? — zapytał gorzko Jose-Marie, a Mil roześmiał się.

— A ja myślałem, że tego właśnie spodziewałeś się po mnie.

— To dziwne, ale ilekroć zaświeci słońce, ustąpią ciemności, wydaje mi się, że wszystko było wytworem mojej wyobraźni. Maria Luisa miała atak serca i poślizgnęła się, a Mil rozmawiał ze swoim wujem o firmie mającej problemy, o niczym więcej. A tę kartkę pozostawił w moim domku jakiś poprzedni gość — powiedziała Elizabeth i umilkła. Wytwór wyobraźni? Nie, w rzeczy witości absolutnie w to nie wierzyła. Elizabeth stała przecież na tarasie, skąd usłyszała krzyk Marisy, patrzyła na zamknięte okiennice willi.

190

— Szkoda tej willi — dodała — wyburzą ją. Podejrzewam, że postawią tu jakiś betonowy wieżowiec, który będzie odprowadzał ścieki do zatoki i zniszczy ją zupełnie.

— Chyba tak — zgodziła się Helen, oddychając głęboko i patrząc na wyspę świecącą na wodach zatoki.

Obserwowała mewę, która skrzecząc ochryple nadlatywała od strony cypla. — Jeżeli zamknąć oczy, można by pomyśleć, że czas się cofnął o jakieś pięćset lat, a Maurowie za chwilę zaatakują wyspę. Nic nie zmieniło się w tym miejscu od tamtej chwili. Zupełnie nic. A w przyszłym roku zmieni się nieodwołalnie. — Westchnęła. — Nikt z nas

nie odważy się już tu powrócić, aby nie zrujnować bezpowrotnie swoich wspomnień o wyspie. — Uśmiechnęła się smutno. Pociągnęła za nitkę zwisającą z jej bawełnianego stanika. Nagle wykrzyknęła: — Ojej, teraz się zupełnie spruje. Powinnam była to zostawić.

— Zostaw to, zanim nie wrócimy do hotelu. Mam jakieś nożyczki w walizce — powiedziała Elizabeth i rzuciła ostatnie spojrzenie na tarasy obwieszane tropikalnymi pnączami, olbrzymie donice z geranium, usychającego teraz z braku wody, drzewa oliwkowe, które zakrywały przyległą posiadłość, dom, który wyglądał na zaniedbany, chociaż stał pusty dopiero od kilku dni. — No cóż, chciałaś to zobaczyć. Czy jest jeszcze powód, dla którego ciągle tu pozostajemy? — Opuszczony taras, puste błękitne niebo i dalekie morze, jakby zmówiły się, aby pozbawić krajobraz jakiegokolwiek znajomej cechy. Był martwy bez ludzi.

— Nie. — Helen westchnęła ponownie. — Myślę, że powinniśmy już iść. Nie możemy się spóźnić na samolot. Zresztą nic tu nie ma. Sama nie wiem, czego oczekiwałam.

— Kogoś, kto wyskoczy nagle i krzyknie: „To ja to zrobiłem!” A później rzuci się do morza w poczuciu winy— zażartowała cierpko Elizabeth. — Czyż to nie byłoby wygodne? Okropne, ale wygodne. — Nagle usłyszały kroki. Ktoś ostrożnie schodził po schodach, doceniając ich stromiznę. Spoglądając ostrzegawczo na Helen, Elizabeth powoli prześlizgnęła się na drugą stronę tarasu, aby spojrzeć na schody.

— Nino! — Odetchnęła z ulgą, widząc miejscowego policjanta, który zdziwiony jej widokiem zaczął szybciej pokonywać schody.

— Lizzie! A więc słyszałaś już? — Otarł pot z czoła. Kapelusz miał pod pachą, a jego mundur koloru khaki był wygnieciony. Zatrzymał się gwałtownie widząc siostrę Liz. — Helen! Nie wiedziałem, że ty też tutaj

jesteś. Wyrosłaś na przepiękną dziewczynę. — Nino rozpromienił się z zachwytu. Helen zawsze była jego ulubienicą, dobrze ułożona, grzeczna i słuchająca jego upomnień. Pocałował ją serdecznie i uściskał dłoń Elizabeth. Jakbym wygrała nagrodę pocieszenia — pomyślała Elizabeth. Nie była zbyt obowiązkowym i posłusznym dzieckiem, i teraz także nie mogła sobie przypisać tych cech charakteru.

— Co cię tutaj sprowadza, Nino? — zapytała Helen. — Ostatnie spojrzenie na te cuda, tak jak nas? — Zobaczyła, jak jego uśmiech gaśnie, a usta zaciskają się gwałtownie, jakby przypomniawszy sobie, że ma do wypełnienia smutne zadanie. Elizabeth przysłuchiwała się z zainteresowaniem.

— Myślałem... nie, no cóż. — Wzruszył ramionami widząc ich zakłopotanie. — Przyszedłem ze względu na El Professora. Sprawdzić, czy ktoś nie zna jego bliskich. Nikt nie wie, kto ma zabrać ciało. Nie pamiętacie przypadkiem, czy miał jakichś krewnych?

Elizabeth stała sztywno, a uśmiech powoli zniknął z jej ust.

— El Professor nie żyje?

— Nie wiedziałyście? — Nino spoglądał na nie zakłopotany. — Byłem pewien, że właśnie dlatego tu przyszłyście.

— Nie, my tylko przy szły śmy...

— Żeby się pożegnać — zakończyła Helen za Elizabeth, obejmując ją ramieniem. Ale Elizabeth nawet tego nie zauważyła.

— Jak to się stało? Widziałam go jeszcze wczoraj i miał się zupełnie dobrze. Oczywiście był zdenerwowany śmiercią Marisy i załamany tym, że musi się wyprowadzić, ale nic mu nie było... nie wyglądał na chorego. Nino wzruszył ramionami.

— Ktoś go zaatakował późnym wieczorem w la Portela. — Przesunął znaczącym gestem dłoni po szyi. Dziewczęta zbladły. — Niemal się wykrwawił na śmierć, zanim ktoś go odnalazł. Zdążył jeszcze tylko wyszeptać: „Chamaco”. Dziwne, że w ostatniej chwili pomylił imiona psów. Miał chyba na myśli swojego psa, Tabana.

— Okradziono go? Czy z tego powodu go zamordowano? — Helen nie widziała El Professora już od wielu lat. Pamiętała tylko, że był to niewysoki mężczyzna, zawsze spieszący z pomocą dzieciom. Podnosił je, gdy padały, naprawiał haczyki do wędek, wycierał im łzy i pocieszał. Nie wyobrażała go sobie z podciętym gardłem.

— Nie, nic mu nie zabrano. Miał ze sobą ten złoty zegarek, który dostał od señora Ruiza. Ktokolwiek to zrobił, skrzywdził również Tabana, złamał mu nogę kopnięciem. Trzeba było uśpić to biedactwo. — Nino

westchnął ciężko. — Kto mógł to zrobić? Stary mężczyzna i mały pies. Doszło do tego, że ludzie będą się bali przejść po la Portela w ciągu dnia, nie mówiąc już o nocy. — Spojrzał na pobladłe dziewczęta, zdając sobie sprawę, że powiedział więcej niż powinien. — Muszę już iść i znaleźć kogoś, kto go znał i chciałby pochować. — Spojrzał wokół na pograżoną w ciszy wille, wzgórze i zatokę. — Smutny i niespodziewany koniec, prawda?

Skinęły potakująco głowami. Dopiero w kilka minut po odejściu Nina, Helen przemówiła:

— Lizzie, chyba nie sądzisz, że to morderstwo ma jakiś związek ze śmiercią Marisy? — Kiedy spojrzała na siostrę, zobaczyła, że jej twarz jest pełna wściekłości.

Elizabeth wyrwała się z uścisku Helen, objęła się ciasno ramionami, próbując zdławić ból, który w niej narastał, chciała za wszelką cenę zachować spokój. Pamiętała, jak ten malutki piesek patrzył z miłością na swojego pana, jak dłonie El Professora głaskały delikatnie psa. Chciało się jej wyc i drapać popękane skały.

— Dobrze się czujesz, Lizzie? — Helen stała obok niej patrząc na wyprostowane plecy siostry. Chciała ją pocieszyć, ale nie śmiała jej przeszkadzać.

— El Professor powiedział, że Chamaco zaginął. Szukał go wszędzie i nie mógł znaleźć. — Elizabeth odwróciła się i spojrzała na siostrę z wyrazem napięcia na pobladłej twarzy. — Nie zwróciłam na to uwagi, kiedy powiedział, że ten człowiek, który nachodził Marisę, pewnie skrzywdził Chamaca, aby zmusić ją do podpisania. Wydawało mi się, że to bez sensu — otarła pot z czoła — powinnam jednak była nad tym się zastanowić. Dlaczego ktoś miałby krzywdzić Chamaca po tym, jak Marisa podpisała dokument? Dlaczego Chamaco zniknął?

Helen próbowała śledzić tok myśli Elizabeth.

— Ale dlaczego ten mężczyzna miałby zabrać Chamaca? — zapytała.

— Dlaczego nie? To wspaniały pies, wszyscy go lubili. Nawet morderca. Tak zresztą twierdził El Professor. Poza tym, chyba zgodzisz się z faktem, że słyhać tu dosyć często o kradzieży psów. Dlaczego coś miałyby powstrzymać mordercę od zabrania psa? Być może, kiedy profesor wyprowadził Tabana na spacer, ten wyczuł zapach Chamaca albo... no, nie wiem, coś musiało się wydarzyć. Chamaco mógł znaleźć się w rękach tego mężczyzny tylko w jeden sposób, poprzez zamordowanie Mari-

13 — Zraniona duma

193

sy. El Professor też zdawał sobie z tego sprawę. Z tego powodu zginął, zanim mógł powiedzieć cokolwiek policji. Dlatego więc ostatnie słowo, jakie wypowiedział, brzmiało: Chamaco.

— Sama nie wiem, Lizzie. Podejrzewam, że to możliwe. — Helen starała się mówić w miarę stanowczo. Ale tyle cienkich, wręcz pajęczych nici prowadziło do tej sprawy, które mogły zmienić wypadek w morderstwo, a przypadkowe zabójstwo powiązać ze śmiercią Marisy. Nie wiem doprawdy... Po prostu trudno mi w to wszystko uwierzyć. Wszystko jest oparte tylko na przypuszczeniach. Chyba nie wierzysz, że Mil mógłby mieć coś wspólnego z tym wszystkim, prawda? — Twarz jej siostry stała się jeszcze bledsza.

— Nie — Elizabeth potrząsnęła głową. — Nie wierzę w to, ale nie wiem, jakie może być inne rozwiązanie. Może Mil wynajął kogoś, żeby zastraszył Marisę. Posunął się za daleko i teraz, kiedy robi się coraz bardziej gorąco, morderca stara się chronić siebie, bez względu na to, co powiedział mu Mil na początku? W tej chwili tylko taką widzę możliwość.

— Ale w takim przypadku, Mil poszedłby z tym na policję, nie sądzisz? Zanim ktoś mógłby z tego powodu ucierpieć?

— I zaryzykowałby wszystko — Elizabeth zmuszała się, aby jej głos nie drżał — rodzinę, reputację, interesy, Compton Lacey, wszystko to, co ma dla niego znaczenie na tym świecie?

— Tak, zrobiłby to, i ty wiesz o tym.

— Czy rzeczywiście by to zrobił? — Elizabeth potrząsnęła głową i odwróciła twarz w stronę wiatru wiejącego od wybrzeża. Z jej ust wyrwał się gorzki śmiech. — Czy ktokolwiek byłby do tego zdolny? — zapytała.

Na kamiennym łuku zawieszono były pęki czosnku, a pod nimi wisały malowane na biało dzbany. Wydawało się, że tylko one pochłaniają uwagę Nieves i Mila. Siedzieli obok siebie, a tuż przy nich Sassy i Hugo. Jose-Marie i przyjaciółka Sassy — Marie-Elena zajęli miejsca naprzeciwko nich. Jose-Marie wykorzystywał każdą możliwość na powiedzenie kilku uszczypliwości, a Marie-Elena zastanawiała się, czy Hugo w ogóle zwróci na nią uwagę. Jeżeli tak, czy będzie wiedziała, jak ma postąpić, kiedy będzie ją z uczuciem całował? Jej mąż, Marcos, któremu posłała pogardliwe spojrzenie, nie całował jej już od lat. W tej chwili także bardziej interesowało go jedzenie, niż toczące się rozmowy.

Hugo postanowił, że skupi na sobie uwagę Nieves, i wypytywał ją,

194

w jaki sposób poznali się z Jose-Marie, kiedy zamierzają się pobrać. Sassy natomiast próbowała wciągnąć w rozmowę Mila, ale jego odpowiedzi były urywane i niezbyt sensowne.

Inni goście restauracji „Los Caracoles” w alei Escudellers stanowili mieszaninę turystów, z tych co chwalą się później, że byli w jednej z najslawniejszych restauracji Barcelony. Były tam także przysze sławy pragnące, aby ich fotografie zawisły kiedyś na ścianach restauracji. Kelnerzy w białych fartuchach uwijali się po sali. Wraz z upływem wieczoru zwiększał się hałas.

Wciąż jeszcze warto tu przychodzić ze względu na atmosferę i wykwintny wystrój, ale na pewno nie ze względu na jedzenie — myślał Mil. Nigdy nie był smakoszem ślimaków. Ale to było miejsce, w którym doskonale czuł się Jose-Marie.

— Musisz częściej nas odwiedzać, Mil, kiedy się już pobierzemy — powiedział Jose-Marie z dobroduszną wynikającą z wypicia sporej ilości drogiego, czerwonego wina 70 Senorio Sarria z Nawarry. Z ulgą też stwierdził, że rozmowa z Milem ograniczyła się do wypomnienia złego stanu interesów, które należy doprowadzić do porządku. — Prawda, Nieves, kochanie? Tacy starzy przyjaciele powinni się widywać częściej niż raz na dziesięć lat. — Zmrużył oczy w wypełniającym salę dymie papierosowym, widząc nerwową reakcję przyszej żony. Wydawało się, że odsunęła specjalnie głowę, starając się trzymać jak najdalej od Mila.

— Oczywiście—przytaknęła i uśmiechnęła się czarująco, jakby chcąc nadrobić niezbyt zachęcające słowa zaprosin. Hugo pochylił się ku niej, podziwiając szafir i diament na pierścionku zaręczynowym i pytając ją o kamienie, które z nich najbardziej lubią dziewczęta. Zastanawiali się wspólnie, czy czarnowłosej dziewczynie bardziej spodobająby się czerwone czy zielone. Trzymał delikatnie w swojej olbrzymiej dłoni jej lewą rękę i poklepywał ją lekko. Jego twarz była poważna i dodająca otuchy. Nieves, wdzięczna i zainteresowana tematem, nie zauważyła pełnego żalu spojrzenia Marie-Eleny.

— Kiedyś myślałem, że sam interesujesz się Nieves— Jose-Marie drażył temat zdając się nie dostrzegać napięcia, które powodował — ale w pewnym momencie odeszła od ciebie? — Uśmiechnął się do kuzyna, ciesząc się z wyrazu zakłopotania na twarzy Mila i niezadowolenia narzeczonej. — To był szczęśliwy dzień dla mnie — kontynuował. — Może w końcu zauważyła, że tylko się nią bawisz...

Z drugiej strony stolika dolatywały przemieszane ze sobą słowa.

.. i kiedy już będę stara, mam zamiar walczyć z tym na wszelkie możliwe sposoby — słyhać było głos Sassy. — Nie zważam na to, co ludzie mówią o zaletach wieku dojrzałego, zamierzam korzystać z operacji plastycznych...

— ...myślę, że mogłyby się jej podobać ciemniejsze kamienie, to znaczy jeszcze jej nie pytałem, widzisz, trochę się pokłóciliśmy...

— ... nie chcesz wyglądać na naprawdę dojrzałą kobietę, taką, na której twarzy widać przeżyte doświadczenia...

— Doprawdy! Zadam ci to samo pytanie, kiedy będziesz dziesięć lat starsza i pierwsze zmarszczki doświadczenia pojawiają się na twojej twarzy.

— Mają tu dobre wino. Czy moglibyśmy zamówić więcej?

Do Mila dochodziły te strzępy rozmów, gdy odzyskiwał od czasu do czasu świadomość, ale Jose-Marie kontynuował i widać było, że wypite wino daje znać o sobie:

— Nigdy nie sądziłeś, że mogłaby być czymś więcej niż tylko letnim romanssem, prawda, drogi kuzynie? Szybki numer w krzakach, ładna lalka za tobą na motocyklu. Piesek, który wszędzie za tobą chodził, patrząc w oczy z miłością. Popatrz na nią teraz, Mil. Popatrz, co straciłeś. — Mil mimowolnie odwrócił się, by spojrzeć na Nieves, zobaczył krótko obcięta, jasną fryzurę, zielone oczy śmiejące się do Hugo, cienką, delikatną szyję. Jak gazela — pomyślał — delikatne, piękne zwierzę schwytane w pułapkę, które chyba zaczyna zdawać sobie z tego sprawę. Odwrócił się gwałtownie i spojrział na kuzyna.

— Jeszcze raz ci gratuluję. Jesteś bardzo szczęśliwym człowiekiem. — Zacisnął mocno dłonie na obrusie.

— Bardziej szczęśliwym, niż ci się wydaje — roześmiał się Jose-Marie, niemal zupełnie pijany. — Jeszcze o tym nie wiesz.

— Z pewnością — Mil uśmiechnął się. — Czy ktoś chciałby coś jeszcze zamówić? A może napijemy się kawy gdzieś indziej? Może w Me-tropolu? Sądzę, że wszyscy potrzebujemy trochę świeżego powietrza. — Kiedy okazało się, że nikt nie ma ochoty na deser, poprosił o rachunek. Ale Jose-Marie schwycił go mocno za rękę.

— Ja zapłacę — uśmiechnął się. Mil zawahał się przez chwilę, a później pokiwał głową.

— Dziękuję, Jose-Marie. Wspaniała kolacja. Musimy ci się wkrótce odwdziżyć.

— My? Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś, Mil? — Jose-Marie nerwowo oblizał usta, śmiejąc się. — Słyszałaś, Nieves, *carinal* Mil mówi o...

— Chcę powiedzieć, że ja i Hugo musimy ci się odwdziżyć, to wszystko — przerwał Mil marszcząc lekko brwi. — Proszę cię, nie ekscytuj się za bardzo moją osobą. — Mil wyczuwał nieustanne zaniepokojenie jego przyszłością. Czy Jose-Marie obawiał się, że Mil będzie miał potomka, który obejmie korporację w przyszłym pokoleniu? Czy o to chodziło?

Kiedy wstali do wyjścia, Jose-Marie oddalił się na chwilę, pozostawiając Nieves samą. Chciała pójść szybko naprzód z dziewczętami, ale Mil chwycił ją za ramię i odciągnął na bok. Hugo zawahał się widząc cierpienie na twarzy Nieves, ale kiedy spojrział na Mila, ruszył do wyjścia.

— Proszę cię, Mil, o co ci chodzi? Jose-Marie będzie wściekły, jak ' nas razem zobaczy — wyszeptała Nieves. Spuściła wzrok, gniotąc w dłoniach swój jedwabny szal.

— Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, dlaczego w ogóle z nim jesteś? — ton głosu Mila był tylko pozornie spokojny. — Na miłość boską, Nieves...

— Och, Mil! Wydorosłej w końcu. Ja mam prawie trzydzieści dwa lata. — Nieves spojrzała na niego oczami pełnymi napięcia. — Być może nie ma to znaczenia w Anglii, ale tutaj tak. A poza tym, od tamtej nocy w Bendinat nikt nie ośmielił się zdecydować na nic więcej niż sporadyczne spotkania. Jose-Marie to pierwszy mężczyzna, który zdecydował się zaoferować mi małżeństwo, trochę szacunku i drogę wyjścia z tego wszystkiego. Dostyc mam plotek, sposobu, w jaki patrzają na mnie matki, kiedy ich synowie przyprowadzają mnie do domu, wieloznacznych spojrzeń, kiedy uczestniczę w jakichkolwiek uroczystościach rodzinnych. Czy winisz mnie za skorzystanie z takiej okazji? — syknęła.

Mil potrząsnął głową.

— Z pewnością są inne sposoby, muszą być. Nie wiesz, jaki on jest.

— Czy kiedykolwiek zna się jakiegoś mężczyznę, zanim się go poślubi? — Nieves roześmiała się niewesoło, śmiechem typowym dla kobiety, która nie ma już złudzeń co do przyszłości. — Byłoby inaczej, gdybym pochodziła z innego środowiska, ale tutaj wszystkie rodziny są w jakiś sposób skoligacone. Nie mogę wyjść za kogoś spoza środowiska, bo zerwałabym na zawsze swoje związki z wszystkimi tutaj. Nie

mogę także wyjść za kogoś ze środowiska, ponieważ żadna z matek na to nie pozwoli. A ja nie chcę wyjechać i mieszkać za granicą. Tu jest mój dom i moje życie. Chcę mieć męża i dzieci.

— Mój Boże, tak mi przykro, Nieves — Mil westchnął. — Nie wiem, co powiedzieć, jak zacząć się usprawiedliwiać. — Nigdy nie musiałaś się usprawiedliwiać — odpowiedziała ostro. — Zaakceptowałeś plotki, które rozpuszczał Guillermo, nie pozwalając w ten sposób na zrujnowanie mojej reputacji. Guillermo dobrze wiedział, co robi, nie tylko karząc ciebie za to, że odniosłeś zwycięstwo, ale także niszcząc mnie za to, że go nie chciałam. Podążał za mną wszędzie, nawet do Madrytu, chodząc za mną do sklepów, restauracji, obserwując mnie i dalej roznosząc plotki. Nie mogłam już tego znieść. Przyjechałam tutaj, spotkałam Jose-Marie i wydaje mi się, że to jest sposób. Może się okazać uprzejmy i troskliwy pod tą pompaduczną powłoką. Może się okazać naprawdę wartościowym człowiekiem. Proszę cię, zaakceptuj to. — Rozejrzała się wokół i odwróciła się nagle, widząc nadchodzącego Jose-Marie. — Muszę iść, on nie może zobaczyć nas razem. Jest o ciebie bardzo zazdrosny. — Wymknęła się spiesznie, pozostawiając Mila samego.

— A, mój drogi kuzyn. To bardzo miło z twojej strony, że na mnie czekałeś. A gdzie są pozostali i moja droga Nieves? — Jego ciemne oczy przeszukiwały półmrok restauracji, jakby próbując ich przyłapać. — Może na zewnątrz?

— Dziewczęta chciały zaczerpnąć trochę świeżego powietrza po tym zadymionym pomieszczeniu — odpowiedział gładko Mil, otwierając drzwi przed Jose-Marie. — Nie martw się. Hugo tam jest i opiekuje się nimi — dodał łagodnie, opanowując gniew, aby móc trzeźwo myśleć.

— To dobrze. Cóż, noc jest jeszcze młoda. Może wybralibyśmy się na spacer w dół Ramblas, dołączylibyśmy do spacerujących turystów? Nieves, kochanie? — Jose-Marie wyciągnął rękę, nie zostawiając jej możliwości towarzyszenia komuś innemu. Spuściła głowę, jakby akceptując to, co jest nieuniknione, i Mil obserwując ją z tyłu zacisnął mocno zęby. Wartościowy człowiek? Czy rzeczywiście Jose-Marie zasługiwał na to miano? Nagle Mil zapragnął, żeby Elizabeth też tak o nim myślała. Te proste słowa zawierają w sobie wszystko.

— Rozmawiałaś z nim? Co zamierzasz zrobić? — wymruczał Hugo dołączając do Mila. Zostali nieco z tyłu za innymi i szli powoli, pozdrawiając znajomych, którzy również wybrali się na wieczorny spacer. Drze-

wa palmowe szumiały nad nimi, a lekka nocna bryza nie zmniejszała upału.

— A co możemy zrobić? Starać się wszystko załagodzić ze względu na nią i na rodzinę i wziąć na siebie odpowiedzialność? — zapytał ostro Mil i Hugo natychmiast zaprzeczył.

— Nie, oczywiście, że nie. Na miłość boską, Mil, tego nie możesz zrobić.

— W porządku, Hugo — Mil uśmiechnął się gorzko — obawiam się, że nie jestem aż tak szlachetny. Poza tym wiemy przecież doskonale, że on będzie wciąż robił to samo, myśląc, że może się wywinąć od odpowiedzialności. Gdyby nie posunął się do morderstwa, mógłbym jeszcze próbować zatuszować wszystko. Ale teraz nie mogę. — Obserwował uważnie kuzyna Jose-Marie, jego ciężki, napuszony krok, jakby chciał pokazać całemu światu, że właśnie kroczy ze swoją narzeczoną.

— Oczywiście, że nie możesz. Nie ma wątpliwości — Hugo przerwał myśląc o Nieves, o tym, jak trudne może się stać czyjeś życie tylko przez to, że ktoś przekroczył granicę, którą wyznacza pewna społeczność. Westchnął.

— Wiesz, Guillermo wciąż twierdzi, że byłeś tak pijany, że... wykorzystałeś okazję... — przerwał zakłopotany, a Mil roześmiał się ponownie.

— Powiedz to, Hugo. Zgwałciłem — podkreślił. — Guillermo twierdzi, że zgwałciłem Nieves. A on był na miejscu po to, aby to potwierdzić. Oczywiście to jego wersja. — Westchnął, a głos zmienił mu się ponownie, stał się przyciszony. — Wydaje mi się, że nie wytrzymam tu dłużej. Bez przerwy przychodzą wspomnienia tamtych czasów.

— Wciąż jeszcze masz bliznę tam, gdzie uderzył cię butelką, prawda? — powiedział Hugo, wyczuwając zdenerwowanie Mila i nie potrafiąc mu pomóc. — Wciąż jeszcze masz zaświadczenie lekarskie? Rodzice Nieves znają prawdę. Byłoby łatwo to udowodnić, gdyby Nieves cię poparła.

— Ale ona tego nie robi. Nie zrobiła tego wtedy i nie robi teraz, a ja nie mam zamiaru jej do tego namawiać. To ona jest prawdziwą ofiarą, nie ja. Ja mogę od tego uciec, a ona musi z tym żyć dzień po dniu. — Mil wyjął papierosa, zapalił go i odrzucił zapalnik. Hugo widział go palącego po raz pierwszy od roku.

— Ale Tomeo twierdzi, że Guillermo pracuje z Jose-Marie? To nie ma sensu! Przecież nienawidziliby się nawzajem.

— Cóż, podejrzewam, że to może mieć pewien sens. Obaj nienawidzi-

li mnie w młodości, zazdrościli tego, co miałem, i byli też zdecydowani mi to zabrać: Nieves, przyszły nadzór nad korporacją rodzinną, tytuł, wszystko. Ale jednocześnie chcieli, żebym cierpiał i czołgał się, kiedy mi będą to zabierać. Russell, SolconMar, plotki o gwałcie. Tomeo ma chyba rację. To ma jakiś sens. Elizabeth także pasuje do tego scenariusza.

— Nie rozumiem.

— Poprosiłem Chrisa Mastersa, żeby sprawdził dla mnie kilka faktów. Ktoś grozi Liz od pewnego czasu, nalegając, żeby się z czegoś wycofała, ale policjant prowadzący sprawę nie potrafi dociec sensu tych gróźb. — Mil opisał całą sprawę Hugo, a jego twarz skrzywiła się z obrzydzenia.

— Nic dziwnego, że biedna dziewczyna wygląda tak, jakby była na skraju wyczerpania nerwowego. A do tego znalazła Marisę...

— To nie wszystko — mówił dalej Mil — kiedy Annette spowiadała mi się ze swoich win, wspomniała, że Russell mówił coś o listach, które otrzymywała jakaś dziennikarka, a które dotyczyły mojego rozwiązłego życia i ciemnych interesów, które jakoby prowadzę. Później, kiedy byliśmy w Annabel's i Camilla wspomniała, że słyszała, iż Liz uwzięła się na mnie, Annette powiązała te fakty. Następnie ktoś grozi Marisie, a ta prosi Liz, żeby do niej przyjechała. W tym samym czasie policji zależy na tym, żeby Liz wyjechała z Londynu, aby oni mogli spokojnie zbadać, kto jej grozi. W końcu Guillermo prosi recepcję hotelu o odstąpienie Liz pokoju, który sam zarezerwował kilka miesięcy przedtem. Jednocześnie zastrzega, żeby jej o tym nie mówić. — Mil spojrział na Hugo. — Tyle zdołał dowiedzieć się Tomeo. Czy według ciebie to ma jakiś sens, Hugo? — Zaciągnął się głęboko papierosem, a później, jakby z obrzydzeniem, wypuścił dym.

— Potem chcieli, żeby tu przyjechała, aby wyjaśnić śmierć Marisy. Chcieli też ciebie obarczyć całą odpowiedzialnością za to, prawda?

— Tak. A dodatkowo oczekują, że to Liz mnie zdemaskuje, i obawiam się, że robią to doskonale. — Mil wzruszył ramionami.

— A więc ona uwierzyła w historie, którymi ją karmią? — twarz Hugo wyrażała wyraźne zaniepokojenie.

— Tak sądzę... — Mil przerwał na chwilę, pogrążając się we własnych myślach. — Naprawdę tak myślę — powtórzył i zamilkł. Szli dalej w milczeniu.

Idąca tuż przed nimi Marie-Elena nagle odbiegła w bok, znikając na chwilę w tłumie wytwornych spacerowiczów i flirtującej młodzieży. Mar-

cos wołał za nią, ale już po chwili Marie-Elena pojawiła się, ciągnąc za sobą triumfalnie Helen. Za nimi niechętnie podążali Guillermo i Elizabeth.

— Popatrzcie tylko — wołała uszczęśliwiona Marie-Elena, nie zważając na poplątaną przeszłość wszystkich obecnych, która mogła doprowadzić do tragicznego końca takiego spotkania— popatrzcie, kogo znalazłam.

— Teraz już jestem pewien — wyszeptał Mil do Hugo widząc Elizabeth. — Z jakiego innego powodu miałyby przyjeżdżać do Barcelony?

— Na miłość boską, powiedz jej, co się dzieje! — nalegał Hugo, a widząc Helen zamilkł na chwilę. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos był dziwnie niespokojny: — Popatrz, Helen też tu jest. Co ona robi z Guil-lermem? — Patrzył na nich bez uśmiechu.

— Proszę cię, Hugo, staraj się nie myśleć o najgorszym — Mil poklepał przyjaciela po ramieniu. — Ja zrobiłem ten sam błąd przedtem i poplątałem twoje życie. Postaraj się wszystko lepiej wyjaśnić, dobrze? Przynajmniej będę wiedział, że raz czegoś nie popsulem. — Mil chciał zdobyć się na odrobinę ironii, ale jego ton był raczej gorzki. — A jeżeli chodzi o Liz, dlaczego miałyby mi wierzyć? Przez całe dziesięć lat gromadziła się w mej pogarda dla mojej osoby i prawdę mówiąc przynajmniej część z niej jest usprawiedliwiona.

Marie-Elena właśnie przyciągnęła do nich Helen i Elizabeth. Mil zmusił się do uśmiechu.

— Co za niespodzianka! — pochylił się, by ucałować policzek Elizabeth. Pragnął przytulić ją mocno, ale zamiast tego ograniczył się do grzecznego ukłonu. Elizabeth cofnęła się, unosząc brwi. Jej bursztynowe oczy patrzyły przez chwilę oskarżycielsko.

— Też tak uważam — zgodziła się. — Nie spodziewaliśmy się, że spotkamy cię w Barcelonie. Przypuszczam, że to ponownie interesy?

— Naprawdę? Naprawdę nie spodziewaliście się spotkać nas tutaj? — nadchodziła Sassy obserwując Helen i Elizabeth, uśmiechnięta i trzepocząca rzęsami. — Wydaje mi się, że zostawiamy za sobą jakieś ślady, bo inaczej, jak udałoby się wam podążać za nami krok w krok? I na dodatek Helen też tu jest! Co za zbieg okoliczności!

— Jak się masz, Helen? — Hugo ucałował delikatnie jej policzek. — Czy to nie wspaniale, że spotkaliśmy się tutaj wszyscy znowu? Pamiętasz pewnie kuzyna Mila, Jose-Marie, i jego... narzeczoną Nieves.— Hugo wtargnął we wrogi potok słów Sassy, ale zamilkł natychmiast, gdy zbliżył się do nich Guillermo.

— Narzeczona? — Jego twarz zbladła gwałtownie, jakby odsłaniając dotychczas ukrytą przez opalenizną brzydotę.
— Czy to prawda, Nie-ves? Jesteś zaręczona? I to z nim? — W całym zamieszaniu Mil zdołał odciągnąć Elizabeth na bok.

— Cóż, u diabła, tutaj robisz? — zapytał, trzymając ją za ramię. — Chyba wyraziłem się jasno...

— Ależ, Mil! — Elizabeth uśmiechnęła się, odsuwając od siebie jego dłoń, która swoją bliskością czyniła ją słabszą.

— Kim ty niby jesteś? Od kiedy możesz decydować o tym, gdzie ja się udaję? Staraj się pamiętać, że nie masz żadnego prawa decydować za mnie. — Ponownie uniosła brwi widząc, jak jego usta zaciskają się w pełen bólu grymas.

Dobrze — myślała — mam nadzieję, że to cię boli, że to cię diabelnie boli.

— Chciałyśmy z Helen zobaczyć olimpiadę, to wszystko. — Celowo starała się, aby jej głos był opanowany i z nutkami żartu, chcąc pokazać mu, że nic dla niej nie znaczy.

— Nie wierzę ci — sprzeciwił się słabo. Elizabeth roześmiała się.

— Cóż, w takim razie oboje sobie nie wierzymy. Słyszałeś już pewnie o zamordowaniu El Professora? Wiesz, tym razem chyba mam rację nazywając to morderstwem. Podcięte gardło zwykle nie jest objawem zawału serca. — Przechyliła na bok głowę oczekując jego odpowiedzi. Zdziwiła się, widząc nagłą bladość jego twarzy.

Odwrócił się gwałtownie, patrząc z taką nienawiścią na swojego kuzyna, że Elizabeth nie mogła się powstrzymać i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Przepraszam. Wydawało mi się, że już wiesz — usprawiedliwiała się. Spojrzał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Skąd miałbym wiedzieć, co, Liz? Dlaczego uważasz, że miałbym wiedzieć? Chyba że to z mojego polecenia go zabito... — Jej oczy uciekły w bok. — Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

— Nie. Ale wiesz o tym coś, czego ja nie wiem. Chciałabym wiedzieć, ale w tej chwili jestem tak skołowana, że zupełnie nie rozumiem, co się dzieje. Ty natomiast wiesz, ale nie masz najmniejszego zamiaru mi powiedzieć. Ale jeżeli jesteś w to jakkolwiek wplątany, zrób coś, Mil, na miłość boską. Jak wielu ludzi musi jeszcze zginąć, żeby sprawa została uciszona? — powiedziała cicho Elizabeth. Jego twarz ponownie była opanowana, a głos ściszył się do szeptu.

— Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Ale tego, że ja jestem w to wplątany, jesteś pewna. Dlaczego po prostu mnie w to nie wrobisz, nie

oskarżysz? Dlaczego nie, Liz? — nalegał, czując jej rozpacz i pragnąc ją zranić przynajmniej w połowie tak mocno, jak ona zraniła jego. — Ale nie możesz. Nie masz żadnych dowodów. — Posłał jej pytające spojrzenie. — Dzięki za zaufanie — powiedział i odszedł od niej.

Jose-Marie cały czerwony ze zdenerwowania i wściekłości odciągał właśnie Nieves, krzycząc na Guillerma przez ramię, żeby ich zostawił raz na zawsze, a Guillermo z furią błagał Nieves, żeby odeszła od Jose-Marie, zanim nie jest za późno. Nieves płakała cicho, łzy spływały jej po policzkach.

Helen, blada i zakłopotana, usiłowała uspokoić Guillerma, a MarieElena, Marcos i Hugo starali się namówić Jose-Marie, żeby jak najszybciej odszedł. Wydawało się, że tylko Sassy jest zadowolona z wydarzeń.

— Do diabła, wynoście się stąd obaj! — warknął Mil, a ton jego głosu był tak zimny, że natychmiast zapadła cisza.

— Czy też zamierzacie urządzić scenę na środku Ramblas, co wykluczy Nieves z każdego salonu w Barcelonie? Czy nie wycierpiała już wystarczająco dużo? Wynoście się stąd! — Jose-Marie patrzył na niego przez chwilę, jakby oceniając poziom bólu w jego głosie. Później objął ramieniem Nieves i odszedł w tłum z drżącą dziewczyną.

Guillermo pozostał i wyraźnie szukał pretekstu, aby móc zranić starego wroga.

Ale Mil odszedł w kierunku Plaža Catalunya, nie patrząc na nikogo, a szczególnie na Elizabeth, i nie dbając o to, co wszyscy mogli sobie pomyśleć. Hugo zamknął na chwilę oczy, a kiedy rozejrzał się ponownie, aby znaleźć Helen, zauważył, że razem z Elizabeth znika w tłumie. Guillermo, po chwili wahania, podążył za nimi. Marie-Elena i Marcos również odeszli. Pozostało ich tylko dwoje.

Sassy roześmiała się tak dziwnie, że Hugo przeszedł dreszcz.

— Cokolwiek zamierzasz powiedzieć, Sassy, nie rób tego! — ostrzegł Hugo, widząc jej uniesiony podbródek i wojowniczy błysk w zielonych oczach, który zwiastował cierpkie uwagi na temat sióstr Barrett, Nieves i wszystkich pozostałych. Spojrzała na brata, zdziwiona nieznanym tonem jego głosu.

— Co to ma znaczyć? Wydaje się, że ja jestem tutaj jedyną niewinną istotą — odparła odrzucając do tyłu włosy. Hugo podniósł dłoń ostrzegawczo.

— ' Nic nie mów. Nie zniosę nic więcej, Sass. Ostrzegam cię. Widząc wyraz jego twarzy, zadrżała. Hugo mówił dalej:

— Zawsze mi powtarzasz, że powinienem być twardszy, mieć więcej dumy, teraz zobaczymy, jak ci się to spodoba. Jesteś moją siostrą, Sass, i kocham cię, ale jeżeli jeszcze raz powiesz cokolwiek o Helen lub kimkolwiek innym, nigdy już się do ciebie nie odezwę. Rozumiesz? — wyrzucił z siebie gwałtownie te słowa, nie zwracając uwagi na jej pełną zdziwienia twarz.

— Hugo! Co do licha...? — Sassy patrzyła na brata. Wydawał się jej kimś obcym.

— Skoro już o tym mówimy — kontynuował Hugo — nie życzę sobie, żebyś naprzykrzała się Milowi. Robisz z siebie idiotkę. Nie ma zamiaru cię nigdy poślubić, bez względu na to, co o tym myślisz. Chyba wystarczająco jasno dał ci to do zrozumienia, więc proponuję, żebyś zainteresowała się kimś innym. Nie chcesz chyba pozostać sama, prawda? — dodał z pewną satysfakcją. — A teraz chodź już. Jestem zmęczony i okropnie mnie boli głowa.

Wracajmy do domu. — Ruszył przed siebie, nie zatrzymując się nawet, by sprawdzić, czy idzie za nim, nie próbując wziąć ją pod ramię, jak to zwykle robił. Sassy poczuła, że otwiera się przed nią przepaść.

Hugo zawsze był dla niej jak opoka. Była pewna, że nieważne, jak źle się zachowa i cokolwiek zrobi, zawsze będzie mogła zwrócić się do niego i on ją obroni. Nagle poczuła się odcięta od tego, pozbawiona obrony i przeraziło ją to.

— Hugo! Zaczekaj! Zaczekaj na mnie! — Pobiegła za nim. Jej umysł pracował gorączkowo, jej gniew niemal całkowicie uleciał, wyparty przez przerażenie.

Idąc za nim, pogrążała się ponownie w coraz większej furii, która pozwoliła jej ochłonąć po tym, co usłyszała od Hugo. Dogoniła go i wzięła pod ramię.

— Hugo, jesteś idiotą! Dlaczego uważasz, że jestem wciąż zainteresowana Milem? — zapytała niewinnie, spoglądając na niego z udawanym zdziwieniem. — Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Mam już inne ryby na haczyku, nie martw się. — Poklepała go po dłoni.

Zawahał się, a później uśmiechnął z ulgą.

— Jesteś pewna? Nie chciałbym, żeby cię zraniono. Nie chciałbym też stracić przyjaźni Mila. Szczególnie teraz, kiedy potrzebuje mojej pomocy.

— Oczywiście. Mil nic dla mnie nie znaczy już od lat. Zapewniam cię, Hugo. Mała Liz Barrett może się nim zająć, jeżeli tego chce. Ale nie

sądzę, żeby tak naprawdę tego chciała — uśmiechnęła się słodko. — Mil wydawał się bardzo rozdrażniony z powodu Nieves, prawda? Musi mu być ciężko, ponieważ wie, jak bardzo jest odpowiedzialny za zrujnowanie jej reputacji. Hugo zeszywniał.

— On nie jest za to odpowiedzialny i ty o tym wiesz.

— Uspokój się, Hugo — Sassy potrząsnęła głową — wiesz przecież, że nie powiedziałam o tym nikomu ani słowa.

— Spojrzała na niego. — Moje usta milczą.

Rozdział jedenasty

Elizabeth spakowałaby się natychmiast, gdyby tylko mogła znaleźć miejsce w jakimś hotelu. Ale Barcelona była ogarnięta szaleństwem związanym z olimpiadą i w mieście nie można było znaleźć nawet najmniejszego pokoju. Muszą razem z Helen pozostać u Guillerma lub spacerować po ulicach.

Guillermo szybko do nich dołączył i szedł przed nimi całą drogę do swojego mieszkania, milczący i obrażony. Helen również milczała, a Elizabeth czuła się zakłopotana. Rzeczywiście mogło to tak wyglądać, jakby śledziły Hugo i Mila, mając jednocześnie nadzieję, że zostaną zauważone. To było poniżające, deprymujące i bardzo bolało, że mogły być posądzone o takie dziecinne zachowanie. Być może jeszcze gorsze było dla Helen, która wciąż kochała Hugo i miała nadzieję... Dla niej samej nie powinno to mieć znaczenia. Ale miało. Dowodem na to były całkowicie sprzeczne uczucia, które nią miotaly, a których nie mogła stłumić, chociaż bardzo się starała.

Westchnęła, kiedy dotarli do mieszkania Guillerma. Stanowili smutne trio — wszyscy zakochani i odrzuceni. Gdyby to nie było takie wzniosłe, mogłoby być nawet zabawne — pomyślała i udało jej się przywołać na twarz słaby uśmiech.

— Chyba pójdę się położyć — powiedziała Helen spokojnym głosem, jakby sama sobie chciała udowodnić, że wszystko będzie dobrze. Tak naprawdę nie widziała spoza łez pozostałej dwójki, kiedy zamykała za sobą drzwi sypialni.

Guillermo nalał sobie kieliszek wina i spoglądając na Elizabeth podsunął jej butelkę zachęcającym gestem.

— Nalać ci trochę? Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

— Tak, proszę — wzięła od niego kieliszek i zaczęła chodzić po pokoju starając się stłumić irytację.

— To nie do wytrzymania! — wykrzyknął po chwili Guillermo, jakby już nie był w stanie dłużej tego znieść. — Ta rodzina! Aroganccy dranie. A moja biedna Nieves... — przerwał i wlał w siebie całą zawartość kieliszka.

— Nie wiedziałam, że wciąż jesteś w niej zakochany, Guillermo. Tak mi przykro — mruknęła Elizabeth, nie wiedząc, co ma powiedzieć, aby go uspokoić.

— Nie jestem — zaprzeczył stanowczo. — Po prostu nie mogę patrzeć na to, jak ją traktują. Jak rzecz, którą można kupić, sprzedać lub wykorzystać. Jezu Chryste! Ten mięczak i głupiec Jose-Marie, który uważa, że jest kimś wyjątkowym i zaoferuje Nieves dobre życie. Nie ma na to szans i nawet o tym nie wie. — Uderzył dłonią w stół. Srebrny korkociąg podskoczył i potoczył się po dębowym stole.

— Dlaczego? — Elizabeth zdjęła buty i usadowiła się wygodnie w rogu sofy. Guillermo krążył poirytowany wokół niej, zagrażając swoimi ruchami kryształom i antykom.

— A jak sądzisz, do czego zmierza Tomeo, chcąc odebrać mu jego pozycję, podważając wszystkie mądre posunięcia Jose-Marie, blokując jego działania w taki sposób, że Jose-Marie wie tylko, że interesy idą coraz gorzej — powiedział Guillermo kiwając głową nad taką głupotą. — Dlatego zdecydował się na ten projekt z SolconMar. Wszystko wyglądało dobrze na papierze, ale Tomeo zawsze wyprzedzał go o krok. I on sądzi, że może coś zaoferować Nieves! A ona skusiła się na... na tego przemądrzałego.

— Tomeo zniszczył projekt z SolconMar? — Elizabeth przerwała mu ostrym głosem. — W jaki sposób? Nie rozumiem.

Guillermo nagle zdał sobie sprawę z tego, że powiedział zbyt wiele, dał się ponieść złości i rozżaleniu. Całą jego odpowiedzią było więc wzruszenie ramion.

Elizabeth sączyła wino, obserwując Guillerma. Nalewał sobie kolejny kieliszek, a jego dłoń drżała lekko. Kilka kropel czerwonego wina spadło na jasny dywan, sprawiając wrażenie kropel krwi. Mieszkanie było bogato urządzone, całe w bielach i beżach skonstrasto-

wanych z ciemnym drewnem, porcelaną, srebrem i zielenią drzew doniczkowych. Było warte o wiele więcej niż Guillermo mógł zarobić w jego wieku i Elizabeth zaskoczyło, jak dobrze musiały iść jego interesy.

— Byłam zdziwiona widząc Mila z Jose-Marie i Nieves, a ty? — Elizabeth próbowała skłonić Guillerma do mówienia. Ale on stracił ochotę dzielenia się z nią dalszymi informacjami i odpowiadał monosylabami.

— Bardzo dziwne — powiedział tylko. Usiadł w fotelu przy kominku.

— Czy nie wiesz przypadkiem, dlaczego znowu ze sobą rozmawiają? — zapytała spokojnie Elizabeth.

— Nie — usłyszała zirytowaną odpowiedź. Jego ciemne oczy rozbłyły na chwilę, obserwując ją. Potem znowu spuścił wzrok, podczas gdy Elizabeth powróciła do sączenia wina. Jeżeli Mil i Nieves byli wciąż przyjaciółmi, jak bardzo można wierzyć plotkom Guillerma o gwałcie? A zatem chyba nie bardzo można wierzyć całej reszcie, którą opowiada. Czyżby wszystko zostało specjalnie spreparowane?

— Guillermo — kiedy odezwała się ponownie, w jej głosie nie było już ani śladu zainteresowania — w jaki sposób można się dowiedzieć, kto stoi na czele rady nadzorczej jakiejś firmy? Tutaj, w Hiszpanii. Czy istnieją jakieś rejestry akcjonariuszy, dyrektorów?

— Której firmy? SolconMar? — zapytał zimno.

— Być może — wzruszyła ramionami.

— Gdybyś była rozsądna, nie dowiadywałabyś się o to. — Uśmiechnął się, ale Elizabeth wiedziała, że w tym uśmiechu nie było ciepła.

— Dlaczego? Chciałeś przecież, żebym dowiedziała się czegoś więcej na temat działalności Mila, śmierci Marisy, a teraz nagle mówisz mi, żebym się... — przerwała dobierając właściwe słowa. Guillermo patrzył na nią wyczekująco.

— Mniejsza z tym — ucięła krótko i nagle wstała. — Może sen pomoże mi w rozwikłaniu tego labiryntu. Dobranoc.

— Postawiła na stole kieliszek i wyszła powoli z pokoju.

Guillermo obserwował Liz, jej wysoko uniesioną głowę, wdzięczne ruchy, pociągające usta, zastanawiając się, jak wiele wie, a ile podejrzewa. Dużo by dał, aby to wiedzieć.

Elizabeth położyła się do łóżka. Zastanawiała się, co Guillermo mógł wiedzieć o SolconMar i Tomenie. Dlaczego zdecydował się nie mówić jej o tym? Helen już spała na drugim łóżku; jej spokojny, równy oddech działał kojąco na Elizabeth. Zasłony poruszały się lekko w powiewach

14 — Zraniona duma

209

wiatru, słycać też było cichy, oddalony dźwięk ulicy. Wkrótce powieki Elizabeth powoli zamknęły się i zapadła w sen.

Chamaco zaszczeakał w ciemności, kiedy rozległ się nagły dźwięk telefonu. Rozespany mężczyzna podniósł słuchawkę i niemal ją upuścił. Z przekleństwem usiadł na łóżku i przytrzymał słuchawkę.

— Dłaczego, do diabła, przekraczasz rozkazy? — rozległ się ostry głos w jego uchu. — Miałeś ją tylko nastraszyć, to wszystko. A teraz słycałem, że jest jeszcze jeden trup. Powiedz mi, że nie miałeś z tym nic wspólnego.

Mężczyzna odkasznął i przemówił nerwowo swoim kobiecym głosem. Pies podniósł uszy i przechylił głowę na bok, jakby nasłuchując.

— Zaatakował mnie. To było w samoobronie. Nie miałem wyboru. Ale nikt się nie dowie. Upewniłem się co do tego.

— Teraz musisz uzyskać pewność co do innej sprawy. Wsiądź w jutrzejszy samolot do Barcelony. Mamy mały kryzys.

— Zadzwoń, kiedy dojadę.

— Nie! Będiesz czekał, aż ja skontaktuję się z tobą. Tak jak zawsze. — Mężczyzna odłożył słuchawkę i poklepał kolano, zachęcając, aby Chamaco się na nie wdrapał. Ale pies patrzył tylko na niego, wciśnięty w róg pokoju.

Cichy dźwięk dzwonka, który rozległ się w ciszy nocy, obudził tylko Elizabeth. Śniła o czymś nieprzyjemnym, o jakichś ciemnych przestrzeniach i spadaniu, ale z chwilą, kiedy otworzyła oczy, zapomniała, o czym faktycznie był ten sen. Stopniowo rozpoznawała pokój w mieszkaniu Guillerma. Z łóżka obok dochodził spokojny oddech Helen.

Dzwonek rozległ się ponownie i tym razem Elizabeth zdała sobie sprawę, że to nie sen.

Otuliła się szlafrokiem i ruszyła po omacku do przedpokoju. Nie trafiła na włącznik światła i również po omacku dotarła do drzwi.

— Kto tam?! — zawołała i była zdziwiona, kiedy jednak ktoś się odezwał, ponieważ podejrzewała, że cały czas jeszcze śpi.

— Wszystko w porządku, to ja, Hugo. Portier pozwolił mi wejść na górę. Proszę cię, Liz, otwórz. Dzwonię już od godziny — rozległ się jego słaby głos spoza rzeźbionych, drewnianych drzwi. Elizabeth uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał ze zmierzwionymi włosami, trochę zakłopotany.

210

Po chwili walki z zamkiem udało jej się otworzyć drzwi. Odsunęła się mrużąc oczy przed silnym światłem z korytarza. Hugo przeszedł obok niej i włączył światło, które wypełniło cały przedpokój. Elizabeth skuliła się i przymknęła oczy.

— Co się stało, Hugo? — Spod w półprzymkniętych powiek zauważyła, że zmieszał się, odwrócił się na chwilę, a później, jakby podejmując decyzję, stanął znowu twarzą do niej.

— Muszę się zobaczyć z Helen.

— Czy wiesz, która jest godzina? — oczy Elizabeth przyzwyczyły się już do światła i mogła spojrzeć na zegarek. — Na miłość boską, Hugo, czy to aż tak pilne? Czy nie możesz poczekać do rana? Ona śpi. — Odgarnęła czarne włosy, które opadły jej na twarz w czasie snu, i uniosła w zdumieniu brwi.

— Nie, muszę się z nią zobaczyć teraz. Przepraszam, Lizzie, wiem, że jest późno, ale sądzę, że to najlepsze wyjście.

— Pokiwał głową, jakby potwierdzając swoją decyzję. Kiedy zauważył jej rozbawienie, zmieszał się ponownie. ^M

— Boże, miłość, co ona potrafi zrobić z człowiekiem? — Machnęła dłonią w kierunku sofy i rozbawiona mrucząc do siebie, zaczęła wycofywać się w kierunku sypialni. Nagle Hugo wyciągnął z kieszeni kopertę i podał jej.

— Co to? — zapytała podejrzliwie, biorąc kopertę.

— Myślę, że zawartość sama ci wyjaśni. To od Mila. — Stała sztywno, trzymając ją ostrożnie w dłoni, jakby mogła się sparzyć.

— Ach, tak. — Jej oczy spojrzały pytająco. — Jest jednak rzecz, o którą chciałabym cię zapytać, zanim pójde po Helen. Chciałam spytać o Mila i Nieves...

— Tak? — odparł zmęczonym głosem. — Co cię interesuje?

— Czy nadal są przyjaciółmi? — zauważyła, że przez chwilę zastanawiał się, co chciała przez to powiedzieć.

— Przyjaciółmi? Tak, myślę, że są przyjaciółmi. Ale niczym więcej, jeżeli o to pytasz.

Pokiwała głową.

— Nie jestem pewna, o co właściwie chciałam spytać... No cóż, poczekaj chwilę, zawołam Helen. Zrób sobie kawę, jeżeli masz ochotę, ale zachowuj się cicho. Guillermo śpi i nie chciałabym, żeby się obudził. — Odwróciła się i ruszyła do sypialni. Szeptem obudziła Helen i wysłała ją do Hugo, ignorując jej sprzeciwy, że wygląda okropnie. Helen nigdy nie wyglądała okropnie.

Elizabeth zamknęła drzwi i usiadła na łóżku obracając w dłoniach kopertę.

W końcu westchnęła, otworzyła ją i zaczęła czytać.

Liz, muszę się z Tobą zobaczyć i wyjaśnić Ci, co się dzieje. Hugo twierdzi, że jestem kompletnym głupcem, ponieważ nie wyjaśniłem Ci tego wcześniej, i być może ma rację. Ale dawałaś mi do zrozumienia (może raczej powinienem napisać—dajesz mi do zrozumienia), że mi nie ufasz, więc wahałem się, mając nadzieję, że cała sprawa okaże się mniej poważna, niż się obawiałem. Niestety, sprawy przybrały gorszy obrót, niż mogłem to sobie wyobrazić.

Musimy też porozmawiać o nas. Zostawiłem Cię tamtego ranka i pozwoliłem Ci myśleć o mnie jak najgorzej, ponieważ jestem tchórzem i nie chciałem bardziej się angażować. Proszę Cię, Lizzie, nie wyciągaj pochopnych wniosków w tej sprawie aż do chwili, kiedy porozmawiamy.

Zostaliśmy zaproszeni jutro na jacht przyjaciela. Będziemy oglądali wyścigi jachtów w ramach olimpiady.

Poprosiłem go, żeby was też zaprosił. To da nam możliwość porozmawiania, a przynajmniej będę mógł Ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu dzisiejszego wieczoru. Proszę Cię, powiedz, że tam będziesz, MU.

Elizabeth przeczytała ten list kilkakrotnie, starając się odgadnąć jego prawdziwe znaczenie, Zastanawiała się, czy były to dobre wiadomości. W każdym razie postanowiła, że przyjmie zaproszenie i wysłucha, co Mil ma do powiedzenia. Tyle przynajmniej mogła zrobić.

Nic nie było tak proste i jasne, jak się wydawało. Obiecała więc sobie, że nie będzie nikomu ufać, zanim nie nabierze pewności. Nie tylko Milowi.

Włożyła list do koperty i składając ją trzykrotnie, wsunęła pod poduszkę. Położyła się ponownie. Starła się zasnąć, ale bezskutecznie.

Nadszedł świt. Helen wciąż nie wracała do sypialni. Elizabeth wstała, otuliła się w swój biały szlafrok i zeszła do salonu. Helen spała na sofie z wyszywaną poduszką pod głową, stopy wystawały spod jej różowego szlafroka.

Uśmiechała się przez sen.

Hugo nie było. Elizabeth patrząc na siostrę, uśmiechnęła się także. Przynajmniej w ich przypadku coś zostało wyjaśnione. Co do reszty, Elizabeth nawet nie chciała o tym myśleć. Helen drgnęła, kiedy Elizabeth dotknęła jej ramienia.

— A więc w końcu zadał ci to pytanie, co? — zapytała Elizabeth siadając na fotelu obok sofy i podciągając pod siebie nogi. Uśmiech Helen zajaśniał jeszcze mocniej.

— Chce, żebyśmy się pobrali w grudniu — powiedziała tylko. Elizabeth roześmiała się i pochyliła, aby ucałować policzek siostry. Helen usiadła i rozglądała się wokół, jakby odkrywała wszystko na nowo, w różowych kolorach.

— Gratulacje, kochanie. Z Hugo nie można zwlekać, co? Pewnie boi się, że zmienisz zdanie. Oczywiście ty tego nie zrobisz, ale on nie powinien o tym wiedzieć. — Elizabeth oparła się wygodniej w fotelu, podniosła ze stołu ciężką, srebrną zapalniczkę i zaczęła ją zapalać i gasić bez celu.

— Podejrzewam, że Sassy będzie rozczarowana — westchnęła Helen. Jej piękne czoło zmarszczyło się, kiedy zaczęła rozmyślać o przyszłości.

— W takim razie odwołaj ten ślub. Przecież nie możesz zdenerwować Sassy, prawda? Za to złamiesz serce Hugo i swoje — zażartowała Elizabeth i Helen roześmiała się.

— Wiem, że to głupie martwić się o to, co myśli Sassy, ale będzie moją szwagierką — bawiła się paskiem od szlafroka, zaciskając go mocniej w miejscu, gdzie szlafrok rozchylił się odkrywając jej koszulę nocną.

— Naucz się odpowiednich manier, albo zostanie wykluczona z życia swojego brata na zawsze — powiedziała stanowczo Elizabeth. — Nie mam wątpliwości co do tego, którą z was Hugo wybierze, więc przestań się zamartwiać, Helen. — Położyła na stole zapalniczkę i nagle, lekko zdziwiona, podniosła ją ponownie i zaczęła oglądać uważniej. Inicjały T.J.C. zastanowiły ją, kiedy przypomniała sobie, co mówił Guillermo zeszłego wieczoru. Musiała użyć całej siły woli, aby jej umysł powrócił do spraw siostry.

— Powiedział, że zawsze mnie kochał — ciągnęła dalej Helen, jakby się temu dziwiła, obojętna na wszystko oprócz własnego szczęścia — od czasu kiedy byliśmy dziećmi. Że nikt inny nigdy nie miał dla niego znaczenia. — Spojrzała na Elizabeth i roześmiała się widząc wyraz jej twarzy. — Wiedziałaś o tym? Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć. To wydaje się tak cudowne, że zastanawiam się, czy nie powinnam się uszczypnąć i obudzić.

— Jeżeli chcesz, mogę to zrobić za ciebie. Dobrze, mocne uszczypnięcie, aby rozwiązać wątpliwości. Prawdę mówiąc to jesteś jak Śpiąca Królow-

na, która w końcu się obudziła. — Elizabeth uśmiechnęła się, wrzuciła zapalniczkę do kieszeni i podeszła do okna, podziwiając krajobraz. — Wygląda na to, że będzie jeszcze jeden wspaniały dzień. Doskonały na długo odkładane zaręczyny. Zadzwonisz do rodziców? Czy zamierzasz zaczekać, aż...

— Sądzę, że dam im znać później — przerwała natychmiast Helen, a Elizabeth nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Kochana Helen, zawsze unikała tak długo jak mogła wszelkich trudności i nieprzyjemności.

— Dobrze — zgodziła się szlachetnie Elizabeth. — Baw się dobrze, zanim ktoś się dowie i zacznie udzielać rad. Czy Hugo wspomniał już o pierścionku? — Odwróciła się do siostry. Ucieszyła się widząc, że oczy Helen wciąż płoną z podniecenia, nie zmacone perspektywą poinformowania rodziców i narażeniem się na komentarze matki.

— Ustaliliśmy, że dzisiaj wyruszymy obejrzeć kilka sklepów jubilerskich, a jeżeli nie znajdziemy nic, co by się nam podobało, to odłożymy poszukiwanie aż do powrotu do domu. — Helen zastanawiała się przez chwilę. — Chyba chciałabym szmaragd.

— A ja spodziewałam się ujrzeć na twoim palcu prymitywny diament wielkości koh-i-noor— żartowała Elizabeth wiedząc dobrze, że Helen ma bardzo dobry gust i nigdy nie zdecydowałaby się na coś takiego. — Podejrzewam, że masz rację. Szmaragd rzeczywiście może do ciebie pasować. — Elizabeth przerwała, nieco zmęczona ich błahą rozmową. — Czy Mil wie o tym?

— Oczywiście! Hugo powiedział, że to ty wyjaśniłaś wszystko Milowi, a on wyprowadził z błędu jego. Myślałam, że wiesz o tym. Mil będzie naszym przyjacielem. — Helen wyprostowała się i spojrzała na Elizabeth. — A ty, oczywiście, będziesz moją drużyną, prawda?

— Cóż, oczywiście, że tak... ale co z tym całym zamieszaniem, Helen? Czy to już nie ma znaczenia? Czy mam zignorować, co się wydarzyło, żeby mógł zostać twoim przyjacielem? — Elizabeth poczuła się niezręcznie, nienawidząc siebie za to, że ograbia siostrę z przyjemności rozmyślenia o dniu zaręczyn. Nie była jednak w stanie zapomnieć, że dwie osoby zostały zamordowane i że Mil może być w to wplątany.

Helen zadrżała i wyraźnie posmutniała.

— Myślałam... myślałam, że Mil wyjaśnił ci wszystko w tym liście, który przyniósł Hugo. Czy tak nie jest?

Elizabeth westchnęła.

— Nie — odpowiedziała krótko. — Nie wyjaśnił. Chyba mam och-

tę na kawę, a ty? — Poszła do kuchni. Szlafrok Lizzy zawadził o jeden z kieliszków pozostawionych na stole ubiegłego wieczoru. Kieliszek za-chybotął się i wydając dziwny dźwięk powrócił do równowagi. Elizabeth dotknęła go palcem.

— Nie, dziękuję — Helen zawahała się. — Zaczekaj chwilę. Chcę, żeby to wszystko zostało wyjaśnione.

— Słuchaj — Elizabeth zmusiła się do uśmiechu — zamierzam się z mm dzisiaj zobaczyć i postaramy się wszystko wyjaśnić. Spodziewam się, że wszystko będzie dobrze, kiedy on powie mi, co wie. Muszę się jednak upewnić.

Rozumiesz mnie, prawda?

— Jesteś w nim zakochana, prawda? — powiedziała cicho Helen Twarz Elizabeth nic jednak nie wyrażała. — Jak możesz w niego wątpić, skoro go kochasz? Nie, wcale cię nie rozumiem — w jej głosie słychać było nuty rozdrażnienia. — Dlaczego nie chcesz mu zaufać?

Elizabeth stała sztywno, z ciasno splecionymi dłońmi. Pokiwała głową i wyszeptała:

— Po prostu nie mogę.

Mil siedział w cieniu ogrodu, tuż pod domem ciotki i wuja, czytając *The Independent*. Nagle pojawił się przy nim Hugo i opadł na fotel. Sre-brno-zielona krata z pnącymi różami oddzielała ich od innych, a wielkie terakotowe donice z białymi hortensjami i oleandrami stwarzały przyjemny chłód. Hugo nalał sobie mocnej kawy i dodał do niej mleczka. Na twarzy miał wyraz zadowolenia z całego świata, a szczególnie tej części w której on się znajdował.

— Właśnie rozmawiałem z Helen — oświadczył. — Zamierzamy zrezygnować z dzisiejszej podróży jachtem, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Mil uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Oczywiście. Nie dziwi mnie to. Helen nigdy nie lubiła żeglowania — powiedział Mil. — Jestem pewien, że znajdziecie ciekawsze zajęcie od siedzenia, jak Anglia spada na czwarte czy piąte miejsce. — Przez chwilę czuł żal, że straci towarzystwo Hugo, a ich przyjaźń zapewne zmieni się pod wpływem związku z Helen, ale otrząsnął się z tego zły na siebie. To był dzień triumfu Hugo i nie powinien go niczym zepsuć.

— Czy Liz przyjdzie? — rzucił. — Poprosiłem ją, żeby do nas dołączyła.

— Tak, przyjdzie — Hugo zawahał się. — Guillermo też. Dziewczęta uważały, że nie można go nie zaprosić, ponieważ zatrzymały się u niego, a on okazał się wystarczająco nietaktowny, by zaakceptować zaproszenie. Przez chwilę panowała cisza, a później Mil odezwał się:

— Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku. On zna się na żeglowaniu, prawda? Jeszcze jeden członek załogi może się przydać. Stanowimy niezbyt doświadczoną grupę — dodał.

Mil zachowuje się zupełnie tak — myślał Hugo — jakby wczorajszy dzień zupełnie się nie zdarzył, jakby bolesne godziny spędzone w barze były tylko produktem wypitego absyntu, jakby awantura w Ramblas nie miała miejsca. Zmarszczył brwi.

— Zamierzasz wszystko wyjaśnić Lizzie, prawda? — zapytał. Mil spojrzał na niego zdziwiony znad gazety.

— Oczywiście, przecież ci powiedziałem. Na pewno to załatwię.

Powrócił do czytania gazety i Hugo miał wrażenie, że został zmuszony do zamknięcia ust w sposób delikatny, ale stanowczy. Na pierwszej stronie *The Independent* było zdjęcie Sally Gunnell owiniętej flagą, dumnej zdobywczyni złotego medalu na 400 metrów przez płotki. Tuż pod zdjęciem tytuł kolejnego artykułu ostrzegał, że tendencja wzrostowa cen nieruchomości może zostać zahamowana. Wspaniale — pomyślał Hugo — właśnie teraz, kiedy tego najbardziej potrzebuję.

Sączył kawę, delektując się pięknem ogrodu, z fontanną wyrzucającą kaskady wody z ust tajemniczej, mitycznej istoty. Różowe poduszki kontrastowały z ciemnozielonym kolorem foteli stojących wokół okrągłych stołów, przykrytych różowo-białymi obrusami w kratkę z doniczkami białych cyklamenów na stołach. To było tylko małe miejsce pełne zieleni, ale miało się wrażenie, że za zielonymi kratami rozciąga się ogromny ogród. Potrzęsnał głową zastanawiając się, czy Helen mogłaby stworzyć dla nich coś podobnego z jego małego ogrodu na tyłach domu w Londynie. I naturalnie jego myśli potoczyły się tym torem.

— Właśnie zaczęliśmy się zastanawiać z Helen, czy nie nadszedł właściwy czas na znalezienie domu. Moglibyśmy poszukać czegoś w Kent. Blisko jej rodziny i ciebie. — Przerwał zakłopotany widząc, że Mil uporczywie wpatruje się w gazetę, jak gdyby ignorował to, co mówił Hugo. Zauważył, że dłonie Mila zaciskają się kurczowo na dzienniku.

— Zresztą nie musi to być... Boże! Już tak późno? Muszę już lecieć,

201

bo spóźnię się na spotkanie z Helen. — Wstał, zawahał się, a później poklepał Mila po ramieniu. — A więc do zobaczenia. Bawcie się dobrze na jachcie — mruknął i ruszył ku drzwiom.

— Zaczekaj, Hugo. Przepraszam cię, ale nie słyszałem, co mówiłeś. — Przerwał. — Charlie Stein nie żyje... — Westchnął i złożył gazetę.

— Co? — zapytał Hugo? — Jaki Charlie?

— Stein. Przyjaciel Liz.

— Dobry Boże! Co się stało?

— Zawał serca. Jeszcze jeden cholerny zawał. — Mil podniósł bezwiednie dłoń ku ustom. Na chwilę zamknął oczy.

— Cholera — jęknął.

— Myślisz, że Lizzie już wie? — zastanawiał się głośno Hugo. Mil spojrzał na niego.

— Raczej nie. Zadzwoń do Helen, proszę. To ostatnia rzecz, jaką Liz powinna przeczytać w gazecie — zażądał Mil wstając i popychając Hugo w kierunku telefonu w małym salonie. — Na miłość boską, Hugo, pospiesz się.

Było już za późno. Elizabeth siedziała w jednym z małych barów na *barri Gottic*, w pobliżu muzeum Picassa, czekając na osobę poleconą jej przez Charliego Steina i czytała angielskie gazety spiętrzone przed nią na stole. A raczej udawała, że je czyta. Widziała już artykuł mówiący o śmierci Charliego i teraz nic już do niej nie docierało. Rozmawiała przecież z Charliem dwa dni temu i wydawało się, że czuł się dobrze. Jak to się, do diabła, stało, że teraz był martwy? Jak?

Spojrzała zdziwiona, gdy jakiś mężczyzna podszedł do jej stolika i usiadł na krześle obok niej. Miał około czterdziestki, lekko przerzedzone, ciemne włosy, nieco podpuchnięte, półprzymknięte oczy przyzwyczajone do przesiadywania do późna. Palił papierosa. Jego skóra miała niezdrowy szary kolor, widoczny pomimo opalenizny. Ubrany był w koszulę z krótkim rękawem i letnie spodnie, które większość Hiszpanów nosiła zamiast regularnych garniturów. Sportową marynarkę miał przewieszoną przez ramię. Wyciągnął do niej dłoń.

— Seniorita Barrett? Nazywam się Carlo Abello. — Kiedy mówił i uśmiechał się, jego twarz nabierała niespodziewanego uroku.

Elizabeth patrzyła na niego. Powoli jego dłoń opadła.

— Czy dobrze się pani czuje, panno Barrett? — Zawołał kelnera, zamawiając sok pomarańczowy i jeszcze jedną kawę. Oczekiwał na odpo

wiedź Elizabeth. Spojrzała na niego wykrzywając twarz w uśmiechu. Wyglądało to raczej na grymas.

— Tak, mniej więcej w porządku.

— A więc już pani wie? — zapytał Abello i pokiwał smutno głową, uderzając lekko dłonią w gazetę. Westchnął. — Przykro mi. To nie jest przyjemne dowiedzieć się o śmierci przyjaciela z gazety. Przynajmniej może się pani pocieszyć faktem, że to była szybka śmierć — mruknął.

— Zawał serca? Prawdziwy? Czy są jakieś wątpliwości? — zmusiła się do zadania tego pytania. Zastanawiała się jednocześnie, ilu ludzi, których zna i szanuje, musi jeszcze umrzeć, zanim ta cała sprawa zostanie rozwiązana. Abello uniósł brwi patrząc na nią zdumiony.

— Umarł w łóżku. Żona zadzwoniła na pogotowie, ale już nie żył, kiedy przyjechali. Telefonowałem dzisiaj do niego, żeby z nim porozmawiać, i jego żona mi to powiedziała. Przykro mi.

— Dzięki Bogu przynajmniej za to — westchnęła i ból jej nieco zmalął. Abello patrzył na nią jeszcze bardziej zdziwiony. Rozłożyła dłonie, jakby chcąc powiedzieć, że wszystko wytłumaczy, ale opadły. Była zbyt wyczerpana, żeby się nad tym zastanawiać. — To był okropny tydzień — powiedziała w końcu ochrypłym głosem.

— Proszę wypić kawę — powiedział odbierając filiżanki od kelnera i stawiając je na stole. — I proszę zacząć powoli od samego początku. Jak opowie mi pani wszystko, powiem, czy mogę pani pomóc, czy nie.

— Przepraszam — otarła łzę, która spłynęła jej po policzku. — To dlatego, że Charlie i ja...

— Wiem wszystko o Charliem i pani. — Abello uśmiechnął się. — Mówił o pani za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżał.

Pijąc z przymusem kawę, Elizabeth wpatrywała się w sztuczny kwiat stojący na stole.

— Czuł, że staje się dla pani za stary — powiedział cicho Abello wzruszając ramionami. — Uważał, że powinien dzielić swoje stare lata z żoną i nie obciążać pani przedwcześnie kłopotami starzejącego się człowieka. — Jego twarz była pełna współczucia, kiedy patrzył, jak Elizabeth zamyka oczy na długą chwilę i ociera łzy. Kiwnęła głową.

— W porządku — powiedziała ochrypłym głosem — w takim razie powiem panu całą resztę.

— Dobrze, ale najpierw, czy mogłaby mi pani powiedzieć, bez specjalnego rozglądania się, kim może być ten wysoki mężczyzna? Stoi tuż

za placem — czerwona parasolka, ciemne włosy, biała koszula, niebieskie dżinsy. — Abello sączył sok pomarańczowy, a Elizabeth udawała, że układa gazety. Westchnęła z irytacją.

— Guillermo Campostella. Sądzi, że powinien dbać o to, żebym nie wplątała się w żadne kłopoty. Był trochę rozdrażniony dzisiaj rano, kiedy powiedziałam mu, że muszę załatwić prywatne sprawy. — Wzruszyła ramionami.

— Niestety nie zwróciłam uwagi na to, czy ktoś mnie śledzi. Proszę się nie martwić, jest nieszkodliwy.

— Rzeczywiście? W takim razie proszę mi powiedzieć, dlaczego patrzy na mnie, jakby miał zamiar mnie zamordować? — Abello uśmiechnął się szeroko, zapalając kolejnego papierosa i opierając się wygodnie na krześle.

— A może uważa, że ma we mnie przeciwnika?

— Konkurenta? Nie, Guillermo nie jest mną zainteresowany. Jest zakochany w Nieves...

— Nieves...? Nieves March? — Abello był wyraźnie zaciekawiony.

— Tak. Ona właśnie ma się zaręczyć z Jose-Marie Jimenez-Clarem. Guillermo jest tym trochę zdenerwowany.

— Proszę, proszę — Abello uśmiechnął się — ten świat jest jednak mały. Chyba znam tego Guillerma. — Roześmiał się głośno. Elizabeth piła kawę i obserwowała go.

— Więc może także zna pan inne postacie występujące w tej farsie? Na przykład lorda Rochforda?

— Ma pani na myśli wydarzenia, które określano jako gwałt?

— Czy to był gwałt?

— Nie. — Abello wzruszył ramionami. — Guillermo ma zbyt bujną wyobraźnię i umiejętność wmawiania sobie różnych faktów. Słyszałem o tym od przyjaciela w Madrycie, który był zatrudniony przez rodzinę Marchów, aby trzymać od nich z daleka Campostellę.

Elizabeth westchnęła z ulgą.

— Proszę mi o tym opowiedzieć.

Chris Masters zastanawiał się, czy miało sens wyjaśnianie Russellowi całej prawdy. Nie będzie chciał tego słyszeć. Ludzie jego pokroju nigdy nie słuchają. Będzie się rzucał i wrzeszczał, będzie złośliwy i sarkastyczny, rzuci mu w twarz argumenty klasowe i finansowe, a prawdopodobnie w ogóle mu nie uwierzy. Masters nie był tego pewien, ale postanowił, że musi spróbować. Może w ten sposób Russell otworzy się i wy-

jawi, kto go nakłania, żeby występował przeciwko swojemu bratu, podważał jego autorytet, szacunek, jaki miał w kołach biznesu. Masters wiedział, że Russell nie mógł sam wymyślić tego planu. Przynajmniej nie tego wszystkiego, co się działo w Hiszpanii. Zbieg przypadków był zbyt duży. A Russell nie był wystarczająco inteligentny na taki plan. Nie, musiał stać za tym ktoś inny.

A ten ktoś mógł stanowić ogniwo, które pozwoliłoby Mastersowi powiązać kuzyna Rochforda z całą tą ciemną sprawą. Mógłby w końcu walczyć z konkretną osobą, a nie tylko teoriami. Annette niechętnie przyznała się do powiązań z Russellem, a Russell musi znać tego człowieka. Masters wzruszył ramionami i zmusił się, aby zadzwonić do drzwi. Było to przyjemne mieszkanie niedaleko od Clapham Common. W oknach ktoś zasadził kwiaty. Ich kolorowe pąki ożywiały szarość budynku.

Zwykle tak nie postępował. Wykrywał tylko brudy, a klient musiał sam sobie z tym radzić. Ale Rochford miał wystarczająco dużo kłopotów w Hiszpanii. Powiedział Mastersowi przez telefon, że potrzebuje kogoś, kto zająłby się Russellem, przekonał go, że małżeństwo jego rodziców nie było ważne, że była to udawana ceremonia. Udzielił jej student teologii, kumpel Jamesa Rochforda z czasów uniwersyteckich i w związku z tym Russell nie może rościć sobie żadnych praw.

Chciał, żeby Masters wyjaśnił to, a jednocześnie podkreślił, że lord Rochford uznaje ich pokrewieństwo, przedstawi Russella rodzinie i wprowadzi do biznesu, postara się lepiej poznać brata i że ma nadzieję, iż przyszłość dobrze się ułoży. W zamian za niewielką pomoc.

Rochford nie próbował nawet nakłaniać Mastersa, żeby mu pomógł, ale Masters wyczuł w jego głosie rozpacz, która go przekonała.

Kiedy drzwi otworzyły się w końcu, Masters był zdziwiony widokiem Russella. Podobieństwo było uderzające.

Wydawało się, że stoi przed nim gorsza kopia George'a Rochforda, w dzinsach i poplamionej koszuli, z przetłuszczonymi włosami opadającymi na jedno oko, z bosymi stopami. W jego spojrzeniu było coś, co mówiło, że został oszukany przez życie, a Masters pomyślał, że rzeczywiście coś w tym było.

— Mam dla ciebie złe wieści, słoneczko — powiedział Masters i postawił nogę na progu. — Więc lepiej skorzystaj z tego, co mam ci do zaoferowania. Bo właściwie nie masz wyboru. — Masters nie był zdziwiony, kiedy Russell otworzył usta tylko po to, by powiedzieć mu, żeby się wynosił.

I wtedy z ciemności przedpokoju wyszła Annette i objęła Russella.

— Zaczekaj, Trev, zobaczmy, co on ma do powiedzenia, dobrze? Nigdy nie wiadomo. — Położyła swój piękny podbródek na jego ramieniu. Mimo że była tak jak Russell ubrana w dżinsy i podkoszulek, wyglądała zupełnie inaczej, jakby pochodziła z wyższej klasy, chociaż to jego ojciec, a nie jej był szlachcicem. Masters zastanawiał się, co ona w nim widziała. Russell wahał się przez chwilę, a później skinął głową.

— Daję ci dwie minuty. Nie więcej.

Rozdział dwunasty

Jacht był większy, niż Elizabeth się spodziewała, miał około dwudziestu metrów długości. Jego piękno, siła i elegancja zachwyciły ją, chociaż na nikim innym nie wywarły najmniejszego wrażenia. Niemal odwołała tę wyprawę, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z przygnębienia po śmierci Charliego. Coś jej mówiło jednak, że powinna przyjść i wysłuchać Mila. Może wtedy będzie mogła odpocząć.

Jacht mknął po falach w orzeźwiającym wietrze, a ogromny żagiel utrzymywał go na kursie. Elizabeth stała tuż przy kokpicie, trzymając się mocno olbrzymiego stalowego kołowrotu. Fale uderzały w górną część burty jachtu, spływając na pokład. Patrzyła na morze z podziwem i lekkim przerażeniem.

— Osiem węzłów! — zawołał wesoło Jorge, kapitan i właściciel jachtu. Jego rozdrażnienie wynikające ze zbyt późnego wyjścia z portu topniało powoli, kiedy stawiał kolejne żagle nadając jachtowi coraz **większą** prędkość. — Zapowiada się niezła pogoda na żeglowanie. Wiatr **jest doskonały**. Powinien niezłe dmuchać. Około 5, 6 stopni w skali **Beauforta**. — Uśmiechnął się do swoich pasażerów, nie zauważając grymasów **niepewności** u niemal połowy z nich, kurczowo trzymających **się** olinowania. Kilka kobiet już zbladło i wyglądało okropnie. Elizabeth **nie** pamiętała nawet, jak Jorge ma na nazwisko. Przedstawiał się każdemu w pośpiechu, poganiając ich i rzucając cumy staremu człowiekowi **na nabrzeżu**.

Do kanału wpłynęli na silniku, zanim jeszcze rozwinęli główny żagiel. Mil natychmiast zatrudnił Guillerma na jachcie. Nie miał czasu na więcej, niż tylko niepewny uśmiech posłany Elizabeth przez zatłoczony kokpit. Jego złote włosy powiewały na wietrze, a opalenizna i ciemnoniebieskie oczy żywo kontrastowały z bielą podkoszulka. Elizabeth przypomniła sobie tęsknotę, jaką odczuwała za nim jako dziecko, pragnienie, które drgało w niej, gdy obserwowała jego pełne wdzięku ruchy. Niemal przerażona tymi myślami, zmusiła się do odwrócenia wzroku i patrzenia na morze, trójkątne żagle, które widniały na horyzoncie. Wiedziała, że powinna pamiętać o wszystkich faktach, które przemawiały przeciwko niemu, odnosić się z nieufnością do wyjaśnień, jakie od niego usłyszy. Myślała jednak tylko o tym, jak bardzo pragnie, by okazał się niewinny.

Gwałt, którego rzekomo dopuścił się Mil, był tylko wytworem chorej wyobraźni Guillerma. Być może wszystko inne też jest nieprawdą? Ale czy na pewno? — odezwał się w niej cyniczny głos.

Teraz cieszyła się szybkością i siłą jachtu mknącego po falach. Wiatr był bardzo silny, załoga krążyła po pokładzie pomiędzy pasażerami, rozwijając i nawijając liny, zabezpieczając części kołowrotu, spiesząc do uwolnienia splątanych żagli. Elizabeth nie znała się na żeglarstwie i mogła tylko zgadywać, co robili. Kiedy dopłynęli do innych jachtów, w pobliżu linii startu, krążąc wokół kolorowych boi i innych łodzi, wydawało się, że trafili na spokojniejszą część morza. Żaglowiec wyprostował się i zaczęli spokojnie płynąć po wyznaczonym kursie.

Mil sprawdzał właśnie trasę na mapie, dyskutując z kapitanem o głębokościach i mieliznach, a Guillermo wiązał luźne liny wokół kołowrotu. Inny członek załogi — Tomeo, walczył na pokładzie dziobowym z to-penantą, która jak zauważyła Elizabeth, wznosiła bom nieco wyżej. Mercedes, jego dziewczyna, stała obok z pobladłą twarzą i oczami utkwionymi w horyzoncie.

— Dobrze się czujesz? — zapytała i dziewczyna uśmiechnęła się do niej słabo.

— Za chwilę wszystko będzie w porządku. Po prostu nienawidzę tych chwil, kiedy jacht mknie z pełną szybkością. Poczuję się lepiej, kiedy przyzwyczaję się do tego. — Zdawała się traktować z przymrużeniem oka swoją chorobę morską. Elizabeth zastanawiała się, czy mężczyźni warci są takiego poświęcenia. Ale wrócił Tomeo, usiadł obok Mercedes i delikatnie pogładził ją po szyi. Elizabeth musiała odwrócić się gwał-

townie, tak intymne wydawało się jej ich zachowanie. Cóż, widocznie dziewczyna uważała, że on jest tego wart, a Elizabeth czy powinna to osądzać? Znała Tomea z czasów dzieciństwa i nie lubiła go, ale to nie wystarcza... Nagle przypomniała sobie srebrną zapalniczkę i jej oczy zwięzły się lekko. Dlaczego znalazła się w mieszkaniu Guillerma? Z ulgą zauważyła, że czuje się równie dobrze, jak podczas poprzedniego rejsu. Wówczas płynęła z bardziej doświadczoną załogą. Tym razem mogło być zupełnie inaczej. Guillermo, w końcu zadowolony z gładkości żagli, podszedł do niej z uśmiechem. Objął ją ramieniem i widać było, że doskonale się bawi. Jak małe dziecko potrafił zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnościach, widząc nową zabawkę. Uśmiechnęła się do niego lekko.

— Dużo żeglowałeś? — zapytała raczej z grzeczności niż zainteresowania, ale musiała wysłuchać długiego monologu o wszystkich wspaniałych wyścigach, w których Guillermo uczestniczył i w których zdobywał główne nagrody. Czy to było szaleństwo? Czy też Guillermo był po prostu dziwny? Kiwała głową od czasu do czasu, udając, że słucha go uważnie, ale jej myśli były zajęte czym innym. Jej oczy poszukiwały Mila, a później spojrzenie zwróciła ponownie w stronę morza.

Wokół nich pływały jachty z różnokolorowymi pokładami, klaksony i dźwięki rogów przeplatały się hałaśliwie, słychać było wybuchy śmiechu i nawoływania. Elizabeth nie miała pojęcia, gdzie znajduje się linia startu ani jakiej klasy jachty brały udział w zawodach. Nigdy nie widziała jednocześnie tak wielu różnych łodzi ani takiego pozorowanego bałaganu. Wytłumaczyła sobie logicznie, że coś się w końcu zacznie dziać. Zwróciła twarz w kierunku słońca, zamykając oczy i postanawiając czekać na ciekawsze wydarzenia.

Kiedy ponownie je otworzyła, przekonała się, że nie ma już obok niej Guillerma. Stał teraz dumny na pokładzie, w czapce kapitańskiej, jego twarz rozjaśniał uśmiech, a oczy patrzyły wokół szukając podziwu. Odwróciła się zażenowana jego ciągłym poszukiwaniem aplauzu. Drgnęła, kiedy Mil dotknął jej ramienia.

— Chodź na dziób jachtu — mruknął. — Stamtąd lepiej widać. — Wyszedł z kokpitu i nachylił się, aby podać jej dłoń, prowadząc ją przez wąski pokład na dziób jachtu. Elizabeth była zdziwiona, jak wiele tam było miejsca. Rzeczywiście była to miła odmiana po zatłoczonym kokpicie. Z westchnieniem ulgi oparła się o pokrywę luku. Mil usiadł obok niej i patrzył spod wpolprzymkniętych powiek na startujące łodzie. — Zaraz się

15 — Zraniona duma

225

zacznie — powiedział, jakby nie mieli ciekawszych tematów do rozmowy od rozpoczynających się zawodów. Elizabeth zmarszczyła brwi.

— Co sie zacznie?

— Popatrz tam — wskazał palcem na smukły jacht liczący około dwudziestu pięciu, trzydziestu stóp, ustawiający się na linii startu. — Ten startuje o drugiej. Mam nadzieję, że nasza załoga zdobędzie dobre miejsce. Duńczycy i Amerykanie będą walczyli o złoty medal, ale my też mamy niezłą załogę — Smith, Cruickshank i Stewart. Mam nadzieję, że uda nam się wywalczyć brąz.

Obserwował ją, kiedy przyglądała się łodziom, czując, jak budzi się w nim pożądanie. W jasnym, złotym świetle skóra Lizzy wydawała się lekko brązowa, a oczy jak wody strumieni w Szkocji. Pragnął, żeby odwróciła się do niego z uśmiechem, ale ona zdecydowała, że będzie patrzyła wszędzie, byle nie na niego.

Kiedy zabrzmiał wystrzał armaty i pierwsze łodzie wystartowały, zapadła cisza. W końcu, jakby nie mogąc znieść dłużej milczenia, Elizabeth odezwała się:

— Co się dzieje, Mil? Powiedziałeś, że mi to wszystko wyjaśnisz. — Przerwała, kiedy na pokładzie pojawili się Tomeo i Mercedes, rozłożyli się na słońcu i zaczęli coś do siebie szeptać. Mil patrzył na nich smutno.

— Nie tak łatwo to wyjaśnić— zaczął niepewnie.— Tak wiele się dzieje, że sam nie mogę za wszystkim nadażyć. — Jego głos był słaby i Elizabeth natężyła słuch, aby usłyszeć go poprzez łopotanie żagli i dźwięk klaksonów. — Ale przede wszystkim chciałem powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro z powodu Charliego Steina. To musiał być dla ciebie szok.

Patrzył na morze, opierając dłonie na kolanach. Później, jakby z przymusem spojrzął na nią. Ich oczy spotkały się i wyczytała w nich ból, który pojawił się ze względu na nią, dlatego że została skrzywdzona i cierpiała. Zdołała odwrócić spojrzenie i wyszeptać podziękowanie ochrypłym głosem.

To zdrada— powiedziała do siebie. Charlie nie żyje, a ty nawet nie odczuwasz smutku, dajesz się zwieść pozorom uczciwości, wystudiowanej troskliwości, które, prawdopodobnie, są równie fałszywe jak wszystko dookoła. Kiedyś kochałaś Mila, ale to nie powód, aby sądzić, że wciąż jest tym samym człowiekiem — jeżeli rzeczywiście znałaś go kiedykolwiek.

— Chcę, żebyś mi powiedział o SolconMar — nalegała, nie zważając na jego mocno zaciśnięte wargi. Nie patrzyła na niego, ale usłyszała, że westchnął ciężko.

— A więc to już wiesz, tak? Cóż... dobrze. To była jedna z firm podległa Ventanie, głównie zajmująca się skupowaniem nieruchomości, realizacją projektu, w który zaangażował się mój kuzyn Jose-Marie. Pożyczył ogromne sumy, żeby sfinansować nabywanie gruntów. Problemy zaczęły się, kiedy niektórzy właściciele nie chcieli mu sprzedać swoich nieruchomości.

Przerwał, jakby namyślając się, i wzruszył ramionami.

— Większość właścicieli zgodziła się na wyższą cenę. Ale pewna stara kobieta... — posłał jej spojrzenie — Marisa, odmówiła sprzedaży. Nie wiedziałem, że jej grożono, aby ją skłonić do sprzedaży. Tak nie powinno być stać. — Odkaslnął. — W każdym razie spłata odsetek kosztowała zbyt dużo i zacząłem nalegać na to, aby sprzedać firmę, jako że znaleźliśmy kogoś, kto chciał ją nabyć po uczciwej cenie. Marisa umarła tego samego dnia, ale transakcja już się odbyła. Straciliśmy na tym wiele. — Zauważył, że Elizabeth poruszyła się gwałtownie, jakby nie potrafiąc opanować wzburzenia.

— Mil, wiem doskonale, że Ventana wciąż jest właścicielem SolconMar— przerwała mu ostro. — SolconMar ma co prawda inny zarząd, ale tego samego głównego akcjonariusza... ciebie. — Widziała, jak ogarnia go wściekłość.

— O czym ty mówisz, Lizzie? To zupełna bzdura— warknął. Elizabeth roześmiała się.

— Dobrze wiem, o czym mówię. Widziałam dzisiaj rano rejestr akcjonariuszy. Więc może wyjaśnisz to nieco głębiej? — starała się znaleźć powód jego kłamstwa.

Ale Mil nie patrzył na nią. Spoglądał na inne łodzie, które pozostały w tyle, na czyste morze, po którym płynął jacht. Tomeo spał na pokładzie po nocy spędzonej na promie z Majorki, a jego dziewczyna leżała obok. Kiedy Mil spojrział na kokpit, zauważył, że Jorge, właściciel jachtu, odszedł gdzieś i tylko Guillermo pozostał przy kole sterowym. Wstał gwałtownie i ignorując Elizabeth, ruszył szybko w kierunku rufy, sprawdzając kompas i patrząc z niepokojem na sondę głębinową. Nic nie wskazywało, żeby ktoś ją wyłączył.

Uderzył w nią dłonią i klnąc wściekle, krzyknął do Guillerma, aby powrócił na kurs, ale Guillermo zawahał się. Mil sięgnął po koło sterowe, odtrącając go i krzyknąwszy ostrzegawczo, zakręcił gwałtownie kołem w lewo.

— Będziemy musieli przerzucić żagiel! — krzyknął do Jorge, który

pojawił się na pokładzie i jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Natychmiast zaczął ściągać grot, co miało doprowadzić do tego, by bom przeleciał na drugą stronę. Krzyknął do Guillerma, aby zajął się kliwrem. Ale Guillermo wpadł w panikę, nie wiedząc zupełnie, co się wokół niego dzieje, i kiedy bom przeleciał na drugą stronę, kliwer pozostał po niewłaściwej stronie, uniemożliwiając zakończenie manewru.

Jachtem zakręciło w miejscu i prąd zaczął ich znosić na mieliznę. Sonda głębinowa wydawała alarmujące dźwięki, głębokość pod kilem zmniejszyła się niebezpiecznie, Guillermo wciąż zastanawiał się, co ma robić, podczas gdy wokół niego słychać było komendy, które ignorował.

Czwarty z załogi — Tomeo — przybiegł z dziobu i rzucił się na żagle, odwijając je. Kliwer rozwinął się, a główny żagiel wściekle łopotał o stalowe wanty. Mercedes rzuciła się na pokład i zakryła twarz rękami. Mil zostawił na chwilę koło sterowe i rzucił się do żagli, walcząc z nimi zapamiętale. Jorge ruszył mu na pomoc. Wspólnymi siłami udało im się uspokoić żagiel.

Po takim manewrze Elizabeth znalazła się w niebezpieczeństwie. Widziała, jak żagiel leci prosto na nią. Uderzył ją, a stalowa lina przygwoździła dziewczynę do metalowej wanty.

Starła się krzycząc, odpychając linę, która mocno ją oplątywała. W każdej chwili wiatr może wypełnić kliwer — myślała. Walczyła z całych sił. Mercedes podczołgała się do niej, próbując jej pomóc. Elizabeth czuła, jak lina wżyna się w gardło, dusząc ją. Zdawała sobie sprawę, że jeśli kliwer wypełni się wiatrem, przetnie jej gardło. Mercedes krzyczała przeraźliwie. Nadbiegł Tomeo, odepchnął żagiel od Elizabeth i przerzucił nad jej głową, popychając ją brutalnie na pokład. Wiatr wypełnił kliwer. Jachtem szarpnęło gwałtownie. Tomeo starał się przytrzymać dziewczęta na pokładzie, wczepiony stopami pomiędzy metalowe obramowanie luku i otworu wentylacyjnego. Wiedziały, że od jego siły zależy ich życie.

Powoli łódź zaczęła się wyprostowywać, powracając na głębszą wodę. Leżeli wciąż na pokładzie. Elizabeth czuła, jak coś pali ogniem jej gardło. Kiedy uniosła dłoń do szyi, wyczuła ranę, tam gdzie lina przetała miękką skórę. — Jezu Chryste, co się stało? — zapytał Tomeo. Guillermo podszedł do nich i klęknął przy Elizabeth dotykając delikatnie szyi.

— Arogancki dureń, za kogo on się uważa? — zaklął Guillermo. — Miałem wszystko pod kontrolą. To był najbardziej niebezpieczny manewr,

jaki kiedykolwiek widziałem. — Dziewczęta patrzyły niepewnie, widząc furię na jego twarzy. — Widziałeś to, Tomeo? Co on sobie, do diabła, wyobrażał? — Kiedy Tomeo wzruszył ramionami, Guillermo rozłożył ręce w wieloznacznym geście. Elizabeth zamknęła oczy i westchnęła.

Kiedy ponownie je otworzyła, Mercedes dotykała jej ramienia, ignorując całkowicie oskarżenia Guillerma.

— W porządku? Mój Boże, to straszna rana. Możesz oddychać i poruszać szyją? — Kiedy Mercedes wyrażała swoje zaniepokojenie, Guillermo wciąż przeklinał. Nagle zamilkł widząc nadchodzącego Mila.

— Idzie do nas ten bohater, pokazać, jaki jest wspaniały — wymruczał do Elizabeth. — Mogłaś zginąć i to by była jego wina. Wiedział, że jesteś w najbardziej niebezpiecznym miejscu, jak na taką zmianę żagla. — Elizabeth spojrzała na Guillerma, a jego słowa wryły się głęboko w jej pamięć.

— Czy to była jego wina? — wyszeptała ochryple do Mercedes, która wzruszyła ramionami zakłopotana.

— Nie wiem, nie jestem pewna. Spałam, kiedy to się zaczęło. — Przerwała na chwilę i dodała szybko: — Mil jest bardzo dobrym żeglarzem. Z pewnością dobrze wiedział, co robi, nie martw się. — Ale to właśnie niepokoiło Elizabeth. Spojrzała mu w oczy, widząc, jak się rozszerzają z przerażenia na widok rany.

— Niewiele brakowało, Mil — mruknęła ironicznie, kiedy ukląkł obok niej, nie zważając na wściekłość Guillerma i zakłopotanie Mercedes i Tomea. Dotknął zimnymi palcami jej gardła.

— Przepraszam. Gdybyśmy nie zmienili kursu, przedziurawilibyśmy dno łodzi. Ostrzegłem wszystkich, myślałem, że słyszałaś. — Słowa wydobywały się z niego z trudem, jego oczy patrzyły z przerażeniem na ranę. A może tylko udawał — zastanawiała się Elizabeth. Może postanowił zamknąć jej usta na zawsze, to byłby wypadek, tragiczny, ale... kto mógłby cokolwiek podejrzewać? W jej oczach odbiło się zwątpienie i strach. Dłonie Mila opadły, a usta zacisnęły się w cienką, białą Unię.

Spojrzał na Mercedes.

— Zabierz ją na dół. W apteczce jest balsam łagodzący ból. — Odwrócił się, powracając do koła sterowego. Od strony nabrzeża płynęła do nich łódź patrolowa, z głośnym wyciem syreny.

— Przekroczyliśmy linię zawodów — szepnął Tomeo do Mercedes. Elizabeth spojrzała na niego zdziwiona, a później jej wzrok pobiegł za Milem.

— A więc nie miał wyboru? — zapytała, ale Tomeo już odszedł, obok niej stał tylko rozzłoszczony Guillermo, jakby postanowił bronić jej za wszelką cenę. Mercedes uśmiechnęła się boleśnie.

— Może tak, może nie. — Mercedes wzruszyła ramionami — Jorge będzie wiedział. Musisz jego zapytać.

Ale Elizabeth nie miała okazji zapytać Jorge, który był zbyt zajęty usprawiedliwianiem się przed władzami portu, kiedy odholowano ich na nabrzeże. Została na dole, odpoczywając i starając się przekonać Guillerma i Mercedes, że czuje się dobrze i rana nie przyniesie poważniejszych konsekwencji. Żadne z nich jej nie uwierzyło i była porządnie zmęczona, kiedy w końcu wyszli na ląd. Zimne instrukcje Mila, żeby zabrano ją do namiotu medycznego, nie wpłynęły kojąco na jej samopoczucie.

Zniknął wraz z Jorge, aby stanąć przed komisją dyscyplinarną. Tomeo i Mercedes, po dopilnowaniu, czy została bezpiecznie doprowadzona pod opiekę lekarzy, oddalili się sprawdzić, czy im samym nic się nie stało. Tylko Guillermo z nią pozostał, mimo że wcale nic chciała go widzieć. On był tą osobą, która powinna stanąć przed komisją dyscyplinarną.

— Dzisiaj wieczorem jest przyjęcie u señora Osunasa — zauważył, jakby zupełnie nie zdając sobie sprawy, że chciała zostać sama. — W imieniu nas wszystkich przyjąłem zaproszenie. Z pewnością będziesz chciała tam pójść, można usłyszeć wiele ciekawych rzeczy na tego rodzaju zgromadzeniach. Będą tam ludzie, którzy znają Tomea, Jose-Marie i Mila. Myślę, że powinnaś pójść.

Potrząsnęła głową, zastanawiając się, co się dzieje z Guillermem, dlaczego czasami tak bardzo jest pozbawiony wrażliwości.

— Nie sędzę. Nie czuję się zbyt dobrze...

— *Claw que no* — przerwał jej — oczywiście, że nie w tej chwili. Ale za kilka godzin poczujesz się lepiej. To tylko małe zadrapanie. Nic się właściwie nie stało. Oczywiście mogłaś zginąć — dodał — jeżeli chcesz, zrobimy prześwietlenie, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

— Nie sędzę, żeby to było konieczne. Trochę mnie boli, to wszystko. Ale czy naprawdę sędzisz, że Mil mógł próbować mnie skrzywdzić? Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć? — Zamknęła oczy, nie chcąc słyszeć jego odpowiedzi, przez co umknęło jej uwadze wahanie i badawcze spojrzenie, które rzucił.

214

— Nie wiem, Lizzie. Naprawdę nie wiem. To było szaleństwo zmieniać żagiel w ten sposób. Rzeczywiście zboczyliśmy z kursu, przyznaję. Ale Mil źle go wyznaczył. A poza tym ktoś wyłączył sondę głębinową. Nie

zauważyłem, że tak bardzo oddaliliśmy się od innych. Nagle on rzucił się na mnie i wyrwał mi koło z ręki. To było szaleństwo, mieliśmy jeszcze wystarczająco dużo miejsca na taki manewr. Zapytaj Tomea. Więc... dlaczego to zrobił? Może starał się popisać przed tobą? A może... próbował cię przestraszyć? Nie wiem.

To co mówił, brzmiało logicznie. Elizabeth chciała za wszelką cenę odrzucić wszystkie swoje podejrzenia czy wątpliwości, uwierzyć w cokolwiek z płataniny kłamstw, które ją otaczały. Jak mogła dać wiarę słowom Guillerma wiedząc, że kłamał o gwałcie. Czy powinna jednak uwierzyć Milowi, wiedząc, co zrobił ze SolconMar? Ból głowy stawał się coraz bardziej natarczywy.

— Dlaczego mnie dzisiaj śledziłeś? — zmusiła się, by usiąść. Delikatne kości jej szyi wyraźnie odczuwały ciężar głowy.

Guillerma przeszedł dreszcz.

— Nie wiedziałem, że mnie zauważyłaś — odpowiedział.

— Ale zauważyłam. Więc dlaczego?

— Żeby się upewnić, czy jesteś bezpieczna. *Como que no?* — Otworzył szeroko oczy, jakby nie wierząc, że mogła pomyśleć coś innego.

Elizabeth westchnęła i postawiła nogi na ziemi.

— Dobrze, w takim razie zawołaj taksówkę, żebym mogła wrócić do domu i położyć się. Będę mogła jaśniej pomyśleć, kiedy będę daleko stąd — i nie będzie możliwości zobaczenia Mila, chciała dodać, ale instynktownie wyczuła, że nie powinna informować Guillerma o swoich uczuciach. — A ty lepiej dołącz do pozostałych i wyjaśnij, co się stało.

— Oczywiście. Ale pojedziesz prosto do domu, tak? Bez żadnych niebezpiecznych wycieczek? Powinnaś poleżeć i odpocząć przed wieczorem. Może uda nam się czegoś dowiedzieć. — Uśmiechnął się widząc wyraz jej twarzy i pomógł jej wstać. — Grzeczna dziewczynka. Jeszcze ich dopadniemy.

— Ich? — przerwała mu, kiedy uśmiechnął się do niej.

— Mila i Jose-Marie oczywiście. Kogóż by innego?— Rzeczywiście, kogo by innego?—zastanawiała się wychodząc z namiotu. Kogo innego — myślała czując w kieszeni ciężką srebrną zapalniczkę. Oczywiście. Kogo innego, skoro Guillermowi nie można ufać. Wyrwała się z jego objęć.

— Dowiesz się, co się stało?

— Oczywiście, Lizzie, możesz mi zaufać. — Uśmiechnął się. — Wierz mi.

Telefon dzwonił natarczywie, kiedy Mil otworzył drzwi do mieszkania wujostwa i wszedł do chłodnego pomieszczenia. Pokojówka Juana zamknęła częściowo okiennice, by utrzymać chłód w mieszkaniu. Udawało się to dzięki grubym kamiennym ścianom budynku i terakotowym podłogom. Mil podniósł słuchawkę i warknął:

— *Diga?*

— Mówi Masters. Czy to lord Rochford?

— Tak — powiedział spokojniejszym głosem, jakby oczekiwał kogoś innego i teraz częściowo odczuwał ulgę, a częściowo rozczarowanie. — Co pan ma dla mnie?

— Dwa nazwiska. Pana brat okazał się bardziej sensownym człowiekiem, niż mogliśmy się tego spodziewać. Oczywiście mogła wpłynąć na niego Annette, która jest w doskonałej komitywie z pana bratem. Ta dziewczyna jest bardzo inteligentna. — Mil słuchał niecierpliwie, kiedy Masters opowiadał mu, jak bardzo Russell okazał się skłonny do współpracy i czego oczekiwał w przyszłości. — Chce ładnego domu, samochodu, dobrej pracy w rodzinnym biznesie z możliwością zrobienia kariery. Wydawało mi się, że pan już i tak rozważał zaoferowanie mu tego wszystkiego, więc wyraziłem zgodę. Czy to w porządku?

— Tak... tak, oczywiście. Na tyle przynajmniej zasługuje, biorąc pod uwagę fakty. Ale co to za nazwiska? — Wstrzymał oddech, niezbyt zdziwiony pierwszym z nich. Chisholm, człowiek, którego zwolnił z pracy kilka miesięcy temu za defraudowanie pieniędzy firmowych. Ale jak usłyszał drugie nazwisko, poczuł się skonsternowany. Nie zdziwiony, ale skonsternowany. — A więc jest tak, jak przewidywaliśmy. Cóż, w takim razie nie ma wyboru.

Odłożył słuchawkę, podszedł do sofy, usiadł na niej i wpatrzył się w pociemniałe od starości portrety swoich hiszpańskich przodków, którzy od stuleci skoligaceni byli z jego rodziną. Wydawało się, że patrzą na niego z dezaprobatą, jakby nie pochwalając sposobu, w jaki radził sobie ze sprawami. Rozejrzał się po pokoju, zachowującym formalną atmosferę. Miejsce to jednak było dla niego pewnego rodzaju ucieczką. Potarł dłońmi twarz, zamykając na chwilę oczy.

Później z długim westchnieniem sięgnął ponownie po słuchawkę.

— Posterunek żandarmerii?

Rozdział trzynasty

Trzymając Mila pod ramię, Helen flirtowała z sefiorem Osunas, a jej ciemne oczy posyłały od czasu do czasu spojrzenie Hugo, który prowadził poważną dyskusję z ludźmi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zatrzymał ich właśnie i rozpoczął z nimi rozmowę z taką żarliwością, że Helen zdała sobie sprawę, jak bardzo Hugo chciałby wrócić do domu i do pracy. Wokół słychać było radosną paplaninę i szum fontanny. Przez te odgłosy przebijały się delikatne, wyniosłe dźwięki fletu i bębnow, układając się w harmonijną frazę z obojami przemykającymi jak wiatr po skali melodycznej. Muzyka zachęcała do tańczenia sardana, pełnego wdzięku ludowego tańca katalońskiego. W tej chwili jednak goście byli zajęci jedzeniem, piciem, flirtowaniem i plotkowaniem. Helen ścisnęła delikatnie ramię Mila, zdając sobie sprawę, że nie słucha tego, co mówi do niego gospodarz. Mil drgnął i zaczął przysłuchiwać się słowom señora Osunas.

— ..słyszałem, że Jorge jest wściekły. Zakazał temu chłopakowi wstępu na swój jacht. W końcu jednak on sam jest za to odpowiedzialny. Nie powinien był pozostawiać wszystkiego Guillerrowi. Dzięki Bogu, że nikomu nic się nie stało. Słyszałem, że kiedy zrobiliście zwrot, pod kilem mieliście tylko kilka cali wody.

— To nie było największym problemem — powiedział Mil. — Będzie się toczyło oficjalne śledztwo w tej sprawie, ale Jorge bardzo do-

brze przedstawił dzisiaj sprawę, no i podejrzewam, że może pociągnąć kilka sznurków. To była głupia pomyłka, nikt tego nie chciał... — Helen odwróciła się od mężczyzn, znudzona wysłuchiowaniem relacji o dzisiejszym wydarzeniu, i rozglądała się zmartwiona za Elizabeth.

Elizabeth odeszła właśnie z Tomeem w pobliże fontanny, podziwiać cudowny zapach pnącej róży. Otarcie, jakie pozostawiła na jej szyi lina, zakryte było szyfonowym szalem. Turkusowoniebieska szyfonowa suknia, którą miała na sobie, świeciła delikatnie. Wyglądała tak delikatnie jak figurka elfa stojąca na brzegu fontanny. Twarz miała jednak ciągle bladą i napiętą, a cienie pod oczami zdradzały, że we śnie nie znalazła wypoczynku.

Helen uchwyciła pełne bólu spojrzenia, jakie Elizabeth wymieniła z Mi-lem. Widziała, jak siostra zlekceważyła pytania Miła o jej samopoczucie i wyraźną ulgę każdego z nich, kiedy w końcu udali się w swoją stronę. Tomeo robił, co mógł, aby rozweselić Elizabeth, jego dziewczyna — Mercedes także dotrzymywała jej towarzystwa, oddalając się jednak co chwilę, aby przywitać przyjaciół. Mil starał się ze wszystkich sił, aby nie okazywać, jak bardzo Elizabeth zraniła go swoimi wątpliwościami. Helen współczuła mu ogromnie i postanowiła, że nie pozostawi go samego. Starła się go pocieszać, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

Guillermo rozmawiał w innym rogu dziedzińca; jego usta otwierały się i zamykały z takim wyrazem, że Helen domyśliła się, iż broni się bez przerwy przed zarzutami. Sassy natomiast tonęła w większym tłumie zgromadzonych przy bufecie, nieco przybita pięknem hiszpańskich dziewcząt.

Kiedy Helen odwróciła się, zobaczyła, że nadchodzi Hugo. Wyciągnął do niej dłoń i Mil wypuścił jej ramię, oddalając się z senorem Osunas w głąb domu. Obaj zniknęli w cieniu i Helen wkrótce zupełnie o nich zapomniała, ciesząc się towarzystwem Hugo.

Elizabeth starała się dopasować do frywolnego tłumy, który ją otaczał, ale męczył ją pulsujący ból głowy. Szyja zeszywniała tak bardzo, że lekkie skinienie głowy przyprawiało ją o ból. Tomeo zaśmiewał się

1 opowiadał jej historyjki o ludziach, którzy ich otaczali, plotki, które bardziej były zabawne niż szkodliwe.

Elizabeth śmiała się w odpowiednich miejscach, ale zastanawiała się, kiedy zrobi się wystarczająco późno, by mogła przeprosić wszystkich i pójść do domu.

— .. .tak więc na pierwsze święta duchów spędzane razem wymknęła się z domu, mając na sobie tylko płaszcz od deszczu i maskę czarownicy i zadzwoniła do drzwi. Kiedy jej otworzył, rozchyliła płaszcz i...

Elizabeth, oczywiście, przegapiła puentę. Nagle wszyscy zaczęli się śmiać, więc też się uśmiechnęła i pokiwała głową. Natychmiast zresztą pożałowała tego ruchu.

Pytała wcześniej Tomea, co sądzi o ich wypadku na jachcie. Tomeo wykręcał się od odpowiedzi, ale stwierdził, że Mil nie miał wyboru. Wyraźnie bronił go, a ona poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana. Komu miała wierzyć? Czy to był wypadek, który Guillermo usiłował wykorzystać przeciwko Milowi? Czy też coś poważniejszego, a wszyscy tylko próbowali osłonić Mila. Ból głowy narastał. Nie potrafiła zebrać myśli i siłą woli powstrzymywała się, by nie poprosić Mila o pomoc.

Co się z nią działo? Gdzie się podziała twarda, sprytna dziennikarka, zawsze doskonale wiedząca, kogo i co sprawdzić, wystarczająco spostrzegawcza, żeby odróżnić prawdę od fałszu? Czuła się zagubiona, niepewna... Zirytowana, strofowała siebie.

Carlos Abello obiecał, że spotka się z nią jutro rano przy Gaudi Fountain w Parc de la Ciutadella i będzie mógł wyjaśnić kilka kwestii. Będzie więc mogła wyrwać się z tej pajęczyny kłamstw, zimno przyjrzeć się faktom, sprawdzić wszystko krok po kroku i zobaczyć, co się z czym łączy. Jutro będzie wiedziała znacznie więcej i postanowi, co ma robić.

Rozmowa wokół mej zeszła na politykę i miejscowy rząd — Genera-litat Catalonia, prowadzony przez Jordiego Pujol. Elizabeth wstała, przedarła się przez krzykliwy tłum i ruszyła na poszukiwanie Helen. Kiedy mijiała otwarte drzwi, ujrzała Sassy obejmującą jakiegoś mężczyznę i uśmiechnęła się do siebie smutno. Para rozłączyła się i Elizabeth zauważyła, że ten mężczyzna to Mil. Delikatnie pogładził Sassy po policzku. Elizabeth spiesznie ruszyła dalej. Rumieniec wystąpił na jej twarz, a oczy błyszczały złowrogo.

Wiedziała, że nie ma prawa czuć się urażona. Przecież podejrzewała go o dużo gorsze rzeczy, ale to nie złagodziło bólu w jej sercu, który w końcu wyzwolił się poprzez łkanie. Była wściekła, że wciąż obchodzi ją to, co robi Mil. Ten człowiek prawdopodobnie jest wplątany w dwa morderstwa, sama omal nie stałaś się trzecią ofiarą, a przejmujesz się tym, że pocałował jakąś dziewczynę — wyrzucała sobie. — Na miłość boską, wydorosłej w końcu! — powiedziała do siebie.

Mil nieświadomy obecności Elizabeth, gładził delikatnie policzek Sassy, starając się złagodzić swoje słowa.

— Ona nie jest dla ciebie, Mil — mówiła Sassy — zobaczysz. Poświęcisz dla niej wszystko i wszystkich, a na koniec ona i tak nie będzie

cię kochała, bo ci nie ufa. Nie uważa, żebyś był wart jej zaufania. — Pochyliła twarz i delectowała się jego pieszczotą pragnąc, by chociaż trochę mu na niej zależało.

— Nic na to nie poradzę, Sassy. Przykro mi— uśmiechnął się smutno, zaniepokojony wyrazem jej twarzy. — Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Zawsze starałem się być z tobą szczery. Jeżeli to może być dla ciebie pocieszeniem, wiem, że Liz mnie nie kocha i prawdopodobnie nigdy nie pokocha. Ale tak już bywa. — Westchnął. — Ja ranię ciebie, Liz rani mnie, Charlie Stein zranił ją. Dzięki Bogu, że chociaż Hugo i Helen znów są razem.

— Jesteś cholernym głupcem, Mil — powiedziała Sassy cierpko, a jej upokorzenie z powodu odrzucenia przerodziło się w złość. — Nie wiesz, co dostajesz, więc jesteś gotów to poświęcić dla swojego kaprysu. Cóż, nie mam zamiaru się przejmować. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia. — Odepchnęła go od siebie, ruszając po omacku na dziedziniec, biegnąc, dopóki nie straciła Mila całkowicie z oczu. Mil oparł się o framugę drzwi, jego twarz był smutna.

Elizabeth zatrzymało jeszcze kilka osób, dopytując ją o samopoczucie. Kiedy w końcu się wyrwała, Hugo i Helen ponownie zniknęli z jej pola widzenia. Nie widać było także Guillerma. Czując pulsujący ból głowy, Elizabeth złapała za ramię przebiegającą Mercedes i błagała ją, żeby wytłumaczyła gospodarzom, że musiała pójść do domu. Chociaż Mercedes protestowała, Elizabeth w końcu wymknęła się na tylne uliczki *barri Gonie*, mając nadzieję, że uda jej się odnaleźć jedną z głównych ulic i złapać taksówkę, żeby powrócić do domu.

Zapadł zmrok i powietrze ochłodziło się. Uliczki były spokojne, od czasu do czasu mijała tylko przechodzące pary i pojedyncze osoby spieszące do domu. Wkrótce jednak ulice zupełnie się wyludniły. Szła przed siebie wsłuchując się w ciszę, jakby obawiając się ją zakłócić. Jej kroki były wyraźnie słyszalne na kamiennym bruku. Ktoś także podążał za nią. Przyspieszyła.

Wkrótce doszła do skrzyżowania ulic i przystanęła zastanawiając się, w którą stronę powinna iść. Wydawało jej się, że powinna ruszyć w prawo, ale uliczka była ciemna. Lewy zaułek był zdecydowanie lepiej oświetlony, ale była przekonana, że prowadzi w niewłaściwym kierunku. Odgłosy kroków za nią wciąż się przybliżały. Ogarnięta paniką, skręciła w prawo i zaczęła niemal biec. Uliczka była kręta. Drzwi i okiennice domów szczelnie pozamykane. Kroki za nią również przyspieszyły.

Pobiegła na osłep przed siebie. Pantofle ślizgały się po kamieniach.

Jej własny oddech dudnił w uszach. Czy tak samo było z El Profesorem — zastanawiała się przerażona, biegł przed siebie, aż w końcu ktoś go dopadł i podciął nożem gardło? Teraz już wyraźnie słyszała stukot butów tuż za nią, otworzyła usta do krzyku, a ten ktoś złapał ją za ramię, przyciskając do kamiennej ściany i dłonią zakrywając jej usta. — To ja, Liz! To ja! — Przez chwilę do niej to nie docierało, gdy szamotała się przerażona, aż w końcu... odetchnęła z ulgą widząc, że to Mil. Oparła się o ścianę. Jej oczy były szeroko otwarte i pełne lęku.

— Mil — wyszeptała ochryplym i pełnym niepewności głosem. Patrzył na nią przez chwilę i nagle uwolnił jej ramię. Odsunął się gwałtownie. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że Elizabeth odprężyła się, zamykając oczy. Z zalem pomyślała, że to on był jej strachem, jej wątpliwościami i... że był tym przerażony. Kiedy otworzyła ponownie oczy, stał daleko od niej z zaciśniętymi ustami i zapalał papierosa.

— Nie chciałem cię przestraszyć — powiedział w końcu zimno. — Mercedes powiedziała, że wyszłaś sama. To nie jest najmądrzejsze w ostatnich czasach — zaciągnął się głęboko dymem z papierosa, patrząc na granatowe niebo z kilkoma zaledwie gwiazdami.

— Przepraszam cię, Mil, wpadłam w panikę...

— To nie ma znaczenia! To nie ma znaczenia—powtórzył raz jeszcze, tym razem spokojnym głosem. — Chodź, znajdziemy ci taksówkę. Myślę, że miałaś dość wrażeń jak na jeden dzień. — Nawet nie próbował się uśmiechnąć, szedł z dala od niej. Elizabeth przeklinała siebie w duchu, zawstydzona, że mogła pomyśleć, iż ją skrzywdzi. A jednak... czy byłby zdolny zatrudnić do tego kogoś innego? Czy w taki sposób postępował?

Wyszli na Via Laietana. Elizabeth stała drżąca i czekała, aż Mil sprowadzi taksówkę. Nie odzywali się do siebie podczas jazdy, każde z nich patrzyło przez okno na jasno oświetlone miasto. Grupki spóźnionych turystów podążały do domów, a służby porządkowe rozpoczynały swoją codzienną pracę. Kiedy w końcu taksówka dojechała do domu Guillerma, Mil odprowadził ją do drzwi i czekał, aż znajdzie klucz. Nic nie mówił. Elizabeth spojrzała w końcu na niego.

— Przepraszam cię, Mil, naprawdę mi przykro — wyszeptała. Wzruszył tylko ramionami.

— Wiem— powiedział krótko. — Mnie także jest przykro. — Odwrócił się, wszedł do taksówki i odjechał nie patrząc na nią. Gdyby się odwróciła, mogłaby zobaczyć łzy w jego oczach i ogromne cierpienie, gdy sobie uświadomił, jak bardzo mu nie ufa. Ale zamknął oczy, odwrócił się.

cając się i opanowując uczucia, wreszcie udało mu się wmówić sobie, że to, co się stało, nie ma znaczenia.

*

Pierwsze promienie słońca wślizgnęły się do sypialni, gdzie Elizabeth zapomniała zasłonić okna, i padły delikatnie na jej twarz. Zamrugła oczami i zamknęła je mocniej, otrząsając się powoli z męczącego snu z uczuciem przygnębienia. Dzisiaj będzie wiedziała— pomyślała leżąc spokojnie na łóżku. Słońce powoli wspinało się na horyzont, zza okna dochodziły przytłumione dźwięki miasta budzącego się ze snu.

Odrzuciła kołdrę i usiadła. Twarz wykrzywiła się w grymasie bólu, kiedy poruszyła głowę. Jej szyja była obolała i zeszywniała od snu. Spojrzała w lustro. Wyglądała okropnie. Oczy miała podkrążone, a twarz pomimo opalenizny była blada. Wyglądam jak zaszczute zwierzę — pomyślała. Przerażona przypomniała sobie senny koszmar, który mógł okazać się prawdą. Czy będzie w stanie pogodzić się z faktem, że mężczyzna, którego kocha, może okazać się mordercą? Zamknęła na chwilę oczy, żałując, że w ogóle przyjechała do Hiszpanii i zajęła się tą sprawą. Co będzie, jeżeli Abello udowodni jego winę? Co będzie?

Weszła sztywno do łazienki, zdejmując koszulę nocną i rzucając ją na podłogę. Stała dłuższą chwilę pod gorącym, mocnym prysznicem, pozwalając wodzie na usunięcie napięcia z mięśni. Zakreśliła wodę i wytarła się ręcznikiem. Rozczesała wilgotne włosy, założyła je za uszy i poszła poszukać jakiegoś ubrania. Białe dżinsowe szorty i półgolf bez rękawów były pierwszymi rzeczami, na które trafiła w walizce, i bez dłuższego namysłu włożyła je. Musiała ścisnąć szorty paskiem, ponieważ nagle okazało się, że są za luźne.

Guillermo jeszcze się nie pojawił, a Helen prawdopodobnie postanowiła spędzić noc z Hugo. Elizabeth weszła do kuchni i zrobiła sobie kawę, siadając w oknie i susząc w słońcu włosy. Spojrzała na zegarek. Była prawie dziesiąta, a z Abellem umówiła się o dziesiątej trzydzieści. Odstawiła niechętnie filiżankę i ruszyła do pokoju Guillermo, pukając do drzwi. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, otworzyła je lekko.

Chciała powiedzieć, że wychodzi, ale słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła, że Guillermo nie jest sam. Sassy siedziała na łóżku, kryjąc swoją nagość pod prześcieradłem. Uniosła pytająco brwi.

— Wejdz, Lizzie — powiedziała sarkastycznie. — Nie zważaj na na

222

szą intymność. Przynies ze sobą śniadanie. Jestem pewna, że Guillermo nie będzie miał nic przeciwko temu. — Kiedy Elizabeth wycofała się, Guillermo wyskoczył z łóżka, okrył się ręcznikiem i podążył za nią. Sassy wołała za nim. Elizabeth chwyciwszy torebkę dotarła już do drzwi frontowych, kiedy Guillermo chwycił ją za ramię.

— Lizzie! Lizzie! Dokąd idziesz? — Starał się przejść obok niej i zablokować jej wyjście, ale Elizabeth stała nieporuszona.

— Wychodzę, Guillermo. Muszę się z kimś spotkać. Właściwie jestem już spóźniona. Słuchaj — przeciągnęła dłonią po włosach — nie chciałam tak wtargnąć do pokoju, przepraszam

— Nic się nie stało. Zaczekaj na mnie, dobrze? Nie możesz wychodzić sama. Nie jesteś bezpieczna.

— Nie bądź śmieszny! — Westchnęła zastanawiając się, czy to kolejny wytwór jego wyobraźni. — Jest dziesiąta rano, Guillermo. Absolutnie bezpiecznie. — Była zdziwiona wyrazem przerażenia na jego twarzy. Czy teraz skierował swoją obsesję na nią?

— Naprawdę nie jest bezpiecznie! Będiesz tego żałowała, ale nie będziesz mogła powiedzieć, że cię nie ostrzegałem! — wy sapął, szukając bezradnie jakiegoś ubrania. Był cały owłosiony na piersiach i na brzuchu. Elizabeth odwróciła się od niego, zakłopotana jego zmiennym nastrojem i kłamstwami.

— Mówisz bez sensu, Guillermo. Dlaczego nie miałabym być bezpieczna? Co chcesz mi powiedzieć? — jej głos był suchy. Złapał ją za ramię, potrząsając nim.

— Wiem! Słyszałem coś ostatniej nocy. Proszę cię, nie wychodź. Poczekaj na mnie, dobrze? — Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać, i Elizabeth zawahała się, kiwając w końcu potakująco głową.

— Dobrze, ale pospiesz się. Powiedziałam ci już, że jestem spóźniona. — Udawała przez chwilę, że wraca do pokoju. Guillermo natychmiast się odprężył i pobiegł do sypialni w poszukiwaniu ubrania. Słyszała głośnie, złośliwe komentarze Sassy i uśmiechnęła się do siebie. Po chwili wymknęła się cicho i zamknęła za sobą drzwi.

Nie chciała, żeby Guillermo jej towarzyszył ze swoimi lękami i pretensjami. Nie wiedziała, czy on rzeczywiście więcej wie, ale i nie chciała go mieć przy sobie. Abello powiedział jej o obsesji Guillermo na punkcie Nieves i o tym, że jej rodzina wynajęła znajomego Abella, żeby chronił dziewczynę. Czy teraz przypadkiem — zastanawiała się — nie przerzucił tego nastroju na moją osobę? Czy to wszystko miało związek

z Milem? Może Guillermo instynktownie kierował uwagę na każdą dziewczynę, którą interesował się Mil? Szła spiesznie wdychając świeże ranne powietrze, ciesząc się, że nie panuje jeszcze upał. Pod koniec lipca większość zamożnych Hiszpanów wyjeżdżała w góry lub do chłodniejszego klimatu. Nie męczyli się w skwarze miasta, które w tym roku przeżywało jeszcze większy niż zwykle najazd turystów, ze względu na odbywające się tu igrzyska olimpijskie. W końcu zmęczona i oblana potem dotarła do ozdobnej fontanny. Pięć minut spóźnienia. W Hiszpanii to oznaczało, że przybyła bardzo wcześnie.

Niemniej jednak Abello siedział już na ławce, w pobliżu fontanny. Czytał coś i Elizabeth podeszła do niego, rozglądając się uważnie wokół, ale nie zauważyła Guillerma skradającego się za nią. Abello podniósł wzrok i uśmiechnął się.

— A, Elizabeth. Chodź tu i usiądź obok mnie. Wyglądasz na zmęczoną. — Zrobił jej miejsce na ławce, zabierając teczkę i układając ją na kolanach. Stary człowiek na przeciwnym brzegu ławki słuchał radia, nie zwracając na nikogo uwagi.

— Miałam problem z wyjściem z domu. Guillermo nie chciał mnie wypuścić. Powiedział, że nie jest bezpiecznie — wyjaśniła szybko, siadając na ławce i czując, jak orzeźwia ją powiew wiatru.

— Cóż, może ma rację — powiedział Abello zagadkowo. Poklepał po teczce, kiedy Elizabeth spojrzała na niego. — Sprawdziłem kilka faktów, nie miałem dużo czasu, a nie lubię się spieszyć. W ten sposób można pominąć wiele wskazówek. Powiedziałaś jednak, że muszę się pospieszyć. — Zawahał się. — Jest coś dziwnego w sposobie, w który to wszystko się układa. Nie jestem pewien... nie wiem dlaczego. Po prostu nie podoba mi się... Jest zbyt oczywiste.

— Powiedz mi — zażądała Elizabeth niecierpliwie.

— Dobrze, ale weź pod uwagę to, co ci powiedziałem. Jest w tym zbyt wiele i zbyt wyraźnych zbiegów okoliczności lub też może niezły popis aroganckiej głupoty. No dobrze... — Podniósł dłoń widząc jej spojrzenie. — W porządku, już mówię — dodał. — Po stronie hiszpańskiej elementem tej korporacji jest ConyDev.-Construcciones y Developmentales Real, której podlega kilka innych firm. Ventana zajmuje się domami wakacyjnymi i apartamentami, a SolconMar została utworzona, aby zająć się nieruchomościami wyższej klasy — małymi willami, ogrodami krajobrazowymi itd. To już wiesz, że firma ta została założona przez Jose-

240

Marie Jimenez-Clara i miała przynieść ogromne zyski, ale popadła w tarapaty finansowe.

Byłem bardzo zdziwiony, że nie sprawiło mi żadnego problemu przekupienie jednej z sekretarek ConyDev, żeby zajrzeć do dokumentów SolconMar. Jakby mnie wręcz do tego zapraszała. — Poklepał teczkę. Mamy to tutaj. Wszystko jest na papierze. Wszystkie problemy z tymi, którzy nie chcieli sprzedawać, a szczególnie z Marią Luisą Gonzalez, a następnie szczegółowy wykaz sum płaconych komuś na Majorce w regularnych odstępach. Chcę zaznaczyć, że to wydaje się zbyt oczywiste! Jest tu wszystko — czek, potwierdzenia bankowe. Czy mamy uwierzyć, że wynajęli kogoś, żeby zastraszył i zabił tę starą kobietę, a następnie zapisali to wszystko w księgach? Wydaje mi się to nieco przesadzone.

Przerwał na chwilę oburzony absurdalnością całej tej sprawy. Elizabeth zmarszczyła brwi przypominając sobie niejasne uczucie, które miała na Majorce, że ktoś próbuje nią manipulować, tylko nie wiedziała kto. Czy wykorzystano jej osobę? Czy to wszystko zostało sprytnie zaaranżowane?

— Mil i Jose-Marie występują jako główni akcjonariusze zarówno przed, jak i po fikcyjnej sprzedaży SolconMar, tak? — zapytała. — Sprzedali to sobie w ramach jednej firmy — ConyDev?

— Tak to wygląda. Ale potrzebuję więcej czasu, żeby rzecz rozwikłać. Sprawdzić, kiedy i jak te transakcje były przeprowadzane, zidentyfikować podpisy. W tej chwili wszystko wydaje się zbyt proste.

— Niepokoi cię to, że wszystko jest tak oczywiste? — zapytała. — Czy też jest coś jeszcze? Zgodziłeś się, że mogę być w niebezpieczeństwie...

— Gdzieś krąży morderca, zacierając ślady. Ty możesz przyczynić się do zdemaskowania go i byłoby lepiej zarówno dla niego, jak i osoby, która go wynajęła, gdybyś przypadkiem wpadła pod tramwaj. Wtedy ludzie przestaliby wtykać nos w nie swoje sprawy.

— A jeżeli— zawahała się— jeżeli tę rolę dla mnie zaplanowali? Jeżeli chcą, żebym to właśnie ja zrobiła? Nie morderca, ale ten, kto go zatrudnił. Jeżeli to wszystko jest ukartowane, to potrzebują kogoś, kto by to wykrył, prawda? Czuję, że liczą na to, iż kogoś zdemaskuję i że to będzie niewłaściwa osoba — powiedziała gorzko. Abello spojrział na nią uważnie, uderzając palcami o teczkę.

— Możesz mi to wyjaśnić? — poprosił.

— Dobrze. Ktoś próbuje zastraszyć Marisę. Ona jest tak przerażona,

16 — Zraniona дума

241

że dzwoni do mnie i prosi o pomoc. Zanim opuszczam Londyn, ktoś próbuje zastraszyć także mnie, zostawiając mi wiadomość, żebym się wycofała. Więc tym bardziej jestem gotowa do wyjazdu z Anglii, a dokąd mam się udać, jak nie na Majorkę?— A jednak docieram tam za późno, Marisa już nie żyje. Na dodatek jej ręka już jest zimna — wyjaśniła Elizabeth, a Abello kiwał potakująco głową.

— Możliwe. Więc powinnaś na siebie uważać. Uważaj na tramwaje, ale uważaj także z wyciąganiem pochopnych wniosków. — Uśmiechnął się wesoło widząc wyraz jej twarzy. — Będę nad tym jeszcze pracował. Czy masz dla mnie coś jeszcze?

Odciągnęła od szyi golf.

— Tylko to — powiedziała. Uśmiech znikł z twarzy Abella. Powiedziała mu, jak to się stało i że nie wie, co o tym myśleć.

— No dobrze, teraz może wiemy nieco więcej. Idź już i uważaj na siebie, a ja jeszcze trochę poszperam. Zobaczymy się w tym samym miejscu za dwa dni, dobrze?

Uścisnęli sobie dłonie i Elizabeth wstała, rozglądając się uważnie, zanim zniknęła w tłumie. Przeszła tylko kilka kroków, kiedy poczuła, jak ktoś szarpie ją gwałtownie za ramię.

— Co ty sobie wyobrażasz wymykając się mi w ten sposób? Powiedziałem ci, żebyś nie wychodziła sama! Powiedziałem ci!— Guillermo był blady z wściekłości, a może strachu. Wyglądał tak, jakby miał wybuchnąć płaczem, nie wiedząc, co ma teraz robić. Elizabeth położyła dłoń na jego ramieniu.

— W porządku, Guillermo, uspokój się. Powiedz mi wszystko, co

O tym wiesz. Powiedz mi i wszystko będzie w porządku. Razem to rozwiążemy. — Starła się go uspokoić, ale był wyraźnie wzburzony. Mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu.

— Już jest na to za późno. Powiedziałem ci! — Nagle usłyszeli krzyk

I oboje odwrócili się. Abello krzyczał coś do nich. Zobaczyli mężczyznę biegnącego w ich stronę, trzymającego w dłoniach szeroki nóż. Elizabeth cofnęła się instynktownie.

Guillermo odepchnął ją, starając się odwrócić, wówczas mężczyzna uderzył. Nóż przez chwilę zawisł w powietrzu, zanim zagłębił się w ciało Guillerma. Później zadał drugi cios. Guillermo krzyknął, gdy ból stał się nie do wytrzymania. Mężczyzna wyciągnął nóż. Zawahał się przez chwilę, patrząc na Elizabeth, po chwili skulił się i ruszył biegiem. Jakaś kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć.

Elizabeth zdała sobie sprawę, że to ona krzyczy. Ukłękła przy Guil-lermie, starając się zatamować krew, która ciekła z rany. Patrzyła przerażona na jego twarz. Wpatrywał się w nią, jakby błagając, by coś zrobiła, jego usta otwierały się wydając ciche, ochryple dźwięki. Elizabeth zawsze wyobrażała sobie, że ludzie umierają z pewnego rodzaju godnością, pogodzeni z losem, a nie ze zwierzęcym bełkotem. Zaczęła więc szlochać, starając się jednocześnie zatamować upływ krwi. Guillermo wciąż patrzył na nią błagalnie.

Powoli jego oczy zamglily się. Zawahała się, zabierając ręce z rany. Krew już nie tryskała strumieniem, tylko sączyła się z jego brzucha, lekko czerwona. Jakby to była jakaś dziecięca gra, jakby krew była sztuczna. Nie wygląda na prawdziwą — pomyślała. Nie może być prawdziwa. Potrząsnęła nim delikatnie.

— Guillermo! Guillermo!

Czyjeś dłonie odciągnęły ją od ciała. Rozejrzała się wokół i ujrzała morze twarzy, tłum ludzi, który obserwował, jak Guillermo umiera.

Odepchnięto ją do tyłu. Ludzie pochylali się, żeby zobaczyć, co się stało. Wyrwała się z tłumy rozglądając się wokół jakby we śnie. Jej dłonie i szorty poplamione były krwią. Wyglądała tak, jakby pracowała w rzeźni. Abella nie było widać i Elizabeth zastanawiała się, czy pobiegł za mordercą, czy po prostu uciekł.

Ruszyła przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie, byle dalej od tłumy, od tego hałasu i zamieszania. Po chwili zauważyła, że znajduje się niedaleko domu Mila. Nagle zdała sobie sprawę, że policja i żandarmeria przyjdą po niego. Będą myśleli, że on to zrobił. Ktoś musi go uprzedzić. Nawet jeżeli na początku zatrudnił mordercę, przecież nie zaplanował tego wszystkiego. Powinna go ostrzec.

Przyspieszyła kroku i popędziła na oślep, z zakrwawionymi dłońmi i nieprzytomnym spojrzeniem, nieświadoma, że ludzie oglądają się za nią, usuwają się z drogi.

W końcu odnalazła ulicę, na której mieszkał, i zaczęła walić w ciężkie drewniane drzwi, krzycząc, żeby ją wpuścił i się pospieszył. Zmęczona oparła się o drzwi i niemal wpadła do środka, gdy nagle się otworzyły i stanęła w nich pokojówka. Widząc Elizabeth, cofnęła się i uciekła z krzykiem w głąb domu. Elizabeth poszła za nią, zamykając za sobą dokładnie wejście. To powinno ich na chwilę powstrzymać, dać mu więcej czasu na ucieczkę.

Mil siedział pisząc coś w gabinecie wuja, kiedy usłyszał, jak Juana bie-

gnie przez korytarz krzyząc przeraźliwie, że jakaś zakrwawiona kobieta, jakaś wariatka, goni ją. Wstał marszcząc brwi i zastanawiając się, co się stało Juanie. Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi dokładnie w chwili, kiedy dotarła Elizabeth. Nie mogła złapać tchu, słaba z przerażenia, chwiała się na nogach. Upadła w jego wyciągnięte ramiona i Mil nagle przypomniał sobie przerażenie, jakie odczuwał, kiedy wiedział, że tonie, a on nie mógł jej znaleźć. W tej chwili, gdy upadła w jego ramiona, szepcząc, by uciekał, a na jej rękach widział krew, odczuwał ten sam, nieopisany strach.

Wziął ją na ręce, wołając do Juany, żeby zadzwoniła na pogotowie, wezwała lekarza. Zaniósł na łóżko, a ona wczepiła się kurczowo w jego koszulę, wciąż szepcząc, aby uciekał.

— Już dobrze, kochanie, nikt cię nie skrzywdzi. Sprawdzę, co ci się stało. — Delikatnie obmacał jej ciało, szukając rany. Odzyskała już oddech i krzyczała teraz pełnym głosem, żeby uciekał, potrząsając nim gwałtownie.

— Guillermo— szepnęła— Guillermo nie żyje. Zabił go nożem. O Boże! — Przeważenie zmniejszyło nieco jej szok. Odepchnęła Mila od siebie patrząc na niego z nienawiścią. — Co ty zrobiłeś, Mil? W imię czego? Marisa, El Professor, a teraz Guillermo. Wszyscy zamordowani. — Nagle wyczytała z jego spojrzenia, że znowu nie wiedział, o czym mówi, pochyliła się więc do przodu, chwytając go za koszulę. — Masz jeszcze czas. Żandarmeria jeszcze nie wie, jeszcze masz czas na ucieczkę. Wiem, że tego nie chciałeś. Jeżeli odejdziesz teraz...

— Lizzie! Lizzie! Przestań!

— Wydawało ci się, że wszystko będzie dobrze, a teraz popatrz! — krzyknęła. Łzy spływały po jej twarzy, kiedy trzymał ją z daleka od siebie, unikając wściekłych uderzeń jej pięści.

Zdawał sobie sprawę z tego, że była w szoku, ale niewiele to pomagało. Jej słowa, jej oskarżenia opanowały myśli Mila, zmroziły jego umysł. Jedyne, co mógł robić, to trzymać ją z daleka od siebie.

— Proszę cię, Mil, proszę—teraz go błagała—jeszcze możesz uciec. Nie mogę tego znieść, nie mogę... — Nie mówiła logicznie, jej głos czasami zanikał, tak że nie było słyhać słów i jej wypowiedzi traciły sens. Ale zdał sobie sprawę, że próbuje go ostrzec, że chce pomóc w ucieczce, i nagle poczuł się podniesiony na duchu. Chociaż uważała, że byłby zdolny do morderstwa, to jednak zależało jej na nim na tyle, by pozwolić mu uciec. Położył ją delikatnie i podszedł do tacy z drinkami, nalewając dla niej brandy.

— Wypij to — wrócił i klęknął obok niej. — Powoli. I posłuchaj

mnie. — Pomógł jej usiąść, zauważając ze smutkiem ślady krwi na delikatnym pokryciu sofy i szary kolor skóry Elizabeth. Wyglądała tak, jakby chorowała od miesięcy na żółtaczkę, z wymizerowaną twarzą i podkrążonymi oczami.

Wstał i podszedł do okna, wyglądając przez nie, aby uspokoić samego siebie.

— Musisz mnie wysłuchać, Liz, i wtedy możesz wierzyć w co zechcesz. To, co ci powiem, jest prawdą... powinienem ci to już dawno wyznać. Nie jestem w to wszystko wplątany. Wiem, że wygląda tak, jakbym był, ale to zostało z góry zaplanowane. Ułożono plan zniszczenia mnie... tutaj i w Anglii. Podważają moją reputację, rujnują interesy po to tylko, aby mój pełen ambicji kuzyn mógł wszystko przejąć i zostać głową rodziny. — Roześmiał się, ale głos jego zabrzmiał sucho. — I pomyśleć, że ukrywałem to ze względu na rodzinę, podczas gdy cały czas... cały czas...

Odkaslnął, potrząsając głową, jakby próbował dodać sobie odwagi.

— W Anglii udało mu się odszukać jednego z dyrektorów, którego zwolniłem z firmy. Przekupił go, żeby znalazł coś, co mogłoby mnie zrujnować. Bóg wie w jaki sposób, ale udało im się znaleźć człowieka o imieniu Trevor Russell. — Jak przez mgłę Elizabeth przypomniała sobie to imię. Kogo...? A, ten, który przestraszył Celeste. Ale Mil mówił dalej, nie zważając na nic, jakby chciał to z siebie jak najszybciej wyrzucić, mieć to już za sobą. — Okazało się, że jest nieślubnym dzieckiem mojego ojca, moim starszym bratem, i oni przekonali go, prawdopodobnie dosyć łatwo, że ma prawo odebrać mi wszystko, co posiadam — własność, tytuł, interesy i Compton La-cey. I on się tym zainteresował, nachodził moją matkę, żądając swojego udziału w majątku. — Spojrzał na nią. — Do tego właśnie potrzebowałem Mastersa, żeby to sprawdził. Myślałem wtedy, że to najgorsze, co może mnie spotkać.

Westchnął i odwrócił się mówiąc dalej spokojnym głosem.

— W tym samym czasie poproszono mnie, żebym przyjął asystentkę — Annette, aby pomogła mi w pracach komisji Izby Lordów. Nie potrzebuję chyba mówić, że okazało się, iż pracuje dla Russella. Miała zastąpić pewne dokumenty w moim biurze fałszywymi, tak żeby każdy mógł znaleźć dowody przeciwko mojej osobie. Bóg wie dlaczego, ale okazało się, że nie ma odwagi tego zrobić i powiedziała mi o tym. Mastersowi udało się wyciągnąć kilka nazwisk od Russella.

Przerwał patrząc na nią, a jego usta wykrzywiał smutny uśmiech.

— Wreszcie przechodzimy do twojej osoby. — Przerwał. — Te wszystkie listy, które otrzymywałaś, a które demaskowały moje, jakoby ciemne interesy... czy nigdy nie przyszło ci do głowy... nie, pewnie nie. Chciałaś w nie wierzyć, w te wszystkie anonimy zawierające tylko namiastkę prawdy, aż w końcu udało się im przekonać ciebie, że jestem wcieleniem zła. Nawet że byłbym w stanie wysłać ci obrzydliwe ostrzeżenie. Nie winię ciebie. Przez wiele lat nie zachowywałem się jak anioł i zrobiłem wiele rzeczy, których żałuję. Ale nigdy nie robiłem nic nieuczciwego ani celowo okrutnego.

Zignorował fakt, że próbowała mu zaprzeczyć.

— A więc co zrobiłaś? Pojechałaś do Marisy, która sama była w kłopotach.

Czy wiesz, że twój pokój w hotelu Bendinat został zarezerwowany dla ciebie kilka miesięcy wcześniej? Zrobił to Guillermo. Może wydawało ci się, że masz szczęście, bo udało ci się tam dostać pokój dzień przed przyjazdem. — Oparł się na parapecie patrząc na nią. — A Guillermo, wciąż uganiając się za Nieves, został celowo sprowadzony do Hiszpanii, żeby wziąć na siebie całą odpowiedzialność, jeżeli nie udałoby się zrzucić jej na mnie. A ty dałaś się nabrać na jego insynuacje, półprawdy, którymi cię karmił, bardziej gotowa uwierzyć jemu niż mnie... — przerwał próbując się opanować.

Zobaczył cierpienie na jej twarzy, ale zmusił się do pozostania niewzruszonym. Mówił dalej.

— Niestety, sprawy wymknęły im się z rąk. Na początku mieli tylko przestraszyć Marisę, żeby poprosiła cię o pomoc. To była jej rola, sprowadzenie cię na Majorkę, żebyś zaczęła badać ciemne interesy Solcon-Mar, w które byłem wplątany razem z Jose-Marie. Ale Marisa wszystko zepsuła, bo przestraszyła się tak bardzo, że dostała zawału. Tego nie chcieli. Zdecydowali, że zainscenizują morderstwo, a ty będziesz na miejscu, żeby rozpocząć śledztwo. Wiec wciągnęli ją na schody i przerzucili przez balustradę, żeby wyglądało to bardziej podejrzanie.

— Kim są ci „oni”.

— Morderca i mój kuzyn —przerwał, ale po chwili mówił dalej: — A ty oczywiście byłaś podejrzliwa. Zabójca czekał, aż się pojawisz, i krzyknął podobnie do Marisy, żeby zwrócić twoją uwagę, a resztę dorobiłaś już sama, prawda? Twoje przemówienie do policji, oskarżenie żandarmerii o ukrywanie faktów, apel o sprawdzenie wszystkiego.

Uśmiechnął się smutno.

— Podejrzewam, że El Professor to był przypadek. Natrafił pewnej nocy na zabójcę i zapłacił za to życiem. A do tego czasu Guillermowi udało się zaszcześcić w tobie wystarczająco dużo podejrzeń, żebyś przyjechała do Barcelony, przejrzała rejestry akcjonariuszy firmy i rozpoczęła swoje poszukiwania tutaj. Prawie się udało. — Przerwał oglądając paznokcie, jakby martwił się ich stanem. — Ale Guillermo, jak to Guillermo zaczął mówić. I to wystraszyło mojego kuzyna do tego stopnia, że sprowadził zabójcę, aby go uciszył. To ostatnie tylko podejrzewam, jako że jeszcze tego nie zbadalem, a on sam też tego nie potwierdził.

— Jose-Marie? — zapytała Elizabeth ochryłym głosem.

— Nie, nie, Liz. — Mil odwrócił się i spojrzał na nią — Tomeo.

— On ci to wszystko powiedział?

— Nie miał wyboru, kiedy żandarmeria aresztowała go zeszłej nocy. Dziwne, ale wydawało się, że sprawiało mu przyjemność chwalić się tym wszystkim. Poza tym wiedział już, że mamy dowody. Jose-Marie i ja też działaliśmy.

— A więc... nie rozumiem. Jose-Marie nie czuje do ciebie nienawiści?

— Może czasami.

Zabrało jej trochę czasu, zanim zrozumiała wszystko, szczególnie że była w szoku. W końcu pojęła, że Jose-Marie i Mil podejrzewali Tomea już od dłuższego czasu i po prostu udawali. Mil przekonał Tia— niewinnego, ale zbyt starego, by dobrze udawać — oraz Tomea, że podejrzewa Jose-Marie. A Jose-Marie, nie ufając Milowi po całej sprawie z Nieves i okropnie o nią zazdrosny, zaczął mieć wątpliwości co do uczciwości Mila i niemal zepsuł cały plan.

Ale Russell zdecydował się na podanie im nazwisk, a Masters też wyszperał wystarczająco dużo dowodów, aby wszystko się zgadzało, więc Mil zadzwonił na posterunek żandarmerii, unikając don Artura, który jak się okazało, od wielu lat inkasował znaczne sumy za ukrywanie pewnych faktów.

Wszystko było bardzo skomplikowane. Stare rany i zazdrość też odegrały w tej sprawie niemałą rolę sprawiając, że cała historia stała się jeszcze bardziej niewiarygodna. Elizabeth zdała sobie sprawę— kiedy już brandy zaczęła działać i dotarł do niej pełen pogardy chłód Mila — jak bardzo sama w tym wszystkim zawiniła. I nie mogła się przed nim w żaden sposób wytłumaczyć. Żadnych próśb o zrozumienie, powoływania się

na usprawiedliwiającej ją okoliczności. Zawiniła i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Żandarmi nadjechali w chwilę później, kiedy siedziała patrząc na portret *caballero* przedzierającego się ku niej przez zgiełk wojenny. Wyjaśniła im kilka szczegółów, sugerując, żeby porozmawiali też z Abellem. Była już porządnie zmęczona, kiedy przyjechała Helen z Hugo. Gdy w końcu pozwolili jej na powrót do mieszkania Guillerma i spakowanie rzeczy, była kompletnie wykończona.

Od momentu, kiedy zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo sama zawiniła i jak niesprawiedliwie oceniała Mila, nie odważyła się na niego spojrzeć, a on także nie patrzył na nią. Nawet mną nie gardzi — zauważyła. Dał jej wszelkie możliwe podstawy, żeby mu uwierzyła i zaufała, a ona cały czas zakładała najgorsze. Tak to widział i ona nie mogła go za to winić.

Po raz ostatni spojrzała na Mila, kiedy wychodziła z jego mieszkania. Zauważyła, że patrzył na nią tak dziwnie, że zarumieniła się ze wstydu. Odwróciła wzrok, a Helen wyprowadziła ją wciąż jeszcze drżącą, bladą i zakrwawioną... Kiedy tego samego wieczoru leciała samolotem do Londynu, z dłonią w dłoni Helen, wiedziała, że wszystko się skończyło. Całkowicie i nieodwołalnie. Zamknęła oczy żałując, że się w ogóle urodziła.

Rozdział czternasty

Grudzień

Po południu zrobiło się znacznie zimniej, niebo przybrało kolor szaro-żółty, jak zwykle przed opadami śniegu. Na tyłach domu dziwny obiekt w kształcie kokonu lśnił i pulsował życiem. Rozstawiono olbrzymi namiot, który teraz był wypełniony stołami, małymi pozłacanymi krzesłkami, wielkimi naczyniami czerwonych i żółtych jagód oraz sosenkami ubranymi w srebrne i złote dekoracje, jak drzewka bożonarodzeniowe. Aromatyczne drzewa iglaste, pachnące mieszanki korzeni i ziół, świece, srebra i porcelana, kryształowe kieliszki. Elizabeth czuła, że zupełnie nie pasuje do tego radosnego miejsca, pełna smutku i poirytowania.

Uciekła więc do spokojnego, zaszypanego śniegiem ogrodu, przemierzając jego ścieżki aż do chwili, kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać z zimna. A więc trzeba było wrócić do domu i zmierzyć się z przedślubnym zdenerwowaniem i histerią, którym ulegli wszyscy oprócz Helen.

Otuliła się szczelnie płaszczem i ruszyła powoli w kierunku ciepłych, rozświetlonych okien. Rumieniec, który poprzednio rozgrzewał jej policzki, zniknął i zadrżała z zimna, pocierając dłońmi ramiona. Otworzyła drzwi kuchenne i zrzuciła buty na matę.

Mokry płaszcz powiesiła w pobliżu piecyka, otrzepując włosy ze śniegu i otwierając wewnętrzne kuchenne drzwi, prowadzące w głąb domu. W przytulnej kuchni nie było nikogo. Elizabeth oparła się o piec delektując się ciepłem, jakie z niego promieniowało.

233

Stary zegar, zawieszony nad drzwiami, wskazywał godzinę czwartą. Elizabeth wiedziała, że w tej chwili wszyscy zgromadzeni są w salonie wokół tacy z herbatą, przy płonącym kominku. Utarczki matki i ciotki wyjątkowo poszły w ką, gdyż zjednoczyły się we wspólnym wysiłku ugoszczenia matki ojca i jego rodziny. Helen pewnie stara się zachować spokój, a ojciec prawdopodobnie zabierze swoją herbatę do gabinetu na piętrze. Elizabeth nie miała ochoty do nich dołączyć.

Postawiła ponownie czajnik na ogniu, czekając, aż zagotuje się woda. Drżała, czując fale zimna przebiegające przez jej ciało. Nie zauważyła, gdy otworzyły się małe drzwiczki wiodące z salonu do kuchni, coś jednak skłoniło ją do obejrzenia się za siebie. Zamarła.

W drzwiach stał Mil. Z pochyloną głową, aby nie uderzyć w niski strop, zastanawiał się, czy ma się wycofać, czy wejść. Gdy ujrzał Elizabeth, wszedł powoli do środka, zamykając za sobą drzwi.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś. Właśnie przyniosłem prezent. Helen powiedziała, że cię nie ma — zauważył. Pewnie miałaś taką nadzieję — pomyślała Elizabeth i wzruszyła ramionami.

— Nie było mnie. Właśnie wróciłam. — Nie ma sensu mu tłumaczyć, że była w ogrodzie unikając ludzi, ich serdeczności i sprzeczek. — Wychodzisz? — spytała.

Zawsze używał kuchennych drzwi, kiedy jej matka nie stała na swoim stanowisku, odprowadzając go z wszelkimi honorami do drzwi. Elizabeth nie pomyślała o sprawdzeniu, czyje samochody stoją przed domem i kto może u nich gościć. Zapomniała też, że drużba zwykle przynosił prezent druhnie na dzień przed ślubem, do domu panny młodej.

— Tak, straszne tu zamieszanie — uśmiechnął się słabo. — Helen położyła się do łóżka z bólem głowy, więc doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jak sobie pójdę.

— O mój Boże — westchnęła Elizabeth, zapominając się na chwilę — podejrzewam, że stare koty znowu się kłóciły i kłaki z ich futer unoszą się wszędzie wokół. Biedna Helen nie mogła już tego znieść. Powinnam była wrócić wcześniej — dodała w poczuciu winy.

Usta Mila znowu rozbłysły uśmiechem. Wyglądał szczuplej, nawet w swoim luźnym swetrze i dżinsach, niż ostatnim razem, kiedy go widziała jakieś sześć miesięcy temu. Jakby ciężka praca i długie, nie przespane noce pozostawiły na nim swój ślad. Wokół oczu pojawiły się też zmarszczki, których przedtem nie było. Pomimo to wyglądał wspaniale,

nigdy nie był dla niej tak drogi. Uśmiechnęła się i odwróciła, żeby zająć się przygotowaniem herbaty.

— Jak ci leci? Słyszałam, że twoje interesy znowu idą nieźle — zmusiła się, aby to powiedzieć, wiedząc, że walczył z całych sił, żeby utrzymać interesy rodzinne, wyciągnąć je z długów i przywrócić do życia. Wiedziała od Hugo, że gwałtowny spadek wartości funta też nie uczynił mu większej szkody. Uśmiechała się do niego, myśląc, że jeżeli uda im się spokojnie przetrwać pierwsze spotkanie, być może wszystko wróci do normalności. Może nie będzie to dawna bliskość...

— Tak, idzie mi zupełnie nieźle — przerwał — a ty pewnie powróciłaś do demaskowania ciemnych interesów i potknięć rządu? — zapytał. Elizabeth pomyślała, że raczej wolałby powiedzieć — przynajmniej nie zajmujesz się śledzeniem przyjaciół. — Była tego pewna.

— Tak — powiedziała szorstko. Nie wiedziała, co jeszcze ma dodać.

— To dobrze. — Patrzył na nią tak natarczywie, że poczuła, iż oblewa się rumieńcem, a jej oczy wypełniają łzami. Zamrugowała gwałtownie.

— Przykro mi, że twój wuj umarł. Czy Piru dobrze się czuje? — zapytała niepewnie.

— Jakoś sobie radzi. Moja matka pojechała do niej, żeby pomóc jej przebrnąć przez najgorsze chwile. Przekonali żandarmerię, żeby oddali im Chamaca, kiedy... kiedy wszystko się wyjaśniło. Więc teraz obie zajmują się nim i spełniają każdą jego zachciankę — uśmiechnął się, kiedy jej twarz rozjaśniła się.

— Co za ulga. Zastanawiałam się, co się tam dzieje. Bardzo się cieszę. — Zapadła kłopotliwa cisza.

W końcu Elizabeth zajęła się wyłącznie herbatą, jakby wypełnienie filiżanki wymagało od niej najwyższego skupienia.

— Sądzę, że wypileś już więcej herbaty, niż miałaś na to ochotę — mruknęła i czekała z dłonią zastygłą nad czajnikiem. — I pewnie czekają na ciebie z herbatą w Compton Lacey.

— Próbujesz się mnie pozbyć? — sięgnął po krzesło i usiadł przy sosnowym stole, jakby był zupełnie rozluźniony, i Elizabeth, zdziwiona, odwróciła się do niego.

— Nie — zaprotestowała, wyraźnie kłamiąc. — Oczywiście, że nie. Chcesz trochę herbaty?

— Nie — westchnął. — Chciałbym, żebyś podeszła i usiadła tutaj — postawił obok siebie drugie krzesło — i przestała unikać mnie i wszystkich niewłaściwych tematów. Tego bym chciał. — Nie spu-

szczał z niej wzroku i nagle poczuła, że cały ból, który towarzyszył jej przez ostatnie miesiące, odpływa.

Uśmiechnęła się smutno.

— Dobrze. Przepraszam, bardzo głupio się zachowywałam próbując udawać, że nic się nie stało. — Elizabeth usiadła obok niego i z ciężkim westchnieniem oparła na dłoni podbródek.

— Nigdy nie podejrzewałam, że należysz do tych, którzy unikają problemów. — Mil ujął w dłonie jej rękę. Dotyk jego dłoni był miły i stanowczy. Nagle poczuła ból w sercu. Jak wiele mogła mieć i jak wiele odrzuciła. Był wart więcej, niż przypuszczała. Był uczciwy i umiał walczyć z przeciwnościami losu. Elizabeth zamknęła na chwilę oczy, pragnąc z całego serca... ale nie, to nie miało sensu.

— Chciałbym coś wyjaśnić — zaczął mówić, ale Elizabeth potrząsnęła stanowczo głową.

— Nie ma potrzeby. Teraz już wiem, co się wydarzyło. Zajęło mi to trochę czasu, ale teraz już wiem. Jest mi naprawdę okropnie przykro, że ci nie ufałam, ale sprawiłeś, że to było takie trudne. Nie wyjaśniłeś mi nic...

— Czy mogłabyś zamilknąć i posłuchać mnie chociaż raz? — zapytał zmęczonym głosem.

Elizabeth zamknęła usta i zacisnęła je mocno spuszczać wzrok. Usłyszała, jak westchnął i zaczął raz jeszcze.

— Rozmawiałem z Abellem. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że sama zaczęłaś podejrzewać Tomea? Ani tego, że domyślałaś się, iż twoja rola w zdemaskowaniu mnie może być z góry zaplanowana? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, kiedy wpadłaś do mnie płacząc, zalana krwią? — Jego piękne błękitne oczy patrzyły na nią uważnie. Najeżyła się, unosząc w górę głowę.

— Nie wiem... wpadłam w histerię i byłam przerażona...

— Bałaś się mnie?

— Nie, niezupełnie. Bałam się ciebie poprzedniej nocy, a oprócz tego, Guillermo powiedział, że zaaranżowałeś ten wypadek na łodzi. Na dodatek Tomeo bardzo wyraźnie temu zaprzeczył, jakby próbując cię bronić... Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. — Zamknęła oczy. — Ale kiedy zginął Guillermo, myślałam tylko o tym, żeby cię ostrzec, żeby dać ci czas na ucieczkę. Nie myślałam logicznie. Po prostu nie mogłam znieść myśli, że mógłbyś zginąć w hiszpańskim więzieniu, bez względu na to, co zrobiłeś — roześmiała się, czując ten sam niepokój przepływający przez nią. — Dobrze, prawda? Jeżeli rzeczywiście uważałam, że ty

byłeś za to odpowiedzialny, powinnam była cię tam zatrzymać aż do nadejścia żandarmerii, ale moje poczucie przyzwoitości, mój rozsądek, wszystko uleciało, ponieważ to byłeś ty! Nie mogłam myśleć logicznie, nie ufałam moim uczuciom ani mojemu rozsądkowi. Boże, nigdy w życiu nie byłam taka zagubiona.

Spojrzała na niego uśmiechając się lekko. Siedział na krześle patrząc na nią uważnie.

— Nie ułatwiłeś mi tego... ale przepraszam. Naprawdę mi przykro — dodała cicho.

— Nie chcę twoich przeprosin. Nie mogę cię winić. Już nie. Poczulem się wtedy zraniony i nie mogłem ci tego wybaczyć. Ale szczerze mówiąc, mnie również karmiono tyloma wersjami prawdy, że sam nie wiem, czy na twoim miejscu wiedziałbym, co jest prawdą, a co nie. Więc dlaczego tak bardzo chciałaś, żebym uciekł? — Zadając to pytanie wyglądał na zakłopotanego, jakby coś powstrzymywało go przed dotarciem do sedna.

— Powiedziałam ci, że nie chciałam, żebyś poszedł do więzienia — powtórzyła uparcie Elizabeth.

— Tak — odpowiedział, a jego dłoń mocniej zacisnęła się na jej dłoni — ale dlaczego?

— Ponieważ... — drgnęła, szukając określenia pomagającego udzielić wymijającej odpowiedzi — jesteś przyjacielem — zakończyła ze złością.

— Tylko tyle? — rozczarowany uwolnił jej dłoń.

— Tak, a cóż więcej? — warknęła, nie wiedząc, co jeszcze może powiedzieć, wściekła, że nie odgadł reszty. Gdyby choć przez chwilę mógł poczuć odrobinę desperacji i rozpacz, jakie wypełniały jej serce, wówczas może by zrozumiał. Ale Mil już wstał.

— A więc to dlatego? — Pokiwał głową, jakby potwierdzając to raz jeszcze.

— Tak przypuszczam — wzruszyła ramionami.

— Dobrze. W takim razie zapomnijmy o tej rozmowie. Powrócimy do przyjaźni? — Uśmiechnął się, jakby był jej wujem, i Elizabeth poczuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie wściekłością. Z trudem zachowywała spokój.

— Dobrze — powiedziała stanowczo.

— Rzeczywiście? — zapytał i pokiwał ponownie głową. — Tak, oczywiście. Cóż — jego głos brzmiał teraz radośniej — chyba lepiej już sobie pójdę i nie będę ci przeszkadzał w przygotowywaniu wszystkiego na

jutro. Zobaczymy się w południe w kościele. — Jego głos był tak radosny i serdeczny, że nie mogła nie dostosować się do jego tonu.

— Świetnie, zobaczymy się w kościele. Mam nadzieję, że śnieg przestanie padać. — Elizabeth odprowadziła go do drzwi i pomachała do niego ręką, kiedy odchodził w kierunku samochodu.

Wróciła do kuchni i usiadła przy stole. Szlochała za wszystkim, co utraciła, szlochała ze względu na Mila. Łzy przeciekały przez dłoń, którą trzymała przy twarzy, by stłumić płacz. Elizabeth nie uważała się za delikatną, płaczącą istotę. Kiedy płakała — a co zdarzało się znacznie rzadziej niż mogło to wynikać z przeżyć ostatnich sześciu miesięcy — jej całe ciało drgało, twarz pokrywała się czerwonymi plamami, łzy były gorące i ciężkie.

Pograżała się w smutku w najmniej atrakcyjny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Ale jakie to miało znaczenie, skoro jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała, odwrócił się od niej, akceptując, że może pozostać tylko jego przyjaciółką? Uważała, że ma dobry powód, żeby wręcz wywrócić dom do góry nogami. Ale to zwabiłoby domowników i gości, którzy staraliby się dowiedzieć, co się stało, a ona nie mogłaby tego znieść. Nie, popłacze cicho, a później będzie rozsądna i wytłumaczy sobie, że wszystko jest skończone. Ale te myśli napełniły ją znów poczuciem samotności i łzy znowu popłynęły strumieniami.

W takim właśnie stanie znalazł ją Mil, gdy wkroczył ponownie do kuchni, wnosząc ze sobą zimny wiatr. Jego gwałtowne słowa:

— Słuchaj, to bez sensu — były niemal niesłyszalne w wyciu wiatru. Zatrzymał się w miejscu, patrząc na nią. Starła się stać do niego tyłem. Mil wydał z siebie dziwne, pełne ulgi westchnienie i porwał ją w ramiona. Elizabeth przytuliła się mocno do jego grubej, wełnianej kurtki i zapłakała jeszcze mocniej. Mil trzymał ją w ramionach, gładząc dłonią jej włosy.

Kiedy w końcu jej szloch przemienił się w krótkie spazmatyczne łkania, pocałował jej głowę i na chwilę zwolnił uścisk, by na nią popatrzeć. W każdej innej sytuacji cierpiałaby strasznie wiedząc, jak okropnie wygląda, zapuchnięta i pokryta czerwonymi plamami, ale w tej chwili była zbyt zmęczona i wyczerpana, by się tym przejmować. Zamiast tego wzruszyła ramionami.

— Więc teraz już wiesz.

— Tak — zgodził się, uśmiechając się tak słodko, że popatrzyła na niego uważnie.

— Co to ma znaczyć? — Odzyskała swoją wojowniczość na widok jego wspaniałego humoru.

— To znaczy, że nareszcie pozwoliłaś swojemu stróżowi odpocząć na wystarczająco długo, bym mógł do ciebie dotrzeć. To trwało bardzo długo, prawda, kochanie?

— Co trwało długo?

— Przyznanie się, że coś do mnie czujesz.

— Ach tak? A ty po prostu czekałeś przez te wszystkie lata, mając nadzieję, że to się zdarzy, tak? — spytała sarkastycznie.

Roześmiał się.

— Nie. Przez całe lata ignorowałem cię, Liz. Również zdecydowanie odrzucałem swoje uczucia do ciebie. — Jego palce delikatnie pieściły skórę na jej karku.

— Dlaczego? — zapytała, starając się wciąż wyglądać na poirytowaną i nie pokazać, jak bardzo jest szczęśliwa.

— Na początku twój ojciec traktował mnie jak rozpustnika, nie pozwalając mi nawet na zbliżenie się do którejkolwiek z was, a ja czułem się zraniony i zły, ponieważ fałszywie mnie osądzał. A później, cóż, prawie cię nie widywałem. Nie było cię albo byłaś z Charliem Steinem. A kiedy w końcu zacząłem cię zauważać, ty dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że uważasz, iż jestem zdolny do największej zbrodni.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc przytuliła się ponownie do niego, unikając zmoczonego przez łzy miejsca.

Poczuła się nagle tak zmęczona, że mogłaby od razu zasnąć.

— Masz trudny charakter, Liz — wymruczał, trzymając ją mocno. — Nie jestem pewien, jak będziemy sobie razem radzili w życiu.

— Zamierzamy być razem?

— Tak sądzę. Może powinienem nałożyć ci na szyję diamentowy naszyjnik z napisem *Noli me tangere*, gdyż należę do Cezara?

— Nie jestem Anną Boleyn i nie zamierzam dać się sprzedać za diamentowy naszyjnik. Dziękuję ci bardzo — powiedziała ostro, a później spojrzała na jego twarz i uśmiechnęła się. — Stary biedny Wyatt. Co za pech dać się pokonać tłustemu Halowi. Twój przodek nie miał nic dla niego oprócz tronu, oczywiście.

— A ja mam? — Kiedy nie odpowiedziała, roześmiał się. — Ja przynajmniej nie dam się pokonać w żadnej dziedzinie, więc lepiej załóż to, dobrze? — Trzymając ją mocno Mil zdołał włożyć na jej palec swój sygnet, a później złożył jej dłoń w pięść, żeby go tam utrzymać.

— Co z Sassy? Jesteś pewien, że nic cię z nią nie łączy? — zapytała Elizabeth, niepewna, czy nie powinna uciekać, dopóki jeszcze ma szansę. Wiedziała jednak, że nie mogłaby znieść ponownej utraty Mila.

— Sassy, jak pewnie wiesz już od Hugo, wychodzi za mąż za około czterdziestoletniego księcia, o raczej dziwnych upodobaniach seksualnych, o których nie będę ci opowiadał, bo się przerazisz — odpowiedział patrząc na nią. — Myślę, że będą do siebie wspaniale pasowali. — Elizabeth widząc ulgę w jego oczach uśmiechnęła się do siebie zadowolona, spoglądając na złoty pierścień na swoim palcu.

— Czy wiesz, dlaczego nie chciałam, żebyś poszedł do więzienia? — zapytała nagle. Mil roześmiał się.

— Ponieważ mnie kochasz?

— Hm, mama chociaż raz będzie ze mnie zadowolona.

— Tak — powiedział — wiem.